



KRZYSZTOF BORUN

MAŁEONE ZIEŁONE LUDZIKI



KRZYSZTOF BORUŃ

Male zielone ludziki tom II

Aby rozpocząć lekturę, kliknij na taki przycisk [™], który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym LITERATURA.NET.PL kliknij na logo poniżej.



Tom 2

Wydawnictwo „Tower Press” Gdańsk 2001

1

CZĘŚĆ IV DYSPOZYTORNIA

2

1.

Jest noc. Samochód Pratta – wielka błękitna limuzyna o grubych, pancernych szybach i świetnej klimatyzacji – mknie przez sawannę drogą do Knox-Benedict. Siedzę obok pułkownika w wygodnym wnętrzu wozu i rozmawiamy. Ściślej – on mówi, a ja słucham, gdyż w istocie niewiele mam do powiedzenia. Pratt mówi dość otwarcie, bez „owijania w bawełnę” jak moje sprawy stoją i czego się ode mnie spodziewa. Nikt chyba tego nie słyszy poza mną – gruba szyba oddziela nas od kierowcy i siedzącego obok niego cywila z obstawy.

Najpierw, jeszcze na ulicach Bosch zadaje mi parę zdawkowych pytań; jak się czuję, czy jestem bardzo zmęczona, czy nie traktowano mnie brutalnie („wszelkie tortury fizyczne czy bicie są u nas zakazane, jako niehumanitarne i mało skuteczne”) i czy zwrócono mi wszystkie przedmioty osobiste. Zastrzega też, przepraszając, że mapy i „listu” policja zwrócić mi nie może, gdyż „mogą być jeszcze potrzebne” – co rzecz jasna brzmi jak groźba. Mam ogromną chęć „wygarnięcia” mu, co myślę o tych „humanitarnych” metodach wyciskania zeznań, ale dochodzę do wniosku, że nie ma sensu się narażać. Pozwalam sobie tylko powiedzieć parę słów na temat sadystów i zbrojnych w mundurach, wspominając o tym, że dałam jednemu z nich „nauczkę”. Pratt jest tym incydentem wyraźnie rozbawiony i gratuluje mi „dobrego wyszkolenia”. Zaraz jednak przechodzi do „właściwego tematu”:

–Mam do pani żal – rozpoczyna tak, jakby była to zwykła, przyjacielska rozmowa. – Nie była pani ze mną dziś rano szczerą. Gdyby mi pani wówczas powiedziała to, o czym dowiedział się później od pani w „forcie” major von Oost, nie byłibyśmy oboje w tak kłopotliwej sytuacji. I do tego ta nedorzeczna próba ucieczki...

Nie widzę sensu prostowania, że nie miałam zamiaru uciekać, przynajmniej na razie, i czekam co powie dalej.

–Szukałem pani po całym pałacu i ogrodzie – ciągnie pułkownik. – Dopiero po telefonie z prefektury domyśliłem się, że aresztowano panią gdzieś poza terenem pałacu. Ale już było za późno na bezpośrednią interwencję. A ściślej: zmuszony byłem zaprzeczyć, że w Knox-Benedict przebywa doktor Quinta i panna Parker. Pani chyba rozumie czym to groziło? Co za nieostrożność i proszę wybaczyć – brak rozsądku z pani strony! Oczywiście, musiałem zorientować się w sytuacji bez niepotrzebnego szumu, a to zajęło sporo czasu. Dowiedziałem się, że przewieziono panią do „fortu” i jest pani przesłuchiwana, ale nie znając treści pani zeznań, nie mogłem podjąć odpowiednich kroków. Są to delikatne sprawy, dotyczące kompetencji poszczególnych resortów. Nie mówiąc już o konsekwencjach politycznych... Muszę pani powiedzieć, że bardzo mi pomógł senator. On jest naprawdę szczerze pani życzliwy i jemu przede wszystkim musi pani podziękować za tak szybkie uwolnienie.

Słucham wynurzeń pułkownika i zastanawiam się, czy jest w nich choćby cząstka prawdy. Im dłużej myślę o tym, co się ze mną działo, tym większego nabieram przekonania, że cała ta koszmarna historia, co najmniej od momentu aresztowania i przesłuchania w prefekturze, była spektaklem reżyserowanym przez Pratta.

–Ale, niestety, z tego co mi powiedział major von Oost wynika, że nie uda się już uznać całej sprawy za zwykłe nieporozumienie. Aby oszczędzić pani dalszych przykrości, będę musiał przedstawić swoim zwierzchnikom konkretne dowody, że jest pani „Sylwią 3” moją

współpracowniczką i to cenną.

Inaczej mówiąc, zmuszony byłem podjąć w pani sprawie pewne zobowiązania...

–Czy nie nazbyt pochopnie?

–Obawiam się, że pani nie w pełni zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

–Nie boję się śmierci.

–Nie wątpię... Kto zresztą mówi o śmierci? Pragnę tylko uchronić panią przed dalszym śledztwem. Nie chciałbym, aby wyciągała pani fałszywe wnioski z tego, z czym pani zetknęła się w „forcie”. Jeśli zachodzi potrzeba stosuje się tam metody nieporównanie skuteczniejsze...

–Rozumiem, że nie mam wyboru – przerywam mu cierpko. – Na czym ma polegać owa współpraca?

–Potrzebujemy pewnych informacji...

–Konkretnie: jakich?

–Na przykład... na temat „dyspozytorni”.

–To wy możecie mi coś na ten temat powiedzieć, a nie ja wam. Ja nic nie wiem! Chyba to już sprawdziliście?

–Sprawdziliśmy. I powiedziałbym raczej, że pani wiedza w tej materii jest fragmentaryczna. Ale nam nie chodzi o panią, lecz o doktora Quintę. Rzecz w tym, iż cieszy się pani jego zaufaniem. Zresztą nie tylko zaufaniem...

–To znaczy, mam wyciągnąć z niego, co wie na temat „dyspozytorni”, a potem nas zlikwidujecie. Niech pan nie próbuje zaprzeczać, panie pułkowniku!

–Cennych współpracowników nikt się nie pozbywa. A jeśli idzie o doktora Quintę, to nie tylko w tym rzecz, co już wie... Obawiam się, że nadchodzą bardzo trudne czasy i taki umysł jak doktora Quinty może być bezcenny. Gdyby chodziło tylko o wydobyć z niego określonych informacji to, jak już się pani orientuje, nie byłby to wielki problem... Proszę wybaczyć, że stawiam tak brutalnie sprawę, ale chcę, aby pani pojęła, że wasza śmierć czy... okaleczenie psychiczne nie leży w naszym interesie.

To co mówi wydaje się logiczne i zaczynam rozumieć, dlaczego nie jest dla Pratta

szczególnie ważne czy jestem Ellen Parker czy Agni Radej i z jakiego powodu mnie „podmieniono”, zaś z Tomem obchodzą się jak z jajkiem. Oczywiście jest to perspektywa „złotej klatki”, ale zawsze pozostaje jakaś nadzieja. Najważniejsze, że będę razem z Tomem i nie grozi mi już powrót do „fortu”. Nie ma sensu komplikować sprawy.

–Powiedzmy, że rozumiem i zgadzam się na współpracę, gdyż nie widzę innego wyjścia. Z Quintą jednak nie pójdzie panu tak łatwo jak ze mną.

–Właśnie dlatego liczę na panią. I to zarówno w zdobywaniu informacji, które doktor posiada, ale nam nie przekaże, jak też na dalszą metę w przekonaniu doktora, że musi się pogodzić z sytuacją i że źle na tym nie wyjdzie, jeśli się dogadamy. Oczywiście, wynika stąd, że przynajmniej przez pewien czas nie może pani ujawniać przed doktorem o czym tu mówimy. Z tego co wiem wynika, że nie stanowi to dla pani większego problemu. Zresztą doktor też nie jest w pełni z panią szczerzy...

Muszę szybko wejść w rolę.

–Wiem. I dlatego nie będzie to łatwa sprawa.

–Na początek mam dla pani dość proste zadanie. Powie pani doktorowi, oczywiście w ścisłej tajemnicy, że profesor Henderson nie wyjechał rano z Knox-Benedict, wbrew temu co wam mówiłem, lecz dopiero wczesnym popołudniem i widziała się pani z nim w pokoju doktora Swarta, gdy ja na chwilę wyszedłem. Przekazała mu pani list do ambasady, a on polecił pani zawiadomić doktora Quintę, że niestety, sytuacja się komplikuje i obawia się, że nie będzie mógł wam pomóc. Odnaleziono bowiem w Dolinie Martwych Kamieni zwłoki doktora Tomasza Quinty i jego sekretarki – Ellen Parker. Wiadomość o tym podała już BBC. Profesor pyta doktora, co w tej sytuacji robić. Dalej może pani opowiedzieć doktorowi o swoich przygodach, z tym, iż nie wspomni pani, rzecz jasna ani słowem, że w zeznaniach

wymieniła pani nazwisko profesora.

–Czy profesor został aresztowany?

–Cóż za niedorzeczna myśl! – śmieje się pułkownik. – To nasz najwybitniejszy specjalista i to nie tylko w elektrofizjologii.

–Wiem coś o tym...

–Wracając do głównego tematu: zda mi pani potem dokładną relację z tego jak zareagował doktor na te bądź co bądź nie najprzyjemniejsze wiadomości, co mówił i co kazał przekazać profesorowi. I jeszcze jedno: niech pani mówi dużo o tym, że w czasie przesłuchania wypytywano panią o „dyspozytornię”. Może pani nawet ubarwić trochę opowieść i od razu trochę pociągnąć go za język. Oczywiście będzie się miał na baczności. Również przed panią.

–Co konkretnego chcielibyście się dowiedzieć?

–Można powiedzieć, że interesuje nas wszystko, co Quinta wie o „dyspozytorni”. I to nie tylko to, czego jest pewien, ale także wszelkie przypuszczenia, domysły, hipotezy, jak również to czego on nie wie, lecz próbuje się dowiedzieć. Kwestii wymagających wyjaśnienia jest mnóstwo. Na przykład cenne mogą być dane jakie posiada doktor na temat organizacyjnej struktury, wpływów politycznych i ekonomicznych w świecie. Chodzi zwłaszcza o nazwiska ludzi ze sfer rządzących i kręgów wielkich korporacji. Nie bez znaczenia mogą być również konkretne informacje, czy może choćby tylko przypuszczenia, dotyczące rodowodu „dyspozytorni”, a nawet idei przewodniej i celów, które stawia przed sobą. Co Quinta wie na ten temat i z jakich źródeł? Myślę zresztą, że nie trzeba pani tłumaczyć, o co nam chodzi... Proszę mnie też dobrze zrozumieć: nie chcemy wam wyrządzić żadnej krzywdy, przeciwnie: chcemy, aby Quinta stał się naszym sojusznikiem. Chodzi tu o być albo nie być nie tylko Dusklądu... Mam nadzieję, że zdaje sobie pani z tego sprawę...

Pratt urywa, patrząc w zamyśleniu przed siebie, gdzie snopy światła rzucające przez reflektory naszego samochodu wydobywają raz po raz z ciemności przydrożne palmy i baobaby. Jest wyraźnie przejęty tym, co powiedział.

Oczywiście, Pratt przecenia moją rolę i myślę, że lepiej będzie nie wyprowadzać go z błędu. Jestem w ten sposób cenniejszą zdobyczą, a poza tym, traktując mnie jako wtajemniczoną, pułkownik mówi otwarcie o niektórych sprawach, stając się źródłem cennych informacji.

Inna sprawa, że obraz, który zaczyna się wyłaniać z tego, co usłyszałam wcale nie jest dla mnie jasny. Ze słów pułkownika wynika, że „dyspozytornia” to potężna międzynarodowa mafia polityczna, którą tropi IAT i chyba z tego właśnie powodu Tom przyleciał do Afryki. Cóż to jednak za dziwna organizacja? Jeśli vortex ma być narzędziem terroru i anarchii, to komu służy? Faszystom czy czerwonym? Faszyci atakujący ostatnią twierdzę rasizmu? Lewaccy terroryści penetrujący wielkie korporacje? A może to jakiś supergang przestępczy? Dlaczego więc ukrywa się przed światem prawdę? Coś tu się nie zgadza...

–Chce pan powiedzieć, że VP jest narzędziem szantażu w skali globalnej? – próbuję skłonić pułkownika do dalszych wynurzeń.

–Niewątpliwie.

–Ale teren operacji nie był chyba wybrany przez „dyspozytornię” przypadkowo?

Pratt spogląda na mnie przenikliwie.

–Czy to Quinta powiedział pani, że „dyspozytornia” kieruje anomalią?

–Nie.

–A więc kto?

–Chyba coś na ten temat mówił doktor Barley lub Oriento, gdy byliśmy w jego stacji w Dolinie Martwych Kamieni. Czy to bardzo istotne skąd wiem?

Nie odpowiada na moje pytanie. Zbliżamy się do oświetlonego terenu. Czyżby to już Knox-Benedict?

Pratt zaczyna teraz mówić o Tomie. Najpierw bardzo go chwali – że to wybitny fachowiec, wysoko ceniony „nie tylko w świecie naukowym”. Potem mówi, iż pewne wątpliwości może budzić to, czy jest lojalny wobec ludzi, dla których pracuje. Pułkownik jest przekonany, iż Quinta dąży przede wszystkim do realizacji własnych celów. Być może zresztą nie ma w tym sprzeczności etycznej o tyle, że Quinta sam dobiera sobie zleceniodawców, a są to z reguły ludzie bardzo wysoko postawieni. Zdaniem Pratta doktor jest człowiekiem odważnym i bardzo upartym, a nawet trochę ryzykantem. Dogadanie się z nim nie jest więc łatwe, próby wymuszenia czy przekupstwa nie wchodzi w rachubę. Raczej trzeba go przekonać o słuszności współdziałania w warunkach, jakie się wytworzyły. To współdziałanie może mieć ograniczony zakres, wynikać na przykład ze zbieżności „celów pośrednich”. To, co mam robić nie jest tylko zwykłym dostarczaniem informacji, lecz bardzo ważną i delikatną „misją”, polegającą przede wszystkim na „pośredniczeniu”. Najważniejsze, abym zdobyła pełne zaufanie Quinty, co oczywiście nie jest sprawą prostą, gdyż posiada duże umiejętności i doświadczenie w dochodzeniu prawdy i należy do ludzi niezwykle czujnych, podejrzliwych nawet wobec najbliższych mu osób. Dowodem tego – jak mało mi powiedział o rzeczywistych celach naszej podróży do Afryki.

Myślę, że pułkownik próbuje w ten sposób upiec co najmniej dwie pieczenie: osłabić opory moralne wobec przyjęcia roli donosiciela, a jednocześnie podsycić moją ciekawość. Inna sprawa, że ma trochę racji, gdyż właściwie nadal nie wiem, z kim i przeciw komu gra Tom, a to, iż nie chce mnie wtajemniczać w swoje sprawy, z pewnością nie wynika tylko z troski o moje bezpieczeństwo.

Droga biegnie już w pobliżu muru otaczającego rezydencję Knoxa. Pratt instruuje mnie teraz jak mam rozmawiać z Tomem, aby nie zorientował się, że ciągnę go za język. Powinam unikać programowego działania, nie układać sobie z góry pytań zdać się na przypadek i żywiołowy bieg dialogu. Nie ulega wątpliwości, że pułkownik zna się na rzeczy i jest starym praktykiem. W duchu chce mi się z niego śmiać, że tak liczy na mnie, ale jednocześnie czuję niepokój – trudno uwierzyć, aby nie kryła się za tym jakaś pułapka. Wjeżdżamy w aleję prowadzącą do pałacu. Pratt oświadcza niespodziewanie, że już w najbliższych godzinach będzie mógł przekonać się ile jestem warta i liczy, że okażę rozsądek. Dziś bowiem jeszcze spotkamy się z Knoxem i prawdopodobnie dojdzie do rozmowy w cztery oczy między Tomem i gospodarzem. Jutro z rana mam przekazać senatorowi dokładną relację z tego, co mi o tej rozmowie powie Tom w zaufaniu.

A więc nie pozwolą mi ani chwili odetchnąć i zebrać myśli... Jestem oszołomiona biegiem wydarzeń w ciągu tych niewielu godzin, a zarazem coraz lepiej pojmuję, w jak niebezpieczną grę zostałam wplątana. Najgorsze, że nadal niewiele z tego wszystkiego rozumiem. Muszę koniecznie porozmawiać z Tomem bez świadków, a

nie wiem jak to zrobić, zwłaszcza, że sygnalizacja dotykowa staje się niebezpieczna.

–Obawiam się, że w obecnych warunkach moje możliwości będą bardzo ograniczone – próbuję wykorzystać okazję, aby zyskać trochę swobody, a jednocześnie wysondować jak rzeczywiście wygląda obserwacja i podsłuch. – Doktor Quinta jest przekonany, że wszystko co robimy i mówimy jest rejestrowane. A więc niczego istotnego nie powie, choćby mi nawet ufał.

–Możecie porozmawiać w parku – podsuwa Pratt.

–Podsłuch i tam jest możliwy i Quinta o tym wie. To musi być teren rzeczywiście „czysty”. A przynajmniej doktor musi być tego pewien.

Samochód podejżdża już pod schody pałacu.

–Pomyślę o tym... – mówi Pratt i mruga do mnie porozumiewawczo.

Pałac jest jasno oświetlony. Widać, że gospodarz w domu. Wysiadamy i wchodzimy do hallu.

–Pan prezes już przyleciał? – pyta Pratt lokaja.

–Tak jest, panie pułkowniku. Pan prezes oczekuje pana w gabinecie.

–Spotkamy się na kolacji – mówi Pratt do mnie i salutuje.

Idę na górę do swego pokoju i zastanawiam się o czym powinnam zaraz powiedzieć Tomowi, a jakie sprawy mogą poczekać na dogodniejszą okazję do swobodniejszej rozmowy lub sygnalizacji. Niestety, Toma nie ma w naszym apartamencie i bardzo mnie to niepokoi. Czasu jest niewiele, a powinniśmy się naradzić przed kolacją i spotkaniem z Knoxem.

W sypialni na moim łóżku leży nowa sukienka, muszę przyznać, że nie tylko modna, ale i wybrana z gustem, pod kolor moich włosów. Przy łóżku – nowe pantofelki. Oczywiście, nie jest to podarunek Toma, choć to by mi najbardziej odpowiadało. Po prostu wraz z obecnością gospodarza pałacu obowiązuje przy kolacji strój wieczorowy. Biorę prysznic i zmieniam bieliznę, obmacaną łapami „Dawsonki”, a może na dodatek jakichś obleśnych drabów. Nie mogę sobie odmówić przyjemności włożenia nowej sukienki, choćby był to dar samego diabła.

Właśnie stoję przed lustrem i przyglądam się sobie trochę krytycznie (podsiniąle oczy!) i trochę z ukontentowaniem (suknia świetnie leży!), gdy do pokoju wchodzi Tom. Przekracza próg i staje – widać wyczuł moją obecność.

–Tom! – odwracam się gwałtownie od lustra i łyzy poczynają kręcić mi się w oczach.

Wyciąga w moim kierunku ręce, a ja podbiegam do niego i wybucham płaczem. Obejmuje mnie i poczyną całować po włosach, mokrych oczach, wargach, drżących w nagłym przyplýwie czułości.

–Tak bałem się o ciebie... – słyszę jego głos zmieniony wzruszeniem i czuję się w jego ramionach, po raz pierwszy od wielu godzin, naprawdę bezpieczna.

–Co się z tobą działo? – szepcze mi nad uchem. – Pułkownik mówił, że zniknęłaś, że prawdopodobnie uciekłaś... Oczywiście, nie wierzyłem mu. Nie wierzyłem, żebyś mogła odejść tak bez słowa. Byłem pewny, że wiedzą co się z tobą stało, że prawdopodobnie zostałaś uwięziona, a może nawet gdzieś wywieziona. I, że zaprzeczenia Pratta to po prostu szantaż.

Zaczynam opowiadać Tomowi w pośpiechu, bardzo skrótowo i chaotycznie, co się ze mną działo od rozmowy z Prattem i odnalezienia fotografii Ellen w jego papierach. Powinnam tu już wspomnieć zgodnie z poleceniem pułkownika, o rzekomym spotkaniu z Hendersonem, przekazaniu grypsu i komunikacie BBC. Nie jestem jednak zdolna do jakiegokolwiek podwójnej gry. Boję się też używać sygnalizacji

dotykowej, zwłaszcza w pełnym świetle na środku pokoju, bo przecież z zestawu słów w tekście wynikało wyraźnie, że coś podejrzewają. Przede wszystkim jednak nie potrafię w tej chwili zebrać myśli. Zupełnie się rozkleiłam i nie wiem, czy Tom wiele rozumie z tego co słyszy poprzez moje chlipanie.

Gdy dochodzę do wydarzeń „w forcie”, a zwłaszcza gdy chcę mówić o wiju, dostaję jakiejś nerwowej drżączki, zaczynam szcząkać zębami i czuję się tak, jakbym zaraz miała zemdleć. Tom w pierwszym momencie nie bardzo rozumie, co się ze mną dzieje, ale gdy zaczynam mu niepokojąco ciążyć, bierze mnie na rękę i zanosí na tapczan. Potem siada obok mnie i gładząc po policzku, powtarza:

–Nie mów już nic... Nie mów nic... Wszystko będzie dobrze. Już wszystko minęło... Już nie dam ci zrobić krzywdy!

Powoli się uspokajam. Chwytam jego dłoń i przyciskam do twarzy. Tom zaczyna teraz mówić na temat mojej nowej sukienki, że chyba bardzo ładnie w niej wyglądam, a następnie o tym, że jak ją przyniesiono to już wiedział, że niedługo wrócę.

Czuję się już lepiej i pytam go, co się z nim działo, gdy mnie aresztowano. Znowu powtarza, tak jak na początku, że bardzo się o mnie lękał. Nie mógł sobie darować, iż pozwolił mi pójść samej na rozmowę z Pratem i być może jakieś zbiry próbują wydobyć ze mnie informacje, których w istocie nie posiadam. Zagroził też senatorowi, że dopóki nie wrócę cała i zdrowa, nie będzie z nikim rozmawiał. Senator, co prawda, zaklinał się, że nic o

mnie nie wie i sam jest zaniepokojony moim zniknięciem, ale wkrótce po tym jak Tom zamknął się w swym pokoju i nikogo nie chciał wpuścić, zadzwonił Pratt, oświadczając, że zrobi wszystko, aby mnie odnaleźć. Potem, po trzech godzinach, zadzwonił po raz drugi i powiedział, że już wie co się ze mną stało, że zostałam aresztowana przez policyjny patrol w sytuacji budzącej uzasadnione podejrzenia, iż jestem szpiegiem lub terrorystką. Co gorsze, ogłuszyłam konwojującego mnie policjanta i próbowałam zbiec, a w rezultacie grozi mi wieloletnie ciężkie więzienie. Pratt twierdził, że on i senator chcieliby mi pomóc, ale jest to delikatna kwestia, zwłaszcza, że nie jestem tą osobą, za którą się podaję, co również i Toma stawia w trudnym położeniu, zwłaszcza jeśli będzie próbował szukać pomocy na zewnątrz. Na tym urwała się rozmowa. Dopiero przed godziną zadzwonił senator, donosząc, że uzyskał warunkowe zwolnienie mnie z więzienia. Wkrótce potem zjawiała się pokojówka z sukienką i pantofelkami, a także lokaj anonsujący przyłot Knoxa i proszący Toma, aby zszedł do hallu. Senator przedstawił Toma gospodarzowi i wraz ze Swartem wszyscy czterej przeszli do salonu na „drinka”.

Rozmowa w salonie dotyczyła głównie najnowszych wydarzeń w Patope. Po południu doszło tam do przewrotu wojskowego i władzę objął generał Takku. W stolicy toczą się jeszcze walki między oddziałami pancernymi dowodzonymi przez generała a wierną Numie żandarmerią, przy czym los „marszałka” pozostaje nie znany. Nowy prezydent Republiki popierany jest podobno przez „Alcon”. Wydaje się wątpliwe, czy dojdzie do porozumienia z partyzantami, dowodził bowiem swego czasu akcją pacyfikacyjną na terenach zamieszkałych przez plemiona Magogo i był długi czas prawą ręką Numy.

O mnie, ani o żadnych „delikatnych kwestiach” nie mówiono. Dopiero gdy gospodarz z senatorem wyszli, zapowiadając, że się spotkamy na kolacji, Swart pozwolił sobie na szczerość, radząc Tomowi, aby nie narażał się niepotrzebnie pułkownikowi. Dodał też, że powinien mnie lepiej pilnować, ale teraz może się już nie martwić, bo Pratt pojechał po mnie i wkrótce się zobaczymy. Potem zaczął mówić o Knoxie, o jego ogromnym majątku, rozległych wpływach i przyjacielskich stosunkach z wieloma wybitnymi mężami stanu. To co słyszę pasuje raczej do obrazu aktywnego „dyspozytora” niż ofiary „dyspozytorni”, ale rozmowę z Tomem na ten temat muszę odłożyć na później.

Ciekawe rzeczy powiedział też Swart o senatorze. Okazuje się, że nosi on nazwisko „Benedict”, jest bratankiem żony Knoxa i głównym akcjonariuszem „Palbio”, czego zresztą mogłam się domyślać. Niedawno rozwiódł się po raz czwarty i to mu trochę utrudnia karierę polityczną, mimo poparcia Knoxa. Swart twierdził też, że tak szybkie uwolnienie zawdzięczam przede wszystkim senatorowi, który jest bardzo czuły na wdzięki niewieście, a i samego Quintę ceni bardzo wysoko. Możemy więc liczyć na

jego pomoc w trudniejszych sytuacjach.

Ta relacja Toma nieco mnie uspokaja, a nawet budzi pewnego rodzaju optymizm. Czuję się już zupełnie dobrze i postanawiam przede wszystkim przekazać Tomowi informacje zalecone przez Pratta, z tym iż przyszedł mi do głowy pomysł wyprowadzenia pułkownika w pole.

–Czy słuchałeś dziś Londynu? – mówię wstając z tapczana.

–Wieczornego dziennika. Chodzi ci o Patope? – pyta trochę zaskoczony.

–Nie. A dziś rano?

–Nie miałem czasu.

Podchodzę do lustra i poprawiam sukienkę.

–Szkoda. Coś podobno w BBC mówili o tobie i Ellen.

–Nie słyszałem? Czy coś istotnego?

–Podobno znaleziono nasze zwłoki w Dolinie Martwych Kamieni...

Twarz Toma kamienieje.

–Kto ci to mówił? – pyta po chwili ze źle skrywanym napięciem.

–Nieważne...

–Czy rozpoznano zwłoki?

–Chyba tak... – potwierdzam niezbyt pewnie i pozornie zmieniam temat. – Czy spotkałeś profesora Hendersona?

–Dziś nie.

Siedzi nieruchomo, a z wyrazu jego twarzy można się domyśleć, że próbuje odgadnąć, co mu chcę w ten sposób przekazać.

–Czego się martwisz? – mówię podchodząc do niego.

–Na pewno szybko stwierdzą pomyłkę. To drobiazg dla współczesnej kryminalistyki.

–Nie wiem... – odpowiada cicho i zaraz widocznie uświadamia sobie, że niepotrzebnie mnie straszy, gdyż dodaje pospiesznie: – Wszystko będzie dobrze!

Powinam mu teraz powiedzieć, że pytano mnie o „dyspozytornię”, lecz w tym momencie rozlega się pukanie do drzwi.

Okazuje się, że to Swart, zawiadamiający nas, że „prezes Knox prosi na wieczerzę”. Dalszą rozmowę musimy odłożyć na później.

9

2.

Schodzimy na parter i przez szereg amfiladowo połączonych pokoi, o różnym wystroju wnętrz, pełnych rzeźb, obrazów i artystycznie wykonanych mebli, dochodzimy do ogromnej sali jadalnej z długim stołem pośrodku, jakie dotąd oglądałam tylko w kinie.

Knox jest wysokim, nieco pochylonym przez wiek starcem o bujnych siwych włosach i krzaczastych brwiach nad przyciemnionymi nieznacznie szklami okularów. Na pierwszy rzut oka przypomina raczej uczonego lub kompozytora w dawnym stylu niż biznesmena i polityka. Gdy zwraca się do mnie z uśmiechem, wydaje się sympatycznym starym mamutem, choć nietrudno sobie wyobrazić, że w gniewie ta twarz może wzbudzać lęk.

–Panna Agni Radej – przedstawia mnie, stojący obok gospodarza, pułkownik Pratt.

Czuję, że Tom, którego prowadzę pod rękę, ściska mi z niepokojem dłoń.

–Jestem zaskoczony... – mówi Knox. – Słyszałem od pułkownika, że jest pani bardzo niebezpieczną kobietą, ale nie wiedziałem, że aż tak czarującą. Młodość i piękno, to wartości, które coraz wyżej cenimy z wiekiem. Pani wybacz starymu człowiekowi, jeśli poproszę, aby usiadła pani obok mnie. Oczywiście, z panem doktorem.

–Jest pan strasznie miły, panie prezesie – wdzięczę się do „mamuta”, choć tego nie znoszę. – Pan mnie onieśmiela. Knox prowadzi nas do drugiego końca stołu i sadza po swej prawej ręce. Po lewej, naprzeciw mnie, siada senator, a nieco dalej Pratt i Swart.

Majordomus daje znak lokajom usługującym do stołu i rozpoczyna się kolacja „w arystokratycznym stylu”. Potrawy i napoje są znakomite, obsługa bez zarzutu, atmosfera trochę sztywna i nie w moim guście, ale na tyle na ile potrafię, staram się dostosować do wymagań chwili.

Najwięcej mówi gospodarz. Widać, że lubi jak go wszyscy słuchają z uwagą. Pozuje na filozofa. W istocie jego „złote myśli”, sentencje i spostrzeżenia nie są zbyt wysokiego lotu, choć, nie można odmówić im pewnej błyskotliwości, a czasem i trafności.

Początkowo tematem rozmowy, czy raczej monologów Knoxa, jest zanikający artyzm w sztuce... kulinarnej, zanik dobrych obyczajów i niebezpieczny kierunek ewolucji ocen moralnych we współczesnym świecie. Potem wypływa kwestia pozycji kobiety w cywilizowanych społeczeństwach, a następnie rozszerzenie obszaru rezerwatów dla zanikających gatunków fauny afrykańskiej, przy czym starszy pan reprezentuje bardzo postępowe poglądy w obu sprawach.

Pratt próbuje skierować rozmowę na tory bliższe aktualnym wydarzeniom. Wtrąca, że tuż przed kolacją otrzymał wiadomość o zamordowaniu żony Numy, jego dwóch młodszych synów i córki, ale Knox przerywa mu z kąśliwą uwagą, że mówienie o takich sprawach przy jedzeniu świadczy o braku taktu i dobrego wychowania. A w ogóle dyskutowanie o polityce i interesach przy posiłkach wpływa źle na trawienie i on „doświadczony stary człowiek” od dawna tego unika. Zaraz też zaczyna opowiadać, jak to przed laty organizował wielkie safari, a dziś coraz trudniej o prawdziwe polowanie, nawet tu, w Afryce. Za jego długiego życia Afryka bardzo zmieniła się i to niemal z reguły na niekorzyść. Tylko Afrykanie, nawet ci, którzy pokończyli studia na europejskich uniwersytetach, „pozostali nadal dzicy”.

Pod koniec „wieczery”, przy lodach, winach i owocach, wbrew zastrzeżeniom gospodarza, rozmowa schodzi jednak na aktualia polityczne. Zaczyna sam Knox, od pochwały tolerancji w... modzie. Tolerancja ta nie jest wcale kosztowna społecznie, daje ludziom poczucie swobody, a przy tym zupełnie nie szkodzi pozycji wielkich firm kształtujących gusta. Zaraz potem wygłasza swoje credo na temat... istoty wolności”.

–Demokracja i wolność niezbędne są każdemu dojrzałemu narodowi, jak dojrzałemu mężczyźnie kobieta i alkohol – stwierdza „mamut” w taki sposób, że nie wiadomo czy kpi, czy mówi poważnie. – Bez alkoholu i kobiet można co prawda żyć, ale takie życie jest jałowe i niewiele warte. Narody nie pijące wina są skłonne do fanatyzmu i wrogiego stosunku do świata, zaś narzucona sobie wstrzemięźliwość seksualna wiedzie do zboczeń lub je kryje. Z kolei brak umiaru, jeśli idzie o alkohol i kobiety, z reguły smutno się kończy. Podobnie mają się sprawy z wolnością i demokracją.

–Chce pan powiedzieć, że z wolności należy korzystać tak, aby się nią nie upić, zaś z demokracji tak, aby nie stracić dla niej głowy – śmieję się z kalamburu.

–Jak najbardziej! – przytakuje Knox z wyraźnym zadowoleniem i wiem, że zyskałam jego sympatię. – Ale nie tylko. Chodzi mi o coś więcej: aby ocenić walory dobrego wina, trzeba mieć wyrobiony smak, a więc odpowiednią wiedzę i doświadczenie. Trzeba wiedzieć o jakiej porze, do jakich dań jakie wino najlepiej smakuje. Pijak chwyta wszystko co ma w zasięgu ręki i szukając tylko upojenia, nie zna w istocie smaku prawdziwie dobrego trunku. W społeczeństwie, w którym każdy robi co chce, w którym każdemu wszystko wolno, a więc i grabić cudzą własność, nie ma prawdziwej wolności. Anarchia to żywioł nieokiełznany, w którym człowiek jest igraszką sił, a więc ich niewolnikiem. Prawdziwa wolność polega na tym, że mamy możliwości podejmowania prawidłowych decyzji, a nie działamy na ślepo.

–To samo mówili Hegel i Marks... – wtrąca Tom, a ja patrzę z niepokojem jak zareaguje gospodarz.

–Wiem o tym – odpowiada Knox nad podziw spokojnie i zamyśla się. – Żeby nie było nieporozumień – podejmuje po chwili – muszę państwu powiedzieć, że pół wieku temu, jeszcze w Europie, kiedy mój cały majątek mieścił się w jednej walizce, byłem dość bliski marksizmowi... No cóż, grzechy młodości... Dziś wiem, jaki byłem wówczas naiwny. Wierzyłem, że to można wprowadzić w życie tak prostymi środkami jak agitacja, walka z policją, walka wyborcza, strajki... Wierzyłem, że zaostrza się nieuchronnie walka klasowa... Ale potem na wszystko machnąłem ręką. I słusznie! Dziś wiem, że trzeba inaczej działać. Są to czasy bardzo trudne, wszystko coraz bardziej staje się grą pozorną. Niektórzy twierdzą, że komunizm się kapitalizuje, inni

że kapitalizm sprzedaje się komunizmowi. To wszystko bzdura, jeśli patrzeć głębiej. Po prostu wszelkie schematy zawodzą... Ale to wcale nie znaczy, że Marks nie miał w wielu kwestiach racji. I niech pan, pułkowniku, nie robi takiej głupiej miny – zwraca się do Pratta. – Tych, którzy lekceważą Marksa, uważam i dziś za durniów. Cóż wart jest polityk, który nie korzysta z wiedzy i doświadczenia przeciwnika? Państwo wybaczą, to była tylko taka sobie dygresja. Pułkownik Pratt świetnie umie wykorzystać doświadczenia fachowców bliskich mu profesjonalnie, choć działających w odmiennych politycznie warunkach... Ale nie o to mi w tej chwili idzie. Otóż... O czym to mówiliśmy? Proszę wybaczyć sklerotykowi...

–O winie, żywiołach i prawdziwej wolności – przypominam usłudźnie. Postanowiłam, że muszę go sobie zjednać bez reszty.

–Ano właśnie! – cieszy się starzec. – Otóż ludzie to też żywioł. Chyba już zresztą o tym mówiłem. Sztuka polega na tym, aby owym żywiołem odpowiednio pokierować, aby nim władać. Ale jak to zrobić, aby ze ślepego żywiołu, z tępych, nieokrzesanych, zamoczonych alkoholem pijaków ludzie stali się wybrednymi smakoszami wina wolności? – pyta z patosem. – Wcale to niełatwe! Dla ogromnej większości ludzi, nawet z kręgów intelektualnej elity, owa wolność to ciągle jeszcze prawo do żywiołowości, do spontanicznych, często wręcz

przypadkowych reakcji, do kierowania się nie rozsądkiem, a emocjami i popędami, do poszukiwania iluzji wolnej, nieprzymuszonej woli przy podejmowaniu decyzji, a nie uświadomienia sobie konieczności takiego i nie innego wyboru, wynikającej z określonych uwarunkowań obiektywnych i subiektywnych. Ja sam raz po raz łapię się na tym, że nie potrafię uświadomić sobie jasno owej konieczności. Być może zresztą ma rację Maks Planek, gdy twierdzi, że samokontrola zawsze będzie obciążona błędem subiektywizmu... Widać tak już jesteśmy skonstruowani, że cenimy wyżej złudę niż rzeczywistość... Lecz z tego faktu należy wyciągnąć logiczny, realistyczny wniosek: nie ma co liczyć na to, że potrafimy zmienić człowieka, przynajmniej w kilku najbliższych wiekach, jeśli nie nigdy. Jest więc tylko jedno wyjście: ową słabość zamienić w siłę!

–To fascynujące co pan mówi... – wtrącam ze „szczerym” przejęciem. – Ale nie bardzo pojmuję, jak to możliwe.

–Jeśli człowiek chce wierzyć, iż działa zgodnie z własną wolną wolą i ma pełną swobodę wyboru celu i dróg do niego prowadzących, po co zabierać mu to złudzenie? Niech sobie wierzy, byle ten wybór był prawidłowy! A to moglibyśmy już dziś osiągnąć...

–To znaczy? – pyta Tom, a mnie w tej chwili przychodzą do głowy niepokojące podejrzenia.

–Czyż nie lepiej, nie słuszniej wpływać na mózg ludzki, na psychikę człowieka w ten sposób, aby podejmował on prawidłową decyzję, a jednocześnie był przekonany, że ta decyzja jest wynikiem jego własnych przemyśleń i pragnień? – odpowiada gospodarz pytaniem. – Moim zdaniem jest to szlachetniejsza, bardziej humanitarna metoda kierowania ludźmi niż przymus!

–To też jest przymus – stwierdza Tom. – Tyle, że ukryty...

Knox patrzy na Toma niechętnie.

–Raczej kategoryczny imperatyw... Nakaz wewnętrzny... – mówi z naciskiem. – Zresztą... jeśli nawet i przymus... Przecież każdy motyw działania, każda decyzja, i to zarówno ta najbardziej przemyślana, jak i wywołana żywiołową reakcją jest zdeterminowana określonymi czynnikami. Tak czy inaczej wszyscy działamy pod przymusem, rzecz w tym, aby nie był dostrzegalny, gdyż wówczas odczuwamy go jako niewolę. Chodzi po prostu o to, aby nie znajdować się w sytuacji stresowej, i nic poza tym...

–Słowem: dostosujmy nasz gust do wina, które aktualnie mamy w piwnicy... – mówi

Tom kpiąco.

–Świetnie pan to ujął, doktorze. To właśnie miałem na myśli. I niech państwo zważą: gdyby się nam udało w pełni to zrealizować, byłby to duży krok naprzód w zapewnieniu wszystkim ludziom tego, co zwykliśmy nazywać szczęściem...

–Bardzo śmiało... – uśmiecha się Tom.

–Ale realne. Proszę zresztą nie sądzić, iż lekceważę trudności: różnego rodzaju obawy, opory, stereotypy myślowe... Nawet jeśli uda się rozwiązać pomyślnie wszystkie problemy techniczne, świat nasz jest zbyt zróżnicowany, podzielony politycznie, ekonomicznie, socjalnie i etnicznie, aby można było liczyć na powszechne poparcie tej rewolucyjnej idei. Jest to kwestia dojrzałości politycznej i kulturalnej, a być może również w pewnych przypadkach przewyciężenia atawistycznej skłonności do demonstrowania brutalnej siły lub sadystycznych wynaturzeń. Myślę jednak, iż do nas należy przyszłość. Czy się to komu podoba czy nie. Byłoby, oczywiście, niedorzecznością przypuszczać, iż można stworzyć system, który zadowoli wszystkich, łącznie z brutalami i sadystami. Ale przecież perspektywa, jaka się tu otwiera, oznacza przeobrażenie także i ich mentalności, więc nawet i oni powinni być zadowoleni... Chodzi o to, że warunkiem zadowolenia z życia, na pewno nie jedynym, ale niezbędnym, jest wolność od strachu, od niepewności jutra, jest poczucie bezpieczeństwa i swobody decydowania o swym losie. Uwolnienie ludzi od poczucia zagrożenia i przymusu, oto cel, o który warto walczyć?

Knox coraz bardziej się zapala, a ja mam coraz większą chęć mu przygadać.

–Czy pan to mówi serio, prezesie? – wtrącam prowokacyjne pytanie.

–Oczywiście.

–Pan naprawdę wierzy w to, co mówi? Z moich, dość specyficznych doświadczeń wynika, iż w waszym kraju stosuje się najchętniej metodę „kija i marchewki”...

W oczach starca pojawia się gniew.

–Widać nie ma pani zbyt wielkiego doświadczenia... – odzywa się Pratt, ale gospodarz daje mu znak dłonią, aby zamilkł.

–Pani nas krzywdzi – mówi z wyrzutem. – Od pięciu lat obowiązują u nas surowe przepisy. Zarówno w toku śledztwa, jak i działalności organów ścigania, zakazuje się pod sankcjami dyscyplinarnymi stosowania wobec podejrzanych wszelkich brutalnych metod, które mogą być uznane za formę przymusu fizycznego, nie mówiąc już o chłóście czy torturach. Nie ma też w naszym kodeksie kar cielesnych, ani też kary śmierci. Nasze ustawodawstwo może być przykładem humanitaryzmu dla wszystkich krajów Afryki, a nawet Europy i Ameryki Północnej. Nawet w stosunku do kolorowych kary są z reguły bez porównania łagodniejsze niż w innych krajach afrykańskich wobec własnych obywateli. Oczywiście, wprowadzenie w życie tego rodzaju bardzo postępowych i humanitarnych zasad stało się możliwe dopiero wówczas, gdy w naszym społeczeństwie dokonała się pełna integracja narodowa, rasowa i kulturalna, gdy zniknął problem dwóch kategorii obywateli i nasze stosunki z Afrykanami mogły ułożyć się na zasadzie czysto rynkowej, bez żadnych problemów natury politycznej. Dziś jeśli ktokolwiek próbuje twierdzić, że jesteśmy krajem dyskryminacji społecznej czy rasowej, ostoją wstecznictwa i neokolonializmu, państwem łamiącym prawa ludzkie i boskie, jest po prostu bezczelnym kłamcą. Rzecz jasna, może się czasem zdarzyć, że pojedynczy funkcjonariusz policji, czy służb specjalnych zachowa się niewłaściwie wobec schwytanego przestępcy. Ludzie są różni, a przez pięć lat nie wszyscy pracownicy przyswoili sobie w pełni nowy styl pracy. Nie brak też wśród przestępców, zwłaszcza kolorowych, osobników zachowujących się bezczelnie, wręcz prowokacyjnie. Ale wszelkie wykroczenia funkcjonariuszy są karane dyscyplinarnie i z roku na rok coraz mniej mamy przypadków samowoli.

–Słowem: pańscy policjanci to przewodnicy po rajach...

–Kto mówi o rajach? – zastrzega się Knox. – To, co powiedziałem o wyzwoleniu człowieka ze stresów i sterowaniu jego dążeniami jest, niestety, muzyką przyszłości,

celem, do którego zmierzamy. Powiem więcej: uwolnienie od stresów nie oznacza wyzbycia się wszelkich emocji negatywnych, przykrości, niechęci czy obaw. Nie tylko bodźce dodatnie, ale i ujemne są potrzebne dla normalnego funkcjonowania organizmu i musimy się nauczyć umiejętnie korzystać z możliwości tego rodzaju stymulacji.

–Słowem: nie tylko udoskonalona metoda „kija i marchewki”, ale także „skłonienia kota, aby zjadł musztardę” – stwierdza Tom.

–To dobra metoda... – śmieje się pułkownik. – Bardzo skuteczna.

–Pańska ulubiona, pułkowniku – dorzuca Benedict.

Knox krzywi się z niesmakiem.

–Nie bądźcie panowie trywialni! Chodzi właśnie o to, aby nie trzeba było jej stosować – stwierdza chłodno.

–Wszystko zależy w stosunku do kogo! – zastrzega Pratt. – Nie sądzę, aby można było całkowicie z niej zrezygnować. Weźmy jako przykład plemiona, które teraz wyrzynają się wzajemnie w Patope...

–I tu się z panem nie zgadzam – oponuje gospodarz. – Znacznie łatwiej będzie kierunkować dążenia społeczeństw prymitywnych niż wysoko rozwiniętych kulturalnie. Co więcej, żyjemy w czasach szczególnie trudnych i niebezpiecznych. Wszystko się wokół zmienia. Wszystkie niewzruszone niegdyś wartości, wszystkie prawdy, teorie, zgromadzone

przez wieki zasoby indywidualnego i społecznego doświadczenia okazują się bezużyteczne. Dotychczasowe oceny zjawisk i metody działania nie zdają egzaminu. Ani demokracja i liberalizm, ani dyktatura i terror nie są w stanie zapobiec katastrofie, do której zmierza świat. Jeśli nadal będziemy myśleć tak jak dawniej, czeka ludzkość zagłada...

–Mówi pan o katastrofie ekologicznej czy wojnie? – pytam domyślnie.

–Nie tylko. Wojna nuklearna i zagłada biosfery to kataklizm, który niesie śmierć i cierpienia, ale może też działać oczyszczające, jak ogień. Gorszy, katastrofalniejszy w skutkach ostatecznych jest proces gnicia, rozkładu... Tu nie chodzi tylko o ostry czy chroniczny kryzys moralności. Ludzkość poczyna już gnąć moralnie. Zakłamanie, obłuda, spekulacja ideami nadają kształt jej obliczu. Prawo staje się parawanem bezprawia, ochrona mienia i życia kryje grabież i zbrodnie, przestrzegając zasady nie mieszania się w czyjeś wewnętrzne sprawy pozwalamy sąsiadowi mordować własne dzieci... Każdy najrozsądniejszy projekt, każda dalekowzrocza decyzja, każde sprawiedliwe porozumienie okazuje się w praktycznej realizacji nedorzecznnością, ślepotą i niesprawiedliwością. Demokracja staje się prostytutką sumień i lichwą wolności. Dyktatura rodzi neofeudalizm, gorszy od średniowiecznego, gdyż pozbawiony regulacyjnych mechanizmów dwuwładzy: religijnej i świeckiej. I nie ma co liczyć, że wszystko samo się jakoś naprawi, że ludzkość stopniowo dojrzeje i zrozumie. Tak jak dorośnie i zrozumie mała bestia hodowana przez matkę-idiotkę na chuligana i bandytę... Jedynym wyjściem jest silna ręka kierowana rozumem! Ale czy można dzisiejszy podzielony świat zjednoczyć i nim kierować? Historia już nas nauczyła, a współczesna praktyka potwierdza, że każda akcja wywołuje reakcję i czym ostrzejsze, brutalniejsze środki się stosuje tym efekt bardziej opłakany. Chodzi o to, że trzeba tu działać nie przymusem ani jałowym, często kolidującym z faktami, przekonywaniem, ani też stosując niebezpieczne w skutkach gry manipulacyjne. Trzeba sprawić, aby wszyscy chcieli to samo, to samo rozumieli, aby zachowywali się tak, jak tego wymaga dobro ludzkości, z własnej woli. I właśnie o to walczymy!

–Pan naprawdę wierzy w to, że z pomocą majora von Oosta i profesora Hendersona może uszczęśliwić ludzkość?

Twarz starca jakby zszarzała. Milczy chwilę zbierając myśli, a ja zaczynam żałować niepotrzebnej szczerości.

–Rozumiem pani obawy – odzywa się Knox po chwili, tonem dobrego nauczyciela-wychowawcy. – Ale bądźmy realistami. Chociaż jest pani jeszcze bardzo młoda, mam prawo mniemać, iż potrafi spojrzeć rozsądnie, w nowy sposób na świat. A świat ten jest inny niż widziany w dziewczęcych marzeniach... Co więcej, inny niż przed

wiekami i inny niż był wczoraj. Powiedziałem przed chwilą, że zmierza on ku przepaści, a dawne sposoby zawrócenia go z drogi okazują się zawodne, że trzeba zmienić gruntownie metody sprawowania władzy, kierowania ludźmi, grupami społecznymi, narodami, że dawne metody grożą nieuchronnie katastrofą...

–I jedyny sposób, to pańskim zdaniem...

–Nie jedyny – przerywa mi domyślnie. – Są różne drogi. I to bynajmniej nie tylko w teorii. Wartość teorii należy mierzyć ich praktyczną użytecznością. Ale nie o tym chcę mówić. Istnieją trzy metody sprawowania władzy, użyteczne w naszych czasach. Dwie z nich już się stosuje, trzecia jest w stadium prób technicznych... Która jest najużyteczniejsza okaże życie. Której koszty społeczne są najniższe widać to jak na dłoni. Dwie pierwsze z tych metod mają w istocie wielowiekowe tradycje, lecz doskonałość techniczną i organizacyjną osiągnęły dopiero w naszym stuleciu. Jeśli idzie o pierwszą to można powiedzieć, że był to jej „złoty wiek”, zwłaszcza w niektórych krajach Europy i Azji. Osobiście nie gustuję w tej metodzie, ale doceniam jej użyteczność w zaprowadzeniu i obronie nowego porządku. Nie wiem, czy państwo domyślają się o czym mówię? – zwraca się do mnie i Toma. – Klasycznym przykładem praktycznej realizacji tej metody były hitlerowskie obozy

koncentracyjne. Zresztą nie tylko hitlerowskie. Chodzi oczywiście o eksterminację i eksploatację wyselekcjonowanej części zasobów ludzkich. Jest to metoda skuteczna, nie wymagająca kosztownych inwestycji, a więc, można powiedzieć, tania. I to chyba w niemałej mierze przyczynia się do jej powodzenia. Nieśluszenie, bo w istocie prowadzi do ogromnego marnotrawstwa, jak na przykład w Kampuczy.

Zastanawiam się, czy Knox mówi to, co myśli i rzeczywiście prowadzi tego rodzaju „kalkulację”, czy też jest to jego swoista forma ironii. Z wyrazu twarzy Toma wnioskuję, że gospodarz zaczyna działać mu na nerwy.

–A druga metoda? – staram się zmienić temat.

–Również ma bogate tradycje i została bardzo udoskonalona w wieku dwudziestym, szczególnie w drugiej jego połowie – podejmuje Knox. – Zwłaszcza z pomocą pańskich kolegów: socjologów i politologów, doktorze. Jest to dziś już wręcz nauka i sztuka sterowania ludźmi. Zasada jest zresztą stara jak świat: nie tylko różne procesy fizyczne i reakcje chemiczne, ale również bieg zjawisk społecznych, gospodarczych i politycznych można hamować lub przyspieszać. Cóż zresztą ja, laik, mogę mówić na ten temat przy takim fachowcu od manipulacji jak doktor Quinta? Pańskie książki „Wstęp do automatyki społecznej” i „Redundancja w sterowaniu systemami społecznymi” otworzyły mi oczy na wiele kwestii... Czy nie sądzi pan jednak, doktorze, iż najistotniejszą cechą nowoczesnej manipulacji polityczno-społecznej jest jej alienacja, wyobcowanie, uniezależnienie się od manipulantów, a nie kamuflaż, który został tylko udoskonalony? Zawsze przecież polityka w mniejszym lub większym stopniu oznacza zakulisowe wpływanie na bieg wydarzeń.

Tom kiwa głową, jakby potakiwał Knoxowi, lecz ja już wiem, że wcale to nie oznacza akceptacji tego, co słyszy.

–Mówi pan: alienacja? Rzeczywiście jest to poważny i groźny problem nowoczesnej manipulacji, ale nie wiem czy najistotniejszy – odpowiada po chwili namysłu. – Aparat sterowania manipulacyjnego przejawiał zawsze tendencję do wymykania się kontroli. Myślę zresztą, że równie istotną cechą nowoczesności, jak głęboki kamuflaż jest rosnąca elastyczność taktyki manipulacyjnej. Aby uniknąć nieporozumień terminologicznych: przez kamuflaż rozumiem w tym przypadku działania maskujące sterowanie w ten sposób, iż staje się nieostrzegalne dla obiektu manipulacji ani w czasie operacji ani po niej. Jeśli zaś idzie o taktykę to, moim zdaniem, ta ostatnia w coraz mniejszym stopniu opiera się o operacje typu algorytmicznego, a coraz częściej o metodę prób i błędów. Inaczej mówiąc: zamiast realizować zaplanowaną z góry koncepcję taktyczną, działa się od przypadku do przypadku i szuka odpowiednich sposobów gry, wykorzystując każdą okazję. Z pozoru wygląda to tak,

jakby działano bezplanowo, gdy w istocie jest to stan nieustannego pogotowia „w pełnym uzbrojeniu”. Tego rodzaju elastyczna taktyka nie tylko utrudnia przeciwnikowi przewidywania z której strony nastąpi atak, ale pozwala wykorzystać każdy jego słabszy punkt, każdy błąd.

–Zgadza się z panem, doktorze! To świetna metoda! – podchwytuje Pratt, ale gospodarz znów daje mu ruchem dłoni znak, aby zamilkł.

–Nie widzę powodu do entuzjazmu – stwierdza z wyrzutem. – Nieustanna walka, homo homini lupus est... Wszędzie czyha wróg i musimy być gotowi na wszystko co najgorsze. A w rzeczywistości wszystko to gra, manipulacja politycznospołeczna, tak perfidna, że nawet nie zdajemy sobie sprawy kto, jak i dlaczego trzyma nas za gardło i wyciska. Poddani nie wiedzą, że są poddanymi, a jeśli czują się zniewoleni to w ich przekonaniu przez ślepy los lub tak zwane warunki obiektywne. Jeśli każe się im na przykład płacić życiem, zdrowiem lub majątkiem za grę manipulacyjną, wierzą, iż jest to konieczność dziejowa i obowiązek wobec ojczyzny, partii politycznej czy wodza, zaś winę za to, co ich czeka, ponoszą perfidni wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni...

–Jest pan pacyfistą, prezesie – wtrąca Tom z powagą, lecz myślę, że w duchu kpi.

–Jestem pacyfistą-pragmatykiem – potwierdza Knox z przejęciem. – Nienawidzę wojny i grabieży, rozboju i gwałtu, nieuczciwości i marnotrawstwa dóbr! A technika manipulacji społecznej traktuje to wszystko jako elementy taktyki. Jest ona pozbawiona uczuć, antyhumanitarna, pełna pogardy dla człowieka. Stwarza sztucznie stresy i napięcia, demoralizuje i wpędza w kompleksy, wmawiając ludziom, że są bezsilni wobec świata i losu, którego nigdy nie zdołają pokonać, ani pojąć sensu swego życia. Jest to najgorsza postać tyranii, bezosobowa i nieuchwytna. Co gorsza, postępujący proces alienacji sterowania manipulacyjnego, jego nieograniczony rozrost pozbawia władzy nawet tych, którzy nim kierują. „Wąż poczyna pożerać własny ogon.”. Sami manipulanci stają się przedmiotem manipulacji i w ogóle nie wiadomo kto kim rządzi. Błędne koło...

–A pańska idea, prezesie? – przerywa mu Tom. – Przecież to również manipulacja, tyle, że doskonalsza technicznie.

–Nieprawda! – oburza się starzec. – Kierunkując ludzkie dążenia, potrzeby, a nawet gusta, odpowiednio do możliwości ich zaspokojenia, uwolnimy ludzkość od szkodliwych stresów i napięć, od wojny i głodu, ułatwimy rozkwit uczuć braterstwa, przyjaźni, tolerancji! Ponadto metoda ta ma wyraźnie ograniczony zasięg i zakres stosowania środków technicznych. Wyklucza to możliwość utraty panowania nad nimi i alienację...

–Czy rzeczywiście?

–Na pewno!

–Nie wiem. Trudno mi zresztą zabierać głos, nie orientując się w technicznej stronie przedsięwzięcia. Mam tu na myśli sposób owego, jak pan mówi, kierunkowania dążeń poprzez, jeśli dobrze zrozumiałem, oddziaływanie środkami biotechnicznymi. Bo chyba nie chodzi tu o bodźce ekonomiczne i pozaekonomiczne, znane i stosowane od wieków?

Tom wyraźnie chce skłonić Knoxa do konkretniejszych wynurzeń, ale ten nie bardzo się kwapi z udzielaniem szerszych informacji.

–Dobrze pan zrozumiał, doktorze – potwierdza lakonicznie.

–Rzecz w tym, iż jeśli ktoś wynajdzie nowy oręż, ktoś inny wynajdzie tarczę... W tym zresztą cała nadzieja, gdyż inaczej groziłaby ludzkości niewola i zagłada, a co najmniej bezwład, marazm i degeneracja. Nieprzypadkowo jeśli jest „pro”, rychło znajdzie się i „kontra”, działaniu towarzyszy przeciwdziałanie, tezie – antyteza, „dyspozytorni” – „antydispozytornia”... Sprzeczności, jak wiadomo, są motorem

postępu.

Gospodarz wpatruje się w Toma z uwagą.

–Jeśli pana interesuje, doktorze, techniczna strona koncepcji, którą tu nieudolnie próbowałem przedstawić – podejmuje po chwili – najlepiej to panu wyjaśni profesor Henderson. Ja w fizyce i fizjologii nigdy nie byłem mocny. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że mamy podstawy, aby sądzić, że współczesna technika otwiera rzeczywiście perspektywę programowania określonego behawioru w określonych sytuacjach. Myślę zresztą, że pan się orientuje w tych sprawach lepiej ode mnie. Czyżbym się mylił?

Pytanie brzmi dość dwuznacznie, lecz Tom nie daje się sprowokować.

–Obawiam się, że pan mnie przecenia...

–Myślę, że nie – uśmiecha się starzec. – Proponuję, abyśmy, panie doktorze, dokończyli naszą rozmowę u mnie w bibliotece.

–Chętnie – Tom podnosi się z miejsca.

Ja również wstaję od stołu, ale właściwie nie wiem, czy powinnam iść z Tomem czy zostać. Jestem trochę zaskoczona nagłą propozycją „mamuta”.

–Państwo wybaczą... Proszę sobie nie przeszkadzać – oświadcza Knox i podchodzi do Toma, biorąc go pod ramię przyjacielskim gestem.

Pozostajemy przy stole we czwórkę. Muszę mieć dość głupią minę, bo pułkownik spieszy z wyjaśnieniem;

–Prezes należy do ludzi szybko, podejmujących decyzje... Dla kogoś, kto go nie zna, jego

niektóre zwyczaje mogą wydawać się zbyt... książęce. Ale ma on w pełni do tego prawo. Zresztą, przyzwyczai się pani.

Milczę, wiedząc dobrze, co Pratt ma na myśli.

–Pozwolę sobie wznieść toast na pani cześć! – próbuje rozładować atmosferę doktor Swart. Widać jednak, iż znów wypił za wiele, bo dodaje zdanie, które odnosi wręcz przeciwny skutek: – Za szczęśliwe zakończenie dnia pełnego wrażeń!

Senator spogląda gniewnie na Swarta i zwraca się do mnie.

–Może przejdziemy się trochę po parku? – proponuje i muszę przyznać, iż w tej chwili jestem mu za to wdzięczna. Byle tylko Pratt i Swart nie chcieli nam towarzyszyć.

Na szczęście pułkownik zatrzymuje Swarta i idziemy sami. Senator prowadzi mnie pod ramię naszą wczorajszą trasą, z tarasu po schodach w dół, a potem aleją oświetloną latarniami. W czasie kolacji milczący i uroczysty, teraz się ożywia.

–Bardzo się o panią niepokoiłem – mówi już na schodach i, jeśli to gra, senator mógłby być niezłym aktorem. – Szczerze przyznaję się, że nie wierzyłem, aby ucieczka mogła zakończyć się powodzeniem bez pomocy z zewnątrz. Wchodziło w rachubę tylko aresztowanie lub ukrycie pani przez obcych agentów. Ale nawet wówczas, gdy już dowiedziałem się, gdzie pani szukać, nadal byłem niespokojny. Chociaż to co mówił wuj Knox o naszym ustawodawstwie i humanitaryzacji metod śledczych jest prawdą, niemniej zdaję sobie sprawę, że jego oceny są zbyt optymistyczne. Wielu urzędników, również wyższych rangą, jest zdania, że stare metody są skuteczniejsze i po cichu je stosuje lub toleruje, zwłaszcza wobec kolorowych. A pani, występująca w roli Ellen Parker, mogła być uznana za kolorową. Rzecz jasna, natychmiast próbowałem interweniować, ale była już pani w „forcie” i nie mogłem zapobiec pewnym konsekwencjom tego faktu. Przyrzeczono mi jednak, iż będzie pani traktowana ze szczególnymi względami, poddana tylko wstępnej procedurze, z pełnym zachowaniem obowiązujących przepisów, a więc w sposób możliwie łagodny i kulturalny.

Patrzę na niego z oburzeniem.

–Pan kpi, senatorze!

–Ależ nie – senator wydaje się zaskoczony. – Jestem niepokieszony... A przecież major von Oost zapewniał mnie, że sam prowadził przesłuchanie i może gwarantować, iż nie było żadnego uchybienia w przepisach. Jeśli było inaczej, jeśli

ktoś śmiał panią uderzyć, lub choćby tylko znieważać, gotów jestem złożyć osobiście wniosek o przeprowadzenie dochodzenia dyscyplinarnego!

Zdaję sobie sprawę, że nic tu nie wygram.

–Rzeczywiście, nikt mnie nie bił, ani znieważał słownie – stwierdzam z ironią. – Być może trzymano się też ściśle przepisów i... zaleceń pułkownika Pratta. Nie mam żadnych skarg ani pretensji... A panu mogę tylko podziękować, że wyniosłam z tego waszego „fortu” całą skórę. I to coś znaczy. Dziękuję, senatorze.

–Pani nadal traktuje mnie jak wroga – mówi Benedict z żalem. – A ja naprawdę czuję do pani ogromną sympatię. Gdyby pani spróbowała spojrzeć na mnie trochę życzliwiej i zrozumieć, że nie wszystko ode mnie zależy... Pułkownik mówił mi, że pani zgodziła się z nim współpracować. To bardzo dobrze, ale muszę panią ostrzec, że to człowiek ambitny i niebezpieczny. Moja pomoc może być pani bardzo potrzebna. Niech pani nie odrzuca mojej przyjaźni. Pani nie wie, jak bardzo mi na tym zależy...

–... aby się ze mną przespać! – przerywam ostro.

–Jak pani może tak mówić? Prawda, że pani mi się ogromnie podoba, że od chwili gdy panią poznałem, stale o pani myślę. Ale wiem, że nie mam szans, bo pani kocha doktora Quintę... Byłbym ogromnie rad gdybym mógł zyskać choćby tylko pani przyjaźń. Czy mogę mieć choćby cień nadziei?

–Przejdźmy lepiej do spraw konkretnych. Przecież nie dlatego zaproponował mi pan

spacer, aby mieć okazję do wyznań miłosnych. A ściślej: nie tylko dlatego. Przypuszczam, że nasz spacer to inicjatywa pułkownika Pratta, prawda, panie senatorze? Niech się pan przyzna! Albo lepiej: niech pan nie odpowiada na moje nietaktowne pytanie. Jest to z pewnością dla pana delikatna kwestia, jak mawia pułkownik Pratt...

W świetle latarni widzę, że Benedict ma dość niewyraźną minę. Dochodzimy do zakrętu i senator staje, jakby się zastanawiał, co robić dalej.

–Siadamy? – pytam i chcę podejść do ocienionej ławki pod rozłożystą akacją, ale senator przytrzymuje mnie za rękę, delikatnym choć stanowczym gestem.

–Może jeszcze trochę się przejdziemy – mówi, unikając mego wzroku. – Pani mnie źle osądza. Nie mam zamiaru okłamywać pani, panno Agni. Pułkownik rzeczywiście sugerował, abym porozmawiał z panią, lecz inicjatywa spaceru wyszła ode mnie. Te krótkie chwile rozmowy, bez niepotrzebnych obcych uszu, to dla mnie ogromna przyjemność.

.– Co mi pan ma przekazać? – sprowadzam go na ziemię.

–Jest to pewna propozycja. Równie miła dla mnie jak, mam nadzieję, i dla pani. Co powiedziałyby pani na to, gdybyśmy się wybrali jutro na całodzienną wycieczkę? Na przykład do rezerwatu małych człekokształtnych.

Jestem zaskoczona i zastanawiam się, co kryje propozycja, zwłaszcza jeśli jest to inicjatywa Pratta. Może chodzi o to, by Tom został sam?

–Pomysł świetny, lecz nie zostawię samego doktora Quinty – oświadczam kategorycznie.

W półmroku senator wydaje się uśmiechać.

–Jak najbardziej się z panią zgadzam. Chyba doktor nie odmówi udziału w naszej wycieczce? Byłoby to bardzo wskazane. Pułkownik Pratt mówił mi o pani postulacie, aby wam umożliwić swobodną rozmowę bez świadków. Rezerwat mały to dobre miejsce. Na pewno bez podsłuchu, a leśne odgłosy upewnią doktora, że nie wprowadzamy go w błąd. Ja też wam nie będę przeszkadzał i wycofam się, gdy tylko pani mi da znać. Po prostu, odwiedzę tamtejszą stację badawczą „Palbio”. Odpowiada to pani?

Sprawa jest jasna i warto skorzystać z okazji. Nie powinnam jednak okazywać, jak bardzo mi zależy na tej rozmowie.

–Wycieczka może być interesująca... – stwierdzam obojętnym tonem. – Spróbuję przekonać doktora Quintę.

–Proponuję, abyśmy wyruszyli rano, zaraz po ósmej. Zarządzę też, aby nam wcześniej podano śniadanie. W południe odpoczynek w stacji i lunch. Będziecie mieli sporo okazji do swobodnej rozmowy.

–Bardzo to miłe z pańskiej strony... Ale efektów nie gwarantuję. Doktor jest bardzo podejrzliwy.

–Proszę się tym zbytnio nie przejmować. Odmowna odpowiedź też może wiele mówić. Oczywiście, szczególnie chodzi nam o informacje dotyczące „dyspozytorni”, ale o tym już chyba szerzej mówił pani pułkownik.

–Na jakiej podstawie podejrzewacie, iż Vortex P jest wytwarzany i sterowany przez „dyspozytornię”?

Senator wydaje się zaskoczony pytaniem.

–Skąd takie przypuszczenie? Ani ja, ani chyba pułkownik niczego takiego nie mogliśmy mówić. Musiała się pani przesłyszeć.

–Nie powie mi pan jednak, że sprawa „dyspozytorni” nie wiąże się w jakiś sposób z anomalią VP! – nie daję za wygraną.

–Widzi pani... – odpowiada z wahaniem. – Dzieją się u nas ostatnio różne dziwne rzeczy... Różni ludzie się pojawiają. Ciągłe wykrywamy obce aparaty podsłuchowe... Ktoś się bardzo interesuje naszymi badaniami w zakresie bio- i psychostymulacji. A vortex też jest chyba czymś w rodzaju psychostymulatora? Czy nie to samo sądzi doktor Quinta?

–Ale co to ma wspólnego z „dyspozytornią”? – zmieniam temat, unikając odpowiedzi.

–Widzi pani... Wokół istnienia i celów tej organizacji nagromadziło się sporo niewiarygodnych informacji. Trudno stwierdzić, co jest prawdą a co mitem. Mówi się na przykład, że „dyspozytornia” działa już od co najmniej dwustu lat i przygotowywała już Rewolucję Francuską. Że działa coraz skuteczniej. Że wszystko, całe życie gospodarcze, polityczne, kulturalne wielu krajów, a może całego świata podlega jej kontroli i nikt nie może wyrwać się z zamkniętego kręgu tej kontroli i sterowania. Nawet ci, którzy walczą z „dyspozytornią”, którzy sobie wyobrażają, że działają przeciw niej, że jej szkodzą, w istocie wykonują wyznaczone przez tę organizację zadania...

–I pan w to wierzy?

–Nie chcemy wierzyć, chcemy wiedzieć... I wtedy będziemy też wiedzieć kto i dlaczego stworzył vortex!

–I ja mam wam w tym pomóc? Dziwne... Słuchając dziś wieczorem pana Knoxa, pomyślałam sobie, że nie byłoby dla mnie zaskoczeniem, gdyby się okazało, że jest on jednym z „dyspozytorów”.

Senator parska śmiechem, chyba trochę przesadnym.

–Świetny żart! Ale niech go pani nikomu u nas nie powtarza. Także pułkownikowi, bo nie ma poczucia humoru i może narazić się pani na przykrości. Za to nie mam nic przeciw temu, aby to pani powiedziała doktorowi Quincie. Bardzo jestem ciekaw jego reakcji.

–Czy to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia? – gaszę jego sztuczne rozbawienie. – Jeśli tak, to możemy wracać. Jestem bardzo zmęczona.

Benedict reflektuje się natychmiast.

–Strasznie mi przykro... Co pani o mnie pomyśli? Zachowuję się jak Pratt... Pani nie wie, jak męczy mnie to •wszystko... – próbuje się tłumaczyć, ale wychodzi mu to bardzo nieskładnie. – To straszne... Taki nasz los, mój i pani... Wszystkie te zasadnicze sprawy, które nas od siebie odsuwają... A tak chciałbym spotkać się z panią i porozmawiać bez tego wszystkiego. Porozmawiać jak dwoje zwykłych ludzi. Może wtedy mogłaby pani uwierzyć, że moje uczucie jest szczere.

Wydaje mi się, że w tej chwili rzeczywiście mówi to, co myśli i jest mi go trochę żal. Muszę jednak na zimno wykorzystać sytuację.

–I ja też nie wykluczam, że w innej sytuacji mógłby mi się pan wydać nawet dość

sympatycznym, być może nawet interesującym mężczyzną – próbuję taktyki „okrażenia”. – Niestety, okoliczności, w jakich możemy się w przyszłości spotkać, będą coraz bardziej niesprzyjające...

–Dlaczego? – pyta ze szczerym żalem.

–Nie oszukujmy się, senatorze! Jesteśmy waszymi więźniami, skazanymi na dożywotnią izolację. Dla świata już nie żyjemy, a gdy przestaniemy być wam potrzebni, czy będzie sens utrzymywać nas przy życiu? A jeśli nawet okaże się realne to, co mówił pański wuj i zgodnie z jego teorią szczęścia uda się wam zmienić moją psychikę tak, że pokocham swoje więzienie i dozorców, czy to panu wystarczy?

–Co pani mówi? – chwyta mnie za rękę i czuję jak jego dłoń drży.

–A czy widzi pan inne rozwiązanie? – dobijam go ostatecznie. – Niech pan nie próbuje grać roli pocieszyciela! Ja nie mam złudzeń.

Senator milczy. W dalszym ciągu ściska kurczowo moją dłoń. Albo jest tak głęboko wstrząśnięty, albo na próżno usiłuje znaleźć jakiś przekonywujący argument.

–Wracajmy! Jestem naprawdę zmęczona – przerywam przeciągające się milczenie.

Przez całą powrotną drogę nie odzywa się ani słowem, a ja nie mam zamiaru ułatwiać mu sytuacji.

W sali jadalnej już ciemno, lecz przez story w oknach gabinetu Knoxa i biblioteki sączy się przyćmione światło. Zastanawiam się, czy Tom jeszcze tam jest.

Benedict odprowadza mnie aż do samych drzwi mego pokoju.

–Dobrej nocy, senatorze – mówię trochę cieplejszym tonem.

Patrzy na mnie niepewnie.

–Musi być jednak jakieś wyjście... – odzywa się po chwili. Głos mu się wyraźnie zmienił.

–Może i jest... – odpowiadam. – Niech pan pomyśli. Dobranoc.

Zamykam drzwi pozostawiając go pod progiem.

Tom jeszcze nie wrócił. Widać rozmowa z Knoxem przeciąga się. To niedobrze, bo musimy koniecznie naradzić się w sprawie jutrzejszej wycieczki i ustalić, co mam powiedzieć senatorowi. Jeśli położę się, to zaraz zasnę.

Dla orzeźwienia biorę prysznic, ale to niewiele pomaga. Włączam radio i kładę się na tapczanie Toma. Chciałabym wysłuchać nocnych wiadomości, lecz na razie nadają jeszcze muzykę. Ogarnia mnie coraz większa senność i nie wiem, czy zdołam wytrwać do dziennika. Nie jest to zresztą takie ważne. Tom jak wróci, powinien się domyślić, że czekałam na niego i z pewnością mnie obudzi.

Budzę się w środku nocy z koszmarnym uczuciem śmiertelnego zagrożenia. Niewiele pamiętam z tego, co mi się śniło. Wiem tyle, że były to znów jakieś pogonie i ucieczki z udziałem Boba, Martina i Toma, którzy we śnie stopili się chyba w jedną postać. Na szczęście prawdziwy Tom śpi na tapczanie i to mnie uspokaja. Dla pewności jednak przytulam się do niego, licząc trochę, że się obudzi. Nie zawiodłam się. Widać śpi bardzo czujnie, gdyż natychmiast obejmuje mnie ramieniem.

–Dlaczego mnie nie obudziłeś? – pytam szeptem.

Przyciska do siebie i całuje we włosy.

–Spałaś tak dobrze... Nie miałem sumienia... – słyszę tuż nad uchem jego ściszony głos.

–Odwrotnie: męczyły mnie jakieś okropne sny. Ale to już nie ważne. Chodzi o to, że czekałam na ciebie, bo mam ci sporo do powiedzenia. Strasznie długo siedziałeś u tego starego. Mam nadzieję, że nie był to czas stracony.

–Chyba nie – odpowiada lakonicznie i szuka mojej ręki. Chce z pewnością coś przekazać sygnalizacją dotykową.

–Muszę ci koniecznie opowiedzieć swój sen – chwytam jego dłoń i ściskam mocno

palce, aby nie mógł sygnalizować. – To był bardzo realistyczny, nieprzyjemny sen. Staliśmy oboje gdzieś nad morzem, bardzo wzburzonym. Ty i ja. Widziałam uzbrojonych ludzi. Polowali na coś w falach, chyba na fokki lub morsy... Bardzo się bałam, aby nas nie zauważyli. Okropny sen!

Porusza palcami na znak, że rozumie.

–Nie przejmuj się – mówi lekceważącym tonem. – Po twoich wczorajszych przeżyciach nie ma się czemu dziwić.

–Musimy jutro znaleźć więcej czasu na rozmowę – mówię ściskając jego dłoń. – Ciągłe zadają mi różne pytania, a ja jestem zupełnie zielona i nie wiem co odpowiedzieć... Jedno musisz rozstrzygnąć już teraz. Senator zaproponował mi wycieczkę do jakiegoś słynnego rezerwatu małp. Zgodziłam się pod warunkiem, że polecisz z nami. Myślę, że nie chodzi tu tylko o relaks i bez ciebie mogę coś naknocić. Może to być jakiś podstęp, ale z drugiej strony są podstawy, aby sądzić, że senator jest mi życzliwy. Co o tym myślisz?

–Powinniśmy polecieć. Gdy wychodziłem od Knoxa wczoraj około północy, spotkałem senatora, który mi powiedział o projekcie. Twierdził, że przyjął propozycję z entuzjazmem, ale jak słyszę, nie jest to zupełnie tak, jak mówił. Czy chodzi o konkretne obawy?

–Raczej nie. Ale z pewnością szykują jakąś niespodziankę. Z drugiej strony, trudno nie przyjąć propozycji. O czym z tobą rozmawiał Knox?

Tom odpowiada dopiero po dłuższej chwili.

–Domyślasz się chyba – mówi wymijająco.

–Vortex?

–Przede wszystkim.

–To, co usłyszeliśmy od Knoxa na temat biosterowania, nie jest oczywiście tylko marzeniem starszego pana?

–Nie jest tylko marzeniem – potwierdza, ale nie kwapi się z rozwinięciem tematu.

Powinam teraz, zgodnie z sugestią Pratta wspomnieć, że pytano mnie o „dyspozytornię” lub nawet o swoich podejrzeniach na temat Knoxa, lecz z zachowania się Toma wynika, że nie jest zadowolony z moich pytań. Prawdopodobnie zobowiązał się do zachowania tajemnicy i podejrzewa, że spełniam wyznaczoną rolę i moje pytania są testem. W tej sytuacji dalsza indagacja nie ma sensu. Muszę też wyraźnie dać mu do zrozumienia, że mam do przekazania ważne informacje.

–Masz rację – próbuję zachować się tak, jakbym zgadywała jego myśli. – Ja też nie mam teraz nastroju do składania relacji. Są co prawda różne kwestie, które musimy omówić, ale możemy to zrobić jutro. I warunki będą chyba odpowiedniejsze. Idę spać. Dobranoc!

Składam „siostrzany” pocałunek na jego policzku i chcę wstać, lecz Tom przytrzymuje mnie za rękaw piżamy.

–Chciałbym ci coś powiedzieć... – rozpoczyna i urywa niepewnie.

Nachylam się nad nim.

–No?... – zbliżam ucho do jego ust.

–Kocham cię, Agni! Jesteś mądra i bardzo dzielna... – słyszę jego szept. Odnajduje moją rękę i ściska kurczowo. – Ja wszystko rozumiem...

Przyciska do ust moją dłoń i poczyną całować, a mnie się robi jakoś dziwnie przyjemnie i jednocześnie zbiera mi się na płacz. Tak jakbyśmy się żegnali i nie mieli już nigdy zobaczyć.

–Zostań jeszcze trochę – prosi Tom. – Kto wie, gdzie będziemy jutro? – dodaje takim tonem jakby żartował, ale wiem, co naprawdę czuje i że myślimy o tym samym...

Śniadanie przynoszą półtorej godziny wcześniej niż w poprzednich dniach i lokaj oznajmia, że senator będzie oczekiwał nas o ósmej w hallu. Jestem niewyspana i chętnie bym jeszcze poleżała, ale nie ma rady. Pozostało nam zaledwie pięćdziesiąt minut na to, aby zjeść i przygotować się do drogi. Widać gospodarzom zależy na czasie.

W hallu senatorowi towarzyszy pułkownik Pratt, co bynajmniej nie działa na mnie uspokajająco. Zaczynam się nawet obawiać, że ma zamiar lecieć z nami, lecz przecież, w świetle wczorajszych jego instrukcji i moich zastrzeżeń, miałyoby się to z celem.

Senator jest wyraźnie podniecony i w przesadnie dobrym humorze, zachowuje się tak, jak gdyby działał pod wpływem alkoholu lub jakiegoś narkotyku, czego dotąd u niego nie zauważyłam.

–Zapowiada się wspaniały dzień! – stwierdza z ożywieniem. – Ma być dziś nieco mniej upalnie niż wczoraj, a w południe spodziewany jest krótki zenitalny deszcz. Wycieczka powinna udać się świetnie! Myślę, że państwo...

–Prezes czeka... – przerywa mu Pratt, wyraźnie czymś zdenerwowany.

–Ach prawda... Drogi doktorze, prezes chciałby się z panem zobaczyć zanim odlecimy – senator zwraca się do Toma. – Niestety, musi być w południe w Dusk i nie wiadomo kiedy wróci, a chciałby panu jeszcze coś ważnego powiedzieć. Pan pozwoli, że będę panu towarzyszył.

Czuję, że coś się dzieje i najchętniej nie odstępowalabym Toma o krok, lecz zaproszenie wyraźnie mnie nie dotyczy. Co gorsza, pozostaję sama z Pratem.

–Siadajmy – proponuje pułkownik, wskazując fotele w głębi hallu. – Dobrze pani spała? – przez moment pojawia się w jego oczach ironiczny błysk i natychmiast gaśnie, a twarz jego nadal wyraża głębokie zatroskanie.

–Czy coś się złego stało? – pytam otwarcie.

Pratt siada, przez krótką chwilę świdruje mnie wzrokiem w milczeniu, potem zaczyna urzędowym tonem:

–Pani zeznania zawierają pewne nieścisłości i major von Oost chciałby jeszcze raz

panią przesłuchać. Zwłaszcza na temat okoliczności śmierci Ellen Parker oraz pani przylotu do Casablanki. Są jednak teraz ważniejsze sprawy. Wczorajsze ustalenia dotyczące pani zadań ulegają o tyle zmianom, że nie ma już czasu na zabawę w dyplomację. Muszę mieć dziś jeszcze odpowiedź na takie oto pytania: co Quinta wie o ośrodku kierującym vortexem? Lokalizacja, cel, technologia? Czy może z tym ośrodkiem nawiązać kontakt i ewentualnie odegrać rolę mediatora? Co Quinta wie o „dyspozytorni”? Jakie zna nazwiska? Czy rzeczywiście nadal kieruje specjalną sekcją IAT rozpracowującą tę sprawę? Powtarzam, o wszystkim tym musi pani dziś mówić z Quinta i to jak najszerzej. Pani głowa w tym, aby jak najwięcej zdobyć informacji. Muszę niestety, panią ostrzec, aby nie próbowała pani wyprowadzić mnie w pole. Na terenie rezerwatu będziecie również pod ścisłą kontrolą, ale w pani interesie jest, aby Quinta uwierzył, iż możecie swobodnie rozmawiać. Zresztą w jego interesie również. Jeśli bowiem ta wasza „wycieczka” okaże się niewypałem, będziemy zmuszeni wrócić do metod, z którymi pani miała już okazję zapoznać się w „forcie”...

Nie mam złudzeń, że mówi prawdę i muszę udawać, że godzę się na wszystko.

–Rozumiem – mówię, siląc się na spokój. – Zastosuję się ściśle do pana instrukcji, pułkowniku. Szkoda tylko, że dajecie tak mało czasu. Co się tu u was dzieje?

Pratt puszcza moje pytanie mimo uszu i nadal mnie instruuje:

–Może pani zacząć od relacji z przesłuchania przez majora von Oosta albo nawet powiedzieć, że ja panią pytałem, od jak dawna jest pani wtyczką IAT w terrorystycznym podziemiu i dałem do zrozumienia, że mamy swoich ludzi w sekcji specjalnej. Potem może go pani zapytać jak to naprawdę jest z tym vortexem, dlaczego nie chce iść nam na rękę i podjąć się mediacji. Niech pani doda, że to jedyny sposób uratowania życia i odzyskania wolności... I jeszcze raz powtarzam: żadnych sztuczek! Niech się ci, moja panno, nie śnią morsy i inne zwierzaki...

–Nie rozumiem o czym pan mówi? Mnie naprawdę śniły się morsy! – kłamię w żywe oczy, choć wątpię, czy to odniesie większy skutek.

–Doprawdy?,– mówi Pratt kpiąco. – Liczę na twój zdrowy rozsądek...

Na schodach pojawia się Tom z senatorem. Już z daleka słyhać, że prowadzą jakąś ożywioną rozmowę. Okazuje się, że dotyczy fauny rezerwatu i badań tam prowadzonych.

Wstajemy z pułkownikiem z foteli i podchodzimy do przybyłych.

–W ten sposób udało nam się doprowadzić do pełnej zgodności współżycia gatunków, które od milionów lat cechowała wrogość – kończy swe wywody senator. – Czy to nie wspaniała zapowiedź pokojowej przyszłości rodzaju ludzkiego, gdy te metody można będzie upowszechnić?

–Ja jednak wolę metodę dobrego karmienia – mówi Tom z odcieniem ironii. Nie wiadomo, czy odnosi się to do zwierząt czy do ludzi.

Widzę, że senator patrzy na Pratta i jakby sztywnieje. Z pewnością wie, co mi pułkownik powiedział i głupio mu, że wyszedł na kłamcę lub durnia, gdy mnie wczoraj czarował perspektywą „swobodnej rozmowy”.

–No, to życzę państwu przyjemnego relaksu! – mówi Pratt, a dla mnie oczywiście brzmi to jak grubiańska złośliwość.

Helikopter czeka na placu przed pałacem. Pilot jest już w kabinie, przy schodkach

dwóch „goryli” o gębach gangsterów ze starych filmów. Mamy więc niezłą eskortę, która w razie potrzeby może nas szybko i sprawnie dostarczyć do „fortu” lub w inne „odpowiednie” miejsce.

Lokujemy się z Tomem w głębi kabiny, na ostatnich siedzeniach. Przedemną siada Benedict, jego „chłopcy” przy drzwiach.

Senator jest milczący, zasępiony i unika mego wzroku. Stracił całkowicie niedawną werwę i elokwencję. Ja również nie mam ochoty do rozmowy. Zastanawiam się, czy przelot nie jest jedyną okazją przekazania Tomowi niezbędnych wiadomości. Ostrzeżenie Pratta, że jesteśmy pod kontrolą nie wydaje się blefem, gdyż wszycie do naszych ubrań miniaturowych mikrofonów i czujników nie stanowi problemu. Moja bluzka i dżinsy mogły być już spreparowane w więzieniu, zaś Toma ubranie brał lokaj do prasowania. Odbiornik z magnetofonem ma przy sobie senator lub któryś z „goryli”; dalszy przekaz za pośrednictwem radiostacji pokładowej helikoptera jest możliwy, ale chyba mało prawdopodobny z uwagi na niebezpieczeństwo podsłuchu przez obcych agentów.

Należy sądzić, iż praca silnika utrudnia podsłuch, a zwłaszcza zakłóca odbiór sygnałów przez czujniki. Zresztą nawet w sypialni system nie działał niezawodnie, o czym może świadczyć fakt, iż nie wiadano, że nie mam nic wspólnego z CIA i IAT. Ciekawe, że Pratt wolał ujawnić przede mną fakt, że zna naszą tajemnicę i uniemożliwić mi ukrytą łączność, niż wykorzystać to odkrycie do zdobywania informacji, a zwłaszcza do kontroli mojej lojalności. Czyżby rzeczywiście nie było już czasu na zbieranie wiadomości tą drogą i postanowiono zmusić mnie do zaniechania wszelkich prób podwójnej gry?

Tak czy inaczej muszę zaryzykować, bo później może już nie być okazji.

Pilot włącza rozrusznik i rotor zaczyna się obracać, a ja biorę Toma za łokieć i poczynam sygnalizować, obserwując zachowanie się senatora i goryli. Jednocześnie palcami drugiej ręki trę gwałtownie jego rękaw, próbując wywołać elektryzację i iskrzenie.

„Mam cię wypytywać o vortex, dyspozytornię i sekcję specjalną, rzekomo bez świadków. W rzeczywistości podsłuch i pomiar parametrów fizjologicznych. Ty masz nie wiedzieć. Mnie mówił Pratt. Co mam robić?”

„Pytać – odpowiada Tom sygnałami. – Gdzie są czujniki?”

„Chyba wszyte w ubranie lub bieliznę.” „Zagramy w pokera.”

„Boję się. Pratt grozi fortem. Bardzo się spieszą. Coś się dzieje.”

„VP zwiększył promień” – sygnalizuje Tom.

Śmigłowiec wznosi się w powietrze. Senator odwraca głowę i patrzy na mnie z wahaniem. Zdaje się, że chce mi coś powiedzieć. Może jednak odebrał sygnały, a przynajmniej zauważył, że chcę zakłócić odbiór.

–Masaż poprawia krążenie! – próbuję tłumaczyć moje dziwne ruchy rzekomymi dolegliwościami sercowymi u Toma. Silnik pracuje jednak tak głośno, że wątpię, aby senator zrozumiał, co mówię.

–Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu! – woła Benedict i uśmiecha się do mnie blado. Nie wygląda na to, aby to właśnie chciał mi zakomunikować, ale też chyba niczego podejrzanego nie spostrzegł.

Odwzajemniam uśmiech i daję znak gestem, że trudno rozmawiać.

Helikopter jest już wysoko nad terenem pałacowym i nabiera szybkości. Lecimy na północo-wschód. Przysuwam się bliżej przezroczystej ściany, starając się zapamiętać możliwie dużo szczegółów topograficznych. Co prawda, nie. bardzo wyobrażam sobie ucieczkę, a zwłaszcza, aby miała szansę powodzenia, lecz poznać teren nawet więzienia z pewnością nie zaszkodzi.

Tom wyciąga do mnie rękę i gdy mu podaję swoją, zaczyna znów sygnalizować:

„Czy potrafisz pilotować helikopter?”

Pytanie jest zaskakujące. Czyżby rozważał możliwość ucieczki?

„Nie umiem. Sytuacja jest bardzo zła?”

Nie odpowiada. To milczenie jest, niestety, aż nazbyt wymowne.

„Dlaczego nie godzisz się na ich propozycje?” – zadaję pytanie, które po zaleceniach Pratta nabrało dla mnie nieprzyjemnej dwuznaczności.

„Nie jestem do kupienia – odpowiada sygnałami. – Czy wiesz czego żądają?”

„Masz pośredniczyć. Szansa wolności?”

„Żadna.”

„Czy Knox to „dyspozytor”?

„Tak sędzę. Na pewno bardzo wysoki szczebel. Wyższy niż Magnusen.”

„Senator?”

„Średni. Duże wpływy dzięki Knoxowi.”

„Do czego potrzebny im VP?”

„To nie oni sterują anomalią. Odwrotnie. Przeciwnicy „dyspozytorni”.

„Kto?”

„Tego właśnie chcą się dowiedzieć.”

Zastanawiam się, czy Tom unika konkretnej odpowiedzi dlatego, że nie wyklucza możliwości, że nasze sygnały są rozszyfrowywane, czy też nie chce mi zdradzić tajemnicy, w obawie, że mogą mnie zmusić do mówienia. To co mi przekazał wyjaśnia niektóre kwestie, ale daleko do tego, abym pojęła, o co w istocie chodzi w tej grze. Jeśli Tom rozpracowywał „dyspozytornię” dla IAT, CIA, czy może samego prezydenta, zrozumiałe jest, że „dyspozytorom” zależy na wyciśnięciu z niego wszystkiego, co wie na ten temat. Mogą się

bowiem z tego zorientować w jakim stopniu zostali już zdekonspirowani. Prawdopodobnie żądają też od niego zdradzenia siatki agentów działających wewnątrz ich organizacji. Co prawda, z niektórych „zagrań” von Oosta i Pratta zdaje się wynikać, iż „dyspozytornia” ma swoje wtyczki w CIA i IAT, lecz widać nie są to najlepsze źródła informacji lub też to, co chcą wyciągnąć od Toma z moją pomocą, będzie testem kontrolnym. Rozumiem teraz, dlaczego nie próbują zmusić Toma do mówienia z pomocą takich metod, jakie mi zademonstrowano w „forcie”. Prawdopodobnie najważniejszą w tej chwili sprawą jest obrona przed vortexem. A tu nie wystarczy zmusić Toma do ujawnienia tego co wie, lecz trzeba skłonić go do współpracy. Chodzi o wykorzystanie jego umiejętności w walce z tajemniczym przeciwnikiem, o którym „dyspozytornia” chyba rzeczywiście nie wie nic konkretnego, poza tym, że steruje on anomalią.

Niemniej sprawa vortexu wygląda nadal bardzo mętnie. Nie wiem, czy Tom ma coś wspólnego z ową „antydispozytornią” czy po prostu jest na jej tropie i w tym celu przyleciał do Afryki. Nie rozumiem, jaki jest związek między pogłoskami o użyciu nowej broni falowej przeciw partyzantom w Górach Żółtych i pojawieniem się vortexu. Podejrzewam, iż broń ta, wyprodukowana, a może i zaprojektowana została w Dusklandzie i to na zamówienie „dyspozytorni”. Że użyto ją w Patope, traktując ten kraj jako królika doświadczalnego, też mnie nie dziwi, jeśli „Alconem” kierują ludzie „dyspozytorni”. Lecz Tom i Pratt twierdzą, że ani „Alcon”, ani „Palbio” nie mają nic wspólnego z anomalią. Czyżby to, co dzieje się od Gór Żółtych aż po Cameo, było czymś w rodzaju ostrzeżenia adresowanego do „dyspozytorów”, aby nie próbowali sięgać po władzę nad światem, gdyż istnieją siły dysponujące bronią znacznie potężniejszą? Oczywiście, fakt istnienia takiej broni byłby wstrząsem dla opinii publicznej. Dlatego, być może nie ogłasza się prawdy o vortexie.

Czy jednak ci, którzy władają bronią VP nie mogą być równie groźni dla ludzkości, jak „dyspozytorzy”? Może o nich myślał Martin, gdy mówił o „małych zielonych”? A gdyby owi „dyspozytorzy” i „antydispozytorzy” się dogadali? To byłoby najgorsze. Dlatego chyba Tom nie chce być mediatorem. lecz czy jest on jedynym człowiekiem, który wie kto jest kto i zna dojścia do jednych i drugich? To nieprawdopodobne. Może jednak niełatwo znaleźć drugiego takiego jak on? Dlatego go uprowadzono z obozu Orienta. Skorzystano z okazji, bo chyba nasza akcja nie była inspirowana przez „dyspozytornię”? Przecież celem było porwanie Magnusena, który jest ich człowiekiem. A może „Mały” i „Pers” mają powiązania z „antydispozytornią”? To znowu nie pasuje do Martina; on szukał ośrodka sterującego vortexem. A kim w tej grze jest Oriento? Dlaczego nie próbowano go uprowadzić lub zabić, lecz czekano aż odejdzie z Martinem i Bobem w góry. Wszystko to jest co najmniej dziwne i podejrzane. Tom musi mi jednak coś niecoś powiedzieć, bo jeśli nas rozdziela, będę zupełnie bezbronna i wszystko mogą mi wmówić.

Ściskam jego dłoń i zaczynam sygnalizować. Właśnie w tej chwili senator podnosi się z miejsca i wyciąga do mnie rękę. Widzę, że trzyma w palcach niewielką kartkę, wyrwaną prawdopodobnie z notesu. Odbieram kartkę i czytam:

„Bardzo proszę usiąść obok mnie. Muszę coś ważnego pani powiedzieć”.

–Zaraz wrócę! – mówię do Toma i daję uściskiem znak, aby był o mnie spokojny. Przesiadając się na wolny fotel obok senatora, zastanawiam się dlaczego użył kartki. Silnik teraz, w czasie lotu poziomego, pracuje znacznie ciszej i Benedict mógł po prostu powiedzieć to głośno, a na pewno bym usłyszała. Senator ma bardzo niewyraźną minę i unika mego wzroku... Gdy tylko usiadłam, natychmiast przechyla się w moją stronę i zaczyna szeptać mi do ucha:

–Musi mi pani zaufać. Bardzo proszę! Kiedy proponowałem pani tę wycieczkę, nie wiedziałem, że sytuacja jest aż tak zła. Wczoraj zresztą nikt nie zdawał sobie sprawy... Anomalia poszerzyła się prawie do Mans. Do Dusk pozostało niespełna siedemdziesiąt kilometrów. Na północy przekroczyła granicę z Matavi, co bardzo komplikuje sytuację.

Mamy po prostu nóż na gardle. Quinta musi zacząć mówić i to w najbliższych paru godzinach. Jeśli pani nie uda się go skłonić do ujawnienia, kto kieruje tą operacją i jak się z nimi skontaktować, grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy słyszała pani o metodzie „mrówczej perswazji? Widziała pani, co z człowieka po tym zostaje na przykładzie Martina Barleya... Mówię to nie po to, aby panią straszyć lecz, aby uświadomić rzeczywistą powagę sytuacji. Niech mi pani wierzy: mówię to, gdyż lękam się strasznie o panią. Powiedziałem sobie, że muszę was uratować.

–... dopingując mnie groźbami do skrupulatnego wykonania zlecenia pułkownika Pratta – zdobywam się na sarkazm, chociaż w istocie jest to tylko słabe warknięcie osaczonego psa. – Wątpię, czy potrafię skłonić Quintę do przekazania mi wiadomości, na których wam zależy, a sama nie wiem nic lub prawie nic. Zresztą sprawdziliście. A doktor nie chce mi powiedzieć właśnie dlatego, gdyż zdaje sobie sprawę, iż możecie ze mnie te wiadomości wycisnąć.

–Jeśli doktor panią naprawdę kocha to powie. Pułkownik nie gardzi niestety, starymi, bardzo brutalnymi metodami wypróbowania siły uczucia. Nie wolno za żadną cenę dopuścić, aby doszło do takiej próby! Proszę mnie źle nie zrozumieć...

–Obawiam się, że w hierarchii wartości nie jestem dla doktora Quinty na pierwszym miejscu...

–Właśnie dlatego nie można dopuścić, aby stała się pani ofiarą jego niedorzecznego uporu. Powiem więcej: jest on w lepszej bez porównania sytuacji niż pani. Wobec niego tego rodzaju środki, jakim poddany był Barley, będą zastosowane dopiero w ostateczności, gdy wszystko inne zawiedzie. On o tym wie i kieruje się zimnym wyrachowaniem. I dlatego nie powinna mieć pani żadnych skrupułów...

Argumentacja Benedicta jest szyta tak grubymi nićmi, że powinnam roześmiać mu się w twarz. Nie wątpię jednak, iż groźby są prawdziwe i zdają sobie sprawę, że nie wolno mi okazywać jawnej niechęci, lekceważenia czy wrogości wobec tego człowieka, który w jakimś stopniu mógłby mi pomóc. Trzeba raczej umiejętnie zagrać na jego wyraźnym zainteresowaniu moją osobą.

–A czy pan, senatorze, nie kieruje się w stosunku do mnie również zimnym wyrachowaniem? Powtarza pan nieustannie, że chce mi pomóc, lecz jak dotąd są to tylko ostrzeżenia, co się ze mną stanie, jeśli nie będę mogła wywiązać się z zadań, które mi narzucono. Byłam tak naiwna, że wierzyłam panu, gdy mi pan mówił o swej życzliwości, sympatii, a może i czymś więcej...

–Ależ ja nie kłamałem! – oponuje gwałtownie. – To wszystko, ten świat, który nas otacza, jest tak nieludzki, tak przesycony kłamstwem i podstępem, że przestajemy

wierzyć, aby można było spotkać prawdziwe, nieskażone, bezinteresowne uczucie. A najgorsze jest to, że ma pani prawo mi nie ufać, że chcąc godzić miłość z powinnością, narażam się nieuniknienie na zarzut nikczemnej gry. Jak mogę panią przekonać, że jest inaczej?

–„I sądzono każdego według uczynków... – przypomina mi się werset z Biblii. – Ma pan okazję udowodnienia, że się mylę. I tylko wtedy może pan liczyć na to, że zacznę traktować pana jak przyjaciela.

Patrzy mi prosto w oczy i mówi coś cicho czego nie mogę zrozumieć.

–Nic nie słyszę! – wołam wskazując na rotor.

–Przekona się pani! – odkrzykuje i patrząc w dół za szybę dodaje: – Lecimy już nad rezerwatem! Zaraz będziemy lądować!

Pod nami teren górzysty, porośnięty niezbyt gęstym lasem o licznych, nierzadko dość rozległych polanach. Helikopter zniża lot i zataczając łuk kieruje się ku widocznym z daleka, białym, parterowym budynkom. Przecinamy rozgałęziającą się, asfaltową czy może betonową drogę i schodzimy do lądowania.

Senator nachyla się do mnie i słyszę tuż nad uchem:

–Zrobię wszystko co będę mógł... Błagam panią, Agni, proszę mi zaufać. Chcę i potrafię

panią obronić. Nie żądam zbyt wiele. Niech pani chociaż udaje, że wykonuje polecenia pułkownika. W trudniejszych sytuacjach będę zresztą dawał pani znaki. I jeszcze jedno: gdy pozostawię was samych proszę nie zbliżać się zbyt blisko do doktora Quinty. Zwłaszcza poza tutejszym terenem zabudowanym. Jakieś pół metra głowa od głowy, nie bliżej. To bardzo ważne. Jeśli zachowa pani tę odległość, proszę się niczego nie lękać... A także niczemu dziwić. Na razie nie mogę pani nic wyjaśnić, ale to jedyna droga. Mówię to, aby nie była pani zaskoczona pewnymi... zdarzeniami i... aby wiedziała, że nie chcę panią oszukiwać. Jeśli mi pani pomoże, jeśli nie będzie pani nic podejmować na własną rękę i komplikować sytuacji, wszystko będzie dobrze... Mam pewien plan... Być może popełniam głupstwo, ale chcę być uczciwy i zasługiwać na pani zaufanie, a może i przyjaźń...

Helikopter już siada na niezbyt rozległym czworokątnym placu i senator milknie. Ogarnia mnie bezsilna złość. Więc nie myliły mnie złe przeczucia.

–Co chcecie zrobić Quincie? – pytam z oburzeniem.

–To nic groźnego, proszę się nie obawiać. Nikt mu nie ma zamiaru zrobić najmniejszej krzywdy. Chodzi przede wszystkim o panią, Agni. Błagam, niech pani będzie rozsądna i zaufa mi we wszystkim. Uratuje pani i jego, i siebie.

Szum silnika raptownie cichnie. „Chłopcy” Benedicta podnoszą się z miejsc, odsuwają przezroczystą czaszę i spuszczają schodki. Wracam do Toma i pomagam mu wysiąść.

Budynki stacji są wyższe niż wydawało mi się, gdy patrzyłam z góry. Nie przypominają w niczym zabudowań mieszkalnych, koszar czy strażnicy rezerwatu, raczej – nowoczesne pawilony szpitalne. Otaczają one plac, na którym wylądowaliśmy. Tylko w jednym miejscu między budynkami pozostawiono prześwit, otwierający widok na tropikalny las. Oddziela go od terenu stacji ogrodzenie z gęstej siatki, wyższe chyba niż na kortach tenisowych czy stadionie dla miotaczy.

Jestem nadal pod wrażeniem ostatnich słów Benedicta i czuję wzrastający niepokój. Powinnam przekazać jak najszybciej swe spostrzeżenia Tomowi, ale nie wiem jak to zrobić. Dopiero jego pytania, gdzie jesteśmy i co widzę, ułatwiają mi zorientowanie go w sytuacji. Wiesz, że Tom jest aż nadto inteligentny, aby wyciągnąć właściwe wnioski z moich spostrzeżeń. Wszystko to zresztą trwa bardzo krótko – senator, który wysiadł ze śmigłowca jako ostatni, podchodzi do nas, przejmując rolę gospodarza i przewodnika:

–Panie doktorze, jesteśmy na miejscu! Znajdujemy się na terenie stacji badawczej Pb-3 w Zimbe, w największym i najnowocześniejszym rezerwacie afrykańskich małp

człekokształtnych. To właśnie tu przeprowadzamy doświadczenia, o których panu opowiadałem. Goryle i szympany to wspaniałe zwierzęta. Nie wyobrażają sobie państwo, jak bliskie są nam mentalnością, sposobem myślenia i instynktem społecznym!

–Jaka liczba osobników objęta jest eksperymentem? – pyta Tom, jakby chodziło o zwykłą wymianę informacji między naukowcami.

–Okolo dwieście pięćdziesiąt, w tym ponad siedemdziesiąt procent to szympany. Zobaczą państwo, jak zadziwiająco szybko reagują na nasze sygnały... – urywa, widocznie uświadomiwszy sobie niezręczność sformułowania, bo natychmiast dodaje: – To nie tylko widać, ale przede wszystkim słyszać... Naprawdę, bardzo ciekawe efekty. Przekonacie się państwo sami. Ale zanim ruszymy na wycieczkę po rezerwacie, proponuję krótki odpoczynek. Napijemy się czegoś chłodnego. A w tym czasie tutejsi zoopsycholodzy przygotowują odpowiedni program. Wchodzimy do wnętrza centralnego budynku. Za szklaną ścianą, tuż obok wejścia do niedużego hallu, widzę umundurowanego strażnika przy pulpicie kontrolnym. W ścianie bocznej kilkanaście monitorów.

Senator prowadzi nas korytarzem do obszernego pokoju, chyba służącego do odpoczynku personelowi naukowemu stacji. Wygodne fotele, stoliki, dobrze zaopatrzona biblioteka, telewizor z magnetowidem i oczywiście – bar. Wnętrze świetnie klimatyzowane – po prostu Europa.

Siadamy przy stoliku i Benedict serwuje jakiś chłodny napój, chyba z domieszką alkoholu. Sam też pije i myślę, że nie potrzebuję się obawiać środków psychotropowych. Senator pozostaje z nami tylko kilka minut i wychodzi, aby wydać polecenia kierownictwu stacji w sprawie pokazowego eksperymentu, a także przygotowania do drogi dżipów, w których mamy zwiedzać rezerwat. Jeszcze w progu mruga do mnie znacząco, abym skorzystała z okazji do rozmowy z Tomem bez świadków, gestem dłoni dając mi do zrozumienia, iż w pokoju tym nie ma podsłuchu. Rzecz jasna, nie mogę mu ufać, lecz z drugiej strony nie należy wykluczać, iż informacja jest prawdziwa. Jak na prowokację chwyt jest zbyt naiwny, a korzyści wątpliwe. Senator przekreśliłby przecież raz na zawsze jakiekolwiek szanse pozyskania mojego zaufania i „przyjaźni”.

Nie mam zresztą zbyt wiele do stracenia i decyduję się zaryzykować, oczywiście, możliwie ostrożnie:

–Senator twierdzi, że chce nam pomóc, ale mu nie ufam – mówię do Toma, a jednocześnie biorę go za rękę i sygnalizuję:

„Coś tu na ciebie szykują. Nie wiem, co robić”.

–Czy postawił jakieś warunki? – pyta Tom, zaś sygnałami dodaje:

„Trzymaj się z dala ode mnie”.

–Nic konkretnego – odpowiadam na pytanie. – Mam wykonywać jego polecenia i okazać mu życzliwość. Myślę, że jest szczerzy tylko wówczas, gdy mi daje do zrozumienia, iż chciałby się ze mną przespać...

I zaraz potem sygnalizuję:

„On też mówił, abym nie zbliżała się do ciebie, gdy będziemy sami na terenie rezerwatu”.

Twarz Toma jest czujna i skupiona.

–Czy robiłaś mu jakieś nadzieje?

–A uważasz, że powinnam się zgodzić? – pytam prowokacyjnie.

–Jak możesz zadawać mi takie pytanie? – mówi z wyrzutem.

–Więc jednak ci na mnie zależy! – odpowiadam ze śmiechem, a zaraz potem nadaję morsem:

„Próbuję go zwodzić. To wszystko”.

Chciałabym powiedzieć Tomowi, że go kocham, że boję się, aby nas nie rozdzielono, aby mu nie zrobili jakiejś krzywdy i że gotowa jestem zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić. Obawiam się jednak, że może mnie źle zrozumieć, że wyjdzie to głupio... Sygnalizuję więc tylko:

„Czy pytać cię o vortex i dyspozytornię” tak jak chciał Pratt?

„Pytaj, lecz jeśli dam znak, zmień temat” – Tom przypomina gestem umowy sygnał: „uwaga podsłuch”.

Przede wszystkim muszę rozstrzygnąć podstawową wątpliwość:

„A jeśli to psychosondaż?

Zanim jednak Tom może mi odsygnalizować, wraca senator. Przez ramię przewieszona duża lornetka.

–Jeśli państwu to odpowiada, możemy już ruszyć – oświadcza od progu. – Robi się coraz goręcej, a w południe spodziewany jest deszcz.

Oczywiście, nie ma sensu zwlekać i wychodzimy przed budynek. Stoją tu już dwa łaziki. U wejścia do stacji, pod daszkiem chroniącym przed słońcem, czterech mężczyzn w jasnych tropikalnych kombinezonach. Rozpoznaję „chłopców” senatora. Dwóch pozostałych przedstawia nam Benedict jako doktora Millera, kierownika tutejszej stacji i doktora Gordona – jego „prawą rękę”.

Ładujemy się do łazików. W pierwszym dżipie Gordon z „gorylami”, w drugim Benedict, Miller, Tom i ja. Zastanawiam się kogo i przed kim ma chronić obstawa. Bo chyba nie chodzi o mnie. Chociaż i to możliwe...

Strażnik otwiera bramę i wjeżdżamy w głąb lasu. Droga jest gładka, asfaltowa, dobrze utrzymana. Zupełnie jak w Parku Yellowstone...

Po obu stronach drogi tropikalna roślinność – nieznane mi gatunki drzew, krzewów, kwiatów, traw. Zaraz za stacją las jest dość rzadki potem szybko gęstnieje, tworząc zwarte ściany i zamykając się nad drogą na kształt tunelu. Wkrótce jednak roślinność znów zaczyna rzednąć. Robi się jaśniej, słońce zagląda przez liczne prześwity, a od czasu do czasu szosa przecina większe polany. Las oszałamia mnie bogactwem form i barw do tego stopnia, że nie potrafię dostrzec żadnego ptaka, ssaka czy gada, choć senator próbuje mi je wskazać.

Jedziemy niezbyt szybko i znów staram się zapamiętać drogę. Okazuje się to trudne i wkrótce tracę orientację. W miarę jak oddalamy się od stacji badawczej, poczyna ogarniać mnie uczucie nerwowego napięcia i podniecenia. Perspektywa przygotowanych przez Pratta niespodzianek nie jest miła...

Po około dziesięciu kilometrach takiej jazdy teren staje się górzysty i urozmaicony. Moje zdenerwowanie rośnie, coraz częściej nachodzą mnie złe przecucia. Tom chyba odczuwa to samo, bo – zwykle bardzo spokojny i opanowany – teraz wierci się na swym fotelu, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. Co ciekawsze, udziela się to również senatorowi, a nawet doktorowi Millerowi, prowadzącemu nasz wóz.

Tak mnie zaabsorbowały te spostrzeżenia, iż nie wiem nawet kiedy, po lewej stronie drogi pojawiło się znów wysokie ogrodzenie z metalowej siatki. Tu po raz pierwszy w czasie naszej „wycieczki” dostrzegam szympansy i to skupione w dość duże stada. Dżipy poruszają się teraz jeszcze wolniej, tak iż mogę dobrze przyjrzeć się zwierzętom. Zachowują się one spokojnie, aż chyba nazbyt spokojnie jak na małpy, a co ciekawsze, nie reagują prawie zupełnie na naszą obecność. Nie jestem jednak zoopsychologiem, a ponadto – jak dotąd – nie widziałam szympanców na swobodzie i mogę się mylić.

–Czy to ta eksperymentalna grupa? – pytam senatora. – Zdają się zachowywać jakoś dziwnie...

–Zauważyła pani? – podejmuje z odcieniem dumy.– I co panią szczególnie uderzyło?

–Są bardzo spokojne i nie reagują na naszą obecność.

–Nie tylko. One są zadowolone i tak zajęte swoimi sprawami, że nic ich nie obchodzi, co dzieje się za ogrodzeniem. I jeszcze jedno, może najważniejsze: gdyby wziąć mapę tej części rezerwatu i oznaczyć na niej miejsca, w których w tej chwili przebywają poszczególne osobniki, okazałoby się, iż skupione są na stosunkowo

niewielkim obszarze w kształcie elipsy. Ale tego, oczywiście, pani nie mogła wiedzieć. Tego z powierzchni ziemi nie widać, a i z powietrza czy kosmosu niełatwo dostrzec, bo cały teren jest dość gęsto zalesiony.

–Chce pan powiedzieć, że szympansy i goryle są uwięzione w polu o kształcie elipsy? – wtrąca pytanie Tom. – Jakich rozmiarów?

–W tej chwili mniej więcej tysiąc dwieście na osiemset metrów. Obszar ten można jednak zwężyć nawet do stu metrów i poszerzać do kilku kilometrów. I oczywiście przesuwając, co zapewnia racjonalne wyżywienie całej populacji i zapobiega wyniszczeniu środowiska naturalnego. Zaraz zresztą zademonstrujemy państwu taką translokację. To bardzo efektowny eksperyment.

Uświadamiam sobie, co oznaczają te doświadczenia w świetle tego, o czym mówił Knox, i przechodzi mnie dreszcz zgrozy.

–Nie wątpię... – mówi Tom zimno. Z pewnością odczuwa to samo co ja. – Czy równie skutecznie działa to na ludzi? – dodaje, stawiając kropkę nad „i”.

Senator jakby się waha.

–I tak, i nie – odpowiada wymijająco. – O zachowaniu się ludzi decydują na pewno znacznie bardziej złożone czynniki. Różne społeczne i jednostkowe uwarunkowania... A to wymaga kosztownych badań i doświadczeń. Chociaż zasada taka sama jak z małpami i skuteczność chyba również powinna być podobna, za wcześnie jeszcze na ocenę. Nie mówiąc

już o tym, iż jedynym rzetelnym sprawdzianem może być eksperyment na wielką, masową skalę.

–Jak 12 czerwca u podnóża Gór Żółtych... – dopowiada Tom i widzę, że senator ma bardzo niewyraźną minę.

–Jesteśmy już na miejscu – przerywa kłopotliwe milczenie doktor Miller.

Łaziki skręcają w wąską, boczną drogę, ogrodzoną z obu stron metalową siatką. Przed nami wyłania się nagle spoza drzew wysoka betonowa budowla przypominająca nowoczesną, podobną do wielkiego grzyba, wieżę ciśnień.

Dżipy stają pod „grzybem”, a ja relacjonuję Tomowi wszystko co widzę. Znajdujemy się na niewysokim wzgórzu, otoczonym rzadkim lasem. Szczyt wzgórza, na którym wzniesiono wieżę, pokryto betonem, tworząc mały placyk-parking, oddzielony od lasu ogrodzeniem z gęstej siatki. Poza drogą, którą tu przyjechaliśmy, w głąb lasu prowadzi wąska ścieżka, również ogrodzona po obu stronach siatką.

Wysiadamy z samochodów i Miller podchodzi do drzwi w „trzonku grzyba”. Wyjmuje klucze, otwiera i wchodzi do wieży wraz z Gordonem.

–Proponuję mały spacer tą ścieżką – zwraca się do mnie i Toma senator. – Około trzystu metrów stąd jest świetne pole widokowe. I proszę się niczego nie obawiać. Za siatką jesteśmy zupełnie bezpieczni.

–Więc jednak mały też się czasem buntują – mówi Tom takim tonem jakby kpił z Benedicta.

–To nieporozumienie – prostuje senator. – Nie chodzi o szympansy i goryle. Również lwy, pantery i leśne koty tracą agresywność. Nawet węże i krokodyle stają się łagodne jak owieczki... Oczywiście na okres karmienia drapieżników, przywraca się instynkt łowcy i wtedy mogą być bardzo groźne. Ale rzecz w tym, że można już nad tym panować. Jeśli mówiłem o bezpieczeństwie to miałem na myśli oddziaływanie pola. Te siatki spełniają rolę ekranów.

–Coś w rodzaju klatki Faradaya? – wtrącam domyślnie.

–Nie tylko. Występuje tu szereg złożonych zjawisk, związanych z odbiciem, interferencją i rezonansem paramagnetycznym czy też czymś w tym rodzaju. Najlepiej to może pani wyjaśnić doktor Miller, jeśli to panią interesuje. Ja nie jestem fachowcem w tej dziedzinie. Rzecz w tym, iż obszar w pobliżu ogrodzenia jest w pewnym sensie strefą wzbronioną, oczywiście od strony lasu a nie drogi. Ściślej, jest

to obszar złego samopoczucia i to pogarszającego się w miarę zbliżania do siatki i dlatego zwierzęta go unikają.

Idziemy ścieżką wzdłuż ogrodzenia i prawdę mówiąc, nie czuję się zbyt pewnie. Rozsądek, oczywiście, mówi mi, że senator na pewno nie ma zamiaru narażać siebie, ale już od chwili wylądowania w rezerwacie nie opuszcza mnie niepokój. Oglądam się i widzę, że obstawa senatora idzie za nami. Co prawda jest to nadzór dyskretny, w odległości chyba ponad stu metrów, lecz obecność tych „aniołów stróżów” bynajmniej nie działa na mnie uspokajająco.

–Czy podobne bodźce powodują translokację zwierząt, którą chce nam pan zademonstrować, senatorze? – pyta Tom.

–Niezupełnie – senator podejmuje skwapliwie temat. – Taksja ujemna współdziała z dodatnią, a niemałą rolę przyspieszającą prawidłową reakcję odgrywa tu instynkt stadny. Zwierzęta poczynają czuć się źle na dotychczasowym miejscu. Wywołane napięcie powoduje pewnego rodzaju niepokój i wzmożoną ruchliwość, a prawidłowy kierunek taksji natychmiast powoduje odprężenie i uczucie zadowolenia. Po prostu taksja zgodna z zaprogramowanym kierunkiem aktywizuje ośrodki przyjemności, zaś bierność lub nieprawidłowy kierunek taksji pobudza ośrodki uczuć negatywnych. Czas odnajdywania właściwego kierunku drogą prób i błędów jest przy tym bardzo krótki, gdyż wystarczy, aby jeden osobnik ruszył w wyznaczonym przez nas kierunku z okrzykami czy pomrukami zadowolenia, a natychmiast

cała populacja podąża za nim. Zaraz się zresztą państwo przekonacie, jak to szybko działa. Ścieżka poczyną wznosić się w górę i już z daleka widzę rozległą polanę. Wzniesiono na niej nieduży taras, osłonięty daszkiem z palmowych liści. Korzystam więc z chwilowej przerwy w wywodach senatora i znów rozpoczynam informować Toma na bieżąco o tym, co widzę.

Tak docieramy do tarasu i senator wyciąga z kieszeni radiotelefon. Wieżę widać stąd zresztą bardzo dobrze. Jak na razie żadnych zwierząt w najbliższym otoczeniu nie dostrzegam, choć roślinność jest tu rzadka i chyba specjalnie przetrzebiona, nawet w dość znacznej odległości od ogrodzenia, otaczającego szczyt wzgórza.

–Halo, Miller! Jesteście gotowi? – słyszę jak senator łączy się z wieżą.

–Tak jest, panie senatorze! – dochodzi ninie zniekształcony głos z radiotelefonu. – Możemy zaczynać. Program bez zmian? Pierwsza faza: taksja na L 56. Zwężenie poprzeczne: docelowo 150 metrów.

–Bez zmian. Zaczynajcie!

Czuję wzrastające podniecenie, ale jednocześnie nieprzyjemne uczucie zagrożenia. Tak jak tamtego wieczoru przy Martwych Kamieniach... Jestem pewna, iż między eksperymentami Hendersona i Vortexem P istnieje jakiś bardzo bliski związek. Nie jest przypadkiem, że tu i tam idzie o zdalne oddziaływanie na centralny układ nerwowy, a zwłaszcza na ośrodki zawiadujące emocjami i popędami. Po prostu, nowa broń, nad którą pracowano w tajemnicy przed światem, stała się faktem i próbują sięgnąć przy jej pomocy po władzę nad ludźmi co najmniej dwie wrogie sobie siły. Być może już obecnie toczy się między nimi wojna przy pomocy tej broni, a strona słabsza chce za wszelką cenę dojść do porozumienia z silniejszą. Nie rozumiem jednak, dlaczego urządzają nam ten pokaz...

Senator stoi za nami na szczycie wzgórza i obserwuje przez lornetkę inne, nieco niższe wzniesienie, porośnięte lasem, oddalone zarówno od nas jak i od wieży chyba ponad milę.

–Niech pani spojrzy! – mówi do mnie po chwili i podaje lornetkę. – Tam, wśród tych drzew na zboczu wzgórza, za kilka, najdalej kilkanaście minut zacznie się ruch. Najpierw pojedyncze osobniki, potem całe stado ruszy w naszym kierunku. I to coraz szybciej. Gdzieś w połowie drogi, na tym szerokim, otwartym terenie w dole będzie podążać ku nam wręcz biegiem, skupiając się na coraz mniejszej przestrzeni. Potem, w odległości dwustu metrów od ogrodzenia poczną gwałtownie zwalniać i gromada zatrzyma się, tworząc owalne obozowisko o średnicy około 150 metrów. Żaden z osobników nie będzie przy tym przejawiał chęci opuszczenia gromady, chociaż

warunki żerowania są tu gorsze od poprzednich.

–Za to jakie wspaniałe samopoczucie. Ile radości z życia, a może nawet zadowolenia ze spełnionego obowiązku... – dorzucam ze sztucznym entuzjazmem. Benedict udaje, że nie dostrzega sarkazmu.

–Właśnie! – podchwytuje z emfazą. – Jest właśnie w ich zachowaniu coś z tego, o czym pani mówi. Za kilkanaście minut sami się państwo przekonacie.

–Czy chce pan przez to powiedzieć, że i nam się ten nastrój udzieli? – pyta Tom dziwnie spokojnie.

–Nie ma obawy – zaprzecza pospiesznie senator, ale widać zdaje sobie sprawę, że to brzmi nieprzekonywująco, bo zaraz dodaje: – Oczywiście, rozgraniczenie stref nie przebiega w sposób ostry i nawet przy największym zwężeniu pola promień obszaru nieobojętnego sięga kilkuset metrów. Ale w tej odległości jest to oddziaływanie bardzo słabe, dla przeciętnego zdrowego psychicznie człowieka nie powodujące żadnych wyraźniejszych zmian behawioru. A tu ponadto chroni nas ogrodzenie. Nie radzę tylko zbyt zbliżać się do siebie, bo to zwiększa wrażliwość. Notabene nie jest jeszcze zupełnie jasne, na czym to polega. Henderson przypuszcza, że powstaje wówczas coś w rodzaju dodatniego sprzężenia zwrotnego.

–Ciekawe – mówi Tom. – Czyli mechanizm podobny do zbiorowej sugestii.

–Właśnie! To zresztą bardzo przyspiesza reakcję zwierząt.

–Na razie nic nie widać – stwierdzam nie odejmując lornetki od oczu.

–Pierwsze szympany powinny się lada chwila pojawić.

Senator bierze ode mnie lornetkę i chwilę lustruje teren. Wydaje mi się, jakby był trochę zdenerwowany. Ja na odwrót – mam wrażenie, że uczestniczę w teatralnym spektaklu.

–Widać już coś? – pytam niecierpliwiąc się trochę.

–Jeszcze nie... – mówi senator z wahaniem i w tej chwili odzywa się brzęczek radiotelefonu.

Benedict oddaje mi lornetkę i łączy się z wieżą.

–Panie senatorze, czy może pan wpaść do nas na górę? – słychać głos doktora Millera.

–Co tam się dzieje? Macie jakieś trudności?

–Niby nie... – odpowiada Miller niezbyt pewnie. Chodzi o przebieg taksji...

–To znaczy? Nie ruszyło się jeszcze?

–Ruszyło, ale nie tak jak poprzednio. Dobrze byłoby, gdyby pan zobaczył, senatorze!

Benedict patrzy na mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale zastanawia się jeszcze.

–Więc jak będzie, panie senatorze? – ponagla Miller.

–Idę do was! – decyduje się Benedict. Wyłącza radiotelefon i mówi do mnie i Toma: – Jak państwo słyszeli, są jakieś kłopoty. Mam nadzieję, że chwilowe i będę mógł państwu zademonstrować to, co zaplanowaliśmy. Nie ma sensu, aby państwo mi towarzyszyli, bo mogą stracić okazję ujrzenia i usłyszenia, co tu się będzie działo. Ja zresztą zaraz wrócę. Zostawiam też pani radiotelefon, abyśmy mogli być w kontakcie, gdyby moja nieobecność zaczęła się przedłużać. I proszę obserwować teren w miejscu, które pani wskazałem.

Senator wręcza mi aparat i pospiesznie rusza w kierunku wieży, a ja zastanawiam się czy rzeczywiście Miller ma jakieś trudności, czy może po prostu odwołał senatora zgodnie z wcześniej ustalonym scenariuszem, abym pozostała sama z Tomem i wykonała polecenie Pratta. To drugie wydaje się znacznie prawdopodobniejsze:

jesteśmy tu znakomicie wystawieni na działanie wieży, a senator wyraźnie przypomniał mi zalecenie nie zbliżania się do Toma. Jednego nie rozumiem: dlaczego powiedział przy Tomie, że zostawia radiotelefon. Może on podejrzewać, iż służy jako stacja przekaźnikowa lub jest w nim ukryty magnetofon, a to na pewno nie skłoni Toma do szczerości. Jaki jest sens tej gry? Czyżby chciał nas ostrzec?

A może to nie ma znaczenia? Z tego co mówił Benedict może wynikać, iż poddany działaniu „wieży”. Tom tak czy inaczej będzie mówił prawdę. Chyba jednak nie jest to takie proste, bo po cóż ja byłabym im potrzebna? Wystarczyłby wówczas major von Oost...

W tej sytuacji najlepiej będzie udawać, że nie zorientowałam się o co chodzi. Senator nie dał mi przecież żadnego wyraźnego znaku. Jednocześnie powinnam zachować pozory, że co najmniej przygotowuję grunt do rozmowy na „zadany temat”.

Jeśli bowiem jesteśmy kontrolowani, brak aktywności z mojej strony spowoduje z pewnością wzmożenie nacisku.

–Nie bardzo rozumiem, po co urządzają nam ten pokaz – mówię do Toma, gdy sylwetka senatora znika mi z oczu. – Czyżby chcieli ci zaimponować, wykazać, że mogą być poważnymi partnerami, że to, o czym mówił Knox, nie jest bez pokrycia. Ale to chyba za proste, za prymitywne wyjaśnienie.

Tom zwraca ku mnie twarz jakby chciał spojrzeć na mnie.

–Niezupełnie... Być może jesteś dość bliska prawdy. Ale rzecz w tym, oczywiście, że nie jest to aż tak proste. Słusznie zauważyłaś: krzyżują się tu dwie sprawy: „dyspozytornia” i Vortex P – Tom wkracza sam na niebezpieczny teren i do tego przypisuje mi zdanie, którego nie wypowiadałam. – „Dyspozytornia” wiąże swe plany z biostymulacją falową... O tym wiedzieliśmy już od dość dawna, choć niektórzy traktowali to jak fantastyczne rojenia. Wiedziałem też, że „dyspozytornia” wie, że wiemy, ale niejasny był dla nas stopień zaawansowania badań i możliwości wdrożenia. Muszę przyznać, że mają nie tylko dobry

wywiad i kontrwywiad, ale również bardzo sprawny system dezinformacji. Bardzo dużo czasu i wysiłku zajmuje sprawdzanie, co jest rzeczywistym działaniem, a co tylko pozorowanym, dla zmylenia przeciwnika. Można powiedzieć, iż z reguły na dziesięć odnalezionych tropów dziewięć jest fałszywych. A pozorujące, jak i rzeczywiście celowe działania są w minimalnym stopniu programowane, a więc i trudne do przewidzenia. Zasadą jest wykorzystywanie okazji, zdarzeń przypadkowych czy wywołanych działaniem ludzi, nie mających nic wspólnego z „dyspozytornią” i jej celami.

Przypomina mi się wczorajsza wieczorna rozmowa przy stole. Wtedy już czułam, że Knox i Quinta prowadzą jakąś zasadniczą grę, choć maskowaną ogólnofilozoficznymi rozważaniami. Teraz jednak niepokoi mnie co innego. Tom jest dziwnie rozmowny i zachowuje się tak, jakby coraz bardziej podniecały go własne słowa. Być może mój niepokój i obawy są przesadne, wywoływane nerwowym napięciem i tym co usłyszałam od Benedicta, ale zaczynam podejrzewać, że jesteśmy już poddani działaniu jakiegoś „małpiego pola”. Najgorsze że nie potrafię zdobyć się na to, aby ostrzec Toma lub choćby przerwać ten monolog.

–Sama struktura organizacyjna pełna jest także elementów maskujących, wprowadzających w błąd – ciągnie Tom dalej ten sam temat. – I to nie tylko na wyższych, ale i najniższych szczeblach, tak pod względem personalnym jak funkcjonalnym. Weźmy takiego profesora Hendersona. Oficjalnie jest kierownikiem zespołu naukowego w „Palbio”. Nieoficjalnie wnioskując z tego, co mówi Pratt czy Benedict, to główny doradca rządu w sprawach broni falowej i vortexu. Co więcej, należy się domyślać, że Henderson jest mózgiem programu Panel, czyli realizacji technicznej wielkich planów „dyspozytorni”, a może wręcz szefem tego, co niektórzy nazywają „sekcją S”. Ale to wcale nie znaczy, że jest właśnie tak, jak „należy” się domyślać. Może być zupełnie inaczej. Wyrażając się bardziej precyzyjnie, uważam za mało prawdopodobne, aby Henderson zajmował tak kluczowe stanowisko w „dyspozytorni”. I nie chodzi tu bynajmniej tylko o to, że aluzje Pratta na ten temat należy uznać za podejrzane, lecz przede wszystkim o to, iż minęły już czasy „strasznych wynalazców” Verne’a. Powiem więcej: byłoby naiwnością sądzić, że tu w Dusklandzie próbuje się decydować o losach świata, że tu pracują najgenialniejsze mózgi „dyspozytorni” i znajduje się siedziba jakiegoś „wielkiego szefa”. W ogóle należy wątpić, czy istnieje „wielki szef” w tej postaci jaką sobie niektórzy wyobrażają. Jeśli chciałabyś szukać podobieństw strukturalnych czy funkcjonalnych to „dyspozytornia” bardziej przypomina gigantyczną super korporację niż masonerię czy mafię w starym stylu. Mózg przygotowujący techniczne środki psychicznego ujarznienia ludzkości jest mózgiem anonimowym, złożonym z tysięcy mózgów żywych i komputerów. Anonimowym i pozbawionym świadomości...

–Ale przecież Pratt, Knox, senator... – rozpoczynam i nie kończę, uświadamiając sobie, że dałam się ponieść temu, o czym mówi Tom i sama nieopatrznie prowokuję go do dalszych, być może niebezpiecznych wypowiedzi. Ale jest już za późno. Tom podchwytuje natychmiast moje słowa:

–Mówiłem ci już, że Pratt i Benedict to średni szczebel. Ich wiedza i kontakty są odpowiednio ograniczone. Sądzę zresztą, że Pratt wie sporo, ale tego nie ujawnia i często celowo popełnia drobne gafy. Zbytne wścibstwo i inteligencja może się dla niego źle skończyć i on wie o tym dobrze. Inaczej mają się sprawy z Knoxem, lecz i on ma ściśle wyznaczone pole działania i odpowiednio ograniczony zakres informacji. To jest zasada. Oczywiście Duskland jest liczącą się pozycją, zwłaszcza z uwagi na „Palbio”, są jednak znacznie poważniejsze ośrodki.

–A Patope? – próbuję skierować rozmowę na boczny tor.

–Tylko poligon. Coś w rodzaju jak ten rezerwat, tylko, że z ludźmi. Ściślej: tak było do momentu pojawienia się VP. Ta anomalia to zupełnie inna sprawa. Stymulacja falowa „dyspozytorni” to broń o małym jeszcze zasięgu, lecz działająca. rzecz można w sposób

subtelny, niemal niedostrzegalny dla obiektu działania. Vortex P to bomba siejąca spustoszenie, to topór, a nie skalpel. I to wymierzony w czułe miejsce „dyspozytorni”, a co gorsza zwracający uwagę świata na Duskland i Patope. Oni wiedzą, że jesteśmy tu właśnie z uwagi na vortex i liczą, że z moją pomocą dogadają się z ową tajemniczą „antydispozytornią”. Dlatego urządzają nam tu pokaz, aby mi udowodnić, że mają sporo do zaoferowania, że ich, metody są humanitarniejsze od tego, z czym przychodzi „anty dyspozytornia” i być może także, aby nas trochę postraszyć że jeśli nie przyjmujemy ich warunków...

Tom urywa raptownie. Czyżby wreszcie spostrzegł, że mówi za szczerze? Stoi teraz nieruchomo, a twarz jego wyraża jakby zdziwienie czy zaskoczenie.

–Co ci jest. Tom? – pytam z niepokojem, ale on daje mi; znak ręką, abym zamilkła.

–Słyszysz? – odzywa się po chwili.

Wsluchuję się w dochodzące z różnych stron odgłosy leśnego życia, ale nic szczególnego nie zwraca mojej uwagi. Wzrasta we mnie gwałtownie niepokój. Podnoszę lornetkę do oczu i lustruję teren. W miejscu wskazanym przez senatora krzaki i gałęzie drzew poruszają się jakoś nie tak... Na pewno nie powiew wiatru jest tego przyczyną.

–Słyszysz? – powtarza pytanie Tom.

I w tej właśnie chwili dostrzegam przedzierające się przez zielony gąszcz ciemne sylwetki, podobne do ludzkich. To szympansy. Jest ich cała gromada, skupiona na stosunkowo wąskiej przestrzeni. Już wybiegają na otwarty teren, podążając szybko w naszym kierunku. Teraz i ja słyszę dalekie krzyki hordy.

–Małpy ruszyły – mówię do Toma, wsluchanego w coraz wyraźniejsze z każdą minutą jazgoty i wrzaski.

–Co widzisz! – przerywa chwilowe milczenie. – Jaki może być promień rozproszenia?

–Chyba nie większy jak sto metrów. Biegna bardzo szybko. O, w tej chwili pojawiły się jakieś wielkie małpy. To chyba goryle. Wygląda tak, jakby szympansy przed nimi uciekały.

–Senator twierdził, że żyją ze sobą w zgodzie.

–Tego bym nie powiedziała. Wątpię, aby te okrzyki mogły wyrażać zadowolenie i

przyjacielski stosunek do świata. Zachowują się jak wściekłe.

–To może być złudzenie. W jakiej odległości w tej chwili się znajdują?

–Okolo kilometra. Ale bieżą jakby coraz prędeż. Za kilka minut mogą tu być. Widzę je teraz zupełnie wyraźnie. Miałeś rację, rzeczywiście goryle nie atakują szympanów. To wygląda raczej na jakąś ogólną panikę. Tak czy inaczej, jeśli to ma być wzorzec sterowania społeczeństwem ludzkim, to winszuję panu senatorowi!

Mały są coraz bliżej i zdają się pędzić wprost na nas. Czuję się nieswojo, chociaż rozsadek nakazuje sądzić, iż narażenie Toma na jakieś niebezpieczeństwo nie miałoby sensu. Chyba, że niepokój ułatwia działanie stymulatorów. Mnie przecież też próbowano „rozmiękczyć” w forcie. Zresztą na pewno jesteśmy tu poddawani działaniu jakiegoś pola i poczucie zagrożenia może być złudzeniem.

Najchętniej wzięłabym Toma pod ramię i uciekła z tego wzgórza, choćby asfaltowaną ścieżką w kierunku wieży. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że być może o to właśnie chodzi senatorowi, a poza tym mogę stracić jedyną okazję zaobserwowania, jak rzeczywiście działa „broń P”. Staram się więc opanować i relacjonuję możliwie rzeczowo Tomowi, co się dzieje.

–Połącz mnie z Benedictem! – przerywa mi nagle Tom. W głosie jego wyczuwam zdenerwowanie.

Włączam radiotelefon i słyszę głos senatora.

–Hallo! Słucham! Czy coś się stało?

–Doktor Quinta chce rozmawiać z panem! – Wkładam Tomowi aparat do ręki i znów sięgam po lornetkę. Biegnące najszybciej mały są już nie dalej jak pięćset metrów od ogrodzenia. Jest to raczej obraz panicznej ucieczki niż taksji pod wpływem bodźców

aktywizujących ośrodki przyjemności.

–Senatorze! – mówi Tom do mikrofonu. – Czy doświadczenie przebiega zgodnie z programem?

Chwila ciszy, potem niezbyt pewny głos Benedicta:

–W zasadzie tak... Kierunek i prędkość taksji prawidłowe.

–Czy zwierzęta zawsze tak się zachowują?

–Chodzi panu o to, doktorze, iż są trochę... zaniepokojone? Proszę się nie obawiać. To dlatego, że daliśmy większą moc. Ale zaraz zejdziemy do normalnego poziomu.

–Czy często macie takie kłopoty?

Senator milczy chwilę. Widać się zastanawia.

–Raczej nie... – odpowiada z wahaniem. – Co pan ma na myśli, doktorze?

–12 czerwca.

Znów milczenie. Widać go „zatkalo”.

–No więc jak, senatorze? – ponagla Tom. – Może lepiej przerwać eksperyment?

Przyciszony szmer głosów świadczy chyba, że Benedict radzą się z Millerem.

Czoło stada dzieli od nas zaledwie paręset metrów.

–Chodźmy stąd – mówię do Toma, ale on nie reaguj na moje słowa.

–Senatorze? Czy mnie pan słyszy? – woła do mikrofonu.

–Słyszę, panie doktorze! – odpowiada wreszcie Benedict. – Podzielam pana zdanie, że należy zachować ostrożność i wydałem już polecenie cofnięcia pola. Panno Agni, niech się pani dobrze przygląda. To będzie bardzo efektowne. A jeśli chodzi o VP, to chyba pan myli się, doktorze. Do Cameo jest stąd ponad osiemdziesiąt kilometrów, a przede wszystkim my też musielibyśmy coś odczuwać... Uwaga! Zaczynamy!

Rzeczywiście, w chwilę później wśród biegnącej hordy małą powstaje zamieszanie. Niektóre zatrzymują się i po paru sekundach poczynają zawracać, inne poruszają się nadal w tym samym kierunku, ale jakby nieco wolniej, lub skupiają się w gromady.

Czołówka złożona z kilkudziesięciu szympansów biegnie jednak ciągle w naszą stronę i stopniowo tworzy się między nią a resztą stada luka. Po chwili są to w istocie dwie oddzielne hordy, podążające w dwóch przeciwnych kierunkach. W tej, która zbliża się ku nam, nie dostrzegam goryli, które chyba pierwsze dokonały zwrotu.

–Agni, co tam się dzieje? – pyta Tom niecierpliwie, gdyż zupełnie zapomniałam o swoich obowiązkach sprawozdawcy.

–Podzieliły się na dwie grupy – wyjaśniam pospiesznie. – Jedna cofnęła się, druga biegnie dalej w naszą stronę. Zaraz tu będą!

–Jak się zachowują? Chaotyczna ucieczka czy za przewodnikiem?

Są już tak blisko, że lornetka staje się zbędna. Próbuję odnaleźć przewodnika stada, lecz jakoś nie mogę go rozpoznać. Mówię o tym Tomowi i ten zaraz łączy się z senatorem:

–Czy podział stada był zamierzony?

–Raczej nie... – odpowiada Benedict. – Inżynier Gordon zbyt gwałtownie przesunął pole i czołówka wyslizgnęła się spod kontroli. Ale zaraz ją zawrócimy.

–Czy 12 czerwca też były takie pomyłki?

–Co pan chce przez to powiedzieć, doktorze? – senator jest wyraźnie zaniepokojony.

–Według posiadanych przeze mnie informacji, coś podobnego wydarzyło się 12 czerwca u podnóża Gór Żółtych. Tyle, że to nie były małpy, lecz ludzie. Partyzanci Magogo...

Dwa szympansy wyrywają się naprzód i wielkimi susami dopadają do ogrodzenia kilkadziesiąt metrów od nas. Wbrew zapowiedziom senatora siatka bynajmniej nie działa na te zwierzęta odstraszająco. Jestem niemal pewna, że traktują ogrodzenie tylko jako przeszkodę, którą należy pokonać. Początkowo zdają się być zaskoczone jej istnieniem, chwilę wodzą palcami po siatce, potem poczynają szarpać druty, wydając coraz ostrzejsze okrzyki zaniepokojenia i gniewu. Za nimi podbiegają do ogrodzenia następne i teraz już całą

gromadą atakują przeszkodę. Senator coś mówi przez radiotelefon, lecz rosnący zgiewk zagłusza jego słowa. Ogarnia mnie strach, którego nie potrafię opanować. Przerażliwe wrzaski, lamenty i wycia małp, skrzypienie słupów ogrodzenia i zgrzytliwy brzęk metalowej siatki, szarpanej przez oszalałe zwierzęta, staje się nie do zniesienia. Podbiegam do Toma, chwytam go za rękę i ciągnę za sobą ku ścieżce prowadzącej do wieży. Widzę z przerażeniem, że małpy wspinają się na ogrodzenie, które trzeszczy i chwieje się pod ich ciężarem.

–Ta piekielna siatka wcale nie działa! – wołam do Toma, zmuszając go do ucieczki.

Bieg z niewidomym jest trudny i Tom zdaje sobie z tego sprawę.

–Uciekaj! – krzyczy do mnie, próbując uwolnić rękę. – Benedict zaraz tu podjedzie samochodem. Zostaw mnie!

Pierwsze szympansy są już za ogrodzeniem i nie ma chwili do stracenia. Zanim senator zdoła tu podjechać, może być za późno. Nie puszczam Toma i przyspieszam bieg, ciągnąc go za sobą.

Zza zakrętu wybiega nam naprzeciw obstawa senatora.

–Do samochodów! – woła pierwszy z mijających nas mężczyzn wymachując granatem z gazem. – Spróbujemy zatrzymać te zwierzaki!

Biegniemy dalej. Szympansy muszą być już blisko, bo granat eksploduje tuż za naszymi plecami. Chwilę ciszy przerywa małpi wrzask i eksplozja drugiego granatu, a zaraz potem strzały pistoletowe. W tym samym niemal momencie Tom potyka się i traci równowagę. Próbuję go podtrzymać, lecz niestety wraz z nim przewracam się na ścieżkę. Ogrodzenia z obu stron drogi uniemożliwiają ucieczkę w las. Jeśli „chłopcy” senatora nie zatrzymali małp – to już koniec. Nie mam przecież nawet noża do obrony...

Zrywam się z ziemi i pomagam podnieść się Tomowi. I wtedy właśnie pojawia się łazik. Ledwo mieści się na wąskiej drodze, trąc błotnikami o siatkę.

Wóz staje przed nami. Za kierownicą Benedict. Nie ma mowy, aby można było otworzyć drzwi, wdrapuję się więc pospiesznie na maskę i wciągam za sobą Toma. Senator rusza niemal natychmiast wstecznym biegiem. Na ścieżce pozostaje zgubiony przez Toma radiotelefon.

Od strony polany nie słyhać już strzałów, tylko z nad krzaków unosi się w górę bury obłok dymu czy może raczej gazu. Ani ludzi, ani szympanсів nie dostrzegam,

choć z daleka słyszeć jakieś jęki i krzyki.

Łazik zajeżdża przed wieżę, gdzie przed drzwiami czeka Gordon z pistoletem maszynowym, gotowym do strzału. Torbę z granatami ma przewieszoną przez ramię.

Senator wyskakuje z samochodu i pomaga Tomowi zejść z maski.

–Wsiadajcie do wozu! – woła do nas i podbiega do Gordona. – Fred i Albert tam zostali! Może jeszcze żyją? Spróbujesz tam dotrzeć? – pyta niepewnie.

Gordon patrzy na niego zimno.

–Spróbuję... – postanawia nagle i rusza do drugiego łazika.

–Czy mam na was czekać?

–Nie ma sensu. Zostawcie tylko Millera. Zabiorę go wracając. A gdyby było bardzo źle, zabarykadujemy się w wieży. Będziemy zresztą w łączności. Czy ma pan pistolet maszynowy?

–W łaziku. Przyślę po was helikopter.

–Jeśli będzie można latać... – mówi Gordon jakby z ironią. Wsiada do dżipa i po paru sekundach rusza pełnym gazem.

Tom już jest w wozie. Obok miejsca kierowcy leży pistolet maszynowy, zaś w kieszeni przy drzwiach tkwi maczeta. Czy mogę nie skorzystać z okazji?

Łazik Gordona znika w głębi ścieżki, a senator idzie pospiesznie w moją stronę. Nie czekając aż podejdzie, wsuwam sobie maczetę za pas, biorę pistolet i siadam na przedzie,

obok fotela kierowcy: Benedict jest tak zdenerwowany i wstrząśnięty sytuacją, że nie zwraca zupełnie na to uwagi. Dopiero po włączeniu silnika, gdy ma już ruszać spogląda na mnie i dostrzega na mych kolanach pistolet. W oczach jego pojawia się niepokój. Nic nie mówi, tylko patrzy na mnie wyczekująco, a potem odwraca głowę i wrzuca pierwszy bieg. Wjeżdżamy na drogę, którą tu przyjechaliśmy. Senator zwiększa szybkość, a po chwili sięga do stacyjki radiotelefonicznej pod tablicą rozdzielczą i łączy się z wieżą. Trącam go lufą pistoletu, niedwuznacznie dając do zrozumienia, aby się liczył ze słowami. Potwierdza skinieniem głowy, że zrozumiał i pyta Millera tylko o aktualną sytuację. Okazuje się, iż małpy nie pobiegly za nami, lecz sforsowały ogrodzenie po drugiej stronie drogi i uciekły w głąb otwartego rezerwatu. „Chłopcy” senatora – Fred i Albert – żyją. Zostali tylko mocno poturbowani. Właśnie w tej chwili dotarł do nich łazik Gordona. Miller proponuje całkowite wyłączenie „generatorów”, aż do wyjaśnienia rzeczywistych przyczyn „nietypowej, reakcji”, na co senator wyraża zgodę, stwierdzając, że oczekuje wszystkich czterech w Zimbe.

Daję znak senatorowi, aby się wyłączył. Wykonuje polecenie bez ociągania. Właśnie zbliżamy się do miejsca, gdzie droga prowadząca do wieży łączy się z szerszą, przecinającą rezerwat z południa na północ. Wracając do bazy naukowej w Zimbe, powinniśmy pojechać na prawo. Tuż przed zakrętem daję jednak znak senatorowi, aby skręcił w lewo.

Spogląda na mnie z niepokojem i zwalnia, jakby chciał zatrzymać się przed skrzyżowaniem.

–To nie ma sensu... – mówi szeptem.

–Niech się pan nie zatrzymuje! – podnoszę broń ostrzegawczo.

Senator już nie oponuje. Właściwie jeszcze nie bardzo wiem, co dalej robić. Wpaść znów w ręce Pratta ani myślę, a uciekać nie ma dokąd. Chyba, że senator zawiezie nas do Dusk, do naszej ambasady. Ale czy wystarczy pistolet, aby go do tego skłonić? I czy to nie jest zbyt ryzykowne? Nie będę w stanie stwierdzić dokąd naprawdę nas wiezie. Powinam w tej sprawie naradzić się z Tomem i to sygnalizacją dotykową. Muszę jednak w tym celu przesiąść się na tylne siedzenie. Zrobię to, jak oddalimy się parę kilometrów od skrzyżowania i będę pewna, że nikt za nami nie jedzie.

–Jakie szczęście, że nic wam się nie stało! – przerywa milczenie senator, widocznie próbując wysondować moje zamiary.

–Dzięki panu, senatorze i gdyby nie to, że działał pan z pobudek, mówiąc oględnie,

dalekich od altruizmu, zasługiwałyby pan na moją wdzięczność – stawiam sprawę bez niedomówień.

–Krzywdzi mnie pani, Agni. Nie było w tym żadnego wyrachowania – odpowiada z wyrzutem. Wydaje się wstrząśnięty moimi słowami.

–Nie oszukujmy się. Ma pan do spełnienia określone zadanie i musi się pan z tego rozliczyć jeśli nie przed pułkownikiem Pratterem, to przed wujkiem Knoxem...

–Chciałbym, aby pani uwierzyła, że robię wszystko co mogę... Gdyby to było w mojej mocy, byłibyście wolni.

–Nie wiem. Być może jest teraz okazja, aby się o tym przekonać...

Nerwowy skurcz zwęża mu powieki na moment.

–Być może... – odpowiada cicho.

Jestem trochę zaskoczona deklaracją, która brzmi dość szczerze. Trzeba wykorzystać sytuację.

–Proszę włączyć radio i znaleźć stację z muzyką!

Senator bez słowa wykonuje polecenie. Nachylam się i mówię mu do ucha:

–Dokąd prowadzi ta droga?

–Niech się pani nie obawia, nie ma tu podsłuchu – oświadcza ścisząc radio. – A ta droga prowadzi do Delft i Cameo.

–Do Dusk tylko przez Cameo? – próbuję przypomnieć sobie lokalizację na mapie.

–Niestety...

–A skrajem anomalii, poprzez sawannę?

–Strefa dość gęsto patrolowana, aż po obozy dla uchodźców.

–Co więc mi pan proponuje?

Pytanie jest prowokacyjne i czekam ze złośliwą satysfakcją, jak Benedict zareaguje. Okazuje się jednak, iż potrafi zachować twarz.

–Trudna sprawa... Trzeba się zastanowić – odpowiada dość spokojnie. – Chciałbym pani pomóc i gotów jestem nie dopuścić, aby stała wam się krzywda. Ale istnieją określone granice, poza które nie chcę, nie mogę się posunąć. Nie może pani tego ode mnie wymagać, abym zdradził własny kraj i ideę, której służę... Zaslugiwałbym wówczas na pogardę, także w pani oczach. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że w tej chwili zmuszony jestem wykonywać wasze polecenia, że może mnie pani zabić, a nawet w walce wręcz nie mam z panią żadnych szans. Ale wiem też, że beze mnie nie dacie sobie rady i jestem wam potrzebny, choćby jako zakładnik. I brzmi to może niewiarygodnie, i ma pani prawo nie wierzyć temu co powiem, lecz ja naprawdę chciałbym wam jakoś pomóc, rzecz jasna nie narażając zbytnio na szwank interesów swego kraju. Wydaje się to problemem nie do rozwiązania. A jednak nasunął mi się pewien pomysł... Z pewnością nie jest to rozwiązanie, które w pełni może was zadowolić. Ale to z pewnych względów rozwiązanie optymalne.

–Przyjąć propozycję współpracy... – wtrącam z ironią.

–Niekoniecznie – podejmuje niezrażony. – Mam tu na myśli gwarancję, że nie zostaniecie zamordowani, czy poddani jakimś zabiegom powodującym zmianę osobowości.

–Nie wierzę żadnym waszym gwarancjom!

–Nie miałem tu na myśli gwarancji ze strony pułkownika Pratta czy choćby nawet jakiejś bardzo wysoko postawionej osobistości... Raczej o stworzenie sytuacji gwarantującej waszą nietykalność. Nie byłby to może najlojalniejszy mój krok wobec pułkownika, ale jak pani mogła zauważyć, nie we wszystkim jesteśmy zgodni...

–Zaciekawia mnie pan, senatorze! – odzywa się za moimi plecami Tom. – Czego pan żąda w zamian?

–Kontakt z ośrodkiem VP. Niczego więcej. Żadnego namawiania do współpracy,

żadnego ujawniania tajemnic. Powiem szczerze: na to nie ma już czasu.

–Ma pan odpowiednie pełnomocnictwa? – pyta Tom tak, jakby już był z góry przygotowany na tę propozycję i gotów do pertraktacji.

–Mam... – odpowiada senator, a mnie przychodzi w tej chwili do głowy myśl, że wszystko co się wydarzyło tam na wzgórzu i pod wieżą, łącznie z daniem mi okazji do ucieczki, może być zaplanowaną z góry grą, której cel został właśnie w tej chwili ujawniony. Nie wolno mi jednak przedwcześnie zdradzić się ze swych podejrzeń.

–Czy po umożliwieniu panu kontaktu będziemy wolni? – zadaję pytanie w taki sposób, jakbym przyjmowała propozycję za dobrą monetę.

–Tak. Co więcej, pan doktor jeszcze przed nawiązaniem kontaktu z ośrodkiem VP. Zrozumiałe jest, że musi pan mieć swobodę działania.

Brzmi to dość logicznie. Tom musi wejść bezpośrednio w kontakt z kimś na zewnątrz, z pewnością poza granicami Dusklądu. Nie może tego zrobić jako więzień – powinien być więc wolny, ale „dyspozytornia” chce mieć pewność, że nie wyprowadzi ją w pole. Ja mam więc służyć za zakładnika. Ale czy rzeczywiście wszystko jest jasne? Dlaczego dopiero teraz wpadli na taki pomysł? Czyżby była to osobista inicjatywa senatora, sprzeczna z planami Pratta? Coś tu nie tak... A poza tym skąd mają pewność, że Tom dla ratowania mego życia gotów spełnić rzeczywiście żądanie „dyspozytorni”? Ja sama nie mam złudzeń – nie jestem wcale aż tak pewna jego uczuć. Mogę podejrzewać, iż niestety, w imię wyższych racji, gotów byłby mnie poświęcić. I wreszcie – jaką mam gwarancję, że to wszystko nie jest mydleniem oczu, wybiegiem, umożliwiającym senatorowi uratowanie skóry? Jaką mam gwarancję, że

Tom będzie naprawdę wolny, gdy ja oddam się dobrowolnie w ręce Pratta i von Oosta? Dopóki trzymam Benedicta pod lufą mogę jeszcze działać, szukać drogi do wolności. Przyjąć propozycję senatora, to zdać się na łaskę i niełaskę „dyspozytorów”.

Ale ze mną im tak łatwo nie pójdzie. Nie dam się drugi raz schwytać. Nawet za cenę wolności Toma!

Zaraz jednak pojawia się inna refleksja. A jeśli rzeczywiście „dyspozytorzy” są już tak przyciśnięci do muru, że w zamian za nawiązanie łączności z tajemniczą „antydispozytornią” i szansę dogadania się z przeciwnikami gotowi są uwolnić Toma, a potem i mnie? Czy wolno mi przekreślać taką możliwość? Jeśli nawet nie mam zamiaru poświęcać się dla Toma, czy owe „wyższe racje” nic dla mnie nie znaczą? I chyba właśnie to, że zupełnie nie wiem, jak mam postąpić, wprawia mnie w coraz większe rozdrażnienie.

Okazuje się jednak, iż również Tom nie spieszy się z akceptacją propozycji senatora.

– Droga, którą jedziemy, prowadzi do Cameo? – pyta, jakby puszczając mimo uszu zaskakującą ofertę.

– Poprzez Delft, niemal w linii prostej – odpowiada skwapliwie Benedict. – W pobliżu Delft duży obóz uchodźców, na dwadzieścia tysięcy ludzi... Stamtąd można by pojechać na Mans, ale to ryzykowne. Na drodze liczne posterunki i patrole...

– Chce pan powiedzieć, że z różnych powodów nie ma co marzyć, aby tędy dostać się do Dusk? – głowi Tom kpiącym tonem.

– Taka jest prawda, doktorze – w głosie senatora wyczuwam niepokój. – Wcale nie chcę was straszyć. Pan zresztą zdaje sobie sprawę, czym jest VP. Czy mam zawrócić?

– Co się panu tak spieszy, senatorze. Helikopter nie odleci bez pana – śmieje się Tom, ale ten śmiech w uszach Benedicta z pewnością brzmi dość złowrogo.

Senator kątem oka patrzy na mnie i nieco zwalnia.

– Ma pan rację, doktorze – potwierdza skwapliwie. – Musimy najpierw wyjaśnić wszystko do końca. Otóż mój plan jest następujący: wracamy do Zimbe i helikopter odwozi panią do mojej posiadłości w Bao Hill. Czterdzieści kilometrów na wschód od stolicy. Jest pani tam moim gościem i nikt nie ma prawa pani niepokoić. Mam tu na

myśli również pułkownika Pratta. Być może zresztą pani obecność w moim domu zachowamy całkowicie w tajemnicy. W tym samym czasie, gdy pani ląduje w Bao Hill, doktor Quinta wraz ze mną leci tam, gdzie uważa za właściwe i czyni niezbędne kroki umożliwiające mi kontakt z ośrodkiem kierującym operacją VP. Po osiągnięciu tego celu, niezależnie od wyników pertraktacji, jest pani wolna i może opuścić Duskland.

–Jak daleko stąd do Delft? – pyta Tom, nie reagując na wywody senatora. Widzę, że ten zaczyna się coraz bardziej denerwować.

–Okolo czterdziestu kilometrów... – odpowiada niechętnie i zaraz wraca do poprzedniego tematu – Oczywiście, istotna jest sprawa gwarancji, iż obie strony wywiążą się z przyjętych zobowiązań. Widzę tu kilka sposobów. Pierwszego dnia pobytu w Knox-Benedict chcieliście państwo połączyć się z pewnym człowiekiem w Londynie... Możemy to zrealizować choćby zaraz, jeśli wam podam specjalny numer kierunkowy. W ten sposób zostanie zdementowana informacja o waszej śmierci. Może pan również podać, że przybędzie na przykład do Londynu w moim towarzystwie... Muszę jednak ostrzec, iż będzie stosowany podsłuch i w razie nielojalności rozmowa zostanie przerwana. Spodziewamy się też, że pewne niewygodne dla nas fakty nie będą przez państwa ujawnione również po zakończeniu całej sprawy. Ze swej strony zobowiązujemy się do pełnej dyskrecji, jeśli chodzi o udział panny Radej w uprowadzeniu prezesa Magnusena... Co pan o tym sądzi, doktorze?

–Pan pozwoli, że się zastanowię – mówi Tom.

–Ależ oczywiście – odpowiada senator. – Może się zatrzymamy?

–Jedziemy w dalszym ciągu przez las?

–Tak, panie doktorze. Wkrótce jednak rozpocznie się sawanna.

–Czy można tu gdzieś zjechać z drogi i ukryć wóz w krzakach?

–Znajdę takie miejsce – mówi senator, ale już mniej pewnie.

Kilkaset metrów dalej przydrożne zarośla nieco rzadną i pojawiają się niewielkie polany porośnięte wysoką trawą. Jedna z nich, zasłonięta częściowo od strony drogi kolczastymi krzewami, nadaje się znakomicie na kryjówkę. Nawet zgniecenie trawy kołami nie jest zbyt widoczne. Senator wprowadza dżipa pod rozłożystą akację, a Tom poleca nam go zamaskować dodatkowo. Ścinam maczetą gałęzie, zaś Benedict znosi je i układa na samochodzie. Chociaż drzewa i krzaki chronią nas przed słońcem, jest gorąco i parno tak, iż kończąc pracę jesteśmy oboje złani potem. Co gorsza, nie tylko czuję się ogromnie zmęczona, lecz chwilami ogarnia mnie takie uczucie, jakbym działała pod wpływem jakiegoś narkotyku, powodującego oszołomienie i senność. Wreszcie mogę wrócić do wozu. Siadam obok Toma i opieram się o jego ramię. Jestem w półprzytomna. Na szczęście senator jest również, jak i ja, zmęczony i senny, bo po powrocie na swoje miejsce przy kierownicy natychmiast zapada w jakąś nienaturalną drzemkę. Ogarnia mnie strach, że zasnę, a on udaje, że śpi, albo obudzi się pierwszy i mnie rozbroi.

Chcę o tym zasygnalizować Tomowi i szukam jego ręki. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że jestem jeszcze na polance, że nie mam broni... Z pewnością zgubiłam pistolet w czasie ścinania gałęzi... Już go widzę – leży gdzieś w trawie, pochyla się nad nim senator i sięga, aby go podnieść... Rzucam się na niego z maczetą, ale on jest szybszy. Widzę jak lufa kieruje się w moją stronę, a na twarzy senatora dostrzegam ironiczny uśmiech... Nie, to nie jest twarz senatora! To pułkownik Pratt! Ogarnia mnie paniczny strach i rzucam się do ucieczki. W tym momencie czuję, że ktoś chwyta mnie za ramiona i przyciąga do siebie. To Hans Oriento! Słyszę i też jego niespokojny szept:

–Co ci jest, Agni?

Otwieram oczy. To nie Oriento, lecz Tom trzyma mnie w ramionach. Jesteśmy w łaziku, a deszcz bije o szyby wozu. Z ulgą stwierdzam, że pasek pistoletu maszynowego wpija mi się w ramię. Senator leży bezwładnie na fotelu przede mną, bełkocząc jakieś niezrozumiałe słowa. – Miałam okropny sen – mówię do Toma. – Śnili mi się Patt i Oriento... Ale najgorsze, że zasnęłam nagle, wbrew woli... I czuję się, jakbym była pijana...

Tom gładzi mnie palcami po włosach.

–Nie damy się, Agni – szepce mi do ucha. – Jesteś dzielna i wiesz, że to tylko wpływ anomalii. Benedict też chyba nie czuje się najlepiej, więc nie masz się czego obawiać.

Te sensacje zresztą wkrótce miną. W tej odległości cykl powinien być dość długi i nawrót nastąpi prawdopodobnie za sześć do dziesięciu godzin. Jest zresztą sposób, aby osłabić reakcję. Wypróbowałem go przed chwilą, bo i mnie dopadło... Stary system wschodni. Ćwiczenie oddechowe. Jeśli poczujesz, że coś nie tak: cztery szybkie, krótkie oddechy a potem jeden dłuższy głęboki. I powtarzać to ćwiczenie rytmicznie, skupiając wyłącznie na nim uwagę.

–Bob Goldstein radził mi powtarzać w myślach pewne sanskryckie słowo...

–Nantra... To też chyba dobry sposób. Może być zresztą i liczba wielocyfrowa. Ale to, aby działało skutecznie, wymaga ćwiczeń... Istota sprawy polega na tym...

Ochrypy krzyk senatora nie pozwala Tomowi dokończyć. Benedit ma oczy szeroko otwarte i wpatruje się z przerażeniem w przednią szybę łazika, za którą chybczą gałęzie smagane ulewą i wiatrem.

Co on tam dostrzegł? W tej samej niemal chwili i mnie udziela się strach. Drgające na gałęziach liście dziwnie przypominają odnóża... wijów. Dziesiątki ogromnych stawonogów poczyna kłębić się na masce i dachu samochodu...

–Oddychaj Agni! Cztery szybkie płytkie, jeden głęboki! – słyszę rozkazujący głos Toma. Kryję twarz w jego ramionach i staram się, jak mogę, wykonywać zalecane ćwiczenie. Jednocześnie powtarzam rozpaczliwie w myślach „zakłęcie” Boba:

„Asmitamatra... asmitamatra... asmitamatra!...

Powoli się uspokajam, ale dopiero po kilkunastu minutach stać mnie na spojrzenie, co dzieje się za szybą. Nie wiem, czy sprawiły to ćwiczenia oddechowe i powtarzanie mantry, czy może oddziaływanie pola VP uległo osłabieniu – faktem jest że widzę teraz tylko gałęzie i błyszczące w słońcu krople wody pozostałe na szkle po niedawnej ulewie.

Senator siedzi skurczony na podłodze pod tablicą rozdzielczą z głową ukrytą w ramionach. Jest w półprzytomny ze strachu.

–Niech się pan uspokoi, panie senatorze. To tylko halucynacje. Już zresztą chyba się skończyły – staram się przemówić mu do rozsądku, lecz widzę, że nie bardzo reaguje. Sama za to jestem nad podziw opanowana.

Przechylam się przez oparcie fotela i dotykam ramienia senatora. Kurczy się raptownie, ale przywraca mu to przytomność, bo podnosi głowę i spogląda na mnie z lękiem.

–Odleciały? – pyta po chwili.

–Co?

–Muchy. Przecież zaatakowały nas...

–Nie było żadnych much. Czy pierwszy raz znalazł się pan w zasięgu działania vortexu?

Senator gramoli się na fotel, spoglądając z niepokojem na przednią szybę.

–Więc mówi pani, że to właśnie... – nie kończy i zamyśla się. – Widziałem wyraźnie przerażające czarne muchy... Większe od gołębi... To rzeczywiście musiała być halucynacja.

–Czy jest pan w stanie prowadzić wóz? – pyta Tom.

–Spróbuję. Czy te zwidy mogą znów wystąpić?

–Mogą. I obawiam się, że nawet w znacznie spotęgowanej formie. Czy potrafi się pan na tyle opanować, aby nie rozbić samochodu lub nie uciec z wozu?

–Nie wiem. Chyba nie – senator jest szczerze zmartwiony. – Czy w tej sytuacji nie lepiej byłoby wezwać pomoc?

–Skąd? W Zimbe mają z pewnością te same kłopoty co i my, a lot helikopterem w tych warunkach to pewna śmierć. My zresztą nie mamy zamiaru wracać – stwierdza Tom rzeczowym tonem.

Senator ma minę zbitego psa.

–To znaczy? – pyta z lękiem.

–Jedziemy na północ...

–Do Cameo? – senator patrzy na Toma z przerażeniem. – Pan mi nie ufa. A ja naprawdę chcę wam pomóc. To jest jedyne realne wyjście...

–Wysiada pan, czy jedzie z nami? – Tom bawi się z nim jak kot z myszką.

–Jazda do Cameo to szaleństwo! Nawet jeśli przedostaniemy się przez posterunki, to przecież tamtędy nikt nie przejedzie! I po co?

–Myślę, że to jedyna droga do wyjaśnienia zagadki VP – odpowiada Tom i jestem pewna, że w tej chwili mówi prawdę.

CZĘŚĆ V ZA BARIERĄ STRACHU

I.

Droga z rezerwatu do Delft wiedzie poprzez sawannę o gęstych trawiastych zaroślach i rzadko rozrzuconych drzewach, najczęściej olejowcach i baobabach. Dobrze utrzymana, czysta nawierzchnia, a przede wszystkim ustawione co parę kilometrów wieżyczki zautomatyzowanej kontroli ruchu zdają się świadczyć, iż szlak ten jeszcze niedawno musiał odgrywać ważną rolę, chyba nie tylko z uwagi na walory turystyczne tych terenów. Teraz droga jest pusta; jak okiem sięgnąć również sawanna wydaje się opuszczona przez ludzi i zwierzęta. Oczywiście, jest wielce prawdopodobne, że ruch naszego łazika obserwują elektroniczne oczy kamer, niemniej nikt nie próbuje nam przeszkodzić w jeździe, jeśli nie liczyć raz po raz odzywającego się radiotelefonu, którego sygnał ignorowany przez nas, świadczy, że ktoś interesuje się losem senatora Benedicta i doktora Quinty.

Wóz prowadzę ja. Chociaż senator przestał protestować przeciw „szalonemu pomysłowi” Toma i zaniechał już przekonywania nas, że powinniśmy odebrać telefon i wezwać helikopter, nie ulega wątpliwości, że w przypadku ponownego zmanifestowania się anomalii mogą być z nim kłopoty. Co prawda. Tom twierdzi, że w ciągu kilkunastu godzin, a co najmniej aż do zmroku nie należy spodziewać się poważniejszych zaburzeń w tym rejonie, ale ryzykować nie wolno, gdyż parametry podane przez Martina mogły ulec zmianie po rozrośnięciu się vortexu. W miarę zresztą zbliżania się do Cameo natężenie pola wzrasta (jak twierdził Martin – odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości od „oka cyklonu”) i może nawet, w okresie minimum powodować zaburzenia świadomości.

Na razie, aż do Delft podróż odbywa się bez przeszkód. Samo miasteczko, a właściwie osada przemysłowo-rolnicza położona nad brzegiem Mkavo – rzeki, o ile dobrze pamiętam, wpadającej do jeziora Pattona – stwarza wrażenie całkowicie wymarłego lub opuszczonego w panice. Ani śladu ludności czy choćby zmotoryzowanych patroli, którymi straszył nas Benedict. Przez całą drogę nie widziałam zresztą również żadnego helikoptera, co zdaje się potwierdzać przewidywania Toma, a jeszcze wcześniej Gordona, że nikt w obszarze anomalii nie odważa się latać.

Na polecenie Toma zatrzymuję łazik przy pierwszej napotkanej stacji benzynowej. Oczywiście i tu nie ma nikogo, ale dam sobie sama radę. Muszę uzupełnić zapas paliwa, gdyż trzeba się liczyć z tym, iż będziemy jechać bezdrożami przez wiele

godzin i być może jest to ostatnia stacja na trasie. W czasie gdy tankuję paliwo, Tom wysłał senatora do pobliskiego baru, aby przyniósł coś do picia i jedzenia, bo zaczyna nam już dokuczać pragnienie, a nie wiadomo czy dalej uda się gdzieś zdobyć żywność. Boję się trochę, czy nie będzie próbował uciec, zwłaszcza gdyby znalazł samochód, ale Tom mówi, że to nie ma znaczenia.

Po zatankowaniu, czekając na senatora, korzystam z okazji, że jesteśmy sami i pytam Toma jakie są rzeczywiste jego plany, a także dlaczego zignorował ofertę Benedicta. Czy nie zrobił tego ze względu na mnie? Czy też może miał podstawy, aby wątpić w to, że senator dotrzyma umowy?

–Myślę, że Benedict gotów jest rzetelnie dotrzymać umowy – oświadcza Tom i zaraz dodaje: – Rzecz w tym, że ja nie mógłbym jej dotrzymać...

–Rozumiem. Nie można dopuścić, aby się porozumieli – podejmuję domyślnie.

–Nie trafiłaś – Tom uśmiecha się trochę dziwnie. – Wcale nie o to chodzi, chociaż masz rację, że tego niebezpieczeństwa w żadnym przypadku nie należy lekceważyć. Idzie o to, iż ja sam nie wiem, kto kieruje vortexem i jak dotąd nie natrafiłem na żaden ślad owej tajemniczej „antydysozytorni”. I dlatego naprawdę chciałbym spróbować przedrzeć się przez anomalię, aż do „oka cyklonu”. Nie jest to wcale takie beznadziejne jak myślisz. Wiem o vortexie dość sporo. Może nawet więcej niż inni... Wiem też, jak unikać szczególnie niebezpiecznych wpływów anomalii. Istnieje poza tym i ta sprzyjająca okoliczność, że oboje należymy do ludzi wykazujących pewną odporność na działanie vortexu.

–Tego bym o sobie nie powiedziała. Miałam nie gorsze halucynacje od senatora. Były to wije...

–Wróciłaś do normy bardzo szybko.

–Dzięki tobie.

–Nie tylko. Bałaś się, ale potrafiłaś panować nad odruchami i wykonywać moje polecenia. A to dużo znaczy. Trzeba brać pod uwagę, że w porównaniu z Benedictem powinnaś gwałtowniej i ostrzej reagować na vortex. W „forcie” próbowano sztucznie wywołać u ciebie stany lękowe ze szczególnym uczuleniem na wije. Powiązania napięć lękowych z tego rodzaju wyobrażeniami, a więc i omamami zostało w twoim mózgu zaprogramowane, a mimo to nie było z tobą kłopotów.

–Jesteś bardzo miły, ale to nieprawda. Byłam wółprzymna ze strachu.

Tom jednak uparcie broni swojej tezy.

–Bardzo krótko, a stosując odpowiednią terapię, można by cię szybko uwolnić od tych uwarunkowań, gdyż zdaje się nie sięgają zbyt głęboko. Że występuje u ciebie wrodzona odporność na lęki i halucynacje, może świadczyć twoja szaleńcza wyprawa do Martwych Kamieni. Nawet jeśli w tym czasie i obszarze natężenie zaburzeń było mniejsze, czy nawet osiągało minimum, nie znaczy wcale, że całkowicie zanika.

–Miałam halucynacje...

–Oczywiście. Ma je każdy. Oriento i Goldstein również. Rzecz w tym, iż u ciebie były to niemal zwyczajne omamy.

–Przeżyłam jednak moment...

–Mówiłaś – przerywa mi łagodnie. – Ale mogę cię zapewnić, iż niewielu mężczyzn stać byłoby na taką odwagę. I dlatego myślę, że mamy szansę.

–A jeśli się okaże, iż nie potrafię opanować lęku? Z tego, co mówił Barley, wynika, iż w miarę zbliżania się do centrum wiru, siła oddziaływania i częstotliwość maksimów gwałtownie wzrastają. Jak mogę ręczyć za siebie? Już teraz jestem przerażona na samą myśl, co będzie w Cameo! – nie kryję niepokoju. Tom trzyma się jednak uparcie swego planu.

–Myślisz, że ja się nie boję? – mówi jakby miał do mnie żal, że nie entuzjazmuję się perspektywą nowych koszmarnych przeżyć.

–I co z tego? Ładna mi pociecha! A jeśli twoje i Boba metody okażą się zawodne?

–Nie sądzę. Jeśli zresztą rzeczywiście zaburzenia są groźniejsze niż myślę, zrezygnujemy i wycofamy się w kierunku granicy Matavi.

–Czy nie lepiej od razu próbować dotrzeć do granicy? – wstępuje we mnie nadzieja.

–Tak czy inaczej, jedyna względnie bezpieczna dla nas droga prowadzi przez Cameo. Tam na pewno nie ma ludzi Pratta, a jeśli vortex naprawdę zwiększył promień o kilkadziesiąt kilometrów, a nie przesunął się tylko w kierunku południowym, sięga on aż poza granicę z Matavi. Tak więc nikt nas nie powinien zatrzymać. Byłoby głupotą nie skorzystać z okazji. Zastanawiam się, czy naprawdę jest gotów zmienić swe plany czy tylko próbuje zachęcić mnie do podjęcia ryzyka wyprawy w głąb vortexu perspektywą ucieczki do Matavi. Jego nadmierny optymizm w ocenie sytuacji wydaje mi się trochę dziwny.

–Nie ma tu ludzi, ale są kamery. Czy nie sądzisz, że obserwują każdy nasz ruch?

–To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza, że zakłócenia mogą być teraz minimalne – mówi takim tonem jakby chodziło o fakt zupełnie nam obojętny. – Podejrzewam nawet, że wszystkie drogi prowadzące do Cameo, a ściślej na teren anomalii, są już w ten sposób kontrolowane. Od wyprawy Barleya wiele się tu mogło zmienić, a Pratt i Benedict z pewnością nie siedzieli z założonymi rękami. Nie wykluczam też, że za nami jedzie jakiś pojazd, aby w razie czego interweniować, a nie zbliża się tylko dlatego, że liczą, iż zaprowadzimy ich do ośrodka kierującego vortexem.

Znów odzywają we mnie podejrzenia, iż możemy być nadal przedmiotem manipulacji.

–Czy to wszystko, ta cała nasza ucieczka, nie mogła być specjalnie zorganizowana?

–Nie wiem. Ja też o tym myślałem, ale... – Tom waha się. – Nie wszystko pasuje do tego obrazu. Powiedzmy, że małpy w rzeczywistości wcale się nie zbuntowały, lecz były sterowane właśnie w ten sposób, aby wywołać wrażenie, że vortex zwiększył zasięg i sytuacja staje się dramatyczna. Załóżmy, że w ten sposób chcą nas skłonić do działania i odsłonięcia kart. To zbyt naiwne, aby było prawdziwe. Potem, tam na polanie koło drogi, w czasie postoju, dla spotęgowania efektu dają i nam porcję silniejszych bodźców – myśli głośno. – Benedictowi również? Wykluczone. Czy można przyjąć, że był w jakiś sposób uodporniony na działanie pola! To mało prawdopodobne. Rozważmy teraz inny wariant...

Tom nie kończy. Z drugiej strony ulicy, zza pawilonu, w którym mieści się bar dobiega nas przeraźliwy krzyk. Krótki, jednorazowy, nienaturalnie wysoki. Chyba nie senatora. Raczej głos kobiety lub dziecka niż mężczyzny, ale mogę się mylić.

Drzwi baru są zamknięte, a zajęta tankowaniem nie spostrzegłam, którądy Benedict wszedł do tego budynku. Może od tyłu? A może w ogóle nie wszedł, lecz poszedł dalej, szukać jakiegoś sklepu spożywczego? Albo skorzystał z okazji i uciekł?

–Co to było? – przerywa Tom ciszę pełną napięcia.

–Nie wiem...

W tej chwili uświadamiam sobie, że powinnam sprawdzić, kto krzyczał, a ta perspektywa napęła mnie lękiem.

–Czy mam tam iść? – pytam niepewnie.

–Krzyczał ktoś stamtąd, dokąd poszedł Benedict?

–Chyba tak. Czy mógł to być jego głos?

**–Możesz tam podjechać samochodem? – pyta nie odpowiadając na moje pytanie. –
Lepiej byłoby się nie rozdzielać.**

–Spróbuję.

Włączam silnik i zawracam w kierunku baru. Jest to wolno stojący pawilon z wielkim neonem, wyobrażającym węża trzymającego w paszczy butelkę coca-coli. Za pawilonem placyk z parkingiem i nieduży ogródek, ocieniony gardeniami i akacjami.

Wjeżdżam na placyk. Już z daleka dostrzegam wyłamane drzwi, prowadzące prawdopodobnie na zaplecze kuchenne baru. Niedaleko drzwi leży porzucone duże pudło, z którego wystają jakieś puszki i butelki. Senatora nigdzie nie widać, ale podejrzewam, iż zawartość pudła to właśnie jego zdobycz.

Informuję o tym co widzę, Toma i zatrzymuję wóz w pobliżu budynku. Wyjmuję kluczyk ze stacyjki, biorę pistolet, odbezpieczam i staję obok samochodu. Nadal panuje cisza, nawet wiatr ledwo porusza listkami na drzewach. Rozglądam się dookoła. Teren z dwóch stron zamyka kolczasty żywopłot i wątpliwe, aby ktoś zdołał tamtędy przejść. Jedyna droga zdaje się prowadzić przez parking do ogródka. Tam, wśród ozdobnych krzewów i stolików, może się ktoś rzeczywiście ukrywać.

Powinnam również przeszukać wnętrze budynku, lecz nie bardzo się do tego kwapię. Po tym, co przeżyłam w celi z wujem, wszelkie nieznane zamknięte pomieszczenia budzą we mnie lęk. Aby jednak ustrzec się przed atakiem z tej strony, zastawiam wyłamanymi drzwiami otwór wejściowy i proszę Toma, aby usiadł przy kierownicy, a w razie posłyszenia

jakiegoś podejrzanego dźwięku, natychmiast dał sygnał klaksonem.

Teraz dopiero, z bronią gotową do strzału, skradam się pod ścianą pawilonu, a dalej wzdłuż żywopłotu w kierunku ogrodu. Zza rozłożystego, kwitnącego krzewu mam względnie dobry widok. W ogródku – kilkanaście stolików z krzesłami; niektóre przewracane. Pozostawione butelki, szklanki i talerze świadczą o pośpiechu, w jakim opuszczano ten teren. W środku ogrodu niewielki basen z nieczynną fontanną. Za nią kilka wysokich krzewów o bogatym kwieciu i mała kryjąca się za nimi altanka.

Coś poruszyło się w krzakach obok fontanny. Czuję przyspieszone uderzenia serca. Ostrożnie przesuwam się w kierunku wejścia do ogródka. Teraz muszę przebyć kilka metrów otwartej przestrzeni. Robię pierwszy krok i w tym samym momencie zza krzaków wysuwa się twarz... Benedicta. Nie jest wcale zaskoczony moją obecnością. Przeciwnie, patrzy na mnie, dając mi znaki, abym zachowywała się cicho i podeszła do niego. Po chwili docieram do basenu i senatora. Bez słowa wskazuje ruchem głowy przewrócony stolik tuż przy żywopłocie, w odległości około ośmiu metrów od naszej kryjówki. Zza blatu stolika widać zmierzwiłone, jasno blond włosy, ciemno opalone czoło i oczy patrzące z przerażeniem w naszą stronę.

–Kto to? – szepczę do ucha senatorowi.

–Dziecko. Dziewczynka. Przestraszyła się mnie. A przecież nie możemy jej tu samej zostawić...

Zerkam ukradkiem na senatora. Wydaje się szczerze zatroskany. Czyżbym musiała zrewidować swoją opinię o tym człowieku?

–Mnie się chyba nie będzie lękać – mówię szeptem do senatora, a zaraz potem głośno: – Nie bój się mnie, dziecko! – staram się nadać głosowi jak najcieplejszy ton. – Przyjechaliśmy tu po ciebie... – wychodzę z krzaków, przewieszając broń przez plecy.

Dziewczynka milczy i nadal z ukrycia wpatruje się we mnie osłupiałym ze strachu wzrokiem.

–Chodź do mnie! – mówię łagodnie i ruszam wolno w jej kierunku. – Jak ci na imię? Jestem już w odległości kilku kroków od przewróconego stolika, gdy dziewczynka raptownie zrywa się z ziemi. Ma chyba pięć, sześć najwyżej siedem lat. Buzia trochę umorusana, ale spodnie na szelkach, jasna bluzka i buciki jeszcze w dobrym stanie. Może jednak są tu gdzieś w pobliżu jej rodzice? A jeśli zgubiła się i pozostała sama w osiedlu, to chyba od tego momentu nie upłynęło więcej jak dzień lub dwa. W tej chwili od dziecka dzieli mnie tylko przewrócony stolik i stojące obok niego krzesło.

–Gdzie mieszkasz? – pytam i wyciągam do niej rękę.

Na moment w oczach dziewczynki pojawia się coś na kształt ulgi, ale zaraz potem znów bierze górę strach. Patrzy raz po raz to na mnie, to znów na krzewy, w których schował się Benedict.

–Niech pan wraca i poczeka przy samochodzie – mówię do senatora. – Proszę zachowywać się jak najspokojniej i tak, aby widziała, że pan odszedł!

Dziewczynka rozgląda się rozpaczliwie dookoła, jakby szukając kryjówki.

–Nie bój się mnie! Gdzie są twoi rodzice? – pytam, siadając na krześle. Ale dziewczynka w tej chwili nie patrzy na mnie i zdaje się nie słyszeć mojego głosu. Widocznie dostrzegła senatora wychodzącego z ukrycia i ze strachem obserwuje jego ruchy. Jest wyraźnie spięta i gotowa do ucieczki. W miarę jednak jak Benedict oddala się, napięcie nerwowe dziecka szybko słabnie, a moja obecność zdaje się budzić więcej zaciekawienia niż lęku.

–Masz na imię Margerita? – próbuję skłonić dziewczynkę do rozmowy.

Kręci przecząco głową, ale nic nie odpowiada...

–A może Mary lub Ellen?

Znów przeczący ruch głową.

–Ja mam na imię Agni. A ty?

Patrzy na mnie niepewnie.

–Alicja – odpowiada cicho.

–Bardzo ładne imię! Mieszkasz tu niedaleko?

Potwierdza kiwnięciem głowy. Już się mnie nie boi, jest tylko nieufna.

–Zaprosisz mnie do swojego domu?

Chwila wahania, potem przeczący ruch głowy.

–Dlaczego nie chcesz mnie zaprosić? Pokażesz mi swoje lalki. Na pewno są bardzo ładne! – próbuję przełamać nieufność, ale okazuje się, że wcale nie o to chodzi.

Dziewczynka pociąga noskiem i chyba za chwilę wybuchnie płaczem. Wstaję z krzesła. Ona też robi krok ku mnie, jakby szukając pomocy.

–Co się stało – pytam łagodnie i podchodzę do dziecka.

Łzy jak groch ciekną po policzkach dziewczynki. Obejmuję ją, a ona przyciska mokłą buzię do mojej piersi i zanosi się szlochem.

Przytulam ją do siebie i gładzę po włosach.

–Nic się nie martw, Alicjo. Wszystko będzie dobrze. Powiedz mi co się stało, a na pewno coś się da zrobić – plotę bez ładu i składu, bo nic mądrego do głowy mi nie przychodzi. Wytrąca mnie z równowagi ten płacz, chociaż zdaję sobie sprawę, że łzy są tu najlepszym lekarstwem.

Alicja powoli się uspokaja. Jeszcze trochę pochlipuje, lecz już coraz częściej zerka na mnie. Zauważa przewieszony przez plecy automat, ale nie budzi to jej niepokoju. Przeciwnie – dotyka palcami kolby, bardzo ostrożnie, choć bez obawy i uśmiecha się do siebie,

–Tatuś ma taki sam – mówi cicho, tak jakby chwaliła się posiadaną zabawką.

–Gdzie jest twój tatuś? – pytam, korzystając z okazji. Twarz dziewczynki poważnieje.

–Nie wiem... Miał przyjechać po nas – dodaje po chwili. – Wszyscy pojechali, i Diana, i Mark, i Simmlerowie, a ja czekam i czekam... – znów jej się zbiera na płacz.

–Mówiłaś, że ojciec miał po was przyjechać. To znaczy po kogo? Jesteś tu z mamą? Czy może babcią?

W oczach Alicji pojawia się lęk.

–Mamy nie ma... Zaraz po tym jak Simmlerowie pojechali, w nocy przyszło takich dwóch włochatych, strasznie brzydkich, zielonych... Mama okropnie się ich bała, krzyczała. A oni ją zabrali. Mnie też szukali, wołali mnie, ale schowałam się w piwnicy za workami i nie znaleźli... Byli straszni, podobni do pajaków... Nawet Maks i Bis uciekli. I zostałam sama.

–Maks i Bis?

–To mój pies i kot. Myślałam, że wrócą, bo zawsze wracali. Ale nie wrócili... Musieli się bardzo przestraszyć, albo może ich też zabrali, jak mamę...

–Kiedy to było?

–W niedzielę. A jak wszyscy zaczęli wyjeżdżać, przyszedł tatuś i powiedział, abyśmy czekały, bo był na służbie i nie mógł od razu z nami pojechać. Mamusia mówiła, że czuje się niedobrze, nawet kolacji nie jadła, tylko bardzo się bała o mnie i tatusia. A Maks to już wtedy wybiegał parę razy, ale wracał. A potem przyszli ci okropni włocharci i zabrali mamę i nasz samochód. Jak przestałam się bać i wyszłam rano z domu, to już go nie było...

–Więc czekasz na ojca już drugi dzień. Czy oprócz ciebie pozostał jeszcze ktoś w miasteczku?

Dziewczynka patrzy na mnie i zastanawia się.

–Nie wiem. Telefonowałam do taty, ale nic nie było słyhać. Więc poszłam go poszukać do bazy. Ale brama była zamknięta i nie było nawet strażnika. Byłam na poczcie i u państwa van Vereen. Nawet u wielbnego Golda. Wszyscy wyjechali. Potem dzwonił telefon, ale wołano tylko: „halo, halo”.

–I nikt tu wczoraj ani dziś się nie pokazał?

Alicja spogląda w kierunku pawilonu.

–Nikt. Był tylko Chińczyk i ten co teraz poszedł...

–Mieszkają tu u was Chińczycy? – pytam trochę zaskoczona, bo przecież Duskland szczyli się „najczystszy rasowo” społeczeństwem.

–Nie – zaprzecza Alicja wyraźnie zdziwiona, że mogłam zadać tak niedorzeczne pytanie. – To nie był prawdziwy Chińczyk. Ale był bardzo dobry dla mnie i wcale go się nie bałam.

–Chcesz powiedzieć, że przyszedł tu jakiś człowiek podobny do Chińczyka?

–Ależ nie. To był mój Chińczyk, tylko dużo większy... A nie żaden człowiek!

Zaczynam podejrzewać, na czym polega nieporozumienie.

–Ten twój Chińczyk to lalka? Prawda?

–No jasne. A pani myślała, że żywy Chińczyk – śmieje się ze mnie. – Ale jak urósł i przyszedł żywy, choć tak samo nieprawdziwy.

–Kiedy przyszedł?

–Wczoraj wieczorem, jak siedziałam na schodkach i płakałam. Chciał, żebym z nim pojechała, ale mu powiedziałam, że muszę czekać na tatę.

–Był samochodem?

–Nie. Motorem, takim ładnym, żółtym, ze skrzydłami.

–I o czym mówił jeszcze?

–Mówił, że jeśli tatuś nie przyjedzie jutro, to wróci tu po mnie. I że jestem pewno bardzo głodna, a jak powiedziałam, że tak, to powiedział, że zaprasza mnie na kolację i poszliśmy do „Gościnnego Węża”.

–To znaczy tutaj. Czy bar był otwarty? – pytam zastanawiając się, co w tej opowieści jest naturalnym tworem wyobraźni dziecka, a co sztucznie wywołaną przez vortex halucynacją.

–Zamknięty. Ale Chińczyk wziął gruby karabin, co błyska i otworzył. On bardzo jasno zaświecił i zaraz drzwi całe poleciały. Mówiłam mu, że to niedobrze, bo jak wróci pan Heller, to będzie się gniewał, ale on powiedział, żebym się tym nie martwiła, bo on zna pana Hellera i wszystko mu wytłumaczy i za wszystko zapłaci.

Potem zapalił wszystkie światła i włączył muzykę i przyniósł różne dobre rzeczy z kuchni i bufetu, i było bardzo fajnie. Ale ja ciągle myślałam o tacie i mamie, więc Chińczyk chciał, aby było wesoło i robił różne śmieszne rzeczy: raz się robił żółty, to znów zielony a nawet czarny jak czarnuch. Potrafił się robić mały, mniejszy ode mnie, albo wysoki, aż do sufitu i bardzo cienki, jak patyk. Widać był z gumy. Nawet z początku trochę się go bałam, ale bardzo krótko. To był strasznie śmieszny Chińczyk!

–Jak był ubrany?

–Zwyczajnie. Jak mój Chińczyk.

–I co było dalej, po tej kolacji?

–Już nic. Spytał tylko jeszcze raz, czy z nim nie pojedę, a jak powiedziałam, że nie, poszedł ze mną aż do domu i powiedział, abym już nigdzie nie wychodziła i poszła spać. A potem odjechał.

–Mieszka gdzieś niedaleko? Znałaś go wcześniej?

–Przecież mówiłam, że to był Chińczyk! – oburza się dziewczynka.

–Znał twoje imię?

–Skąd...? Mówił do mnie „mała”... Dopiero później, jak mu powiedziałam, to mówił „Alicja”. I że jak pojedę z nim, to będę Alicją z krainy czarów... Jak w książce.

–A nie powiedział dokąd chciał cię zabrać?

–Mówił, że do Cameo. A wtedy mu powiedziałam, że tatuś mówił, że w Cameo nikogo nie ma, a on na to, że to nieprawda i wtedy nie chciałam z nim rozmawiać. Ale on wtedy powiedział, że tato wcale nie kłamał, tylko nie wiedział, że tam są tacy Chińczycy jak on więc już się nie gniewałam.

–Mówił o Chińczykach?

Alicja zastanawia się chwilę.

–Mówił, że tacy jak on.

–Chciałabyś tam pojechać?

–Nie wiem. Chciałabym do tatusia... do mamy... – znów zaczyna zbierać się jej na płacz. Nie ma już czasu ani potrzeby przedłużać indagacji.

Muszę naradzić się z Tomem, co zrobić z małą. W naszej sytuacji o decyzję na pewno nie będzie łatwo. Powinnam tę rozmowę przeprowadzić bez świadków, a wolałabym dziewczynki nie zostawiać tu samej, bo znów się czegoś przestraszy i ucieknie.

–Jesteś na pewno głodna? – wpada mi do głowy sposób rozwiązania kilku problemów na raz.

Kiwa potakująco głową i przelyka ślinę.

–Ja też! – oświadczam, zresztą szczerze, i biorę ją za rękę. – Pójdiesz ze mną poszukać czegoś do zjedzenia w „Gościnnym Wężu?”

–Czy tam jest... ten... co poszedł? – patrzy mi w oczy z niepokojem.

–Nie bój się tego pana – staram się rozproszyć jej obawy. – On nie chciał ci zrobić nic złego. Gdzie go spotkałaś?

–Tam... – wskazuje ruchem głowy pawilon. – A on nie zmieni się w pająka?

–Nie. Nie masz się czego obawiać! – mówię z uśmiechem, choć naprawdę nie jestem tego aż tak pewna. – Myślę, że ten pan przestraszył się ciebie jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy krzyknęłaś. On też przyszedł tu szukać jedzenia, tak jak i ty...

–Byłam głodna i szłam do „Węża”. A tu słyhać, że ktoś przyjechał. Myślałam, że tatuś, a potem że pan Heller. I trochę się bałam, że zobaczy te drzwi... A tu ktoś rozmawia przez telefon. Myślałam, że to Romi Lang od tatusia i bardzo się ucieszyłam. Ale gdy weszłam, to już nie było słyhać rozmowy, tylko coś się ruszało za bufetem. I wychodzi taki wielki, kwadratowy, i oczy mu się świecą... I zaczął mnie gonić.

–Ten pan wynosił duże plastikowe pudło... – śmieję się już szczerze. Dziewczynka patrzy na mnie, a potem sama wybuchą śmiechem. Teraz już chyba nie będzie z nią kłopotu.

–Idziemy?

–Idziemy! – rusza śmiało w kierunku pawilonu. W jego cieniu spaceruje Tom z senatorem.

–Jest jeszcze drugi pan – wyjaśniam po drodze, aby nie było niespodzianek. – On nie widzi. I ja się nim opiekuję.

–Nie widzi... – powtarza Alicja ze zdziwieniem i żalem. Senator już nas zauważył i mówi coś do Toma. Nie wolno mi tracić czasu – za kilka minut mogą się tu zjawić ludzie Pratta.

–Wiesz Alicjo? Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli zabierzemy z baru wszystko co trzeba i urządzimy małe przyjęcie u ciebie w domu. Co o tym myślisz?

–Świetnie! – cieszy się dziewczynka. – Jakby tatuś przyjechał, to nas zastanie.

–Nic nie mów, że jedziemy do twojego domu. To będzie niespodzianka.

Alicja jest zachwycona.

Przecinamy parking i podchodzimy do łazika.

–Pozwólcie, że wam przedstawię moją nową przyjaciółkę! – mówię uroczystym tonem. – To jest Alicja!

–Dzień dobry panom! – widać, mała wie jak się zachować.

–Witaj Alicjo! – odpowiada Tom, a senator dodaje:

–Nie boisz się już mnie?

–Nie boję!

–Czy załadował pan już żywność, senatorze? – przechodzę do rzeczy. – Trzeba uwzględnić jeszcze jedną osobę i to nieźle wygłodniałą.

–Mogę jeszcze coś przynieść – senator idzie wolno w kierunku zastawionego drzwiami wejścia.

–Niech się pan pośpieszy! Zaraz ruszamy.

Senator odstawia drzwi i wchodzi do wnętrza pawilonu, a ja mówię szeptem do Toma:

–Dzwonił gdzieś. Chyba do Pratta. Alicja słyszała.

Tom nic nie mówi, a mała patrzy na mnie trochę zdziwiona.

–Wsiadajcie! Ty Alicjo z przodu, będziesz mi pokazywała drogę.

–Świetnie! – cieszy się dziewczynka.

–Spróbuj ę odłączyć zasilanie aparatury radiowej – mówię szeptem do Toma.

Potwierdza skinieniem głowy.

Na szczęście podłączenie jest proste i łatwo dostępne. Po paru minutach niebezpieczeństwo podsłuchu czy namiaru mamy już z głowy.

–Panie senatorze, czekamy! – wołam do sionki.

–Już idę!

Rzeczywiście, za chwilę zjawia się z jeszcze jednym, nieco mniejszym pudłem. Polecam mu, aby usiadł obok Toma. Wyjeżdżamy na drogę. Żadnej wieżyczki z kamerą w pobliżu nie widzę. Skręcam w kierunku na Cameo.

–Dobrze jedziemy? – pytam Alicję.

–Dobrze! Aż do kościoła.

–Powiesz mi gdzie mam skręcić.

–Dokąd jedziemy? – pyta senator z niepokojem.

–Do domu Alicji.

–Chce pani ją zostawić?

–Nie chcę – odpowiadam w taki sposób, że niczego to nie wyjaśnia.

Przed nami zza drzew wylania się kościół.

–Za kościołem będzie apteka i to już nasza ulica... – objaśnia Alicja.

Osiedle tworzą parterowe i jednopiętrowe wille w gęsto zadrzewionych ogrodach. Na to właśnie liczę. Około dwustu metrów od zakrętu Alicja wskazuje biały domek pod palmami. Wjeżdżam w otwartą bramę i stawiam łazik za domem, tak aby nie był widoczny ani od strony drogi, ani też z góry z helikoptera.

–Teraz możemy umyć się, spokojnie coś zjeść i odpocząć, prawda Alicjo? – mówię wysiadając.

–Tak, proszę pani.

–Prowadź nas.

Senator wyraźnie się ociąga z wyładowaniem żywności.

–Mówił pan, doktorze, że mamy czas tylko do wieczora – zwraca się do Toma pomagając mu wysiąść. – Może lepiej jechać dalej, aby dotrzeć do Cameo przed zmrokiem? Już dochodzi czwarta...

–Rzeczywiście trzeba się zastanowić. Albo zaraz ruszymy, albo tu przenocujemy.

–Ja głosuję za przenocowaniem – patrzę z uwagą na senatora, jak zareaguje. Jest coraz bardziej zdenerwowany.

–Ja też – woła Alicja.

–Być może rzeczywiście lepiej poczekać do rana – Tom jakby się jeszcze wahał, choć z pewnością wie, o co mi chodzi. – Zwłaszcza, że trzeba jeszcze wyjaśnić niektóre kwestie...

–To znaczy? – senator patrzy podejrzliwie na Toma.

–Panie senatorze, proponuję przede wszystkim, abyśmy coś zjedli. Alicja i Agni są głodne, ja również. I chciałbym się wreszcie umyć po tych przygodach z małpami. Pan zresztą też chyba był zbyt zajęty szukaniem żywności i nie tylko... – zawiesza głos znacząco.

Senator już nie oponuje. Bierze mniejsze pudło z żywnością i idzie za Alicją. Ja prowadzę Toma.

Wnętrze domku jest schludne, nowocześnie urządzone, choć w sposób typowo mieszczański. W saloniku na konsoli sporo bibelotów i duże zdjęcie młodej blondynki i starszego od niej mężczyzny w mundurze, głowa przy głowie. Alicja mówi, że to jej rodzice.

W całym mieszkaniu znać na każdym kroku rękę zapobiegliwej gospodyni o trochę prymitywnych gustach. Śladów nocnych wydarzeń sprzed dwóch dni nie widać, jeśli nie liczyć stłuczonego wazonu i zerwanej zasłony-moskitiery przy drzwiach wejściowych. Oprawdając mnie po domu Alicja, oczywiście, pokazuje mi swoje lalki. Jest też „Chińczyk”, o którym wspominała – plastikowy skośnooki bobas w szacie przypominającej piżamę w „barwach ochronnych”. Buzię ma dość sympatyczną, chociaż nie wiadomo dlaczego, jest ona bardziej zielona niż żółta.

Senator, który sam ofiarował się przygotować posiłek, nie traci czasu i już po dziesięciu minutach siadamy do stołu. Czyżby jeszcze liczył, iż zdecydujemy się ruszyć w dalszą drogę? Ale Tom nie spieszy się z ujawnianiem swoich dalszych planów i je w milczeniu. Dopiero gdy opowiadam, co usłyszałam od Alicji, włącza się do rozmowy i poczyną ją wypytywać najpierw o ojca, a potem o tajemniczego „Chińczyka”. Ojciec nazywa się Ernest David Ives i jest tu czymś w rodzaju szeryfa. Niewiele jednak nowego możemy dowiedzieć się od dziewczynki o „Chińczyku”, a co gorsza niektóre szczegóły są z pewnością tworem wyobraźni dziecka, pobudzonej halucynogennym wpływem vortexu. Niestety, nie udaje się określić dokładnej godziny odwiedzin, do czego wyraźnie dąży Tom.

Najciekawszy nowy fakt, jaki udaje się Tomowi wyciągnąć z małej, dotyczy uzbrojenia rzekomego „Chińczyka”. Miał on jakoby nosić na szyi „gruby karabin strzelający cichym ogniem”. Alicja twierdzi, że „Chińczyk” strzelił przy niej z tego „karabinu” nie tylko do drzwi w barze, ale także do wielkiego pająka na palmie i pająk się spalił.

Tom pyta senatora, czy w Cameo produkowano również broń laserową i czy opis owego „grubego karabinu” może jej odpowiadać. Benedict niechętnie potwierdza, choć zastrzega, że „nie bardzo się orientuje”. Widać jednak, iż wzmianka o „Chińczykach” w Cameo w połączeniu z opisem broni potęguje jego niepokój i rozdrażnienie. Proponuje też, abyśmy poszli sprawdzić palmę, o której wspomniała Alicja.

Wychodzimy w trójkę do ogrodu, pozostawiając Toma przy stole. Rzeczywiście, u nasady korony kokosowej palmy widać ciemne ślady, jakby przypalenia rozpalonym żelazem. Miejsce to położone jest jednak zbyt wysoko, aby orzec coś konkretnego. Wracamy do stołu. Tom wyraża zdanie, że być może tajemniczy „Chińczyk” spełni przyrzeczenie i odwiedzi wieczorem Alicję, co byłoby dodatkowym argumentem na rzecz pozostania na noc w tym domu. Mówi też o konieczności zastosowania odpowiednich środków dla zabezpieczenia się przed skutkami zaburzeń psychicznych, które prawdopodobnie wystąpią w okresie kolejnego wzrostu oddziaływania anomalii. Maksimum, zdaniem Toma, powinno wystąpić w nocy lub

najpóźniej wczesnym rankiem ale brak danych wyklucza dokładniejszą prognozę. Aby przeciwdziałać gwałtownym, instynktownym reakcjom, a zwłaszcza panicznej ucieczce, Tom proponuje spętanie sobie nóg i wzajemne powiązanie się liną. Z uwagi jednak na to, że z senatorem mogą być szczególne kłopoty i może nam „ściągnąć na głowę nieproszonych gości” zastanawia się, czy nie należałoby zamknąć go związanego w piwnicy.

Widzę, jak Benedict mieni się na twarzy i patrzy na Toma i na mnie z przerażeniem. Tom zresztą celowo, dla spotęgowania efektu psychologicznego, zawiesza głos i nastaje przy stole całkowita cisza. Nawet Alicja nie śmie się odezwać, tylko patrzy na mnie pytająco, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. Ta cisza trwa dość długo, chyba ze dwie minuty, wreszcie senator opanowuje się i postanawia zagrać w otwarte karty:

–Pan się myli, panie doktorze – oświadcza cicho, lecz z naciskiem. Jest nad podziw spokojny. – Pozostanie tutaj, czy nawet uwięzienie mnie niczego nie rozwiąże, tylko niepotrzebnie skomplikuje sytuację. Myślę, że tak samo wam, jak i nam, zależy na czasie. Telefonowałem do Pratta, to prawda, lecz nie po to, aby mnie uwolniono, a was uwięziono. Proszę mi wierzyć. Telefonowałem właśnie dlatego, aby zapobiec zbytecznej, bezsensownej interwencji. Prosiłem o ochronę, ale również dla waszego, dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. I ma być to ochrona dyskretna, niewidoczna, z dużej odległości. Dlatego nie

ma sensu tu się ukrywać. Jeśli znikniemy, wywoła to niepotrzebne zamieszanie, zaniepokojenie. Ogłoszą alarm. Niepotrzebnie narażone zostanie życie ludzkie. Mam na myśli patrole powietrzne. Obecnie loty nad tym obszarem są zakazane, podobnie jak nad Cameo i innymi obszarami anomalii. Patrole zmotoryzowane nie wchodzą w teren głębiej niż na parę kilometrów od strefy zerowej. To znaczy strefy, w której zwierzęta doświadczalne nie przejawiają tropizmu ujemnego na vortex. Tylko w przypadku specjalnych akcji dopuszcza się głębszą penetrację.

–Jak na przykład ochrony senatora Benedicta... – wtrącam raczej z przekory niż złośliwości.

–Tu nie chodzi o mnie, lecz o wyjątkową wagę sprawy. W naszym przypadku patrolom zakazano zbliżać się do nas na odległość mniejszą niż dwa kilometry. Interweniować wolno im tylko na specjalny rozkaz. W razie pojawienia się omamów utrudniających jazdę mają niezwłocznie zatrzymać się i działać na piechotę. Mamy niestety nadal duże straty w tego rodzaju patrolach, mimo że są to ludzie wyselekcjonowani i specjalnie szkoleni. Ciągłe jeszcze zbyt mało wiemy o naturze tej piekielnej anomalii.

–Na co pan liczy, senatorze? – pyta Tom z powagą.

–Powiedział pan, że klucz do kontaktu z naszymi przeciwnikami znajduje się w Cameo.

–Obawiam się, że niezupełnie prawidłowo zrozumiał pan sens moich słów...

Senator patrzy na Toma z niepokojem.

–To znaczy...? Wprowadził mnie pan na fałszywy trop...

–Bynajmniej. Rzecz w tym, że sformułowałem to nieco inaczej. Powiedziałem, że przez Cameo prowadzi droga do wyświecenia zagadki vortexu!

–Czy to nie to samo?

–Być może to samo, ale być może również nie to samo... – mówi Tom, a ja czuję, że gra między nim a senatorem wkracza w decydujące stadium.

–Co pan chce przez to powiedzieć? – denerwuje się Benedict.

–Przede wszystkim to, że gotów jestem zawrzeć z panem porozumienie, lecz na moich warunkach. Myślę zresztą, że nie ma pan wyboru, podobnie jak ja. Z tym, iż

nie jest to przymus, a raczej kalkulacja. Opłaci mi się skorzystać z waszej pomocy. Przyjmuję, że był pan szczery i w zasadzie informacje są prawdziwe, choć może niepełne. A więc szczerść za szczerść: nie wiem kto i w jaki sposób kieruje vortexem, a więc nie mogę panu, senatorze, zagwarantować kontaktu. Nie znaczy to jednak, iż nie wiem nic. Myślę, że rozwiązanie zagadki znajdziemy w „oku cyklonu”, przy czym Cameo jest ważnym etapem na tej drodze. Dlaczego tak jest, nie widzę potrzeby panu wyjaśniać. I proszę się nie łudzić, że znam sposób bezpiecznego przejścia przez obszar zaburzeń. To, co przeżył pan w rezerwacie, było zaledwie łagodnym muśnięciem anomalii. Ale wiem, że przejście jest możliwe i że można w pewnym stopniu złagodzić skutki zaburzeń psychicznych. Przyjechałem zresztą do Afryki po to, aby wyjaśnić sprawę VP i gotów jestem podjąć ryzyko. Być może jest to sprawa takiej wagi, że żadna cena dotarcia do prawdy nie jest za wysoka...

–Zgadza się z panem, doktorze i gotów jestem zrobić wszystko, aby się nam powiodło – wtrąca senator z przejęciem, choć brzmi to, jak na mój gust, zbyt patetycznie. Nie tylko zresztą na mój...

–Powiedzmy... – gasi go Tom oschle. – Muszę pana ostrzec, że cele nasze są w istocie odmienne i wcale nie mam zamiaru ułatwiać „dyspozytorni” dogadania się z „antydispozytornią”, chociaż wiem, jaka jest alternatywa w przypadku niedogadania się... Liczę jednak, iż jest pan człowiekiem rozsądnym i zdaje sobie sprawę, że reprezentuję nie tylko siebie. Radzę więc, widzieć szerzej problem niż tylko z pozycji interesów pańskich mocodawców, którzy nota bene wcale nie są wobec pana tak lojalni, jak pan myśli...

Nie orientuję się zupełnie, o czym Tom mówi, ale widzę, że słowa jego wywierają duże wrażenie na senatorze.

–Dlatego nie mam zamiaru pana zmuszać – ciągnie Tom – aby nam pan towarzyszył aż do Kotliny Timu. Jednak jeśli pan się na to zdecyduje i nie zawróci z drogi, musi się pan zdecydować, czy idzie pan ze mną czy przeciw mnie. Z wszystkimi tego konsekwencjami... Chyba dość jasno się wyraziłem?

–Tak, ale...

–Nie żądam od pana żadnych deklaracji. Zrobi pan to, co uzna za stosowne. To było tylko ostrzeżenie. A teraz moje warunki: do Cameo i w Góry Żółte jedziemy tylko w trójkę. Nie życzę sobie żadnej obstawy, nawet z odległości nie dwóch a dziesięciu kilometrów. Zresztą poza Cameo żaden patrol dotąd się nie przedostał. O tym dobrze wiemy obaj... Najlepiej w ogóle wycofać wszystkie patrole z terenu anomalii. W przypadku gdyby pan chciał zrezygnować, będzie to możliwe dopiero w Cameo, gdzie chciałbym dojechać samochodem. W góry pójdę lub pojadę wówczas tylko z Agni. Chciałbym też mieć do dyspozycji pewne określone materiały i tak długo, jak to możliwe, otrzymywać na bieżąco informacje o stanie anomalii przez radio. W tym celu połączy się pan telefonicznie z Pratem czy kim trzeba i każe dostarczyć helikopterem do najbliższego obozu uchodźców, o których pan wspominał, następujące przedmioty, niech pan notuje: dokładną wojskową mapę terenów objętych vortexem, szczegółowy plan Cameo z zaznaczeniem na nim zakładów zbrojeniowych, a zwłaszcza produkujących pojazdy gąsienicowe i opancerzone poduszki. Będziemy również potrzebowali instrukcji obsługi tych pojazdów. Niech pan też nie zapomni o lekkim nadajniku i odbiorniku z magnetofonem, a także dwóch latarkach z zapasem baterii. I jeszcze, zwłaszcza ze względu na pana: leki uspokajające i środki nasenne o szybkim, lecz krótkotrwałym działaniu. Może zresztą wystarczy pistolet gazowy typu obronnego. Taka broń w ogóle może się przydać. Nie są to chyba żądania wygórowane. Wszystkie przedmioty oraz zapasy żywności na pięć dni mają być pozostawione przy drodze z Delft w odległości kilkuset metrów od bramy obozu. Trzeba też wydać polecenie, aby odnaleziono ojca lub matkę Alicji, a w ostateczności kogoś z dalszych krewnych albo sąsiadów i osoba ta ma czekać w tym samym miejscu na drodze, bez żadnej asysty. Nie zostawimy cię tu, Alicjo – zwraca głowę w kierunku gdzie siedzi dziewczynka. – Jeśli do jutra twój tatuś nie przyjedzie po ciebie, spróbujemy go poszukać... No, co ty na to?

Ale Alicja nie słyszy pytania. Niewyspane, zmęczone, wyczerpane nerwowo lawiną wydarzeń i osamotnieniem dziecko śpi z główką opartą na moim ramieniu. Nagłe odprężenie i cicha, z pozoru spokojna rozmowa, której treści nie bardzo rozumie, wyzwoliły sen.

–Alicja usnęła... – mówię szeptem do Toma. Biorę dziewczynkę na ręce, zanoszę na górę do jej pokoiku i kładę na łóżeczku wśród lalek. „Chińczyk” spogląda na mnie

przyjaźnie...

Chwilę pozostaję przy dziecku. Dziewczynka śpi spokojnie, nawet uśmiecha się przez sen. Co jej i nam przyniesie nadchodząca noc?

Na dole senator z Tomem tkwią przy telefonie, usiłując połączyć się z Dusk. Widocznie jednak na linii lub w automatycznej centrali coś nie w porządku, gdyż tak jak mówiła Alicja, w słuchawce słychać tylko „halo” i „kto mówi?”. Połączenia zaś przez nadajnik dżipa Tom nie chce ryzykować.

Nie ma rady – muszę z senatorem pojechać jeszcze raz pod „Gościnnego Węża”. Może stamtąd uda się przeprowadzić tak w tej chwili ważną rozmowę. Tom zostanie z dzieckiem i nikogo nie wpuści póki nie wrócimy.

Słońce zachodzi, gdy znów stajemy za barem. Przyglądam się wyważonym drzwiom. Zawiasy zostały chyba przecięte palnikiem laserowym. To odpowiada temu, o czym mówiła Alicja. Telefon jest nadal czynny, ale dopiero po kilku nieudanych próbach zdobycia połączenia udaje nam się dodzwonić pod znany tylko senatorowi, poufny numer i złapać Pratta. Zapamiętuję ten numer, a gdy senator przekazuje polecenia Toma, stoję obok i podsłuchuję co mówi pułkownik. Pratt nie wydaje się zachwycony wiadomością, że chcemy przejść przez vortex i bardzo sceptycznie ocenia szansę powodzenia „szaleńczej eskapady”.

Niemniej, zgadza się z Benedictem, iż „w obecnej sytuacji trzeba zaryzykować” i zobowiązuje się spełnić wszystkie żądania Quinty, zwłaszcza, że może to otworzyć perspektywę współpracy. Ostrzega jednak, senatora, żeby nie ufał ani Quincie, ani mnie i pamiętał, że jedyną gwarancją jego bezpieczeństwa jest „program R”. W tym miejscu Pratt dodaje, że z pewnością doktor Quinta słucha tej rozmowy, a więc zobowiązuje go, aby senator Benedict uczestniczył osobiście w utrzymywaniu radiowego kontaktu. Ostrzega też, iż przerwa w łączności trwająca dłużej niż trzy dni, może spowodować podjęcie decyzji „tragicznej w skutkach”. Ta część rozmowy nie jest dla mnie w pełni zrozumiała, ale domyślam się, że chodzi tu o jakąś formę szantażu.

Polecenie odnalezienia Ernesta Ivesa jest pewnym zaskoczeniem dla pułkownika, ale gdy się wyjaśnia, że chodzi o pozostawione w Delft dziecko, a nie żadną polityczną sprawę, przyrzeka, iż wyda odpowiednie rozkazy. Przekazanie Alicji i odbiór przesyłki ma nastąpić na drodze do obozu uchodźców w Abe w pobliżu Delft.

Pratt próbuje teraz wypytywać senatora o szczegóły rozmowy z Tomem i – jak podejrzewam – przekazuje mu jakieś informacje umówionym kodem. Przerywam więc połączenie. Senator nie okazuje jednak z tego powodu niezadowolenia. Wydaje się być dobrej myśli i gra znów rolę dyskretnego adoratora i dżentelmena w każdym calu, jak w czasie naszych spacerów w ogrodach rezydencji Knoxa.

Zmrok już zapadł, gdy opuszczamy „Gościnny Węże”. Osiedle tonie w ciemnościach i drogę oświetlają nam tylko reflektory łazika. Tym razem wóz prowadzi senator i prawdopodobnie próbuje ukryć niepokój, jaki budzą w nim opustoszałe ulice i domy, bo stał się przesadnie rozmowny. Mówi, że im lepiej mnie poznaje tym bardziej żałuje, iż nie spotkał wcześniej, w warunkach, które zbliżyłyby nas do siebie, a nie oddalały. Tymczasem od chwili, gdy mnie poznał, wszystko sprzysięgło się, aby pozbawić go możliwości pozyskania mojego zaufania i przyjaźni, choć tak bardzo chciał, aby było inaczej... Twierdzi, iż zdawał sobie od początku sprawę, że jestem przeciwieństwem Nietzscheańskiego ideału kobiety, a już z pewnością nigdy nie obdarzę uczuciem swego dozorca i dręczyciela. I właśnie dlatego, choć to, co powie, nie jest może rozsądne, jak by to określił pułkownik Pratt, ale cieszy się, że jestem wolna, a i on w istocie współdziała z nami na zasadzie dobrowolności, co budzi w nim nadzieję, że inaczej zacznę patrzeć na niego. Za tym, że to jest realne, zdaje się przemawiać fakt, iż – choć mu czasem dokuczałam – nigdy nie okazywałam jawnej nienawiści ani nie próbowałam go upokorzyć. Były nawet sytuacje, że wyczuwał coś, co chciałby uznać za „odruch sympatii”...

Słucham tych bzdur i zastanawiam się, co w tym jest szczerze, a co podyktowane lisią taktyką. Najchętniej zapytałabym go, jakim to „programem R” grozi nam Pratt,

lecz być może nie należy ujawniać, że nic o tym nie wiem. Muszę koniecznie znaleźć okazję do rozmowy z Tomem bez świadków. Gdyby tak można było dać coś Benedictowi na sen...

Właśnie minęliśmy kościół i dojeżdżamy do apteki przy zakręcie. Ochronna żaluzja w drzwiach jest opuszczona tylko do połowy. Widać w pośpiechu zapomniano domknąć.

–Niech pan zatrzyma wóz przed apteką – przerywam senatorowi jego monolog. – I niech pan weźmie latarkę i oświetli wejście! Może znajdziemy tu coś, co się nam przyda. Noc może być ciężka.

–Jest pani genialna? Przecież muszą tu mieć jakieś środki uspokajające! Świetny pomysł – wpada w nienaturalny entuzjazm.

–Ma pan jakiś łom lub toporek? – staram się sprowadzić go na ziemię.

–Na pewno coś się znajdzie!

Wyskakuje z wozu i otwiera schowek w bocznej ścianie karoserii, a ja podchodzę do drzwi apteki i próbuję odepchnąć w górę żaluzję. Trochę zgrzyta, ale ustępuje. Podchodzi senator z łomem i latarką. Okazuje się jednak, że drzwi nie są zamknięte. W szczelinie między stalową framugą i oszklonymi drzwiami, w pobliżu zamka – stopiony metal. Widzę

jak światło latarki senatora poczyzna drzeć.

Wchodzimy do apteki i włączam wewnętrzne oświetlenie. Wyraźnie widać, że ktoś tu już myszkował. Chyba zresztą szukał tego samego co my, bo szuflada ze środkami nasennymi i psychotropowymi jest wypróżniona, zaś na zapleczu pancerna szafka na narkotyki nosi liczne ślady palnika laserowego. Włamywacz nie był jednak fachowcem i nie starczyło mu cierpliwości lub też generator palnika miał ograniczoną moc, bo pancernych drzwiczek nie udało mu się sforsować. Niestety i nasza zdobycz okazuje się dość skromna: dwie fiołki środków nasennych pozostawione przez włamywacza w oszklonej gablotce, chyba przez nieuwagę, oraz parę flakonów z uspokajającymi kroplami dla chorych na serce. Być może zresztą lekarz, farmaceuta i pielęgniarka znaleźliby tu jeszcze niejednego specyfik, odpowiadający naszym potrzebom, ale oboje bardzo słabo orientujemy się w tej dziedzinie. Nie powinniśmy zresztą zbyt długo pozostawiać Toma samego.

Właśnie mamy zbierać się do wyjścia, gdy senator wpada na pomysł, aby spróbować, czy z pomocą łomu nie uda się otworzyć nadwątlnych drzwiczek sejfu. Wracamy więc jeszcze raz na zaplecze i próbujemy naszych sił. Nic z tego, oczywiście, nie wychodzi i mówię senatorowi, aby przestał bawić się we włamywacza, gdy nagle widzę, że twarz jego kamienieje.

–Słyszysz pani?

–Co? – pytam odsuwając się od schowka, w obawie, że zaczyna działać jakieś urządzenie ochronne, na przykład z gazem obojętnym. Rzeczywiście, słyszę jakiś wibrujący świst, bardzo jeszcze cichy, lecz przybierający na sile.

–Tam... – mówi szeptem senator, wskazując ruchem głowy przejście za ladę.

Teraz i ja dostrzegam swoją pomyłkę. Odbezpieczam pistolet i ostrożnie wracamy do sklepu. Dźwięk dochodzi jednak z ulicy i przypomina warkot silnika na wysokich obrotach. Nie może to być samochód ani helikopter. Raczej poduszkowiec lub motocykl o silniku dużej mocy.

Warkot i świst przechodzą z nagłą w ryk motoru, spotęgowany ciszą panującą w wyludnionej osadzie. Jest teraz coraz bliżej, zaś przez przeciwsłoneczną żaluzję w oknie wystawowym apteki błyska światło reflektora odbite od pni baobabów, którymi wysadzana jest uliczka.

Gaszę pośpiesznie światło i wybiegamy przed wejście. Niemal w tej samej chwili obok apteki przelatuje jak meteor żółty motocykl. Za kierownicą zgarbiona postać w panterce. Chłopak, a może dziewczyna? Na zakręcie, jak wytrawny jeździec

motokrosowy, zmienia kierunek w kontrolowanym poślizgu i pędzi dalej drogą w kierunku Cameo. Na tle oświetlonej reflektorem ulicy rysuje się wyraźnie przez kilka sekund czarny cień maszyny o dziwacznych owiewkach, przypominających skrzydła, a potem znika za drzewami.

Wskakujemy do dżipa. Dwieście metrów dzielących nas od domu Alicji senator przejeżdża pełnym gazem. W oknach willi pali się światło. Podjeżdżamy pod frontowe drzwi. Są zamknięte, ale na białej tafli czyjaś ręka nakreśliła czarnym mazakiem schematyczną twarz skośnookiego ludzika z różkami na głowie.

–Tom! – wołam, dobijając się do drzwi.

Chwila ciszy, w której słyhać jeszcze daleki, zanikający szum motoru. Potem ostrożne kroki za drzwiami i głos Toma:

–To ty, Agni?

–Jasne, że ja. Otwieraj!

Szczęk zasuw i w uchylonych drzwiach staje Tom. Zwykle spokojny i opanowany, teraz zachowuje się jakoś dziwnie. Jeszcze dotąd nie widziałam go w takim stanie. W pierwszej chwili myślałam że to przestrah, ale chociaż z pewnością jest w tym i zdenerwowanie, i niepokój, nie ma to nic wspólnego z obawą o własne bezpieczeństwo.

–Co z Alicją? – pytam od progu, domyślając się nie wiem czego.

–Nic. W porządku. Śpi. Dlaczego tak długo was nie było?

–wyczuwam w jego głosie tłumiony gniew.

Senator wyjaśnia, że nie mógł połączyć się z Pratem i że wstąpiliśmy do apteki, ale to jeszcze bardziej Toma rozdrażnia.

–Do apteki można było podjechać później. Zachciewa wam się spacerów po nocy. Nie zdajecie sobie sprawy z powagi sytuacji. Zwłaszcza do pana mam pretensję, senatorze! Przyrzekł pan lojalną współpracę... – bezpodstawne zarzuty są co najmniej dziwne w ustach Toma. Zachowuje się jak zazdrosny mąż, ale chyba nie tylko o to chodzi.

–Był ten jej „Chińczyk”... – przerywam mu, aby skończyć tę nedorzeczną rozmowę. Milknie i nieruchomieje.

–Był – potwierdza po chwili. Widzieliście go?

–Widzieliśmy, jak wyjeżdżał z tej ulicy. Rozmawiałeś z nim?

–Trudno rozmawiać przez drzwi... – odpowiada ze złością.

–Ale coś mówił?

–Mówił.

–Kim jest naprawdę?

–Nie wiem – znów wybucha niezrozumiałym gniewem.

–Nie wiem nic!

–Co się stało? – mówię łagodnie i biorę go za rękę.

To jakby go trochę uspokaja. Odwzajemnia uścisk.

–Przepraszam... – uświadamia sobie, że jego gwałtowna reakcja jest dla mnie zaskoczeniem. – Zachowuję się idiotycznie... Nie wiem, co się ze mną dzieje... To znaczy... wiem. Prawdopodobnie nadchodzi nowe maksimum, a ja reaguję z pewnym wyprzedzeniem i trochę nietypowo. To chyba ten odłamek w głowie... Wszystko mnie denerwuje, jestem niespokojny, chyba przesadnie widzę wszystko w ciemnych barwach. A do tego jeszcze ta wizyta... Czuję się tak, jakbym przegapił okazję, która się już nie powtórzy. Jestem wściekły na siebie i na was, bo gdybyście tu byli, być

może, niektóre kwestie dotyczące VP byłyby już wyjaśnione.

Zaczynam pojmować jego wzburzenie, chociaż nie domyślam się zupełnie, jaką szansę wyjaśnienia zagadki vortexu stwarzać mogła nasza obecność w czasie wizyty „Chińczyka”. Przecież nie może mu chodzić o schwytywanie gościa i to zaopatrzonego w broń laserową.

–Czego chciał ten młody człowiek? – wyprzedza mnie z pytaniem senator.

–Nie wiem! – Tom znów wpada w rozdrażnienie. – Pytał o Alicję. Chyba chciał ją zabrać, ale zrezygnował, gdy usłyszał mój głos. Myślał pewno, że jestem jej ojcem. Chciał, abym mu otworzył. Ale ja odmówiłem. Nie mogłem... Przecież jestem ślepcem i zrobiłby ze mną i dzieckiem, co by tylko chciał.

–Sądziś, że naprawdę przyjechał z Cameo? – staram się skierować jego myśli na inne tory.

–Tak mówił, a skąd mogę wiedzieć jak było naprawdę? Przypuszczam, że mówił prawdę. W ogóle mówił dużo dziwnych rzeczy. Chyba pod działaniem VP. Wątpię, aby mógł tak świetnie udawać. To też może przemawiać za tym, że przyjechał z Cameo. Gdyby była możliwość przeprowadzenia z nim rozmowy. – urywa i zaczyna pospiesznie oddychać.

–Może weźmiesz coś na uspokojenie? – pytam, ale i mnie poczyna ogarniać zdenerwowanie. Widać i senator nie czuje się najlepiej, gdyż pospiesznie wyciąga z kieszeni fiolki i flakony.

Tom nic nie mówi, tylko ruchem dłoni sygnalizuje, aby mu podać lekarstwo. Biegnę do kuchni po wodę, a Benedict już otwiera flakon.

Być może to tylko autosugestia, ale w parę minut po zażyciu leków zarówno Tom, jak i ja czujemy się nieco lepiej. Gorzej jest jednak z senatorem. Muszę mu siłą odebrać fiolkę z pastylkami nasennymi, gdyż obawiam się, że gotów połknąć taką ich ilość, że do rana byłoby

po nim.

To konieczność działania, a więc skupiania uwagi na konkretnych czynnościach, zdaje się ułatwiać mi panowanie nad sobą. Nie znaczy to wcale, iż zdolna jestem do całkowitego pokonania obsesyjnego lęku przed spodziewanymi omamami. Patrząc jak Benedict ze strachem wodzi oczami po ścianach i ja raz po raz zaczynam widzieć przemykające po podłodze cienie wijów.

Najgorszy moment dopiero nadchodzi. Tom poleca mi abym związała senatora i w ten sposób zapobiegła jakimś niebezpiecznym odruchom. Obcinam sznury od zasłon i oto przeobrażają się one w moich rękach w ogromne żywe pareczniki. Zdaję sobie sprawę, że to przywidzenie, że to tylko zwykła pleciana linka ze sztucznego tworzywa. Halucynacja jest jednak tak realistyczna, że nie potrafię opanować strachu i obrzydzenia, aby podnieść z podłogi, czy choćby nawet spojrzeć na upuszczone przed chwilą sznury.

–Mamo! Ja się boję! – słyszę za sobą rozpaczliwy krzyk Alicji i to przywraca mi przytomność.

Dziewczynka stoi w progu pokoju i drży na całym ciele. Nie mogę jej tak zostawić.

–Zaopiekuj się dzieckiem! – słyszę nad sobą głos Toma.

–Masz sznur? Daj! Sam się zajmę Benedictem.

Stoi za mną i wyciąga rękę. Wydaje się zupełnie opanowany. Gdybym ja mogła zdobyć się na taką odporność czy może siłę woli?

–Mamusiu! – łka Alicja i biegnie ku mnie. Chwytam ją w ramiona, a ona bierze mnie za szyję i przyciska zapłakaną buzię do mego policzka.

Nie wypuszczając małej z objęć, kucam i nie patrząc na podłogę, po omacku odnajduję zgubę. Widać nie jest jeszcze ze mną tak źle, bo pod palcami wyczuwam cienką, elastyczną, gładką linkę. Wciskam ją w dłoń Toma i wynoszę Alicję z pokoju. Nie ma mowy, abym mogła ją pozostawić samą w jej łóżeczku. W ogóle nie zanoszę jej do dziecięcego pokoiku, gdyż ma ona prawdopodobnie jakieś nieprzyjemne wzrokowe i słuchowe omamy, związane właśnie z tym pokojem. Boję się wypytywać, co to było, ale z urywanych słów wynika, że przestraszył ją jakiś „peloso”, który chciał wejść przez okno.

Schodki prowadzą do sypialni rodziców. Kładę się więc z Alicją na łóżku, stawiając automat przy stolyczku nocnym. Mała zdaje się być przekonana, że jestem jej matką.

Przestaje płakać i przytula się do mnie z ufnością.

–Opowiedz mi coś – prosi. – Ale żeby nie było straszne.

Z dołu dochodzi spokojny głos Toma, a potem bełkot senatora. Zaczynam opowiadać Alicji szeptem, wprost do ucha, bajkę o Kopciuszku. Nie idzie mi to zbyt składnie. Napięcie nerwowe, powodowane obawą przed ponownym wystąpieniem halucynacji, bardzo utrudnia skupienie uwagi na bajkowym wątku. Zdaję sobie jednak sprawę, że zainteresowanie mojej małej przyjaciółki losami biednego Kopciuszka może osłabić wpływ vortexu na ośrodki emocji, a tym samym zmniejszyć plastyczność omamów. Sama zresztą zmuszona do myślenia o tym, co opowiadam, spycham jakby poza świadomość niepokój i strach. Przez cały czas gdy mówię ani razu nie pojawiają się halucynacje. Co prawda, nie śmiem otworzyć oczu, ale przecież słuchu, dotyku czy węchu nie wyłączę.

Kończę opowieść i stwierdzam, że Alicja zasnęła. Boję się jednak ruszyć, aby jej nie obudzić. Na dole również zapanował spokój. Widocznie proszki nasenne podziałały i senator, a może także Tom, już śpią. Ja niestety, jak dotychczas, nie odczuwam senności. Dobrze byłoby wziąć drugi proszek. W kieszeni w spodniach mam fiolkę, ale akurat leżę na tym boku, a zmieniając pozycję mogę przebudzić małą. Czy zresztą wolno mi w tej sytuacji brać większą dawkę środków nasennych? Jeśli dziewczynka się obudzi i pod wpływem zwidów ucieknie, a ja się nie obudzę? Jeśli zrobi sobie jakąś krzywdę? A może dać jej proszek? Ale na to trzeba ją obudzić. To nonsens.

Czuję, że w nogach coś jakby się poruszyło. Coś przebiegło po mojej łydce i szurnęło po

prześcieradle. Kurczę gwałtownie nogi. Wiem, że jeśli spojrzę zobaczę wija...

– „Asmitamatra, asmitamatra...” – powtarzam w myślach i zaczynam oddychać rytmicznie – krótkie szybkie oddechy, potem długi, zatrzymanie, znów to samo – tak, jak mnie uczył Tom. Już tylko na podłodze coś szeleści, ale się uspokaja. Czekam w napięciu, z wzrastającym, niestety, niepokojem, że za chwilę znów zaczniesz się od nowa. Na samą myśl o tym czuję dreszcz.

Znów podejmuję ćwiczenia. Hiperwentylacja, zakłócająca bilans tlenowy i pH, trochę pomaga, ale na jak długo? Lecz czy można się tak męczyć całą noc? Wezmę chyba jednak proszek.

Powoli przewracam się na drugi bok. Niestety, Alicja natychmiast zaczyna się budzić. Coś bełkocze przez sen i nagle gwałtownie zrywa się z łóżka, jak lunaticzka.

Co robić? Obejmuję ją wpół i kładę się wraz z nią ponownie. Nie stawia oporu. Jest to pogranicze snu i czuwania, bo przytula się do mnie. Kołyszę ją jak niemowlę i znów zaczynam szeptać. Tym razem przypomina mi się jakiś głupi wierszyk, zapamiętany z dzieciństwa.

– Jeszcze – prosi Alicja. Już się uspokoiła. Może usnie?

Przypominam sobie inne wierszyki i wyliczanki, angielskie a nawet polskie, których mnie uczyła babcia. Alicja oddycha miarowo, widać usnęła. Ale przerwać nie mogę i nie chcę. Jeśli znów wsłucham się w ciszę – wróci strach... Więc szepczę i szepczę, wracając w kółko do tych samych wierszyków i bajek.

Czas płynie... Ta straszna bezsenna noc chyba nigdy się nie skończy...

Jestem już bardzo zmęczona, a zegarek wskazuje dopiero północ...

Po koszmarnej nocy przebudzenie następuje w warunkach wręcz sielankowych. Słyszę muzykę z odbiornika radiowego i przy łóżku spostrzegam Toma, który w asyście Alicji przyszedł mi zakomunikować, iż śniadanie na stole. Mój zegarek wskazuje dziewiątą, jestem jeszcze rozespana, ale czuję się znośnie, a po wzięciu prysznicu – wręcz znakomicie. Czyżby vortex po nocnym paroksyzmie skurczył się do poprzednich rozmiarów i Delft znajduje się już poza jego zasięgiem?

Gdy wychodzę z łazienki, Tom, Benedict i Alicja siedzą już przy stole. Senator jest w niezłej formie, błyszczy elokwencją, a nawet przechwala się, że pierwszy otworzył oczy, sam rozplatał linkę, którą spętał go Tom w nocy, wstał i przygotował śniadanie. Był też na górze w sypialni, widział jak smacznie śpimy z Alicją i musi stwierdzić, że był to piękny widok, mimo pistoletu maszynowego opartego o stolik nocny. A w ogóle podziwia moje opanowanie i odporność na wpływy anomalii i wiele by dał za zdradzenie tajemnicy w jaki sposób to osiągam.

Wzmianka o broni ma, oczywiście, w podtekście sugestię, że mógł mnie rozbroić bez trudu. Myślę, że nie zrobił tego, gdyż chciał mi udowodnić, że traktuje umowę poważnie, co powinno mnie skłonić do traktowania go jako sojusznika a nie zakładnika. Jeśli liczy, że uśpi w ten sposób moją czujność, to się bardzo myli. Nie wypuszczę pistoletu z ręki co najmniej do Cameo, a i tam z pewnością trzeba będzie mieć się na baczności.

Powinam właściwie zapytać Toma, czego dowiedział się od wczorajszego tajemniczego gościa i co nim tak wstrząsnęło. Ale Tom sam nie podejmuje tematu. Widać nie chce mówić o tym przy senatorze i obawiam się, że moje pytanie postawiłoby go w niezręcznej sytuacji. Muszę więc czekać na okazję.

Szybko zjadam śniadanie i parę minut po dziesiątej możemy ruszać w drogę. Zdaniem senatora do obozu uchodźców jest około czterdziestu kilometrów niezłej drogi i przed jedenastą powinniśmy być na miejscu. Alicji powiedziałam, że jedziemy szukać jej rodziców i dziewczynka jest ogromnie podniecona. Zabieram w walizkę trochę bielizny i sukienek na zmianę”, a mała dokłada jeszcze trzy lalki z plastikowym „Chińczykiem” na czele.

Łazik prowadzi senator. Twierdzi, że orientuje się w tutejszym terenie, gdyż często latał helikopterem z zakładów „Palbio” w Cameo do stacji doświadczalnej w rezerwacie. Oczywiście, należy liczyć się z tym, że może coś knuć, ale nie mamy wyjścia. Żadnej mapy w mieszkaniu Ivesów, niestety, nie znalazłam, a na szukanie gdzieś po drodze, w jakichś instytucjach publicznych, nie mamy czasu. Według obliczeń Toma powinniśmy bowiem dotrzeć do Cameo i znaleźć jakąś odpowiednią kwaterę w ciągu trzech, najpóźniej czterech godzin, a w sumie, ze skokiem do Abe mamy do przejechania blisko dwieście kilometrów. Między trzynastą a czternastą może się w okolicach Cameo rozpocząć już „przyływ” i w tym czasie podróżowanie samochodem będzie bardzo niebezpieczne. Rzecz jasna, w ostateczności trzeba postawić łazik gdzieś na poboczu pod drzewami i przeczekać zaburzenia, wiążąc się sznurem, który przezornie kazał mi Tom zabrać do wozu. Jak jednak wykazało doświadczenie wczorajszego dnia, nie są to warunki najbardziej korzystne do

przeciwdziałania wpływowi anomalii. A w Cameo wpływ ten, zdaniem Toma wzrośnie co najmniej w dwójnasób.

Teraz jednak przede wszystkim musimy odwieźć Alicję na wyznaczony punkt spotkania z jej rodzicami lub opiekunami, a jest to kierunek przeciwny temu, w którym w nocy zniknął nam z oczu zmotoryzowany gość... Z domu Ivesów skręcamy więc na lewo, a nie na prawo i poprzez centrum osiedla, i most na rzece Mkavo wjeżdżamy na trakt prowadzący do Abe i Mans.

Za mostem krajobraz zmienia się całkowicie, w porównaniu z tym co widzieliśmy na szlaku z rezerwatu do Delft. Zamiast sawanny ciągną się tu po obu stronach drogi plantacje jakichś owoców nieznanego mi gatunku, przypominających pomarańcze, lecz o rozmiarach melonów. Nie są to chyba jednak zwykłe cytrusy. Mają grube groszkowate pnie i zadziwiająco mocne gałęzie, które, co prawda, uginają się pod ciężarem ogromnych owoców, ale bynajmniej nie łamią. Na moje pytanie Benedict wyjaśnia z dumą, że to osiągnięcie „jego” genetyków-pomologów. Roślina, którą nazwano „duskorn”, mogłaby rozwiązać problemy żywnościowe świata. Drzewo odznacza się małymi wymaganiami glebowymi i klimatycznymi, a w szczególnie niekorzystnych warunkach łatwo wyrównać niedobory odpowiednim nawożeniem. Potrafi ono szybko gromadzić zapasy wody i oszczędnie nimi gospodarzyć w okresach suszy. Jedyne poważniejszy problem to wymarzenie drzew przy dłuższym utrzymywaniu się nawet kilkustopniowych mrozów. Ogranicza to zasięg plantacji do Afryki, Australii, Ameryki Południowej i Środkowej, oraz południowych obszarów Europy, Azji i Ameryki Północnej. Niemniej, zdaniem senatora, nawet sama Afryka mogłaby duskornem wyżywić dwadzieścia miliardów ludzi. Owoce tej rośliny zawierają bowiem wszystkie substancje niezbędne człowiekowi do życia i rozwoju, mogą być spożywane na surowo, albo też przetwarzane na różnego rodzaju półprodukty żywnościowe.

Zastanawiam się, ile jest prawdy w tym co mówi senator. Coś tu się jednak nie zgadza.

–Dlaczego więc takie cudo nie spowodowało jeszcze rewolucji w światowym rolnictwie? Dlaczego nic o nim nie słyhać? – wtrącam z lekka kpiącym tonem. – Rozumiem, że Duskląd nie spieszy się z udostępnieniem duskornu bez gwarancji, iż przyniesie on „godziwy dochód” korporacji finansującej te badania. Ale jeśli rzeczywiście te owoce są aż tak cenne, dlaczego nie obawiacie się, że wam ktoś wykradnie nasiona czy sadzonki? Tak wielkie plantacje chyba trudno upilnować?

Benedict rzuca na mnie z ukosa krótkie spojrzenie.

–Niewielu ludzi, nawet tych, którzy pracują przy uprawach, orientuje się w rzeczywistych walorach tej rośliny... Nie spieszymy się z ujawnianiem tego osiągnięcia, zanim wszystkie badania i eksperymenty nie będą ukończone i nie powstaną odpowiednie warunki do ofiarowania światu tego najwspanialszego daru inżynierii biologicznej. Niestety, VP stawia to wszystko pod znakiem zapytania. Państwo należycie do nielicznych, z którymi szczerze o tym mówię. Chciałbym bowiem abyście wiedzieli, że nie kierujemy się tu bynajmniej jakimś wąskim interesem osobistym czy narodowym. Pani nas krzywdzi, gdy mówi, że chodzi o zyski korporacji, finansującej badania. Chodzi o coś nieporównanie ważniejszego, coś na co nie ma ceny... O przyszłość ludzkości wolną od głodu, strachu, zawiści i wojny. Dla czarnych również, choć nie brak takich, którzy widzą w nas niemalże handlarzy niewolników... I jeśli chcą zniszczyć Duskland, wyludnić nasze miasta, uśmiercić naszą naukę i kulturę, to nie kierują się bynajmniej interesem ludzkości, ani nawet czarnej Afryki. To nie my, lecz oni są imperialistami i neokolonialistami, to oni działają z ukrycia, podstępnie, aby w sztucznie stwarzanym chaosie realizować swe egoistyczne, zaborcze cele.

–Ładnie powiedziane... – mówię z ironią. – Ale to jeszcze pogłębia moje wątpliwości. Badania naukowe nie wymagają tak ogromnych plantacji. Przejechaliśmy już blisko dziesięć kilometrów, a końca nie widać...

–I tak będzie aż do obozu, a potem na szlaku do Mans – stwierdza senator nie bez

przechwałki. – Niemal dwa tysiące kilometrów kwadratowych. Rozpoczęliśmy pięć lat temu i oto rezultaty. I mogę panią zapewnić, że nie jest to marnotrawstwo.

Liczyć umiemy dobrze. Gdyby nie ta piekielna anomalia, zwiększylibyśmy w tym roku uprawy o dalsze tysiąc kilometrów, zaś zbiory byłyby rekordowe. 20 milionów ton... Niestety...

–Więc jednak już się tym żywicie?

–Jeszcze nie. Na razie przetwórstwo dla celów przemysłowych. Pozwoliło nam się to niemal całkowicie uniezależnić energetycznie. Jak chyba pani wie, nie ma u nas ropy naftowej.

–Teraz rozumiem... Chodzi o paliwo, a nie żywność dla głodującego świata. I stąd zakaz eksportu, tajemnica itp...

–Nie tylko. Żywność to sprawa szczególnej wagi. Gdyby nie VP za rok bylibyśmy chyba gotowi.

–Do czego? Do podboju świata? – wtrąca zgryźliwie Tom.

Senator nie odpowiada. Ma minę obrażonego dyplomaty, którego obowiązkiem jest jednak utrzymać nadal stosunki z przeciwnikami. Tom też milczy, a ja nie widzę powodu, aby rozładowywać atmosferę lub dolewać oliwy do ognia.

Krajobraz nadal równinny, nieciekawy – monotonia sadzonych w równych odstępach drzew duskornu po obu stronach szosy, monotonia powtarzających się co kilometr dróg dojazdowych. Widać szlak ten budowano głównie dla przewozu plonów. Ludzi ani maszyn nigdzie nie dostrzegam, a sporo dojrzałych owoców spadło już w trawę. Ciekawe jak tu daleko vortex sięgnął? Jedziemy na wschód, to znaczy, że powinniśmy się oddalać od „oka cyklonu”.

Spoglądam za siebie, na siedzącą przy Tomie Alicję. Od wyjazdu z domu dziewczynka nie odezwała się ani słowem, nie odrywając oczu od drogi przed nami. Radość i podniecenie ustąpiły teraz miejsca napięciu oczekiwania. Nie powiedziałam jej, co prawda, że na końcu tej drogi powinien czekać na nią ojciec, a może i oboje rodzice, lecz widocznie wyobraźnia podsuwa jej taki obraz. Ma przy tym buzię tak śmiertelnie poważną, że trochę mnie to niepokoi.

–Znasz tę drogę? – staram się zwrócić jej myśli w innym kierunku.

Kręci przecząco głową, ale nadal nie spuszcza wzroku ze szlaku.

–Nigdy tedy nie jechałaś?

Ten sam przeczący ruch głowy.

–Ale duskorny jadłaś. Smaczne są?

–Niedobre. Śmierdzą! – krzywi się z obrzydzeniem.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi i postanawiam przyprzeć senatora do muru.

–Co pan na to, senatorze? Mówił pan przecież, że można je jeść na surowo...

–Bo tak jest istotnie – potwierdza niechętnie.

–Dzieciom nie smakują. Niech pan zatrzyma. Chciałabym spróbować jak smakuje to чудо.

–Szkoda czasu – wtrąca się Tom. – Nie będzie ci z pewnością smakować, prawda, senatorze?

–Próbowałaś? – pytam Toma zdziwiona.

–Nie próbowałem, ale domyślałem się, że nie jest to ambrozja ani w smaku, ani zapachu. Prawda, senatorze?

Benedict milczy, wyraźnie ignoruje Toma.

–Ale firma Knox-Benedict bardzo by chciała, aby wszystkim smakowały owoce duskornu... – ciągnie Tom. – I żeby wszyscy byli zadowoleni, syci, szczęśliwi...

–Właśnie tak! – wybucha senator głosem pełnym rozdrażnienia. – I tylko dziwię się panu, doktorze, iż pan, człowiek postępowy i mądry, nie potrafi zrozumieć że innej drogi nie ma, że

wszystko to, co różnego zabarwienia liberałowie mówią o wolności jednostki to mrzonki. Nigdy wolność naprawdę nie istniała, a wszelkie majaczenia na ten temat utraciły realny sens w połowie XX wieku, a może nawet jeszcze w wieku XIX... Walka toczy się nie o swobody i prawa obywatelskie, lecz o istnienie rodzaju ludzkiego. Bo jeśli nie zaspokoi się głodu miliardów, jeśli nie pokieruje się racjonalnie ich potrzebami i dążeniami, ludzie wymordują się wzajemnie. Tym razem Tom nie kwapi się z odpowiedzią. Tak jakby czekał dalszych wynurzeń senatora lub dawał za wygraną, co nie bardzo pasuje do jego mentalności.

–Ludzkość wyzwoliła siły wiodące do samozagłady – podejmuje Benedict, nie doczekawszy się reakcji. – Ale rozum, właściwie wykorzystany, stwarza szansę obrony. Warunek przetrwania to pełna ekonomizacja funkcjonowania społeczeństwa. Czy się to komu podoba, czy nie podoba. Alternatywą jest bowiem drastyczne zmniejszenie zaludnienia i zahamowanie postępu cywilizacyjnego. Jeśli uważa pan program „dyspozytorni” za zło, to jest to zło konieczne i w ostatecznym rachunku korzystne dla ludzkości.

I wtedy niespodziewanie Tom zaczyna mówić o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Zupełnie tak, jakby chciał odwrócić uwagę od zasadniczych przecież kwestii, które po raz pierwszy chyba tak otwarcie postawił senator. Po prostu bez żadnych wstępów pyta nas, czy jesteśmy pewni, że wieczorny gość pojechał drogą w kierunku Cameo, oraz czy senator nie zna jakiegoś odgałęzienia od szosy Delft-Cameo, prowadzącego do obozu uchodźców w Abe. Benedict stwierdza kategorycznie, że nie tylko nie ma takiej drogi, ale nawet nie jest możliwy przejazd poprzez plantacje, gdyż drogę zagradza rzeka, zaś jedyny w tym rejonie most znajduje się w Delft. Tom oświadcza wówczas, iż w godzinę po naszym odjeździe usłyszał szum motoru zbliżający się od strony wschodniej, a więc chyba od mostu na Mkavo. Wynikałoby z tego, że tajemniczy „Chińczyk” przyjechał do Delft nie z Cameo, lecz z obozu uchodźców, a dopiero po złożeniu wizyty pojechał w kierunku wyludnionego miasta.

Tom, podobnie jak i my, nie jest pewny, czy był to chłopiec czy dziewczyna. Wie tyle, że głos był młody, raczej nastolatka niż dwudziestolatka. Motocyklista podjechał pod frontowe wejście do willi, zadzwonił i przyciszonym głosem począł wołać po imieniu Alicję, aby mu otworzyła. Wówczas Tom się odezwał, pytając przez drzwi kim jest i czego chce od Alicji. Przybysz zdawał się być zaskoczony obecnością Toma, ale prawdopodobnie doszedł do wniosku, że jest to ojciec Alicji, gdyż powiedział tylko, iż chciał się zaopiekować małą, ale widać jest to niepotrzebne. Tom podziękował mu za troskę, ale drzwi nie otworzył, wyjaśniając, że Alicja śpi i nie chciałby jej budzić, a niestety nie zna przybysza. Ten zresztą nie należał, aby Tom go wpuścił. Stwierdził nawet, że rozumie i pochwała ostrożność, gdyż „sępy są

głodne i mogą lada chwila pojawić się w Delft”. Potem pożegnał Toma i odszedł, lecz zaraz wrócił i zapytał dokąd zabiera on Alicję. Gdy dowiedział się, że do obozu w Abe, oświadczył, że ostrzega przed tym „złym miejscem” i proponuje „gościnę w Cameo”, na co Tom odpowiedział, że jest zaskoczony propozycją, gdyż – jak wiadomo powszechnie – nikt tam żyć nie może. Była to oczywiście próba sprowokowania przybysza do powiedzenia czegoś konkretniejszego na ten temat. Nie bardzo się to powiodło. Gość zamiast mówić, co dzieje się w Cameo, zaprezentował swój pogląd na temat istoty anomalii VP. Zaczął od stwierdzenia, że dla „niewolników strachu” rzeczywiście nie ma miejsca w Cameo. Wcale to jednak nie znaczy, że wszyscy muszą się lękać tego miasta. Jest to bowiem „najwspanialsze miejsce pod słońcem”, jeśli nie ma się mentalności „niewolnika” i potrafi panować nad „zwierzęcymi popędami”. Wyglądało to na metaforę, ale już z dalszych słów młodego gościa wynikało, że chodzi tu o całą, dość konsekwentnie skonstruowaną „naukową teorię”. Otóż to, co nawiedziło Cameo, to – jego zdaniem – „wirus destrukcji” atakujący ośrodkowy układ nerwowy, szczególnie niebezpieczny dla struktur „skamieniałych” – niezdolnych do zmian, do ewolucji, do reakcji przystosowawczych. Chodzi oczywiście nie o struktury materialne, lecz duchowe, psychiczne, o „duszę niewolnika” – niewolnika przyzwyczajęń, nawyków, dóbr materialnych, stereotypów myślenia i postępowania, słowem: niewolnika świata, w

którym żyje. Niestety, nie ma chyba człowieka, w którym nie byłoby nic z „niewolnika” i stąd wszyscy podlegają działaniu „wirusa destrukcji”, z tym jednak iż u natur „buntowniczych i przekornych” choroba przebiega łagodniej i prowadzi do uodpornienia się na szkodliwe działanie „toksyn lęku i halucynacji”. Ludzie o mentalności „niewolniczej” stają się zaś „niewolnikami strachu” i nie są w stanie przystosować się do warunków „aktywizujących” owe wirusy.

Rzecz w tym, iż „wirus destrukcji” może rozwijać się tylko w pewnych szczególnych warunkach, na ograniczonym obszarze. Takie warunki powstały właśnie w Cameo i w Górach Żółtych, a ich ściśle określenie jest zadaniem nauk przyrodniczych. Młody człowiek pochwalił się Tomowi, że ma własną hipotezę na ten temat, ale na razie nie chce jej ujawniać.

Ciekawe, iż mówiąc o ludziach, którzy przestali być „niewolnikami” i przeżyli „drugie narodziny w nowym świecie”, tajemniczy gość podzielił ich na trzy grupy. Pierwsza – do której prawdopodobnie zalicza siebie – to „prawdziwie wolni ludzie”, o czystym sumieniu i otwartej głowie, obdarzeni w wysokim stopniu zdolnością panowania nad „zwierzęcymi instynktami i popędami”. Druga grupa twierdzi, że dąży do „doskonałości duchowej”, a w rzeczywistości cechuje ją tendencja do zastępowania „starych mitów nowymi mitami”, nieufność wobec „nowego świata”, a także znaczna dewiacja psychiczna, prawdopodobnie pozostałość po „chorobie wirusowej”. Do grupy trzeciej, bardzo niebezpiecznej, zalicza młody człowiek tych spośród „wolnych ludzi”, którzy czują się wyzwoleni z wszelkich zasad moralnych, ograniczających „zwierzęcą naturę” człowieka. Tom twierdzi, że to co usłyszał, nie wyglądało li tylko na rozważania teoretyczne, lecz być może odzwierciedlało jakieś rzeczywiste podziały i antagonizmy, chociaż nie można wykluczyć, że chodzi tu o zespół urojeń, wywołany oddziaływaniem vortexu.

„Wykład” stwarzał bowiem, zdaniem Toma, wrażenie występu teatralnego, czy dobrze przygotowanego i wielokrotnie już wygłaszanego kazania. Przez cały czas przemowy młody „kaznodzieja” musiał zdawać sobie sprawę, że mimo zamkniętych drzwi jest uważnie słuchany i starał się wyrzeć jak największe wrażenie. Sposób wyrażania się i treść przemówienia wskazywały, że nastolatek jest bardzo inteligentny i odczytany, nawet jeśli głosił cudze poglądy. Tom nie sądzi też, aby był chory psychicznie lub działał pod wpływem alkoholu czy narkotyków, jakkolwiek występowało u niego silne pobudzenie emocjonalne, być może wiążące się z nadchodzącym maksimum VP. Tom był już nawet zdecydowany podjąć ryzyko wpuszczenia przybysza, gdy ten nagle przerwał „wykład” i więcej się nie odezwał. Prawdopodobnie usłyszał szum motoru naszego łazika i nie chciał, aby go ktoś zaskoczył w pobliżu domu Ivesów. Przez kilkanaście minut panowała zupełna cisza, a potem rozległ się za domem warkot zapuszczanego silnika i tajemniczy przybysz

odjechał.

Tom kończy swą relację uwagą, że jeśli rzeczywiście był to ktoś z Cameo, a jego zdaniem tak należy sądzić, straciliśmy jedyną chyba okazję zdobycia przewodnika, który mógłby nam bardzo ułatwić dotarcie do „oka cyklonu”. Zaraz potem pyta senatora, co mu wiadomo na temat zagadkowych „fantomów” i „zielonych ludzików” spotykanych jakoby przez zwiadowców płk. Chameau, na terenie opustoszałego miasta.

Patrzę na Benedicta – jest bardzo przejęty tym, co usłyszeliśmy od Toma i zapominając o niedawnym spięciu, natychmiast podejmuje temat. Co prawda to, co mówi niewiele nowego wnosi do sprawy VP. Zarówno zwiadowcy Chameau, jak i różnego autoramentu awanturnicy, złodzieje czy po prostu amatorzy silnych wrażeń wracali z Cameo z reguły w stanie oplakany, a silny szok wykluczał obiektywną ocenę własnych doznań. Psychoanalitycy z zespołu Hendersona próbowali oczywiście sondować podświadomość nieszczęśników, między innymi stosując hipnozę, lecz niewiele to dawało. Nie ulega wątpliwości, że to co mówili było zbitkiem rzeczywistych spostrzeżeń z halucynacjami charakterystycznymi dla zmienionych przez vortex stanów świadomości. Jeśli zaś starano się wyeliminować halucynacje, sugerując koncentrowanie uwagi wyłącznie na spostrzeżeniach, badani albo

zastaniali się niepamięcią, albo tworzyli fikcyjne obrazy, przypominające paramnezje i to z reguły pod domniemane zamówienie badacza. Nieco lepsze efekty dawała analiza treści omamów metodami statystyki matematycznej. Halucynacje przeżywane przez różnych ludzi z reguły różniły się w szczegółach, niemniej dokładniejsze badania pozwalały wykryć szereg wspólnych cech tych doznań. Rezultaty wydawały się początkowo dość zachęcające. Senator twierdzi, że u ponad 80 procent przebadanych opis dostrzeżonych „zjaw” wykazywał pewne cechy wspólne z tym, co zawierają relacje na temat tzw. spotkań trzeciego stopnia, wielokrotnie publikowane w prasie i książkach o UFO. Chociaż tylko około 10 procent badanych twierdziło, że spotkane „dziwne istoty” to byli „kosmici” czy wręcz „małe zielone ludziki”, a inni kojarzyli je raczej z karłami, gnomami, człekopodobnymi owadami czy nawet robotami androidami, niemniej powtarzały się niektóre spostrzeżenia dotyczące wzrostu, zewnętrznego wyglądu lub sposobu poruszania się tych istot. Nic to jednak w istocie nie dawało – nie posiadając żywego czy choćby martwego okazu, można było tylko snuć hipotezy i zespół Hendersona był w podobnej sytuacji jak poszukiwacze Yeti.

Wzmianka o kosmitach przypomina mi to, co mówił Bob Goldstein na temat pochodzenia vortexu i zadaję senatorowi pytanie:

–Co pan sądzi o Hansie Oriento? Na pewno interesowaliście się tym człowiekiem i wiecie, że usiłuje on udowodnić, że anomalia jest tworem pozaziemskiej cywilizacji.

–Bzdura! – w głosie senatora wyczuwam raczej nienawiść do Oriento niż lekceważenie. – Pani wybaczy, ale na to chyba nikt poza fanatykami UFO nie da się nabrać. A ja na pewno; do nich nie należę. Inna sprawa, że Oriento to zręczny i niebezpieczny gracz. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, iż jest agentem tych, których szukamy...

–Pracował zdaje się i dla was? – wtrąca Tom.

–Jest pan źle poinformowany, doktorze – senator oponuje zimno. – Mieliśmy co prawda swego czasu sygnały, i to z bardzo wiarogodnego źródła, że Oriento ma do sprzedania bardzo cenną informację, ale cena była zbyt wygórowana.

–Ciekawe... – kręci głową Tom, jakby kpił, czy powątpiewał o szczerości Benedicta. – Dlaczego więc nie „zgarnęliście” go tak, jak nas, lub nawet razem z nami?

Twarz senatora nabiera sztywności. Widać Tom poruszył delikatny temat i Benedict chyba nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Zastanawiam się czy mu nie przygadać, lecz Alicja dotyka mego ramienia i szepcze mi do ucha:

–Czy długo jeszcze, panno Agni.

–Już chyba dojeżdżamy – mówię patrząc na zegarek.

Spoglądam na drogę, biegnącą nadal wśród plantacji duskornu. Jesteśmy z pewnością niedaleko Abe. Niebo przed nami, dotąd czyste, zaciemnia obłok spalin i pyłu, a na tym tle wznosi się niemal pionowo słup czarnego dymu. Zakład przemysłowy, czy może spalarnia odpadków? Wraz z uciekinierami z Delft w obozie pod Abe przebywa prawdopodobnie ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. To już całe miasto.

Droga wznosi się teraz łagodnie w górę. Dym jakby zgęstniał i poczyna tworzyć ciemną chmurę wiszącą nad wzniesieniem. Po paru minutach osiągamy szczyt wzgórza. W dole linia kolejowa z niedużą stacją przeładunkową, do której prowadzą bezkolizyjne odgałęzienia drogi, przerzuconej nowoczesnym wiaduktem nad torami. Przy tym wiadukcie ma czekać na nas szeryf Ives lub ktoś z jego rodziny. W tej chwili jednak moją uwagę przykuwa co innego: w odległości około kilometra od stacji, tuż przy drodze płonie rząd białych, widać niedawno wzniesionych baraków. Za nimi na pobliskim wzgórzu osnute dymem dogasające zgliszcza osiedla. Na próżno wypatruję wozów strażackich lub choćby jakichkolwiek oznak walki z pożarem. Nie dostrzegam w ogóle żadnych ludzi, ani w pobliżu płonących baraków, ani na wiadukcie.

Senator hamuje, zjeżdża w polną, drogę i zatrzymuje łazik pod rozłożystym drzewem. Nie protestuję – ostrożność w tej sytuacji jest jak najbardziej wskazana. Informuję Toma o tym,

co zobaczyliśmy i proponuję, aby został z Alicją w wozie, a ja z senatorem spróbujemy zbadać, co się w Abe dzieje.

Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy ktoś na nas czeka w pobliżu wiaduktu. Alicja jest bliska płaczu i chciałaby koniecznie iść z nami, aby poszukać ojca, ale w końcu daje sobie wytłumaczyć, że musi zostać w samochodzie i w razie gdyby się ktoś pojawił w pobliżu, dać sygnał klaksonem.

Do wiaduktu pozostało jeszcze około sześciuset metrów. Idziemy skrajem plantacji, tuż przy drodze, kryjąc się pod parasolowatymi koronami duskornów. Wkrótce jednak trzeba będzie wyjść na otwartą przestrzeń.

–Sądzę, że nie powinniśmy pokazywać się jednocześnie – proponuje Benedict, gdy docieramy do skraju plantacji. – Ja pójdę pierwszy i spróbuję podejść aż do wiaduktu nad stacją, a pani będzie mnie ubezpieczać. Wyjdzie pani z za drzew dopiero na mój wyraźny znak, gdy upewnię się, że jesteśmy bezpieczni.

Plan można uznać za dobry i wątpię, aby krył się za tym jakiś podstęp. Okazuje się przy tym, że senator bynajmniej nie jest tchórzem, co pozwala mi spojrzeć na niego trochę inaczej niż dotąd.

–Zgoda – mówię po krótkim namyśle – ale musi pan pilnować się, abym nie straciła pana z oczu. Jeśli zauważy pan coś podejrzanego wyjmie chusteczkę i przetrze czoło. Gdyby pana ktoś zaatakował, proszę paść na ziemię, abym miała wolne pole ostrzału.

Potwierdza skinieniem głowy i wychodzi na drogę. Stoję ukryta za drzewem i obserwuję teren. Na wiadukcie nadal nie ma nikogo, a ogień w barakach szaleje bez przeszkód. Widok na stację kolejową z tej strony jest jednak bardzo ograniczony, tak iż dostrzegam tylko kraniec rampy towarowej z rozrzuconymi za nią beładnie jakimiś kolorowymi pakunkami.

Senator idzie szybkim krokiem lewą stroną drogi, nie oglądając się za siebie. Po paru minutach dociera do wiaduktu i zwalnia. Idzie coraz wolniej i chyba obserwuje, co dzieje się na stacji. Wkrótce zatrzymuje się przy balustradzie i patrzy w dół. Stoi tak nieruchomo, niepokojąco długo, ale nic nie wskazuje, aby działo się tam coś, co wymagałoby od niego szczególnej ostrożności. Wreszcie odwraca się twarzą w moją stronę i chyba patrzy w moim kierunku, lecz żadnych znaków mi nie daje. Wygląda tak, jakby się nad czymś zastanawiał i dopiero po dłuższej chwili, podjąwszy decyzję, zwraca się, znów do mnie plecami przechodząc na drugą stronę wiaduktu. Ponownie patrzy w dół, ku niewidocznym stąd torom, ale trwa to znacznie krócej i Benedict rusza dalej w kierunku płonących baraków.

Tego nie było w planie i zaczynam się trochę denerwować. Co gorsza, widocznie senator zauważył coś pod wiaduktem, czemu chce się lepiej przyjrzeć, bo skręca w ślimakowate odgałęzienie drogi, prowadzące do stacji i po kilkudziesięciu sekundach znika mi z oczu.

Oznacza to złamanie podstawowej reguły bezpieczeństwa i jestem wściekła na Benedicta, gdyż w istocie nie wiem, co mam dalej robić. Zachowanie się senatora przemawia przeciw podejrzeniu, iż oszukał mnie i uciekł, ale jeśli rzeczywiście nowe, nieoczekiwane okoliczności skłoniły go do zejścia z wiaduktu, mógł mi to w jakiś sposób zasygnalizować. A jeśli i tu sięgnęła anomalia i z Benedictem dzieje się coś niedobrego? Co prawda, jak na razie, nie wyczuwam żadnych zmian, ale przecież senator jest znacznie mniej odporny ode mnie, a zresztą i ja w Dolinie Martwych Kamieni nie od razu zdałam sobie sprawę, że ulegam omamom. Tak czy inaczej muszę czekać cierpliwie na dalszy rozwój wydarzeń i nie wolno mi wyjść z ukrycia.

Czas płynie, a nie dzieje się nic, jeśli nie liczyć docierających aż tu od czasu do czasu trzasków i łomotów walących się ścian w płonącym obozie. Pożar zaczyna już zresztą zwolna słabnąć, chociaż chwilami jeszcze w zapadających się budynkach wystrzela w górę słupem ognia i jaśniejszego dymu. Raz po raz spoglądam na zegarek, zastanawiając się, co zrobię, jeśli senator nie pojawi się w ciągu najbliższych trzydziestu czy czterdziestu minut.

Na szczęście, obawy nie sprawdzają się – po dwudziestu minutach na ślimaku pojawia się

sylwetka Benedicta. Pod pachą ma jakąś torbę czy zawiniątko. Idzie szybko, niemal biegnie, z głową okrytą kołnierzem marynarki. Gdy już jest na środku wiaduktu, przypomina dopiero sobie o mojej obecności i podnosi głowę, zwracając ku mnie twarz. Potem unosi dłoń i przeczącym ruchem wskazuje za siebie, nie przerywając marszu.

Teraz i ja wychodzi na drogę i ruszam mu naprzeciw. Jest już na tyle blisko ode mnie, że widzę wyraźnie jego twarz. Wydaje się ziemisto blada, o oczach dziwnie nieobecnych i jakimś nienaturalnym grymasie ust. Jestem już niemal pewna, że to skutki vortexu. Podbiegam do senatora, a on zatrzymuje się i patrzy na mnie w milczeniu, jakby dopiero mnie dostrzegł. Potem, zdejmując z ramienia przyniesioną torbę, poszarpaną i brudną.

–To wszystko... – mówi z wysiłkiem. Widzę, jak mu drżą ręce.

–Co z Ivesem?

Przeczący ruch głowy.

–Chyba... nie żyje.

–To znaczy?

–Nie mam pewności...

–Chodźmy tam! – ruszam w kierunku wiaduktu. – Może jest tylko nieprzytomny.

Senator dogania mnie i zatrzymuje.

–Nie! Tam nie ma po co iść. Ten człowiek nie żyje. Nie jestem pewny czy to Ives. Znamy go przecież tylko z fotografii. Ale ten człowiek jest martwy od kilku godzin. I inni również...

–Katastrofa helikoptera?

Znów przeczący ruch głową.

–Zamordowani... Setki, a może tysiące ludzi... Kobiety... dzieci... To potworne! – zakrywa twarz dłonią.

–Gdzie? – patrzę na senatora z przerażeniem. Mówi prawdę, czy uległ jakiejś nowej potwornej halucynacji?

–Tam! – wskazuje ręką w kierunku rampy. – Nie chodź! To okropny widok.

Przechodzę parę metrów w stronę wiaduktu i staję. To, co z daleka wydawało się kolorowymi pakunkami porzuconymi w trawie za rampą, przybrało teraz kształt ciał ludzkich. To z pewnością nie jest halucynacja. Również bliżej, na torach leżą trupy, niektóre straszliwie zmasakrowane kołami pociągu. A nad stacją faluje w rozgrzanym powietrzu srebrzysty obłok wydobywający się jakby z ziemi, czy może nawet z martwych ciał.

Czuję palce Benedicta zaciskające się na mojej ręce.

–Chodźmy stąd!

–Co to? – pytam z jakimś nienaturalnym spokojem, wskazując na obłok. Jakbym nagle utraciła zdolność odczuwania wszelkich emocji.

–Muchy. Miliony much... – odpowiada senator cicho, z obrzydzeniem i strachem. – Zlatują się z wszystkich stron... Emitery S nie działają... Wracajmy! Proszę!

Otępienie ustępuje nagle miejsca uczuciu zgrozy. Tak jakby dopiero teraz dotarł do mojej świadomości rzeczywisty sens obrazu, jaki mam przed oczami. Nie jestem już w stanie dłużej patrzeć na ten potworny widok. Odwracam twarz, a Benedict bez słowa bierze mnie pod ramię i prowadzi skrajem drogi w kierunku plantacji, gdzie ukryliśmy łazik. Dziesiątki pytań ciśnie się na usta, lecz długo nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Wiem, że muszę się opanować i wyciągnąć z senatora wszystko co wie, zanim dojdziemy do samochodu, gdyż nie będziemy przecież mówić o tym przy Alicji. Muszę się też zastanowić, co mam powiedzieć małej. Ale niełatwo mi przychodzi pokonać szok.

Widocznie jednak i Benedict odczuwa palącą potrzebę rozmowy i podzielenia się trawiącymi go wątpliwościami, gdyż sam przerywa milczenie. Mówi, że nie może pojąć, co się w Abe stało. Kto dokonał tego masowego mordu i dlaczego? Nie wiadomo też, jaka jest liczba ofiar – w spalonych barakach mieszkali przecież ludzie. Z tego, co widział, wynika, że napastnicy używali broni maszynowej i strzelali do każdego – zarówno do mężczyzn, jak też

kobiet i dzieci – zamordowani nie stawiali zorganizowanego oporu, co najwyżej próbując ratować się ucieczką. Największa masakra miała miejsce w północnej części stacji, za rampą towarową oraz na torach w pobliżu tej rampy. Po drugiej południowej stronie wiaduktu, zwłok jest niewiele, choć tam właśnie znajdował się peron pasażerski. Na tym peronie wylądował wojskowy helikopter, który prawdopodobnie został zaatakowany z zasadzki, ostrzelany i obrzucony granatami. Pilot zginął na miejscu, Ives chyba próbował ratować się ucieczką i zastrzelono go kilka metrów od śmigłowca. Skrzynie z przesyłką Pratta rozbite. Produkty żywnościowe zabrane, sprzęt radiowy i lekarstwa zniszczone, mapy podarte, co zdaje się świadczyć, że napastnicy to ludzie prymitywni lub chorzy psychicznie. Senatorowi udało się tylko znaleźć jedną fiolkę z lekiem uspokajającym, dwie puszki z wodą, podartą instrukcję obsługi poduszki, podziurawiony pociskami plan Cameo, a także szczególnie dla nas cenną puszkę z resztkami gazu usypiającego. Wszystko to przyniósł w znalezionej torbie.

Zdaniem senatora ofiary mordu to uchodźcy z Cameo i Delft, zgromadzeni w tutejszym obozie. Co się stało z resztą, nie wiadomo. Nie wydaje się prawdopodobne, aby wszyscy zginęli. Dwadzieścia tysięcy ludzi, rozproszonych na rozległym terenie trudno zabić w ciągu jednej nocy, tak aby nikt się nie uratował. Benedict sądzi, iż uciekli oni na południe do Segen lub na wschód w kierunku Mans i stolicy.

Zdołałam się już na tyle opanować, że wysuwam przypuszczenie, iż w Abe mogło dojść do paniki pod wpływem vortexu i tłum zaatakował pociąg a także helikopter, chcąc jak najszybciej wydostać się z obozu. Tom mi mówił, że na obszarze pogranicza anomalii z „normalnym” światem zaobserwowano podobno występowanie efektu paradoksalnego i nawet bardzo słabe bodźce mogą wywoływać gwałtowne reakcje emocjonalne. Senator twierdzi jednak, iż nie wydaje mu się, aby mogły to być ofiary przypadkowej strzelaniny i walki między sobą ludzi ogarniętych panicznym strachem. Wspomina też o trudnym do wyjaśnienia fakcie, że tory na południe od wiaduktu są na odcinku kilkudziesięciu metrów rozkręcone. Tak jakby ktoś chciał uniemożliwić wjazd na stację pociągu od strony Segen. Równie zagadkowa jest kwestia skąd przybyli i dokąd odjechali czy odeszli napastnicy. Jeśli był jakiś pociąg na stacji i odjechał, o czym świadczą zmasakrowane zwłoki, to tylko w kierunku północnym. A według tego, co mówi senator, najbliższym miastem na tym szlaku jest Cameo. Czy mordercami nie mogli być tajemniczy mieszkańcy tego miasta? Chcę o to zapytać senatora, ale właśnie dochodzimy do miejsca skąd widać dżipa i Alicja już nas zobaczyła. Dziewczynka biegnie w naszą stronę i czuję nieprzyjemny ucisk w gardle.

–Znalazłaś tatusia?! – woła już z daleka.

–Niech pan weźmie doktora i opowie mu o wszystkim – mówię półgłosem do senatora. – Ja porozmawiam z małą.

–Nie znalazłaś... – Alicja patrzy na mnie jakby z wyrzutem, a mnie zaczynają kręcić się łzy w oczach.

–Twój tatuś musiał wyjechać – mówię z wysiłkiem. – Chyba gdzieś bardzo daleko. Ale będziemy dalej szukać twojej mamy...

Wpatruje się we mnie, jakby chciała wyczytać z mojej twarzy prawdę. Czyżby coś przeczuwała? Muszę wytrzymać to spojrzenie. Benedict jest już przy samochodzie.

–Nie zostawisz mnie? – pyta Alicja i patrzy na mnie wyczekująco.

–Co ci chodzi po głowie? Dopóki nie odnajdziemy kogoś z twoich rodziców, zostaniesz ze mną!

–A jak będziesz musiała gdzieś wyjechać? Zabierzesz mnie ze sobą?

–Zabiorę.

–Wszędzie?

–Wszędzie!

Przytula się do mnie z ufnością, a ja myślę o tym, że tego przyrzeczenia nie wolno mi złamać.

3.

Po tym, co zobaczyliśmy w Abe, wyprawa do Cameo i „oka cyklonu” budzi we mnie coraz mniej entuzjazmu i nie dziwię się senatorowi, że jak tylko może, próbuje grać na zwłokę. Ale Tom jest uparty i nie ma zamiaru rezygnować ze swych planów. Może zresztą nie dowierza naszym relacjom, podejrzewając, iż mogliśmy ulec zbiorowej halucynacji. Sama zresztą zastanawiam się, czy widok trupów nie został mi zasugerowany przez Benedicta. Co prawda, przyniesione przez niego przedmioty, a zwłaszcza strzęp planu splamiony krwią, zdają się świadczyć o realności doznań, lecz zbyt wiele dziwnych rzeczy tu się dzieje, aby mieć pewność.

Nie można też wykluczyć, iż na terytorium Dusklandu przedostały się jakieś uzbrojone bandy lub oddziały żandarmerii Numy i one były sprawcami masakry. Przed wyruszeniem w dalszą drogę „naprawiam” radio, lecz Tom jest zdania, że w tej sytuacji nie należy korzystać z nadajnika i ujawniać „w eterze” swej obecności. Ograniczamy się więc do nasłuchu. A wiadomości są rzeczywiście dla nas niepokojące. Jak wynika z doniesień niektórych europejskich rozgłośni, w Patope toczy się nadal wojna domowa, której ofiarami padają również biali specjaliści i ich rodziny. Zarządzono ewakuację personelu technicznego i urzędników koncernu „Alcon”, a także członków korpusu dyplomatycznego. Jakkolwiek „marszałek” Numa został przepędzony z Inuto i tamtejsza rozgłośnia twierdzi, że generał Takku – nowy prezydent i „wódz naczelny lądowych i powietrznych sił Republiki” cieszy się poparciem „ogromnej większości plemion” i „międzynarodowym zaufaniem”, niemniej główne siły żandarmerii nie zostały rozbite i należy spodziewać się ich ataku na stolicę. Dysponują one przy tym nowocześniejszą bronią – zwłaszcza pancerną – niż armia Takku, pełniąc rolę pretorianów „marszałka”. Miejsce pobytu Numy nie jest znane, lecz zdaniem korespondentów europejskich i amerykańskich ukrywa się w buszu, czekając na wyniki przygotowywanej kontrofensywy. Mówi się też o rosnącej aktywności partyzantów Magogo, szczególnie we wschodniej i północnej części kraju, a więc bliżej granicy Dusklandu i Matavi.

W drodze powrotnej przejeżdżamy, oczywiście, przez Delft i senator proponuje zatrzymanie się przy „Gościnnym Wężu”, aby wziąć jeszcze więcej żywności i uzupełnić zapas paliwa. W istocie chodzi mu, aby przy okazji zadzwonić jeszcze raz do Pratta i zasięgnąć wiadomości, co naprawdę stało się w Abe i czy nie grozi nam spotkanie z jakąś obłąkaną bandą czarnych żandarmów lub partyzantów. Benedict przyznaje się też, że chciałby skłonić Pratta, aby przysłano do Delft pojazd opancerzony, w którym podróż w głąb anomalii byłaby znacznie bezpieczniejsza. Przy okazji można by też Alicję oddać pod opiekę żołnierzy.

Tymczasem wszystkie te rachuby zawodzą. Co prawda, senator łączy się bez trudu

z oficerem dyżurnym w biurze Pratta w Dusk, ale otrzymuje odpowiedź, że pułkownika nie ma i, niestety, nie wolno mu powiedzieć, gdzie się znajduje ani połączyć „z tym miejscem”. Równie bezskuteczna jest próba skontaktowania się z profesorem Hendersonem i senator poczyna podejrzewać jakiś spisek skierowany przeciw niemu. Telefonuje więc do Knox-

Benedict licząc, że uda mu się porozmawiać z wujem. Łączą go jednak z doktorem Swartem, który informuje senatora, że Knox jest w stolicy, ale zastrzegł, aby nikt nie próbował szukać go telefonicznie. Co więcej Swart ostrzega Benedicta, aby ograniczał się tylko do sygnalizacji, że żyje i działa, a nie podawał żadnych danych dotyczących miejsca naszego pobytu, ani też jakichkolwiek informacji o znaczeniu wojskowym lub politycznym, gdyż istnieje niebezpieczeństwo podsłuchu i wszelkie rozmowy telefoniczne czy radiowe mogą odbywać się tylko za pośrednictwem szyfratorów. Swart dodaje, że wszyscy bardzo liczą na senatora i... połączenie zostaje przerwane. Benedict nie zdążył nawet wspomnieć o tym, co zastaliśmy w Abe.

W tej sytuacji dochodzimy do wniosku, że nie ma sensu ponawiać prób nawiązania łączności i należy niezwłocznie wyruszyć w drogę. Już dawno minęło południe, upał coraz bardziej nieznośny, a my jeszcze tkwimy w Delft. Tym razem siadam z Alicją z tyłu wozu, zaś Tom zajmuje moje miejsce obok senatora – przy radio. Już zresztą przez pierwsze pół godziny jazdy udaje mu się zorientować jako tako w przebiegu wydarzeń rzucających pewne światło na to, co mówił Swart, chociaż stawiających jednocześnie szereg nowych niepokojących znaków zapytania. Jakkolwiek informacje na temat Patope zawarte w dziennikach z Londynu, Paryża czy Moskwy są fragmentaryczne i skąpe, w połączeniu z zaskakującym apelem prezydenta Takku, powtarzanym wielokrotnie przez jakąś silną radiostację na falach krótkich, dają wiele do myślenia.

Nie ulega wątpliwości, że sytuacja w Patope jest niejasna, a przyszłość rządu Takku, mimo poparcia „Alconu” bardzo niepewna. Wręcz zaskakująca jest jednak treść apelu o pomoc skierowanego przez prezydenta do... Dusklandu. Według słów Takku chodzi bowiem nie tyle o pomoc w walce z żandarmerią Numy, o której wspomina zupełnie marginesowo wzywając ją do podporządkowania się nowemu rządowi, ile o ochronę przed agresją zagrażającą Republice ze strony międzynarodowego terroryzmu, działającego wspólnie z czerwonymi partyzantami Magogo. Takku twierdzi, że kierownictwo „terrorystycznej międzynarodówki” przygotowuje się do przekształcenia Patope w bazę wielkiej operacji zmierzającej do podboju Afryki, a potem całego świata. Groźby tej nie wolno lekceważyć, gdyż terroryści są w posiadaniu broni atomowej i biologicznej, którą wypróbowano już na mieszkańcach Cameo, a teraz ma być ona „zrzucona” na Inuto. Nie ulega wątpliwości, że apel oznacza nowy etap – otwartej walki przeciw Vortexowi P i jest to posunięcie przygotowane przez „dyspozytornię”. Senator nie wydaje się zresztą zbyt zaskoczony, chociaż z drugiej strony słuchając apelu, nie potrafi ukryć zdenerwowania. Na pytanie Toma na czym owa pomoc ma polegać, nie daje jednak jasnej odpowiedzi. Mówi tylko, iż jego zdaniem Duskland nie powinien mieszać się do wewnętrznego konfliktu między armią i żandarmerią, a w miarę możliwości unikać

również starć z partyzantami, zwłaszcza z ugrupowaniami popieranymi przez BAGRA i jej opiekunów w Matavi. Oddziały dusklandzkie powinny tylko stworzyć na terenie Patope pierścień ochronny, otaczający vortex od jeziora Pattona aż po zachodnie partie Gór Żółtych i granicę z Matavi. Pierścień ten, biegnący głównie poprzez busz, może być łatwo kontrolowany zarówno z ziemi, jak i z powietrza.

Tom pyta, czy podobny system działa na terytorium Dusklandu i czy rzeczywiście miał on jakikolwiek wpływ na bieg wydarzeń, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Myślę początkowo, że Benedict tak długo waha się, co odrzec, w obawie, iż w pytaniu Toma kryje się jakaś pułapka. Jestem zresztą tak przejęta ostatnimi wydarzeniami, że uszło mojej uwadze znaczne zmniejszenie szybkości wozu. Dopiero gwałtowne ruchy kierownicą w lewo to znów w prawo, jak gdyby wynikające z konieczności omijania jakichś przeszkód, uświadamiają mi, że coś nie jest w porządku. Droga przed nami pozostaje przecież nadal pusta. Patrzę na Benedicta i widzę, że ma taką minę, jakby zobaczył upiora. Podnoszę się z miejsca i nachylam nad nim.

–Jak się pan czuje, senatorze? – szepczę mu nad uchem.

Spogląda na mnie z lękiem, a potem ruchem głowy wskazuje drogę przed nami. Jedziemy teraz przez dość gęsty las galeriowy biegnący wzdłuż doliny, której dnem płynie rzeka Mkavo. Droga zarosła już w znacznym stopniu bujnie pniącą się roślinnością, ale środek jezdni jest oczyszczony spychaczem. Niemniej gałęzie drzew sięgają daleko nad drogę, tworząc zielony tunel. Przedzierające się przez rzadsze partie roślinności promienie słońca, tworzą jasne plamy na jezdni. To na nie patrzy właśnie, ze strachem senator i próbuje je omijać.

–Ma pan jakieś zwidy?

–Na drodze nic nie ma? – pyta niepewnie i widzę, że ręce poczynają mu drżeć.

–Nic. Niech pan stanie! Ja poprowadzę.

Wykonuje polecenie, ale nie wstaje z miejsca, w osłupieniu wpatrując się w refleksy słoneczne. Dopiero parokrotne szarpnięcie za ramię przywraca mu poczucie rzeczywistości, choć wydaje się jeszcze bardziej rozdygotany nerwowo, niż w czasie prowadzenia samochodu.

Zamieniamy się wreszcie miejscami i mogę jechać. Tom postanawia jednak w ostatniej chwili przesiąść się na miejsce Alicji, aby pilnować Benedicta, zaś mała siada przy mnie. Jest z tej decyzji wielce zadowolona, chyba nie tylko dlatego, że jazda z przodu to szczególna atrakcja. Po prostu czuje się przy mnie pewniej. Tom poleca mi schować pod siedzenie broń i każe przywiązać sznurem swą lewą rękę do prawej ręki senatora, któremu radzi też wziąć dwie pastylki nasenne. Widać należy liczyć się z różnego rodzaju niespodziankami. Jesteśmy zresztą dopiero gdzieś w połowie drogi do Cameo i najgorsze jeszcze przed nami.

Ruszam. Nie czuję się zbyt pewnie, lecz na razie nie dostrzegam nic, co można by uznać za omamy. Powinnam też stale obserwować Alicję, aby w porę przeciwdziałać ewentualnym stanom lękowym czy zaburzeniom świadomości. Doświadczenie zdobyte w nocy nasuwa mi tu niezły pomysł słuchowej kontroli. Polecam małej, aby opowiedziała wszystkie wierszyki i bajki jakie zna. Ma to pewne złe strony, bo właśnie w tym samym czasie Tom poczynia łagodnie wypytywać senatora, czego się przestraszył. Rozmawiają po niemiecku, prawdopodobnie, aby nie sugerować nic dziewczynce, a do tego jeszcze Benedictowi język się płacze, więc docierają do mnie zaledwie strzępy zdań. Niemniej, z tego co usłyszałam, wynika, iż słoneczne refleksy na jezdni poczęły w pewnym momencie przybierać dla niego kształty ciał ludzkich, przypominając łądząco obrazy widziane w Abe. Omamy były tak realistyczne, że początkowo w ogóle nie przyszło mu do głowy, że mogą to być halucynacje. Dopiero po moich pytaniach zrozumiał, że znów zaczyna dawać o sobie znać vortex. Ta

Świadomość wcale zresztą nie uwolniła go od omamów. Odwrotnie – wywołała gwałtowny przyływ lęku, potęgującego halucynogenne działanie anomalii. Wizje stawały się coraz bardziej makabryczne, coraz bliższe schizofrenicznym koszmarom.

Widocznie jednak rozmowa z Tomem, jak też działanie pastylek, powodują złagodzenie lęku i omamy przybladły, bo głos senatora staje się coraz spokojniejszy i cichszy, tak iż w końcu nawet w chwilach, gdy Alicja się zastanawia, nic już nie mogę zrozumieć. Skupiam więc teraz przede wszystkim uwagę na drodze, gotowa zmniejszyć natychmiast szybkość, gdyby pojawiły się jakieś zaburzenia postrzegania. Staram się jednak nie zatrzymywać wzroku na żadnym przedmiocie czy plamie świetlnej dłużej niż parę sekund, aby nie stwarzać pola dla gry wyobraźni. Niemniej w pewnych momentach mam wrażenie, iż w listowiu drzew, wśród zarastających pobocza krzaków i traw, a nawet na jezdni przemykają jakieś stworzenia, podobne do ogromnych włośchatych gąsienic i wijów.

Wszystko to wymaga nieustannej samokontroli, która potęguje nerwowe napięcie i poczucie zagrożenia, chociaż jednocześnie nie pozwala, jak dotąd, rozwinąć wyobrażeń w halucynacje. Nie wiem jak daleko sięga moja odporność i czy nagle nie pojawi się coś, całkowicie niezgodnego z przewidywaniami. Boję się też o Alicję, która co prawda nadal opowiada mi jakąś wielce skomplikowaną bajkę o małej królewnie i siedmiu kotach, ale nie

ma zbyt pewnej miny i coraz częściej przytula się do mnie, jakby szukając ochrony.

Senator przestał rozmawiać z Tomem. Siedzi skurczony, z głową w ramionach. Mam nadzieję, że zasnął po proszkach i przez najbliższą godzinę nie powinniśmy mieć z nim kłopotu. Tom z kamienną twarzą wpatruje się w przestrzeń przed samochodem, co oczywiście jest złudzeniem, bo przecież nie widzi. Chyba go również już wzięło... Pewno powtarza teraz w myślach jakąś ochronną mantrę i próbuje zapanować nad lękiem. Ciekawe jakie może on mieć omamy?

Trzymam „osiemdziesiątkę” i jak tak dalej pójdzie, za pół godziny powinniśmy dotrzeć do przedmieść Cameo. Droga prowadzi nadal przez las, już tu jednak znacznie rzadszy. Mogłabym właściwie jeszcze trochę zwiększyć prędkość, ale od pewnego czasu jezdnia stała się tak wąska, że w razie jakiejś niespodziewanej przeszkody nie zdołam jej ominąć i trzeba będzie gwałtownie hamować.

Zaledwie o tym pomyślałam, a już widzę, że coś czerni się daleko na drodze. Porzucona beczka czy kawałek wielkiej rury...? Zdejmuję stopę z gazu, lecz strzałka szybkościomierza nieruchomo tkwi na „osiemdziesiątce”.

Przeszkoda zbliża się nieuchronnie. Widzę ją coraz wyraźniej: jest to pękata metalowa baryłka albo raczej drucziana klatka, która bynajmniej nie leży na jezdni spokojnie, lecz toczy się środkiem drogi w naszym kierunku. Zaczynam hamować – szybkościomierz nadal ani drgnie. Widocznie zepsuty. Chociaż... dżip toczy się chyba z tą samą prędkością, a nawet jakby dodawał gazu. Musiały zawieść hamulce i samochód zjeżdża po pochyłości. Wówczas jednak klatka musiałaby toczyć się... pod górę. Czy to w ogóle możliwe?

Toczący się przedmiot jest już blisko. To nie beczka ani klatka. To pulsujący kłęb jakichś żywych stworzeń! Co będzie, gdy się z nim zderzymy?! Hamulec ręczny! Czuję jak siła bezwładności pcha mnie całym ciałem na kierownicę...

Słyszę rozpaczliwy krzyk Alicji. Widzę jak leci głową naprzód na tablicę kontrolną i przednią szybę, za którą odbity od maski, migocący w słońcu kłęb podskakuje w górę, uderza w brezentowy dach, aby znów się odbić i z głuchym trzaskiem spaść na jezdnię za nami.

Dżip toczy się jeszcze parę metrów, podskakując na nierównościach i staje.

–Co się stało, Agni – słyszę zaniepokojony głos Toma.

Ale w tej chwili chodzi mi przede wszystkim o Alicję, która leży bezwładnie na podłodze pod fotelem. Nachylam się nad nią – jest półprzytomna, a z przeciętego

czoła cieknie krew.

–Agni! – Tom jest przerażony moim milczeniem. Słyszę jak oddycha pośpiesznie.

–Czekaj! Najpierw muszę się zająć Alicją. Wam nic się nie stało?

–Mnie nie. A Benedict nawet się nie obudził. Co z Alicją?

–Rozcięła sobie czoło. Przy twoim fotelu widziałam apteczkę...

Dziewczynka zaczyna coś mamrotać i unosi głowę, patrząc na mnie błędnym wzrokiem. Dźwigam małą z podłogi i sadzam w takiej pozycji, aby zmniejszyć krwawienie. Mam nadzieję, że obeszło się bez poważniejszych obrażeń... A jeśli ma uszkodzony kręgosłup? Czy wolno ją było podnosić? Czuję gwałtowny przyływ niepokoju.

–Agni! Znalazłem! – mówi Tom jakimś dziwnie zmienionym głosem. Chwytam pośpiesznie podaną mi walizeczkę i w tym samym momencie wstrząsa mną dreszcz zgrozy – uświadamiam sobie, że ręka, która mi podała apteczkę, nie była ręką Toma. W ogóle nie podobna do ręki ludzkiej... Zielona, oślizgła, trójpalczasta łapa o niewiarygodnie długich palcach... W miejscu, w którym powinien siedzieć Tom, widzę ubranego w jego „garnitur „jaszczura”, a obok niego szczyrzy zęby w przedśmiertelnym skurczu trupioblady... pułkownik Pratt.

Odwracam pośpiesznie wzrok. Muszę się opanować i myśleć tylko o tym, aby pomóc Alicji. Ale to wcale niełatwa sprawa. Niemałego wysiłku woli wymaga nawet otwarcie walizeczki. Te obawy nie są zresztą bezpodstawne – we wnętrzu apteczki, wśród leków i bandaży dostrzegam kłębiące się wije...

„Asmitamatra... asmitamatra... asmitamatra...”

Zaciskam powieki i poczynam pospiesznie oddychać. Staram się myśleć w tej chwili tylko o Alicji i z jakąś przerażającą plastycznością, mimo zamkniętych oczu, widzę strugi krwi zalewające jej dziecięcą twarzyczkę. Przemagam się i po omacku sięgam do apteczki, powtarzając sobie, że omamy są tylko wzrokowe. Rzeczywiście, żadnych halucynacji dotykowych na szczęście nie odczuwam i paniczny lęk poczynam ustępować. Decyduję się wreszcie otworzyć oczy i stwierdzam, że omamy ustąpiły, choć zdaję sobie sprawę, że lada moment mogą powrócić.

Alicja leży na fotelu jak poprzednio, nie „podmieniona” i chyba przytomniejsza. Gdy przemywam ranę płynem odkażającym pojękuje i podnosi na mnie wzrok, jakby trochę zdziwiony, lecz bez niepokoju.

–Gdzie byłaś, mamusiu? – słyszę jej szept, gdy nachylam się nad nią z bandażem. Nie wiem, co odpowiedzieć. Jeśli dziewczynka bierze mnie za swą matkę w chwilach, gdy najbardziej potrzebuje opieki i działa to na nią uspokajająco, nie trzeba rozpraszać tego złudzenia.

–Boli cię? – pytam kierując jej uwagę w inną stronę.

–Boli. Głowa...

–Tylko głowa? Poza tym nic cię nie boli?

Próbuje potwierdzić skinieniem głowy, ale sprawia jej to trudność.

–Nic. Zostaniesz ze mną? – pyta błagalnym tonem.

–Zostanę!

Kończę bandażowanie i trzeba zająć się wozem. Z tego co mogłam się zorientować, dżip ugrzązł w jakichś krzakach. Dotychczas starałam się nie rozglądać zbyt w obawie przed halucynacjami. Teraz, niestety, jest to już konieczność. Muszę się jednak zabezpieczyć. W walizeczce zauważyłam kłębek taśmy. Wyjmuję go, wiążę pętlę i zakładam na przegub lewej ręki. Podobną pętlę wiążę na drugim końcu i podaję Tomowi. Jego ręka jest już prawie normalna, a twarzy staram się nie przyglądać.

–Wpadliśmy na jakąś przeszkodę i spróbuję sprawdzić, co to było. Załóż sobie pętlę na rękę i w razie czego sygnalizuj! – mówię do niego.

Alicja chwyta mnie za ramię.

–Nie chodź! – prosi. Jest już chyba zupełnie przytomna.

–Muszę wyjść, ale będę bardzo blisko. Masz, trzymaj! – wsuwam jej taśmę do ręki. – Jestem do tego przywiązana i gdyby ci było czegoś potrzeba, pociągnij, a zaraz wrócę. Dobrze?

–Dobrze – paluszki zaciskają się na taśmie.

Otwieram drzwiczki. Łazik stoi w trawie – a więc zjechałam z szosy na pobocze. Rozumiem teraz przyczyny katastrof lotniczych nad vortexem.

Muszę sprawdzić, czym naprawdę była przeszkoda i czy wóz nie został uszkodzony. Już mam zeskoczyć w trawę, gdy dostrzegam, że coś się w niej poruszyło. Zatraskuję gwałtownie drzwi. Prawdziwy wąż czy widmowy wij? Raczej to drugie, bo przecież zwierzęta lękają się anomalii. Może jednak na węże nie działa?

Muszę przemóc lęk i sprawdzić, co to było naprawdę, chociaż to niełatwa sprawa. Pół biedy jeśli to jakieś rzeczywiste zwierzę – mogę je przepędzić uruchamiając silnik. Ale jeśli to fantom? A może silnik uszkodzony?

Siadam na powrót na miejscu kierowcy i włączam rozrusznik. Silnik natychmiast zaskakuje. Chyba wszystko w porządku. Próbuję ostrożnie ruszyć wstecznym biegiem – coś z tyłu trzeszczy i chrobocze.

Wyłączam silnik i znów otwieram drzwiczki. Oddycham pospiesznie, a potem wstrzymuję oddech, jak przed skokiem do wody. Czuję, że serce poczyna łomotać mi w piersi...

–Podaj mi automat. Leży pod fotelem – mówię do Toma.

–Nie. Wątpię, aby groziło ci jakieś niebezpieczeństwo, a możesz nas pozabijać.

–Daj mi chociaż pistolet gazowy!

–Nie!

W trawie nic się nie porusza, lecz opuszczenie wozu jest dla mnie wręcz heroicznym aktem odwagi. Potem, gdy już stoję w trawie, ten strach trochę blednie i odczuwam nawet pewną dumę z „wyczynu”, chociaż zdaję sobie sprawę, że do zwycięstwa daleko i lada szmer może wywołać panikę.

Przede wszystkim nie wolno mi stwarzać warunków dla gry wyobraźni. Muszę zająć myśli wyłącznie wyprowadzeniem dżipa na drogę i działać możliwie szybko, zanim pojawią się nowe zaburzenia.

„Asmitamatra... asmitamatra...” – powtarzam „obronne zaklęcie”.

Taśma pozwala mi oddalić się zaledwie trzy, cztery metry od drzwi, ale to wystarczy, a przeszkodę dość łatwo usunąć. Okazuje się, że ścięłam jakieś parasolowate, kruche drzewo, którego korona przeleciała przez dach i upadła za wozem, utrudniając wycofanie maszyny. Udaje mi się bez większego trudu odciągnąć drzewo na bok i usunąć połamane gałęzie blokujące drogę. Przedni zderzak jest trochę wgnieciony, lecz poza tym nie widzę żadnych uszkodzeń. W czasie tej roboty zapominam niemal zupełnie o niedawnych obawach! Niektóre stwierdzone fakty układają się zresztą w dość logiczną całość i musimy się z Tomem wspólnie nad nimi zastanowić, gdyż może to pomóc w unikaniu niebezpieczeństw czyhających w VP. Kłopoty z hamulcem łatwo wytłumaczyć: prawdopodobnie naciskałam pedał gazu. Chyba pewną rolę w obecnej kraksie odegrał też fakt, że owo nieszczęsne, skoszone przez nas drzewo rosło na zakręcie, co z daleka mogło stwarzać złudzenie, iż znajduje się na środku drogi. Inaczej mówiąc halucynacje nie są majakami, snami na jawie, lecz zaburzeniami postrzegania, w których realne przedmioty przybierają postać tworów chorej wyobraźni, prawdopodobnie wskutek silnego pobudzenia ośrodków pamięci emocyjnej. Zrozumienie tego mechanizmu powinno pomóc w pokonywaniu lęku, a tym samym zmniejszyć podatność na halucynacje. Ciekawa jestem, co na to powie Tom.

–Nie! Nie! Zabierz to! – rozpaczliwy krzyk senatora przerywa ciszę.

Odgłosy szarpaniny, potem krótki syk i jeszcze jeden zdławiony okrzyk Benedicta. Chrapliwe westchnienie – i znów nastaje cisza.

–Przynieś mi jakiś kij. Taki, aby mógł mi służyć za laskę – woła do mnie Tom.

Bez trudu odnajduję wśród połamanych gałęzi i odłamuję odpowiedni pręt. Mogę teraz już wrócić do wozu.

Stawiam nogę na stopniu i... martwieję. Na fotel kierowcy” wspina się wij. Ogromny, długi niesamowicie, błyskający dziesiątkami odnóży...

Tylne człony przekraczają jeszcze próg dżipa, gdy przednie suną już po siedzeniu w kierunku drugiego fotela, na którym leży Alicja. W pierwszym panicznym odruchu odskakuję od wozu. Ale szarpnięcie taśmy przywraca mi zdolność realnej oceny sytuacji. To halucynacja. Ale czy na pewno? A jeśli nawet wij ten jest tworem zaburzonej wyobraźni, to co przyoblekło się w jego kształt, może być równie niebezpieczne jak parecznik. A jeśli nie jest to halucynacja? Jeśli wij ukąsi Alicję?

Muszę pokonać strach i obrzydzenie. Nie wolno mi zwlekać ani sekundy. Ściskam w dłoni kij i wskakuję na stopień. Wij przedostał się już na fotel Alicji i sięga jej ramienia, kryjąc się częściowo za oparciem. Jeśli uderzę go kijem, podrażniony może zaatakować dziecko. Jedyne sposob – chwycić go błyskawicznie i wyrzucić z wozu. Nie ma ani chwili do stracenia! A przecież łatwiej byłoby mi sięgnąć gołą ręką do pieca po płonący węgiel...

Wiem jednak, że nie ma innego wyjścia. Gwałtownym ruchem łapię potwora tuż przy jadowym członie i... czuję w palcach taśmę wiążącą mnie z Tomem.

–Co się stało? – pyta zaniepokojony ponownym szarpnięciem taśmy.

Odprężenie jest tak gwałtowne, jakbym zaciągnęła się „trawką”. Ogarnia mnie

niepohamowany śmiech. Jednocześnie odczuwam dumę, a właściwie ogromną satysfakcję, że potrafiłam pokonać lęk wbrew vortexowi i wszelkim szatańskim uwarunkowaniom, którym poddano mój mózg w „forcie”, a może również w rezerwacie. Ten nastrój euforii sprawia zresztą, że nie mam już halucynacji, a gdyby nawet się pojawiły jestem pewna, że potraktowałabym je jako swego rodzaju zabawę.

–Znów miałam zwidy, ale zaczynam dawać sobie z nimi radę – mówię do Toma chełpliwie. Wręczam mu kij sadowiąc się w fotelu. – Zaraz ruszamy!

Tom wygląda znów zupełnie normalnie. Senator śpi. Ja sama odczuwam nieprzewartą potrzebę mówienia i zaraz po wyprowadzeniu łazika z powrotem na drogę, opowiadam Tomowi szczegółowo swe przeżycia i spostrzeżenia. Okazuje się, że i on podlegał w tym czasie znacznemu nasileniu halucynacji i to nie tylko słuchowych i dotykowych, ale także wzrokowych, co nawet wzbudzało w nim na moment nieuzasadnioną nadzieję, że odzyskuje wzrok. Wśród omamów słuchowych dominowały odgłosy wystrzałów i krzyki, lecz nie brak było również złudzeń, iż słyszy przyciszoną rozmowę jakichś obcych ludzi. Na ogół jednak wszystkie te halucynacje wywoływały u Toma chyba znacznie mniejszy niepokój niż u mnie, co może mieć nie tylko podłoże fizjologiczne, ale wynikać także z opanowania przez niego dość skutecznych technik psychoterapeutycznych. Okazał się zresztą na tyle przytomny, że kiedy senatora znów ogarnął paniczny lęk, uspił go gazem. Jedziemy teraz znacznie wolniej niż poprzednio. Co prawda początkowo próbuję zwiększyć szybkość ponownie do „osiemdziesiątki”, lecz Tom natychmiast to wyczuwa i twierdzi, że nie wolno mi ryzykować. Ma z pewnością rację. Nie jestem jeszcze całkowicie uodporniona na halucynacje. Jak na razie, nie mam co prawda kłopotów z prowadzeniem, prawidłowo odczytuję wskazania szybkościomierza i nie mylę hamulca z gazem, ale raz po raz coś dziwnego dzieje się z drogą. Są momenty, że wydaje mi się bardzo szeroka i oczyszczona z zarastających ją traw i zielska, to znów tak wąska, że trudno uwierzyć, aby dżip mógł się precyzyjnie przemieszczać między drzewami. Jak dotąd są to jedyne zwidy. Muszę się jednak mieć na baczności, wjeżdżamy przecież coraz głębiej w vortex, a tereny te – leżące do niedawna na jego skraju – znajdują się teraz chyba w połowie drogi do „oka cyklonu”.

Las tropikalny ustępuje raptownie miejsca gajom palmowym i pomarańczowym. Tylko kępki traw i naniesiony wiatrem piasek utrudniają tu trochę jazdę. Nie widzę już śladów spychacza, a pojedyncze i to dość świeże bruzdy na piasku wskazują, iż od wielu dni jedyne pojazdami na tej drodze były motocykle. Podążamy więc tropem „Chińczyka”...

Alicja usnęła. Być może na nią również podziałał gaz.

Droga coraz bardziej oddala się od rzeki. Halucynacje optyczne jakby zanikały. Poczynają się pojawiać pierwsze ślady żywiołowej ucieczki mieszkańców Cameo, a być może również dawnych nieudanych wypadów do opustoszałego miasta. Są to porzucone na szosie, nierzadko ugrzęzłe w rowach, samochody osobowe i ciężarówki, których wygląd świadczy o tym, że zostawiono je jeszcze przed porą deszczową. Znaczna liczba wraków nosi ślady kraks i to nieraz bardzo poważnych. W paru przypadkach dostrzegam w wozach szkielety ludzkie, lecz mogą to być również makabryczne zwidy. Mówię o tym Tomowi. Radzi mi nie patrzeć i skupiać uwagę na prowadzeniu dżipa.

Wjeżdżamy wreszcie w teren zabudowany parterowymi i jednopiętrowymi domkami, przypominający nieco Delft. Są to chyba już dalekie przedmieścia Cameo. Ogrody przed domkami gęsto zarasta niekoszona trawa i dziko krzewiące się jakieś rośliny ozdobne. Zieleń wyległa już na chodniki i miejscami sięga jezdni. Ludzi ani śladu. Nie czuję się zbyt pewnie – euforia dawno już ustąpiła, a chociaż, jak na razie, nie mam omamów, ogarnia mnie nowa fala nerwowego niepokoju. Jedziemy teraz szeroką, wysadzaną palmami aleją i otoczenie całkowicie się zmienia. Pojawiają się sklepy i wyższa, zwarta zabudowa mieszkalna. Zatrzymuję samochód przy stacji metro i rozkładam plan znaleziony w Abe. Mimo licznych śladów krwi jest względnie czytelny. W północno-zachodniej, przemysłowej części miasta –

trzy kółka nakreślone czarnym mazakiem i oznaczone kolejnymi cyframi, czwarte i piąte – w centrum handlowym. Niestety, żadnych objaśnień do tych oznaczeń. Można się tylko domyślać, że w którymś z trzech pierwszych punktów znajdują się zakłady Mortona, produkujące opancerzone transportery i poduszki. Bez trudu udaje mi się za to zlokalizować na planie stację metro, przed którą stoimy.

Jesteśmy w alei Południowej. Jeśli pojedziemy dalej tą aleją – dotrzemy do placu Livingstone'a, o którym wspominał Martin, a stamtąd aleją Zachodnią, koło ogrodu botanicznego i uniwersytetu, poprzez dzielnicę przemysłową – za miasto, w kierunku Gór Żółtych. Z placu Livingstone'a wybiegają cztery główne arterie miasta: oprócz alei Południowej i Zachodniej, aleja Wschodnia wiodąca do Dworca Głównego i przystani rzecznej, a dalej przechodząca w autostradę Cameo-Dusk, oraz aleja Północna łącząca się z szosą, prowadzącą do granicy z Matavi.

Mówię o tym Tomowi z cichą nadzieją, że zmieni zamiary i pojedziemy na północ. Jestem już bardzo zmęczona i dalsze pchanie się w głąb vortexu, zwłaszcza z Alicją i senatorem, jest chyba szaleństwem. Tom jednak ani myśli o rezygnacji ze swych planów, chociaż wyczuwa dobrze do czego zmierzam.

–Bądź dzielna, Agni – próbuje podnieść mnie na duchu. – W Dusk i Matavi nie mamy czego szukać. Jesteśmy zresztą tak blisko celu, że rezygnacja nie ma sensu. Wiem, że żądam od ciebie zbyt wiele. Ale bez twojej pomocy nie mam żadnych szans. Może to okrutne, co ci powiem, lecz ani moje, ani twoje życie, ani nawet życie tego dziecka nie jest ceną zbyt wysoką. Musimy dotrzeć do Kotliny Timu jeszcze dziś.

–Rozumiem... To znaczy z placu Livingstone'a aleją Zachodnią prosto za miasto. Z tego, co mówił Martin, wynikało jednak, że samochodem można dojechać tylko do kopalni w Dolinie Mkavo. Dalej bezdroża i górskie ścieżki. Około dwudziestu kilometrów. Piechotą nie zajdziemy do rana, nawet jeśli nie będzie omamów.

–Jedź już! – przerywa mi ostro. Widać jest bardzo zdenerwowany. – Spróbujemy zdobyć transporter gąsienicowy u Mortona. Ale najpierw zatrzymasz się przy hotelu „Majestic”. Ulica Themersona. Druga przecznica alei Zachodniej, licząc od placu Livingstone'a. Po lewej stronie. Podobno dobrze widoczny z daleka, dwunastopiętrowy budynek...

Jest to ten sam hotel, o którym wspominał Martin. Czyżby Tom wiedział o ukrytych mikrofilmach?

–Przez godzinę powinniśmy mieć względny spokój – ciągnie Tom. – W czasie gdy przebywał tu doktor Barley, maksima powtarzały się co cztery godziny. Teraz, kiedy vortex ma większy zasięg, częstość na tym obszarze znacznie wzrosła i powinna

chyba wynosić około stu minut. Dlaczego nie ruszasz? – pyta wyraźnie zaniepokojony.

Patrzę na plan Cameo. Właśnie zaczęłam go składać, gdy zauważyłam, że plamy krwi, przyschnięte i brązowawe, zaczynają zabarwiać się na czerwono, a nawet wręcz przybierać wygląd świeżych i wilgotnych. Spostrzeżenie jest tak niespodziewane i zaskakujące, widok świeżej krwi tak realistyczny, że przez chwilę skłonna jestem szukać fizycznej przyczyny zjawiska. Przewyciężając wewnętrzny opór, dotykam planu palcami, jak gdybym mogła mieć jeszcze wątpliwości, że to halucynacja. Nie jest to zresztą żaden sprawdzian: krew rozmazuje się pod palcami, na których pozostają czerwone plamy, co jeszcze bardziej potęguje niesamowitość wrażenia.

–Mam w tej chwili halucynacje, że mapa krwawi – usprawiedliwiam swe chwilowe milczenie.

–Daj mi ten plan i ruszaj! – niecierpliwi się Tom. – I nie krzycz tak głośno!

–Wcale nie krzyczałam – stwierdzam zdziwiona.

Pokonuję lęk i nie patrząc składam arkusz. Pod palcami wyczuwam dziury wyszarpane pociskami, ale papier nie jest lepki.

–Prędeej! – ponagla Tom ze złością. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby mówił do mnie

takim tonem.

Wciskam mu plan do ręki i włączam rozrusznik.

–Co się stało?! – pyta podniesionym głosem.

–O co ci chodzi? – patrzę na niego z niepokojem. Widocznie ma również jakieś halucynacje. – Na razie wszystko w porządku... – jadę środkiem ulicy, drugim biegiem, gotowa w każdej chwili zatrzymać samochód.

–Mów, co widzisz! – poleca Tom z nerwowym pośpiechem. – Cały czas mów!

–Szybkościomierz wskazuje, że jedziemy 30 kilometrów na godzinę... Ulica pusta, sklepy z opuszczonymi żaluzjami... Skrzynki na chodniku... przy krawężniku walizka... Wszędzie wyrasta trawa i jakieś rośliny o dużych liściach... Sklep z otwartymi drzwiami... przejście już zarosło... Samochód... Wygląda tak, jakby na nas jechał... Nie... to tylko wrak... Przecznica... Duży dom towarowy... Znowu dwa samochody, jeden na chodniku, z wyłamanymi drzwiami... chyba przez wiatr... Jakiś duży gmach... „Karst i Natanson”... Dalej Bank Kompanii Mafro... Pod szklanymi drzwiami wysokie krzaki... Nikogo tu nie było chyba co najmniej od pory deszczowej... Chociaż... na jezdni są ślady kół... Te świeże to z pewnością motocykl... Zbliżamy się do jakiegoś placu... Na razie wszystko gra. To ogromny plac... Livingstone... To chyba jego pomnik. Dziwny pomnik... To nie może być Livingstone... To, co stoi na cokole, przypomina węża z ludzką głową, oplatającego pień baobabu... Koniec ogona zmienia się w dłoń wskazującą w kierunku jakiejś szerokiej arterii, chyba alei Wschodniej...

–Patrz lepiej na drogę! – denerwuje się Tom. – Gdzie jesteśmy?

Tom ma rację – nie powinnam wpatrywać się w poszczególne obiekty, bo to sprzyja omamom.

–Właśnie wjechaliśmy na plac... – podejmuję relację. – Domy wysokie, nowoczesne. Chyba w większości przedstawicielstwa jakichś dużych firm... Neony... Ciekawe, czy jeszcze czynne?... Narożny wieżowiec przy alei Wschodniej nachylony jak krzywa wieża w Pizie... Aleja prosta, bardzo długa... Na końcu jakby się coś paliło... kłęby dymu... Bliżej jakaś sterta, czy barykada, zarosła czymś zielonym... podobna do wielkiego porzuconego buta... Teraz zbliżamy się do wylotu alei Północnej. To chyba starsza część miasta... W głębi alei biała wieża kościoła... Trochę jak w Casablance... Kościół też jakiś krzywy... i domy jakby nienaturalnie wybrzuszone lub wklęsłe... Następna powinna być Aleja Zachodnia, w którą muszę skręcić... Ale tu wszystko jakby stłoczone... Zabudowa ciągła, bez żadnej luki... Nie, jest! To chyba...

W tym momencie mnie „zatyka”. To, co widzę jest czystej wody surrealizmem: obwieszane reklamami bloki ze szkła i betonu wrastają w ogromną głowę... Herberta Knoxa. Rozwarte szeroko szczęki świecą białymi, sztucznymi zębami w przerażającym grymasie ni to gniewu, ni to uśmiechu, a wytrzeszczone oczy wpatrują się we mnie. Odruchowo poczynam hamować.

–Co się dzieje? – pyta Tom z niepokojem.

–Nic, nic, przywidzenie... Ale muszę dać sobie radę!

Ta deklaracja działa uspokajająco i pozwala rozsądniej ocenić sytuację, choć mamidło nadal jeszcze się utrzymuje. Chyba dlatego właśnie Tom nie pozwala mi milczeć, gdyż wie, iż w ten sposób nie tylko może kontrolować mój stan psychiczny, ale i zmuszać do panowania nad sobą. Co mam jednak dalej robić w obecnej sytuacji? Jechać naprzeciw zjawie, czy przeczekać, aż ustąpi zaburzenie?

–Co widzisz? – złości się Tom.

–Widzę łeb ludzki. Wielki jak dom. Przypomina głowę Knoxa. Coś jakby z Disneylandu, tyle że wcale nie do śmiechu... To nam chyba zagraadza drogę w tym miejscu, gdzie powinnam skręcić w aleję Zachodnią. Co zrobić?

Tom zastanawia się chwilę. A może nasłuchuje?

–Jedź bardzo wolno w kierunku tej przeszkody. Tam powinien być prześwit pod domami, ze zwężeniem jezdni – stwierdza dość pewnie.

–Byłeś tu już kiedyś? – pytam i widzę na ułamek sekundy zamiast rozwartych ust Knoxa coś na kształt szerokiego tunelu pod spiętrzonymi niepokojąco blokami. Ale czy nie jest to nowa halucynacja spowodowana sugestią Toma?

–Znam śródmieście z dokładnych relacji... No, ruszaj! – ponagla.

Kładę stopę na gazie i puszczam sprzęgło, ale widocznie straciłam zdolność wycucia nacisku, bo dżip tak gwałtownie przyspiesza, jakby startował w wyścigu. Jesteśmy w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od „łba” i wóz pędzi wprost w rozwartą paszczę... Próbuję hamować, ale podobnie jak w czasie jazdy przez las jeszcze bardziej dodaję gazu. Sięgam rozpaczliwie do ręcznego hamulca i... nie mogę go znaleźć. Dławiące uczucie panicznego strachu – i całym rozpędem wjeżdżam w krótki tunel, za którym otwiera się skąpana w słońcu aleja Zachodnia.

Radosne uczucie odprężenia. Wszystko wokół zdaje się wracać do normy. Domy wydają mi się trochę takie, jakby ulepiono je ze zbyt miękkiego wosku, lecz w obrazie tym nie ma już nic przerażającego. Przede wszystkim jednak stopy poczynają trafiać na odpowiednie pedały i znów kieruję maszyną z niezbędnym wycuciem.

–Miałaś rację! – wołam do Toma z triumfem. – Już jesteśmy w alei Zachodniej!

–Druga przecznica w lewo. Hotel „Majestic”, zaraz za rogiem, dwunastopiętrowy budynek...

–Wiem... Już mówiłeś. Czego szukasz w tym hotelu?

Tom nie odpowiada i rozumiem dlaczego. Zresztą za chwilę wszystko powinno się wyjaśnić. Dojeżdżamy już do drugiej przecznicy i widzę w głębi ulicy jasnożółty wieżowiec z ogromnymi literami „Majestic” na fasadzie. Narożne, pękate domy towarowe wyglądają, co prawda, jak przekłute balony, z których uchodzi powietrze, ale na takie „drobiazgi” nauczyłam się już nie zwracać uwagi. Najważniejsze zresztą, że udało się szczęśliwie aż tu dotrzeć.

Zatrzymuję dżipa na podjeździe pod głównym wejściem. Na parkingu naprzeciw hotelu – kilka samochodów osobowych, bardzo zakurzonych i obrosłych trawą. To tu chyba Martin po raz pierwszy zobaczył dziwnych mieszkańców Cameo. Czuję nagły przyływ niepokoju i jakby wzruszenia... Co w tej chwili dzieje się z Martinem? Czy wrócił cały i zdrowy z wyprawy w góry? A jeśli tak, czy nie jest przekonany, że to moje zwłoki znalazł w spalonej bazie Hansa Oriento? Może zresztą lepiej, aby w to

uwierzył i wyjechał z Patope, korzystając z zamieszania jakie tam panuje, bo przecież jeśli podejrzewa, że żyję, na pewno mnie szuka. A ja przez te szalone dni niemal zupełnie już o nim zapomniałam...

–Jak się czujesz? – pyta Tom z troską.

–W tej chwili nie najgorzej. Wysiadamy?

–Podaj mi rękę! – wyciąga w moim kierunku dłoń.

W pierwszej chwili jestem przekonana, że chce, abym mu pomogła wstać. Ale on chwyta delikatnie moje palce i sygnalizuje:

„Trzeba odnaleźć na jedenastym piętrze pewien przedmiot.” „Pozostawiony przez Barleya” – odpowiadam, aby wiedział, że dobrze orientuję się, o co chodzi. – „Wiem gdzie szukać i co, ale sama nie pójdę”.

–Taka odważna nie jestem – dodaję głośno, kategorycznym tonem.

–Rozumiem cię i chyba żądam za wiele, ale to konieczne.

–Być może, lecz jeśli znów pojawią się omamy, albo spotkam „zielonych”? Ja też mam nerwy... nie rękę za siebie. A w ogóle nie odważę się łączyć sama po pustych korytarzach i pokojach. Chyba, że pójdiesz ze mną. Nie wiem jednak, co zrobić z Alicją. Jeśli się obudzi i stwierdzi, że jest sama...

–Ja nie śpię – odzywa się mała płacząco. – Nie odchodź! Przymknij! Nie zostawisz

mnie, prawda?

Patrzy na mnie błagalnie. Właściwie problem jest rozwiązany.

–Nie zostawię!

–I zabierzesz ze sobą, jak pójdziecie?

–Zabiorę. Boli cię jeszcze głowa? – zmieniam temat.

–Już wcale nie boli. Tylko tak trochę... Jesteśmy już w Cameo, prawda?

–W Cameo. Byłaś tu już kiedyś?

–Byłam. Z tatusiom i mamusią. U cioci Lili. Ale tatuś mówił, że teraz ciocia mieszka gdzie indziej. Czy tatuś nas tu znajdzie?

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

–Nie zostaniemy tu długo – wtrąca Tom. – Musimy tylko z panną Agni załatwić pewną sprawę i zaraz pojedziemy dalej. Chcesz iść z nami?

–Chcę!

–No, to wysiadajmy!

Patrzę na śpiącego senatora. Nie wygląda na to, aby miał się wkrótce obudzić. Tom dla pewności pęta mu jednak nogi. sznurem, którym był z nim dotąd związany. Chodzi o to, aby w panice nie uciekł i nie zrobił sobie jakiejś krzywdy.

Tom bierze ze sobą kij, ja latarkę, pistolet maszynowy i puszkę z gazem usypiającym. Tom każe mi jednak broń zabezpieczyć, a puszkę schować do kieszeni. Co prawda, halucynacji w tej chwili nie mam, lecz zdaję sobie sprawę, że to tylko kolejne „przyczajenie się” vortexu, przed nowym, być może jeszcze gwałtowniejszym atakiem...

Szklane drzwi do hallu rozsuwają się przed nami z cichym szmerem. A więc, chociaż od ucieczki mieszkańców Cameo minęło już ponad pół roku, miasto jest nadal zasilane prądem elektrycznym i automatyka jeszcze nie zawiodła. Na posadzce, dywanach i fotelach gruba warstwa pyłu, a nie podlewane kwiaty i pokojowe krzewy ozdobne dawno uschły.

Od wejścia do stacji wind – ślady butów kilku ludzi. Wątpię, aby były to ślady

Martina sprzed czterech miesięcy. Jednak ktoś tu zachodził i to stosunkowo niedawno. Spośród czterech wind dwie są otwarte i oświetlone, jakby na nas czekały...

–Pojedziemy windą, czy pójdziemy schodami? – pytam Toma. Perspektywa wspinania się na jedenaste piętro pustymi, może ciemnymi schodami nie bardzo mi się uśmiecha, ale jazda windą może być bardzo ryzykowna. Na obszarze vortexu, z elektroniką są przecież podobno kłopoty... Co będzie jeśli mechanizm zawiedzie i staniemy między piętrami?

–Windą, windą! – podchwytuje z entuzjazmem Alicja, ale Tom widocznie ma te same wątpliwości co ja, bo nie kwapi się z odpowiedzią.

–Chyba jednak lepiej pójść piechotą – podsuwa z wahaniem. – Może są jakieś zewnętrzne, przeciwpożarowe schody...

–Ja wolałabym windą – mówi Alicja z żalem.

–Pojedziemy windą – decyduje nagle Tom. – Zbyt mało mamy czasu na wędrówki po schodach. Każde z nas pojedzie jednak osobno. Najpierw ja i poczekam na górze przy drzwiach windy. Potem Alicja. A na końcu ty, Agni. W ten sposób, co najmniej dwóm osobom nic nie grozi i w razie awarii mogą przyjść trzeciej z pomocą. Nie będziesz się bała sama jechać, Alicjo?

–Nie – odpowiada niezbyt pewnie, ale zaraz dodaje. – Ale ty szybko za mną przyjedziesz?

–Przyjadę! – potwierdzam, wprowadzając Toma do wnętrza najbliższej otwartej windy. Programuję jedenaste piętro. Alicja stoi w drzwiach i nie puszcza mojej ręki, aż do chwili gdy wracam i winda z Tomem rusza w górę.

Nie bez niepokoju śledzę zapalanie się kolejnych lampek kontrolnych. Oddycham z ulgą gdy światełko zatrzymuje się przy liczbie „11” i po chwili sygnał świetlny obwieszcza, że winda jest wolna.

Teraz Alicja. Spod bandaża patrzą na mnie zalęknione oczy. Daję małej na pocieszenie

latarkę i mówię, aby sama zaprogramowała „11”. Jeszcze przez szparę w zamykających się drzwiach widzę, jak wpatruje się we mnie błagalnie. I ja też jestem zdenerwowana, chyba za bardzo, bo wszystko gra jak trzeba.

Teraz moja kolej. Po paru minutach jestem już na górze. Przed windą, w ciemnym korytarzu, zapłakana buzia Alicji. Biorę ją w objęcia i całuję w mokry policzek. Lecz Tom już mnie ponagla.

–Idziemy! Masz tu kij i zastaw nim fotokomórkę tak, aby winda pozostała otwarta. Mamy bardzo niewiele czasu! Pokój 1105!

–Wiem!

Wykonuję polecenie Toma, a potem biorę od Alicji latarkę i oświetlam numery nad drzwiami.

1122, 1121, 1120... Przed nami długi, tonący w ciemnościach korytarz. Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, że ktoś nas obserwuje... Oglądam się za siebie. Nikogo nie ma, przynajmniej do miejsca, w którym światło, rzucane z wnętrza otwartej windy, kładzie się na podłodze i ścianach korytarza.

Nie chcę zresztą zbyt długo wpatrywać się w ciemność, aby nie prowokować wyobraźni.

Ale oto i zakręt. Trzymająca się mojej ręki Alicja ściska mi dłoń. Za zakrętem, w głębi korytarza jasny odblask.

–Widzę światło – mówię szeptem do Toma. – To chyba otwarte drzwi jakiegoś pokoju. Odnajduje moje ramię.

–Daj tu Alicję – mówi ściszym głosem. – Podejdź ostrożnie i sprawdź!

Staje z Alicją pod ścianą, a ja zdejmuję z ramienia automat i gaszę latarkę. Miękki chodnik tłumi moje kroki.

Jak przypuszczałam, światło wydobywa się zza otwartych drzwi. Są one zresztą nie tyle otwarte, co wyłamane i wiszą na jednym zawiasie. W przedpokoju, łazience i pokoju nie ma nikogo, ani też nie widać śladów walki czy plądrowania. Nie wydaje się też, aby pokój czy łazienka były używane po opuszczeniu hotelu przez służbę.

–Chodźcie! Wszystko w porządku! – wołam do Toma i Alicji, wychodząc na korytarz. Zapalam latarkę i sprawdzam numer nad drzwiami, aby się zorientować czy

iść dalej, czy zawrócić. Jest to pokój... 1105!

Telewizor! Wracam do pokoju, pełna najgorszych przeczuć. Teraz dopiero widzę, że aparat jest odwrócony ekranem do ściany, a tylna ścianka została zdjęta. Nic tu już nie znajdziemy.

–To ten pokój? – słyszę za sobą głos Toma. Jest domyślniejszy ode mnie.

–Tak. Niestety, już tu byli... I wiedzieli dobrze gdzie to jest...

–To znaczy?

–Nic nie ruszane, poza telewizorem... Nie mamy czego tu szukać.

Tom zastanawia się, a potem mówi do mnie ścisząc głos:

–Obejrzyj dokładnie telewizor i ścianę, przy której stoi. Szukaj znaku nakreślonego ołówkiem, długopisem lub mazakiem. Albo choćby wyskrobanego gwoździem...

Rzeczywiście, na ścianie za stolikiem czernieje jakaś litera czy cyfra. Odsuwam telewizor i przyglądam się niewielkiemu znaczkowi nakreślonymu długopisem.

–Jest tu coś, co przypomina literę omega, a przed nią cyfra 3,5. Wygląda jakby jakiś radiotechnik zanotował sobie wielkość oporu... O to ci chodziło?

Tom potwierdza skinieniem głowy. Potem sięga do kieszeni i wyjmuję długopis.

–Za omegą dopisz „+0,1”!

–To wszystko? – pytam, kreśląc liczbę na ścianie.

–Tak. Wracamy na dół! – Tom jest wyraźnie zadowolony. – Alicjo, Idziemy!

–Już zaraz. Panno Agni, niech pani zobaczy!

Dziewczynka stoi przy oknie i kiwa do mnie ręką. Hotel „Majestic” jest najwyższym

budynkiem w tej okolicy i z okna widać dachy pobliskich domów. Na jednym z nich, chyba przy kolejnej przecznicy alei Zachodniej, wielka ażurowa konstrukcja, na której zainstalowano neonową reklamę, działającą mimo dziennej pory. Jest to reklama jakiegoś orzeźwiającego napoju, którego butelka wywołuje słoneczny uśmiech na twarzy pyzatego diabełka-kosmity, a jej zniknięcie bezbrzeżną rozpacz. Niektóre fragmenty neonu „wysiadły” – widoczna jest tylko połowa butelki, zaś diabełkowi brakuje jednego rożka – ale zasadnicza treść reklamy jest czytelna.

–Jaki fajny ludzik! – cieszy się Alicja. – Zupełnie taki sam jak na drzwiach. A może on tam mieszka?

Zastanawiam się, co Alicja ma na myśli. Im dłużej przyglądam się reklamie, tym silniejszy odczuwam niepokój i wrażenie, że gdzieś niedawno coś podobnego widziałam. Ale wpatrywanie się w błyskający neon poczyna wyzwalać niebezpieczne skojarzenia. Rusztowanie reklamy nie jest już sztywną metalową konstrukcją, lecz pręży się i wygina, jakby pod wpływem impulsów zmieniających układ świetlistych linii. To już w ogóle nie są metalowe wsporniki, lecz cienkie nogi jakiegoś gigantycznego głębinowego kraba czy pająka, który wpatruje się we mnie ślepiami demona-kosmity...

–Chodźcie już! – słyszę zdenerwowany głos Toma. Spoglądam na niego i widzę, że twarz mu zzieleniała, a wpatrujące się we mnie oczy, jarzą się rubinowe.

Zdaję sobie sprawę, że nie mamy chwili do stracenia. Chwytam Alicję za rękę i zagarniam stojącego nadal przy drzwiach Toma.

–Trzymaj się mnie! – podsuwam mu ramię i „holuję” oboje na korytarz. – Znów się zaczyna...

–Wiem... Pamiętaj o oddechach! I nie przyglądaj się niczemu.

Nie potrzebuje mi tego przypominać. To, co trzymam za rękę, nie jest już z pewnością podobne do Alicji i nie mam zamiaru wcale się o tym upewniać. Nie patrzę też na podłogę, po której chyba przebiegają jakieś ohydne pająki i wiję... Przeskakuję wzrokiem z sufitu na ściany, na mijane drzwi i cyfry nad nimi, aby tylko nie zmylić drogi i jak najszybciej dotrzeć do windy.

Zakręt i oto już ukazuje się blade światło. Winda czeka. Ale to oznacza jeszcze jedną ciężką próbę.

–Mamusi, ja się boję! Ja sama nie pojedę! – piszczy błagalnie Alicja. Widać, już i ją dopadły upiory...

–Pojedziesz ze mną – postanawia Tom. Głos jego też zmienił barwę, brzmi głucho i groźnie.

–Ja z tobą, mamusiu! – upiera się mała, ale muszę być twarda.

–Pojedziesz z panem Tomem, a ja zaraz za wami. Dotkniesz dolnego światelka i zjedziecie zaraz na dół. Tam na mnie poczekacie!

–Nie zostawisz mnie!

–Nie zostawię!

Podaję kij Tomowi i wpycham go wraz z Alicją do wnętrza dźwigu. Wyglądają oboje jak monstra z obrazów Boscha... Odwracam pospiesznie wzrok.

–Przyjedziesz? – słyszę głos Alicji.

–Dolne światelko – wołam przez zwężającą się szparę.

W korytarzu jest niemal zupełnie ciemno, a ja boję się zapalić latarkę. Monstra Hieronima Boscha... Rok temu byliśmy z Martinem w Prado... Że też teraz musiały mi się przypomnieć te obrazy!

Światelko sygnalizacyjne nad drzwiami dźwigu ruszyło z miejsca. Alicja wykonała polecenie. Już ósme, siódme, szóste piętro... Czekam w napięciu na zapalenie się „piątki” i czuję, jak ogarnia mnie niepokój. Sekundy płyną... Jakby jakaś czarna diabelska łapa przesłoniła okienka sygnalizacyjne... Coś czai się nad drzwiami...

„Piątka”! Nie ma już czarnej łapy, ale światło nie gaśnie. Czyżby winda zatrzymała się na piątym piętrze? Może Alicja się pomyliła? Albo mechanizm sygnalizacyjny źle działa? Mogę mieć też halucynacje – jak z szybkościomierzem łazika...

„Piątka” zgasła i zapaliła się „czwórka”. Winda szybko zjeżdża w dół i nigdzie się już nie zatrzymując – osiąga parter. Po chwili gaśnie czerwona lampka – winda jest wolna – Tom i Alicja są już w hallu. Pospiesznie sięgam do fosforyzującego punktu i światło sygnalizacyjne znów poczyna wędrować. Lęk i zwidy jakby przybladły. Co prawda, coś dzieje się za moimi plecami, słyszę jakieś szelesty i sapanie, ale powtarzam sobie, że to tylko wytwory wyobraźni, że muszę wytrwać te kilkadziesiąt sekund i za chwilę znajdę się we wnętrzu windy. Już dojeżdża! Za moment otworzą się drzwi. A jeśli za nimi zobaczę znów coś okropnego? Zamykam oczy i na oślep przekraczam próg dźwigu. Potem odwracam się pospiesznie twarzą w kierunku tablicy programowania i włączam parter. Nie mam odwagi obejrzeć się za siebie. Oddycham pospiesznie, powtarzając w myślach zakłęcie obronne, lecz tym razem niewiele to wszystko pomaga. Tu w Cameo vortex działa nieporównanie silniej niż w rezerwacie, czy nawet Delft.

Winda staje i drzwi otwierają się z cichym szmerem. Przede mną hall pełen dziennego światła. Wyskakuję z windy i czuję, że serce mi zamiera: w hallu nie ma nikogo...

–Alicja! Żadnej odpowiedzi. Sala recepcyjna wydaje się jakaś inna, nieporównanie rozleglejsza i wyższa niż widziałam ją po raz pierwszy. Przypomina raczej ogromną, obrosłą kurzem i pleśnią komnatę starego, walącego się zamczyska niż hall nowoczesnego hotelu. Jest to oczywiście złudzenie, nowy zwid wywołany anomalią i nie powinnam zbyt przyglądać się temu co widzę. Muszę jednak odnaleźć Alicję i Toma. A jeśli są tu gdzieś w pobliżu, a ja utraciłam zdolność ich dostrzeżenia i usłyszenia? Czy halucynacja może polegać na blokadzie określonych postrzeżeń? Prawda, że w hipnozie takie zjawiska występują, lecz vortex zdaje się działać na innej zasadzie.

–Tom! Gdzie jesteś?!

Nadal otacza mnie cisza.

W głębi hallu widziałam stolik i kilka foteli. Może tam ich znajdę? Muszę sprawdzić! Oddycham pospiesznie starając się opanować lęk.

Zamiast foteli i stolika widzę cztery, siedzące na ziemi w kucki, pokraczne wiedźmy...

-Tom! Alicjo!

Wiedźmy siedzą bez ruchu, wpatrując się we mnie fosforyzującymi ślepiami. Tu nie ma Toma ani Alicji, to są tylko zwykłe meble...

Ale gdzie się oni podzieli? Może Tom zmienił się w oczach Alicji w coś tak potwornego, że dziewczynka uciekła przed nim na ulicę, albo gdzieś się schowała, a on poszedł jej szukać i zablądził? To zupełnie prawdopodobne. A może Alicja źle zaprogramowała piętra i przez pomyłkę wysiedli na piątym? Może czekają tam na mnie?

Muszę wrócić do windy i pojechać na piąte piętro, choć perspektywa jeszcze jednej samotnej jazdy dźwigiem i krążenia po ciemnych korytarzach, napętnia mnie przerażeniem. Wiem, że muszę pokonać strach i już nawet idę w kierunku stacji wind, lecz nie potrafię się przemóc, aby spojrzeć w tamtą stronę. Czy zdołam zmusić się do wejścia do wnętrza dźwigu i zaprogramowania go.

Warkot uruchomionego silnika dobiegający od drzwi wejściowych, zatrzymuje mnie w miejscu. Dźwięk jest wyraźny i znajomy – to z pewnością nasz dżip.

Już z hallu, poprzez szklane drzwi widzę za kierownicą łazika wysoką postać. To z pewnością senator – obudził się i uwolnił z więzów. Czyżby chciał porwać Toma i uciec do Dusk.

Wybiegam na podjazd, wskakuję na stopień i otwieram drzwi. W wozie nie ma Toma ani Alicji. Jest tylko Benedict, a właściwie monstrum bez tułowia, o wielkiej baloniastej głowie, z której bezpośrednio wyrastają ręce i nogi senatora.

–Gdzie doktor Quinta i Alicja?! – wołam do niego.

Monstrum odwraca ku mnie potworny szcurzy pysk i wydaje z siebie przeraźliwy skowyt. To już nie jest halucynacja – to prawdziwy obłąkańczy strach.

Pospiesznie próbuję wydobyć z kieszeni puszkę z gazem usypiającym.

–Panie senatorze! To ja, Agni!

Mój krzyk ginie w ryku silnika. Dżip rusza tak gwałtownie, że odrzucona przez otwarte drzwi, wypadam na chodnik. Czuję ostry ból ramienia, ale chyba nic mi się nie stało. Zrywam się z ziemi i w pierwszej chwili chcę biec za uciekającym łazikiem, lecz zaraz uświadamiam sobie, że to nie ma sensu.

Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów, dżip zawraca gwałtownie. Widocznie senator uświadomił sobie, że to byłam ja, a nie żaden potwór.

Wybiegam z podjazdu na ulicę. Senator już mnie zobaczył. Chyba zwalnia. Nie. Znow przyspiesza. Macham rękami, aby się zatrzymał, ale on pędzi wprost na mnie. Próbuję uskoczyć. Dżip skręca w tej samej chwili w moją stronę. Rozpaczliwy skok i uderzenie błotnikiem, a może otwartymi drzwiami, odrzuca mnie aż na drugą stronę jezdni.

Ogłuszający trzask, wstrząs i chyba tracę przytomność. Na jak długo – nie wiem...

Leżę bezwładnie, a wokół mnie coś się dzieje, czego nie mogę zrozumieć. Ktoś mnie dotyka, obmacuje, czuję jakieś ukłucie, niezbyt bolesne. Szumi mi w głowie. Słyszę różne głosy, niektóre jakby znajome, ale nie rozumiem ani słowa. Czuję dym i spaleniznę, jest chyba wieczór i robi mi się zimno. Potem stwierdzam, że leżę na czymś miękkim i chyba ktoś mnie wiezie samochodem, bo czuję od czasu do czasu lekkie wstrząsy. Zaczynam nawet dostrzegać światło. Jednocześnie ogarnia mnie senność i zmęczenie, tak że nie chce mi się nawet otworzyć oczu. Czuję dziwne kołysanie... W głowie mi się kręci...

Znow ktoś zaczyna obok mnie rozmawiać. Dwóch mężczyzn. Mówią chyba o mnie. Są zaniepokojeni, że nie odzyskuję przytomności. Głosy są znajome, bardzo znajome. Poznają – to Hans Oriento i Martin...

Martin! Ogarnia mnie radość, a zarazem chce mi się płakać. Chciałabym, aby to była prawda, nie zaś nowy majak... Aby tak już zostało... na zawsze...

4.

Pierwsze wrażenie po odzyskaniu przytomności, to tępy ból w całym ciele i „piasek” w oczach. Szarawa mgła otacza mnie ze wszystkich stron i dopiero po kilku minutach ustępuje miejsca zasłonie z gęstej siatki, rozwieszanej nad posłaniem. Leżę na pryczy czy może składanym łóżku w jakimś ciasnym i ciemnym pomieszczeniu, do którego światło i powietrze dostaje się przez wąski otwór zasłonięty siatką. Nie jest to z pewnością pokój szpitalny, ale też chyba nie cela więzienna. Raczej coś w rodzaju szałasów lub namiotów z plecionych mat i grubej folii.

Przez siatkę widać kawałek błękitnego nieba i skaliste szczyty. Nie jestem więc w Cameo, a takie skały można spotkać tylko w Górach Żółtych. Jeśli jednak znajduję się w górach – kto mnie tu przywiózł? Senator z Tomem? Senator próbował mnie zabić, to nie była halucynacja. Oczywiście wątpię, aby zdawał sobie sprawę, że to ja. Później, już po fakcie, zwłaszcza jeśli wpływ vortexu zaczął słabnąć, mógł jednak opamiętać się i pospieszyć mi z pomocą. Co prawda, w drodze zdawało mi się, że słyszę głosy Martina i Oriento, ale to mogło być złudzenie. Jeśli Benedict zmieniał się w Pratta, to czyż nie mogłam pomylić głosu Toma z głosem Martina? Skąd mógłby się znaleźć w tym miejscu i w tym momencie Martin? Chyba, że Oriento rzeczywiście jest jasnowidzem...

Próbuję usiąść, ale każdy ruch powoduje tak piekielny ból mięśni, że opadam na powrót na posłanie. W tej samej chwili dobiega mnie gdzieś zza łóżka ciche westchnienie. Ktoś jest ze mną w tym pomieszczeniu. Pokonując ból, odwracam głowę – w mroku dostrzegam ramiona i tył głowy śpiącego w składanym fotelu mężczyzny. Twarzy nie widać, lecz zarys głowy jest mi znajomy.

–Martin?

Mężczyzna budzi się raptownie i podnosi głowę. Ciemna, spalona przez słońce, wychudła twarz o zapadniętych oczach... Ale to z pewnością on.

–Agni! – Martin wstaje, odsłania siatkę i siada obok mnie. Widzę, że nie jest w stanie wymówić niczego więcej, tylko patrzy na mnie i delikatnie ściska moją dłoń. Łzy zaczynają kręcić mi się w oczach.

–Więc to jednak ty mnie znalazłeś! – uśmiecham się do niego i chciałabym wytrzeć sobie oczy, lecz obolałe mięśnie odmawiają posłuszeństwa. – Myślałam, że to znów tylko omamy... – dodaję krzywiąc się z bólu. – Powiedz, Martin co ze mną? Dlaczego mnie wszystko tak boli? Nie mogę się ruszyć.

–Jesteś bardzo posiniaczona – Martin odzyskuje mowę. – Ale Kaduna twierdzi, że to

tylko silne potłuczenie i za parę dni będziesz zdrowa. Szykuje zresztą dla ciebie jakieś cudowne lekarstwo.

–Kto to ten Kaduna?

–Wódz i czarownik plemienia Magogo. To wspaniały, mądry człowiek. Na pewno ci się spodoba.

Martin jest taki jak dawniej: pełen energii i pomysłów. Objawy psychopatii, jakie można było zauważyć jeszcze po „kuracji” przeprowadzonej przez Oriento, ustąpiły chyba bez śladu.

Tyle, że w ciągu tych niewielu dni wyraźnie posiwiał, jeszcze bardziej zeszczupłał i postarzał się o dobrych kilka lat.

–Jestem w górach, prawda?

–Tak. Pod przełęczą Timajów. Przywieźliśmy cię tu z Hansem. Dalej przejechać nie można. Jest trochę wspinaczki. Pójdziemy, gdy tylko poczujesz się lepiej.

–Znaleźliście mnie w Cameo... Jechaliście za nami z Delft?

–Nie. Przeszliśmy przez góry do Kotliny Timu.

–Przez Dolinę Martwych Kamieni? Bob mówił, że przejść nie można. Że się traci przytomność.

–Tylko przy pierwszych próbach wkraczania w strefę czwartą. Potem następuje adaptacja.

–I z Kotliny Timu pojechaliście do Cameo... A mówiłeś, że nie można przejechać?

–Tylko do przełęczy. Pierwszy wypad, jeszcze piechotą, zrobił Hans z Bobem, gdyż mnie w tym czasie kurował Kaduna. Za drugim razem poszedłem z Hansem, a Bob został w Kotlinie. W czasie tego drugiego wypadu udało się nam uruchomić transporter gąsienicowy, porzucony w mieście przez dusklandzkich zwiadowców. Nim właśnie przywieźliśmy tu ciebie.

–Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? Spotkałeś Toma z Alicją? A może senatora?

Martin patrzy na mnie jakoś dziwnie.

–O kim mówisz?

–Przyjechałam do Cameo z Quintą i senatorem Benedictem z Dusklandu.

–Przyjechaliście dżipem?

–Tak. Była też z nami mała dziewczynka, Alicja Ives. Zabraliśmy ją z Delft. Nie spotkaliście jej? Była razem z Quintą.

Przeczący ruch głową.

–Dżipa prowadził Benedict?

–Widziałeś, jak mnie potrącił? Zupełnie oszalał ze strachu... Na pewno nie zdawał sobie sprawy, że to ja. Zresztą i ja miałam okropne przywidzenia, tyle, że jestem trochę odporniejsza i potrafię się opanować – dodaję z dumą. – Więc widzieliście, jak mnie potrącił i uciekł? A mnie się zdawało, że była już noc, gdy mnie wieźliście. Może Benedict zabrał Toma i Alicję.

–Była już noc, gdy cię znaleźliśmy – stwierdza Martin. – Ten Benedict to bratanek żony Knoxa?

–Tak. Znasz go?

–Nie. Ale wiem o nim sporo... Dziwne, że on z tobą i Quintą w Cameo...

–Nie podejmuję tematu, bo w tej chwili najbardziej niepokoi mnie los Alicji i Toma.

–Mówisz, że widziałeś dżipa... Gdzie to było? I kiedy? Benedict uciekł chyba ze dwie godziny przed zmrokiem. Czy jechał sam, czy może zauważyłeś kogoś w wozie?

–Był sam – mówi Martin i spuszcza oczy.

–Jesteś pewien?

–Całkowicie...

–To znaczy, że Tom i Alicja zostali w Cameo! To okropne!

–Patrzę z rozpaczą na Martina, czekając, aby zaprzeczył, aby powiedział, że oni oboje są już w Kotlinie Timu, lecz on milczy i wpatruje się ponuro w ziemię.

–Muszę tam wrócić! – mówię z determinacją i próbuję się podnieść, lecz paraliżujący ból przywraca mi świadomość mojej rzeczywistej sytuacji.

–Porozmawiam z Hansem – oświadcza Martin i wstaje. – Gdzie ich ostatni raz widziałaś?

–W hotelu „Majestic”. Na 11 piętrze. Byliśmy pod „piątką”. Ale tam nie było już ani filmów, ani notatek...

–Martin nie wydaje się zdziwiony.

–O „piątce” Benedict dowiedział się od ciebie? – pyta chłodno. Zdaję sobie sprawę, że

może podejrzewać Bóg wie co.

–Benedict nic nie wie o schowku. I nie był w ogóle z nami na górze – wyjaśniam nieporozumienie. – Zostawiliśmy go uśpionego na dole w wozie. O schowku wiedział Quinta. Skąd, nie wiem. Kazał mi nawet szukać znaku, o którym ja nie wiedziałam.

–Znaku? – Martin wyraźnie się ożywia.

–3,5 oma. A może omega? Cyfry i grecka litera... I był bardzo zadowolony, jak znalazłam. Kazał też dopisać „+0,1”. Czy ci to coś mówi?

–Bardzo wiele – Martin wydaje się uradowany. – Idę po Hansa! Musisz nam szczegółowo opowiedzieć, co mówił ci Quinta i w ogóle co się z wami działo...

Martin podnosi płachtę u wejścia i znika. Zostaję sama. Odczuwam podniecenie, a zarazem zdenerwowanie i niepokój. Boję się o Alicję i Toma. Jestem chyba odpowiedzialna za to, co się stało i jednocześnie skazana na bierne oczekiwanie. Do tego dołącza się moje niezbyt czyste sumienie wobec Martina... Nie wiem, czy zdobędę się na to, aby mu powiedzieć o Tomie, a przecież muszę być uczciwa wobec nich obu i siebie.

Nie zapytałam Martina o Boba... Zupełnie o nim zapomniałam. Ciekawe czy nadal „eksterioryzuje” i wiedział, co się ze mną działo? A może to on wskazał, gdzie mnie szukać? Musiałabym wówczas chyba uwierzyć w jego przedziwne zdolności...

Martin wraca z Hansem Oriento nadspodziewanie szybko. W przeciwieństwie do Martina Oriento wygląda kwitnąco, jest wygolony, świeży i elegancki, niemal tak jak w czasie naszego pierwszego spotkania w Monachium.

–Witam panią, Agni! To wspaniale, że czuje się pani lepiej i możemy porozmawiać! – woła od progu. – Już po raz trzeci nasze drogi się zbiegły i to w okolicznościach szczególnych. Gwiazdy i karty mówią zresztą, że spotkamy się jeszcze po raz czwarty, a los będzie wówczas łaskawszy dla pani niż dla mnie... Spotka pani młodego człowieka, rzuci wszystkich starych przyjaciół i pójdzie za nim...

–Nie wygłupiaj się, Hans – strofuje go Martin, wyraźnie niezadowolony z proroctwa.
– Agni gotowa uwierzyć!

–I powinna uwierzyć, bo to dobra wróżba – mówi Oriento z powagą, ale w tej powadze jest chyba coś z przymrużenia oka. – A ty nie bądź takim egoistą. Mówiłem ci przecież...

–Co z inżynierem Bergiem i Bobem? – pytam, przenosząc rozmowę na neutralny teren.

–Istvan powinien już być w Paryżu. Na razie brak od niego wszelkich wiadomości – wyjaśnia Martin. – Bob jest tu z nami... to znaczy: pozostał w Kotlinie.

–Studiuje pilnie magię Timajów – dorzuca z uśmiechem Oriento. – A profesor Kaduna bardzo go chwali.

–Czy to Bobowi zawdzięczam odnalezienie? Czy może pana zdolnościom jasnowidczym?

Oriento poważnieje.

–Bob nie był z nami w Cameo – stwierdza niechętnie. – I nie spodziewaliśmy się was tam spotkać. Wiedzieliśmy, że Maks i Ellen nie żyją. Bob eksterioryzował do groty 29 listopada, około południa i widział, co z nimi zrobiono... Nie mieliśmy jednak pewności, co stało się z panią i doktorem. Co prawda w nocy z 29 na 30, a potem 30-go wieczorem próbowaliśmy określić wasze losy, ale w Kotlinie Timu warunki są chyba niesprzyjające telegnozji, bowiem relacje Boba budziły wątpliwości. Co pani robiła w nocy z 29 na 30-go? – pyta wpatrując się we mnie z powagą.

Bobi mi się gorąco. Czyżby Bob rzeczywiście coś „widział”? A może Oriento ma jakąś „wtyczkę” wśród ludzi Pratta? Nie ma sensu kłamać, ale też nie widzę potrzeby zbyt daleko posuniętych zwierzeń, zwłaszcza w obecności Martina.

–Spałam w rezydencji Knoxa – staram się nadać głosowi jak najnaturalniejsze brzmienie, lecz chyba nie bardzo mi się to udaje.

–Był tam również doktor Quinta? – pyta Oriento niemal twierdzącym tonem.

–Oczywiście. Przywieziono nas tam od razu z Doliny Martwych Kamieni.

Oriento patrzy na mnie i jestem już niemal pewna, że wie... Jego wzrok na moment przenosi się na Martina, który zdaje się niczego nie podejrzewać.

–A 30-go wieczorem? – Oriento zmienia temat. Powinnam być mu za to wdzięczna. Jest to też okazja, aby sprawdzić co wie.

–Byłam „gościem” majora von Oosta. Czy to nazwisko coś wam mówi? – odpowiadam pytaniem, obserwując reakcję Oriento.

Oczy „jasnowidza” na moment zwężają się.

–Gościem? – w głosie Martina wyczuwam wzburzenie.

–Martin był torturowany przez von Oosta... W ramach współpracy między żandarmerią Nummy i policją dusklandzką – wyjaśnia Oriento. – Von Oost to prawa ręka Pratta do „specjalnej” roboty. A kim jest pułkownik Pratt, to chyba pani wie...

–Aż nazbyt dobrze. To on „opiekował się” nami w Knox-Benedict i z jego polecenia von Oost przesłuchiwał mnie w „forcie”.

–Trzymali cię w więzieniu śledczym w Bosch? – mówi Martin ze zgrozą. – Stamtąd nikt nie wychodzi normalny...

–Jak widzisz, nie jest tak źle... – uśmiecham się do Martina. – Po prostu: byłam im potrzebna, więc widocznie traktowano mnie ulgowo. Może zresztą nie jestem w pełni normalna, bo zaszczepiono mi uraz na pareczniki. Ale się jakoś nie daję. Wyciągnęli ze mnie niewiele, bo interesowało ich przede wszystkim to, co wie Quinta, a to było właśnie to, o czym nie miałam zielonego pojęcia... Myślę, że oni się boją Quinty. Wiedzą, że rozpracował „dyspozytornię” i podejrzewają, iż ma powiązania z „antydispozytornią”. W rzeczywistości on sam jej szuka... Ja o tym wszystkim nie wiedziałam, aż do naszej ucieczki i to bardzo dobrze, bo z pewnością by ze mnie wyciągnęli wszystko...

–Niech pani opowiada po kolei, bardzo proszę – przerywa moje chaotyczne zwierzenia Oriento. – Od początku, od chwili gdyśmy odeszli w góry.

–Możesz mówić przy nim wszystko, co wiesz – dodaje Martin. – On jest z nami.

A więc to, co mówił Tom, jest prawdą. Martina i Hansa wiąże coś więcej niż przyjaźń... Co za dziwna, zawikłana gra toczyła się wokół mnie, ba – uczestniczyłam w niej nawet, nie zdając sobie sprawy kto przyjaciel, a kto wróg. Może teraz wreszcie dowiem się, co jest prawdą?

Zaczynam opowiadać, ale od czasu do czasu przerywam i sama zadaję pytania. Martin i Hans zachowują się zresztą tak, jakby nie mieli zamiaru niczego przede mną ukrywać i nierzadko z własnej inicjatywy uzupełniają moje relacje.

To, o czym mówi Oriento, brzmi czasem niewiarygodnie. Na przykład twierdzi, że fantom spotkany przeze mnie w Dolinie Martwych Kamieni, to nie był żaden żywy człowiek, lecz „ciało astralne” Boba, który w tym czasie „eksterioryzował” i podobno „spotkał” mnie wędrującą ich śladem w górach. Nie wiem, co o tym sądzić, bo Martin był w tym czasie współprytny i nie może służyć za świadka. Podobnie nie jestem przekonana, czy Bob rzeczywiście drogą „eksterioryzacji” zdobył informacje o tym, co stało się w górskiej bazie Oriento. Mógł być tam już po tragicznych wydarzeniach na własnych nogach. Gdy opowiadam o aresztowaniu i przeżyciach w „forcie”, Hans wtrąca, że Bob „eksterioryzując” widział mnie nagą w pustej, białej sali, ale o tym nie mówili Martinowi, nie chcąc go niepokoić.

Może tak było, a może nie... Oriento wspomniał o tym, gdy dowiedział się już ode mnie, w jakich warunkach byłam przesłuchiwana przez von Oosta. Nie mówiłam, co prawda, jak wyglądało pomieszczenie, w którym poddawano mnie działaniu aparatów Hendersona, lecz „jasnowidz” może mieć na ten temat dobre informacje, bynajmniej nie z „parapsychicznych” źródeł. Zastanawiające jest, że już wcześniej, wspominając o „nieudanych” eksterioryzacjach Boba, określił prawidłowo datę i porę dnia mego przesłuchania.

Być może istnieje sposób sprawdzenia, czy Bob rzeczywiście ma zdolności

„telegnozyjne”. Wystarczy spytać Oriento, co „eksteriorysta” widział w nocy z 29 na 30 listopada. Ale to pytanie nie przejdzie mi przez gardło, zwłaszcza przy Martinie. Wolę je zostawić do rozmowy w cztery oczy z Bobem... Mogłabym, oczywiście, powiedzieć Martinowi, iż musieliśmy grać rolę kochanków, ale wątpię, czy stać mnie na otwarte postawienie sprawy, kłamać zaś nie widzę sensu. Tak źle i tak niedobrze...

Myślę zresztą, że jest on tak pochłonięty zagadką vortexu i grą polityczną, jaka toczy się wokół tej zagadki, że swe osobiste problemy traktuje jako nieważne. Szczególnie silne wrażenie wywarły na nim moje relacje, dotyczące eksperymentów przeprowadzanych w rezerwacie małych człekokształtnych i zaawansowanych przygotowań „dyspozytorni” do akcji „panel”. Okazuje się, że Martin i Hans natrafili na trop tych przygotowań jeszcze w Europie, na rok przed wyprawą do Patope. Nie wiedziałam wówczas, że śmierć naszych amsterdamskich informatorów nie zamknęła sprawy „Ekosu”. Martin nie mógł mnie wtajemniczyć w podjęte działania, w których kluczową rolę odgrywał Hans Oriento. Jego powiązania z Zielonym Płomieniem były bowiem tak głęboko zakonspirowane, że poza Martinem wiedział o nich tylko „Mały” i to tylko tyle, że Oriento finansuje niektóre przedsięwzięcia. Wśród kadry organizacyjnej celowo rozpowszechniane było mniemanie, że Oriento to maniak, hochsztapler, a być może również agent pracujący dla wielkich międzynarodowych korporacji. Inna sprawa, że i Martin chyba nie wszystko wie o Oriento i choć łączy ich dawna przyjaźń, po straszliwych przejściach w Patope nie w potni mu dowierzał.

Obecnie zdaje się panować między nimi całkowita szczerłość i zaufanie. Obaj zachowują się zresztą tak, jakby właśnie nadszedł czas ujawnienia wreszcie przede mną prawdy. Są bardzo mili i serdeczni, Oriento przestał nawet bajać o „jasnowidzeniu” i „eksterioryzacji” i myślę, że gdybym go przycisnęła, powiedziałby mi, jak naprawdę zdobywa informacje...

Teraz dopiero, w świetle tego co słyszę, poprzez konfrontacje z tym, o czym dowiedziałam się od Toma, Benedicta i Knoxa, zaczynam rozumieć sens wydarzeń ostatnich kilkunastu miesięcy. To Oriento, swoimi kanałami, po śmierci More' ów przeprowadził jeszcze raz wywiad w Amsterdamie. Wynik był zaskakujący – okazało się, że More pracował na dwie strony – był informatorem nie tylko Zielonego Płomienia, ale i IAT, a ściślej – był jego wtyczką w naszej organizacji. Oznaczało to, że została ona spenetrowana przez antyterrorystyczny wywiad, zanim jeszcze rozpoczęła swą właściwą działalność. Jednak w żadnym przypadku nie można było tego ujawnić nawet przed ścisłym kierownictwem Płomienia, nie podejmując decyzji rozwiązania organizacji. Martin chciał już na to pójść. lecz Oriento był innego zdania: nie wolno zdradzać, że cokolwiek się domyślamy. Stosując odpowiednie „testy” można wykryć inne wtyczki i izolować, a nawet wykorzystać do przekazywania

spreparowanych celowo fałszywych informacji. Jego zdaniem IAT nie będzie się spieszył z likwidacją Zielonego Płomienia, dopóki nie rozwiniemy szerszej działalności dywersyjnej.

Co więcej, Oriento podejrzewał, iż IAT lub ktoś, kto za nim stoi, chce wykorzystać Zielony Płomień dla własnych celów, być może w walce przeciw innej organizacji, ocenianej, jako znacznie niebezpieczniejsza. Wskazywałoby na to nadanie nam sprawy „Ekosu”. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że More działał na zlecenie swych szefów z IAT.

Z informacji, jakie zebrali ludzie Oriento, wynikało, że wbrew twierdzeniom klientów „Ekosu” wypytywanych przez Carla i Vittoria, niektórzy nabywcy „jonizatorów autokorekcyjnych” skarżyli się na podobne dolegliwości jak More’ owie, lecz później nie chcieli się do tego przyznać. To o czym pisał More, nie było więc blefem. Wydaje się, że „handlowo-usługowa” akcja „Ekosu” miała na celu coś więcej niż tylko sprawdzenie działania rzekomych jonizatorów. Na to wystarczyłyby eksperymenty w warunkach laboratoryjnych lub na specjalnych poligonach. Była to raczej próba zastosowania praktycznego i to w stosunku do wybranych osób i ich rodzin. „Ekos” nie reklamował się w

prasie, lecz podrzucał ulotki pod drzwi lub do skrzynek listowych i to tylko w niektórych domach. Trudno dokładnie stwierdzić, ile jonizatorów zainstalowano, ale chyba nie więcej jak setkę. W ogromnej większości były to zwykłe urządzenia klimatyzacyjne, nie powodujące żadnych dolegliwości, a przeciwnie – wpływające dodatnio na samopoczucie. More prawdopodobnie należał do „wybranych”. Chyba przede wszystkim dlatego, że był znanym i cenionym dziennikarzem, kandydatem „Zielonych” w wyborach. Być może wiedzano coś o Zielonym Płomieniu i szukano dojścia przygotowując dla nas jakąś rolę... Zdaniem Oriento, wątpliwe jest, aby More'a podejrzewano o kontakty z IAT, przynajmniej na początku akcji. Przyczyna zabójstwa – bo katastrofa nie była przypadkowa – nie jest zupełnie jasna. Niewątpliwie za dużo wiedział, ale jeśli idzie o bezpośrednie powody decyzji, to wchodzi w rachubę dwie możliwości: zorientowano się, że próbuje iść tropem „Ekosu” i może rozpracować „dyspozytornię” dla IAT, albo też zagrano z nim w otwarte karty i odmówił współpracy. Wystarczyło zresztą, że przechwycono jakiś list do nas, a szyfr, jakim się posługiwaliśmy w tego rodzaju, jak się zdawało, niezbyt ważnej korespondencji, był łatwy do złamania.

Oriento przeprowadzał swój wywiad oczywiście z pominięciem siatki Zielonego Płomienia. Jedynym informowanym o wynikach był Martin. Przez następne dwa miesiące szukali analogicznych akcji w innych krajach, nie próbując penetrować odkrytych kanałów amsterdamskich, aby nie budzić czujności przeciwnika. Metoda ta okazała się słuszna, gdyż odkryto jeszcze pięć „przedstawicielstw” różnych firm zajmujących się instalacją „jonizatorów”, „klimatyzatorów”, „nawilżaczy” i „bioemiterów”, dziwnie podobnych do autokompensatorów „Ekosu” – w Paryżu, Londynie, Kolonii, Monachium i Sztokholmie. A ile mogło jeszcze ich działać poza Europą, a także lepiej maskowanych w innych krajach starego kontynentu?

Dla Oriento nie ulegało wątpliwości, że działa tu jedna ręka – szeroko rozgałęzionej międzynarodowej organizacji spiskowej, o tak przemyślnie skonstruowanej siatce, że każdy uchwycony trop rwał się po paru krokach lub wiódł na manowce. Ogromna większość uczestników gry prowadzonej przez „dyspozytornię” nie zdawała sobie zresztą zupełnie sprawy z jej istnienia, wykonując po prostu polecenia zwierzchników, przywódców politycznych, czy wręcz kierując się doraźnym interesem osobistym. Niejednokrotnie u Martina rodziło się podejrzenie, iż być może odkrywają coś, co nie istnieje, że fałszywie, tendencyjnie, interpretują fakty, których zbieżność można zupełnie inaczej wyjaśnić, niż to sugeruje Hans. Słowem – że spisek jest tylko wytworem ich wyobraźni. Zdawał się przemawiać za tym całkowity brak konkretnych dowodów działalności konspiracyjnej, a także powiązań między podobnymi akcjami handlowo-usługowymi różnych firm w różnych krajach. Każdy konkretny przypadek nosił wszelkie cechy „normalności”. Przedstawiciel firmy chciał sprzedać i zainstalować jonizatory, bo to był jego biznes. Nabywca decydował się na

transakcję, bo doszedł z rodziną do wniosku, iż może rzeczywiście jego dolegliwości, lub po prostu złe samopoczucie, jest związane z „promieniowaniem żył wodnych” i złą jonizacją, a więc nie zaszkodzi spróbować, zwłaszcza, że warunki są bardzo dogodne. A że później trudno jest obejść się bez jonizatora, to przecież naturalne zjawisko – do dobrych warunków człowiek się przyzwyczaja. Tak samo jakby ktoś kazał nam odzwyczaić się od łazienki...

Oriente nie dał się jednak zwieść, skupiając uwagę na producentach i instalatorach aparatury. I tu również z pozoru wszystko odbywało się normalnie: małe zakłady – filie przedsiębiorstw firmujących produkcję – montowały aparaty z dostarczonych części i instalowały w domach klientów. Części dostarczała jakaś mało znana firma włosko-duskladzka. W skład aparatury wchodziły układy elektroniczne w postaci wymiennych pakietów, łatwych do zamiany i nie do rozróżnienia, nawet dla fachowca bez odpowiednich przyrządów badawczych. Udało się zdobyć dla Vittoria dwa tego rodzaju pakiety, ale nie

odznaczały się one niczym szczególnym.

Wszystko zdawało się grać, gdyby nie jeden zastanawiający fakt: dlaczego w różnych krajach to samo urządzenie z tych samych części produkowały różne firmy pod różnymi nazwami? Czyżby chodziło o jakieś kombinacje celne i podatkowe?

Martin wysłał Vittoria do Włoch, ale tam produkowano tylko obudowę i elementy elektromechaniczne. Układy elektroniczne dostarczano z Dusklandu, z zakładów „Palbio” i Vittorio poleciał do Cameo. Jako elektronik, z dobrymi referencjami od „Philipsa” i IBM, bez trudu otrzymał pracę w zakładach, lecz był pod czujną obserwacją i w ciągu dwumiesięcznego pobytu w Cameo niewiele mógł się wywiedzieć, zwłaszcza, że to co robił, nie miało niczego wspólnego z tajemniczymi zespołami sterującymi „jonizatorami”. Udało mu się za to wejść w kontakt z kilkoma młodymi ludźmi – studentami o lewicowych poglądach, którzy mogliby stać się załącznikiem siatki Zielonego Plemienia. Przez tych właśnie studentów dotarła do niego plotka o nowej broni, przygotowywanej przeciw partyzantom w Patope. Oczywiście, przekazał tę wiadomość Martinowi, prosząc o dalsze instrukcje.

Do Inuto przybył Vittorio na dwa dni przed pojawieniem się vortexu. Początkowo był przekonany, że jest to właśnie owa tajemnicza nowa broń. Wiadomość, że Cameo objęte jest anomalią, była dla niego zaskoczeniem. Fakt ten ułatwiał mu jednak legalny pobyt w stolicy Republiki, Patope – uzasadniony oczekiwaniem aż „wszystko wróci do normy”.

W trzeciej dekadzie czerwca przyleciał do Patope Oriento, zdobywając zadziwiająco szybko oficjalne zezwolenie na założenie „bazy naukowej” u wylotu Doliny Martwych Kamieni. Tajemnica tego sukcesu, mimo stanu wyjątkowego panującego w „wolnej republice”, polegała na tym, że „marszałek” Numa był ogromnym entuzjastą książek Oriento i liczył, iż „jasnowidz” rozwiąże zagadkę vortexu. Oriento, po zainstalowaniu się ze swymi chłopcami w górach, ściągnął do Patope Martina, który zamieszkał w tym samym hotelu w Inuto co Vittorio, tak iż mogli pozostawać w kontakcie, nie budząc niczyich, jak się zdawało, podejrzeń. Z tego, co zdołał wywiedzieć się Vittorio, wynikało, że istnieje związek między działalnością jakiejś ściśle tajnej międzynarodowej organizacji związanej z wielkimi korporacjami, aferą „Ekosu” i tajemniczą anomalią na pograniczu Patope i Dusklandu. O samej organizacji, podobnie jak w Europie, nie można było zdobyć żadnych bliższych danych. Co gorsza, informacje pochodzące nawet z kręgów wrogich Numle i „Alconowi” były z reguły sprzeczne i nosiły cechy sztucznie preparowanych, mylących plotek.

Z kryptonimem „dyspozytornia” zetknął się Martin po raz pierwszy dopiero w więzieniu w Inuto, w czasie przesłuchiwania go, a właściwie torturowania przez

majora von Oosta. Wtedy też stało się dla niego jasne, jakie związki łączą służby specjalne dwóch zdawałoby się antagonistycznych państw – czarnego Patope i białego Dusklandu... Nie zdawał sobie jednak, wówczas sprawy, czego właściwie od niego chcą jego dręczyciele – podejrzewający prawdopodobnie, iż jest on agentem „antydispozytorni”.

Porównując to, co słyszę od Martina i Hansa, z tym, o czym wiem od Toma i czego mogę się domyślać z rozmów w Knox-Benedict, dochodzę do smutnych refleksji: czy w ogóle można dojść prawdy w tym szalonym kręgu tajemnic, kłamstw, kamuflaży, blefowań i mylnych ocen? Kiedy niespełna dwa tygodnie temu odlatywałam z Monachium wszystko wydawało się proste: albo uda się uwolnić Martina, albo akcja się nie powiedzie i zginę. Świat dzielił się na przyjaciół i wrogów, a zdolność rozróżniania, kto jest kim i podejmowania prawidłowych decyzji, zostawiałam tym spośród towarzyszy, którzy „wiedzą lepiej”, co jest słuszne. Wiem teraz, jak naiwna i niebezpieczna była ta wiara w mądrość i „wtajemniczenie” tych, którzy mną kierowali. Już w czasie akcji w Inuto zaczęłam mieć wątpliwości, czy Toszi rzeczywiście orientuje się w sytuacji, ale wierzyłam, że gdy Martin odzyska przytomność będzie wiadomo, co naprawdę należy robić. Tymczasem Martin aż do dziś również nie zdawał sobie sprawy z istoty toczącej się gry, a jego niezwykle przyjaciel Hans Oriento – choć znacznie lepiej zorientowany od niego, także gubi się w domysłach. Jak

kiepski żart brzmi stwierdzenie, że „jasnowidz” Oriento wie bez porównania mniej niż ślepiec Quinta... A przecież i Tom, i próbujący sięgnąć po niepodzielną władzę nad światem tajemniczy „dyspozytorzy” stają bezradni przed zagadką zdawałoby się łatwą do rozwiązania dla tak „wtajemniczonych” graczy – kto kieruje Vortexem P? Mówię o tym Hansowi, lecz on się tylko uśmiecha.

Opowiadam teraz o Delft, spotkaniu Alicji i nocnych odwiedzinach tajemniczego motocyklisty. Martin pyta, czy jestem pewna, że to nie mógł być Toszi. Jestem zaskoczona tym przypuszczeniem. Oczywiście, w zasięgu anomalii nie można polegać na doznaniach wzrokowych, ale senator widział to samo, a Tom poznałby go po głosie. W ogóle skąd ten pomysł? Czyżby Toszi znajdował się w Cameo?

Okazuje się, że w dwa dni po walce w buszu z komandosami Toszi, Magnusen i czarny pilot – Patryk Lumumba-Mathubo – dotarli do Kotliny Timu. Byli pierwszymi ludźmi, którzy pokonali vortex, lecz cena tego była wysoka. Co prawda dzięki podstępowi, Toszi zdobył helikopter, ale lot w głąb anomalii zakończył się katastrofą. Wyszli z niej cało. Potem przedzierali się przez góry, gnani strachem i halucynacjami. Przez całą drogę młody pilot traktowany był w sposób nieludzki przez swych obłąkanych towarzyszy. Trudno sobie wyobrazić, co przeżyli zresztą wszyscy trzej – zostawiło to trwale ślady w psychice prezesa „Alconu” i dawnego terrorysty. Zdaniem Martina vortex wyzwolił w nich jakieś głęboko utajone skłonności; ja nazwałabym to po prostu obłądem. Magnusen przeobraził się bowiem z zastraszonego zakładnika, ni mniej ni więcej, tylko w charyzmatycznego proroka nowej religii, zaś Toszi stał się jego alter ego – najbliższym przyjacielem i strażnikiem.

W głoszonej przez nich wierze nie ma zresztą niczego oryginalnego, jeśli pominąć dostosowanie jej do warunków vortexu. Przepowiadają rychłą zagładę współczesnej cywilizacji, zdziesiątkowanie rodzaju ludzkiego i groźbę straszliwej „niewoli sumień”, przed którą może uratować człowieka tylko pokonanie zła, jakie w nim tkwi. Drogą do tego celu jest zaś wyzbycie się wszelkich pragnień i uczuć, tak w stosunku do siebie, jak i bliźnich. Religia tworzona przez Magnusena jest przy tym pomieszaniem fanatycznego mistycyzmu z praktycznie stosowanymi metodami terroru, gdyż po to, aby „pokonać zło w człowieku” wszystkie sposoby są dozwolone.

Nic dziwnego, że próby rozwinięcia szerszej działalności przez nowych proroków w Kotlinie Timu spotkały się z ostrym sprzeciwem. Społeczność zamieszkująca tę kotlinę, powiększona w trójnasób przez napływ partyzantów Magogo, którzy wraz z rodzinami schronili się w Górach Żółtych podczas pacyfikacji, przeprowadzanej przez armię i żandarmerię Numy, stanowi ponoć przedziwną formę komunizmu połączonego z zasadami organizacji plemiennej. Wiąże się to prawdopodobnie z

koniecznością wyżywienia kilkunastu tysięcy ludzi skupionych na stosunkowo małym obszarze, całkowicie odciętych od świata. Mimo ogromnych trudności i prymitywnych środków, społeczność ta nie tylko zapewnia sobie znośne warunki bytowania, ale odznacza się swoistym optymizmem i pogodą ducha, a jak twierdzi Martin, panująca tam demokracja i humanizm w stosunkach między ludźmi mogłyby być uznane za wzór do naśladowania dla wielu współczesnych społeczeństw. Myślę, że Martin, jak zwykle niepoprawny entuzjasta, idealizuje tamtejsze stosunki społeczne, zwłaszcza, że żyje wśród tych ludzi dopiero od tygodnia. Być może zresztą „oko cyklonu” posiada własności sprzyjające powstaniu takiej niezwyklej oazy pokoju, albo też ów Kaduna jest rzeczywiście genialnym wodzem i mędrcom, jak go reklamuje Oriento. Faktem jest, że potrafił pogodzić dwa, jeszcze nie tak dawno wrogie plemiona Timajów i Magogo. Szybko też i bez awantur poradził sobie z Magnusenem i Toszim, a to też coś mówi.

Obaj prorocy opuścili Kotlinę Timu po trzech dniach z niewielką grupką wyznawców i założyli ponoć obóz „strażników wolności od zła” na przełęczy wiodącej do Doliny Mkavo, skąd wypływa rzeka o tej samej nazwie i gdzie znajduje się największa w Dusklandzie kopalnia uranu. Stamtąd też można dostać się do Cameo trzema drogami: rzeką, szosą i linią

kolejową. Zdaniem Martina wybór miejsca obozowiska nie był przypadkowy. Według bowiem jego obliczeń przełęcz leży na pograniczu szóstej i piątej strefy vortexu. Szóstą strefę, najbliższą „oku cyklonu”, cechują znaczne wahania równowagi psychicznej, zanik uczucia lęku i skłonność do przeceniania własnych sił, zaś w strefie piątej pojawiają się stany mistycznego uniesienia, ekstazy i iluminacji. Przełęcz ma ponadto niezłe położenie „strategiczne” – stosunkowo łatwy z niej jest dostęp do Doliny Mkavo i blokada najdogodniejszych komunikacyjnie szlaków z Kotliny Timu do Cameo. Hans twierdzi jednak, że wątpliwe wydaje się, aby Magnusen i Toszi kierowali się względami strategicznymi, zakładając tu obóz. Podlegają oni bowiem nadał silnemu oddziaływaniu anomaili, a zwłaszcza piątej strefy, w której uniesienie mistyczne przechodzi w okresach maksimum w trans autohipnotyczny.

Przy okazji dowiaduję się, że przejście przez wszystkie strefy VP powoduje, jak się wydaje, swoistą adaptację psychiczną, objawiającą się między innymi stłumieniem reakcji lękowych i halucynacji. Zdaniem Hansa nie można wykluczyć, iż Toszi i Magnusen osiągnęli taką adaptację i robią wypadki do Cameo, a nawet udało im się doprowadzić do podobnych zmian w psychice u części swych wyznawców. Zwiadowcy Kaduny widzieli kilka dni temu, jak obaj prorocy z grupą czarnych braci schodzili do Doliny Mkavo i jak dotychczas jeszcze nie wrócili. Stąd też, gdy mówiłam dość ogólnikowo o „kaznodziei” na motocyklu, nazywanym przez Alicję „Chińczykiem” – Hans i Martin mogli podejrzewać, że spotkaliśmy Tosziego. Oczywiście, nie był to on, lecz pewne akcenty w głoszonych poglądach są chyba podobne. Czyżby istniał jakiś związek między tajemniczymi „kosmitami” i „filozofami” ukrywającymi się w Cameo, a obłędem „proroków” z przełęczą nad Doliną Mkavo? Może zetknęli się z nimi w czasie przechodzenia przez góry? Muszę koniecznie prozmawiać z Toszim a przynajmniej Patrykiem, który pozostał w Kotlinie Timu.

Kosmici... małe zielone ludziki... Kim naprawdę są te pojawiające się, to znów znikające istoty ludzkie, które przecież widzieli nie tylko zwiadowcy pułkownika Chameau, ale również Martin w czasie pierwszej wyprawy do Cameo? I czy mają oni coś wspólnego z „kaznodzieją” na motocyklu? I czy naprawdę vortex doskonalili moralnie? A może wyzwala krwiożercze instynkty?

Mówię teraz o tym, co zobaczyliśmy z senatorem w Abe. Martin i Hans są wstrząśnięci moją relacją. Oriento twierdzi, że ani partyzanci Magogo, ani żaden oddział Numy czy Takku nie mógłby się przedostać na terytorium Dusklandu inaczej niż poprzez vortex, a to wydaje się bardzo mało prawdopodobne z uwagi na lęk jaki budzi anomalia. Przejście granicy gęsto obsadzonej przez wojsko i policję dusklandzką, zwłaszcza obecnie – w zmieniającej się z godziny na godzinę sytuacji politycznej i militarnej w Patope – można całkowicie wykluczyć. Nie jest też chyba możliwe, aby zbrodni tej dokonali sami mieszkańcy obozu. Martin sądzi, że Abe

mogło być objęte co najwyżej pierwszą strefą vortexu, w której występują słabe reakcje popędowe i nieznaczny wzrost napięcia psychicznego. Kim więc byli mordercy? Znow więc wraca zagadkowa sprawa „kosmitów” i „kaznodziei” na motocyklach. Niewiele o nich wiemy, poza tym, że kryją się w murach miasta i działają nocą.

Z tego, co słyszę na temat strefowej struktury vortexu, wynika, iż Martin, Hans i Bob, choć wiedzą mniej ode mnie na temat „dyspozytorni”, nie marnowali czasu i zdołali opracować już całą „geografię” i „chronografię” anomalii. Rzecz jasna, jest to dopiero początek badań i wiele kwestii pozostaje bez odpowiedzi. Obok wewnętrznej pulsacji vortexu, o częstotliwości rosnącej w miarę zbliżania się do „oka cyklonu”, wir jako całość kurczy się i rozszerza w rytmie dziennym i księżycowym, a być może również rocznym i to na większą skalę. Zdaniem Martina poszerzenie się zasięgu anomalii w ostatnich dniach może być właśnie przejawem „normalnej” pulsacji rocznej, której pełnego cyklu nie byliśmy jeszcze w stanie zaobserwować. Nie ma bowiem żadnych dowodów, iż ten wzrost został spowodowany pojawieniem się jakichś nowych czynników.

Nie wiem, jak Martin może się połapać w tym wszystkim, ale rozumiem teraz, jak cenne dla niego i nie tylko dla niego były materiały ukryte w hotelu „Majestic”. Oczywiście pytam zaraz, czy wie, kto je zabrał i co oznaczał napis na ścianie. Okazuje się, że zrobił to Hans w czasie pierwszej wyprawy do Cameo, a „3,5 oma” jest jego konspiracyjnym podpisem, pozostawionym jako pewnego rodzaju pokwitowanie.

–Kim więc jest Quinta? – pytam zaskoczona.

–„Plus zero coma jeden” – „wyjaśnia” Hans, jak gdybym sama nie mogła się tego domyślić.

–To znaczy? Kim jest naprawdę?!

Oriento nie odpowiada, odwracając się w kierunku wejścia do szatni. Dochodzą stamtąd jakieś obce głosy i po chwili spod uniesionej moskitiery wyłania się ciemna sylwetka mężczyzny. Jest to wysoki, starszy wiekiem Murzyn, ubrany we wzorzystą togę i okrągłą kolorową czapeczkę na siwiejącej głowie. Martin podnosi się z miejsca z uszanowaniem a mężczyzna podchodzi do tapczana, nachyla się nade mną i przez dłuższy czas wpatruje się w moje oczy. Robi mi się trochę nieswojo, chociaż twarz tego człowieka, pełna spokoju, szlachetności i dostojeństwa budzi zaufanie. W jego wzroku jest jednocześnie jakaś siła zniewalająca i wyzwalająca zarazem. Wiem też, że jeśli nawet chciałabym spojrzeć na Martina czy Hansa, nie byłabym w stanie oderwać oczu od jego twarzy. Oczywiście, domyślam się, kto to jest i dlaczego tak na mnie patrzy – czekam jednak w napięciu, co powie.

–Jutro będziesz zdrowa, córko! – słyszę wreszcie jego głos, cichy, wyraźny, jakby odizolowany od świata i skierowany wyłącznie do mnie. – Nic cię nie będzie boleć, a twoje mięśnie odzyskają dawną sprawność. Wierzysz mi, córko?

Potwierdzam skinieniem głowy. Nie wiem dlaczego, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa.

–Pat Lu! – Kaduna wyciąga gdzieś w bok rękę i zaraz potem widzę, że trzyma oburącz nieduży, bogato zdobiony w afrykańskie wzory, gliniany dzban.

–Wypij to! – zbliża dzban do moich ust. Jednocześnie czuję, że jakieś ręce pomagają mi unieść głowę.

Napój jest chłodny i przyjemny w smaku.

–Wkrótce usniesz, a gdy będziesz spała, duchy tej ziemi uwolnią twoje ciało z

wszelkich trucizn zsyłających słabość!

Mówi świetną angielszczyzną, z nieco teatralnym patosem, ale widać należy to do rytuału. Uświadamiam sobie, że zaczynam być krytyczna... Kaduna natychmiast to wyczuwa.

–Proszę mi wybaczyć – zmienia nagle ton i usta jego rozchylają się w uśmiechu. – W pani uszach to, co mówię, brzmi z pewnością dziwnie... Ale pobudzenie wyobraźni to ważny czynnik terapeutyczny. U nas to bardzo pomaga.

–U nas też – wtrąca Oriento. – A profesorowi Kadunie może pani wierzyć. To czarownik najwyższego formatu. Nie znam lepszego lekarza na całym kontynencie afrykańskim.

–Musisz wiedzieć, że był rektorem uniwersytetu w Inuto za czasów prezydenta Bastii – dorzuca Martin.

Z lekka kręci mi się w głowie, lekarstwo chyba już zaczyna działać. Jednocześnie mam wrażenie, iż moja zdolność odczuwania wrażeń zmysłowych uległa jakby przytępieniu.

–Są jakieś nowe wiadomości? – pyta Kaduna, siadając w fotelu, z którego przed chwilą wstał Martin. Przede mną przy wejściu do szalasu widzę lśniący tors młodego Murzyna z pistoletem maszynowym, przewieszonym przez ramię. Partyzant jest bardzo zgrabnym chłopcem, a jego twarz wydaje mi się znajoma. Tak, poznaję. To przecież Patryk Lumumba Mathubo – pilot helikoptera, którym odlecieliśmy z Inuto. Jak to już było dawno...

**Jak przez watę dochodzą mnie głosy Hansa, Martina i Kaduny. Oriento opowiada o masakrze w Abe. Kaduna wątpi, aby mogli to zrobić „zieloni” ... Co za „zieloni”?
Zielony**

Płomień? Oczywiście, że to brednie. Martin mówi coś o czwartej i piątej strefie, że tam tylko mógłby się wylęgnąć tego rodzaju amok... Że strefa przejściowa odpada... Przypominam sobie, co mówił Tom na temat reakcji paradoksalnych w strefie przejściowej i staram się o tym powiedzieć Martinowi. Ale czy to mi się udaje, czy mu powiedziałam, nie wiem sama...

Oriento mówi coś teraz o Magnusenie i nowej radiostacji. I że winien, ale kto i co nie wiem. Potem zdaje się coś o terrorystach, BAGRA i generale Takku.

Kaduna wstaje... Widzę go jak przez mgłę. Słyszę jego głos. Tylko z rzadka docierają do mojej świadomości poszczególne słowa... Quinta...? Pratt...?

Uświadamiam sobie, że o czymś ważnym zapomniałam powiedzieć. Komu powiedzieć? Tomowi? Martinowi? Ale o czym? Co to było? Tak ważne, a zapomniałam... Muszę sobie przypomnieć. Muszę, zanim coś się stanie strasznego...

Nie pamiętam... Nic nie mogę sobie przypomnieć... Nic zupełnie. Czuję jakbym się zapadała w miękki puch...

Alicja? Muszę ratować Alicję!... Ale czy tylko to?

Część VI

KATHARSIS

I.

W szalacie panuje mrok, tylko przez siatkę nad wejściem sączy się blada poświata. Zmierzch czy świt?

Próbuje usiąść – i o dziwo, stwierdzam, że mogę to zrobić bez trudności. Nic mnie nie boli, a lekka drętwota mięśni ustępuje za pierwszym ruchem. Widać podziałał już cudowny eliksir profesora-szamana...

Nie czuję żadnych dolegliwości fizycznych, nadal jednak utrzymuje się stan nerwowego wyczerpania i przytłumionego niepokoju. Są to chyba w niemałej mierze skutki koszmarnych snów, z których deprymującego wpływu nie zdołało wyzwolić mnie przebudzenie. Szczegółów nie pamiętam. Wiem tylko, że były to nieustanne ucieczki, jakieś rozpaczliwe poszukiwanie drogi w podziemnym labiryncie, to znów

bezsukteczne próby ukrycia się na rozległej betonowej pustyni. W pamięci pozostały mi twarze: Toma, Martina, Alicji... Szukałam ich, odnajdywałam i gubiłam... Byli też Oriento i Kaduna – gdzieś daleko, jacyś młodzi, podobni do Boba i Patryka. Chyba śnił mi się również Toszi, a także Magnusen, który chwilami stawał się Benedictem, to znów może Pratem lub Knoxem, ale tego nie jestem pewna. Przez cały czas dręczyła mnie obawa, że coś się zbliża, coś strasznego, przerażającego, przed czym nie ma obrony... Ale co to było – tego nie wiem. Czy w ogóle kiedykolwiek wiedziałam? A może tylko nie pamiętam?

Rozsuwam moskitierę i spuszczam nogi na ziemię. Prycza skrzypi przeraźliwie w ciszy.

–Hej! Jak się spało? – pada z mroku pytanie. Głos jest młody, ale to z pewnością nie Bob.

–Kto tu jest?

–Patryk. Albo jeśli wolisz: Pat Lu. Jak się czujesz?

–Świetnie! Tyle, że sny miałam koszmarne...

–Opowiesz profesorowi. On czyta ze snów.

Czuję gwałtowny przyływ głodu.

–Jestem strasznie głodna. Macie tu coś do zjedzenia?

–Profesor zostawił dla ciebie specjalne placki na śniadanie. Już podaję!

–Czyżby to był ranek?

–Ranek. Spałaś ponad dwadzieścia godzin. Ale to tak być powinno.

–Chciałabym się ubrać. Gdzie moje spodnie?

–Powoli... Zaraz sprawdzę i podam. Skorpiony, skolopendry i wije lubią wlażyć gdzie nie trzeba... I buty też muszę sprawdzić.

Unoszę gwałtownie stopy z ziemi i już siedzę na pryczy z kolanami pod brodą.

–Proszę się nie obawiać, sprawdzę dobrze! – śmieje się Patryk i jego ciemna postać zbliża się ku mnie. Coś zdejmuję ze ściany – to z pewnością moje ubranie. – Spodnie były rozdarte, ale już zreperowane. Niestety, z odzieżą tu nie najlepiej. Jak i ze wszystkim. No, już sprawdzone. Wszystko w porządku. Tu na szczęście skorpionów mało się kręci, a węży w ogóle nie widać, bo to już skraj „kręgu”.

Pilot jest widać chłopcem rozmownym i rola opiekuna bardzo mu odpowiada. Żona będzie miała z niego pociechę...

–Jak tam narzeczona? – przypominam sobie to, co mówił nam w czasie lotu.

Właśnie idzie ku wyjściu i zatrzymuje się nagle w miejscu.

Milczy dłuższą chwilę, wreszcie odpowiada z niechęcią:

–Nie czekała na mnie. A teraz poszła za tym... diabłem. Po co ja ich tu... – wybucha i nie kończy.

Robi mi się głupio – nie wiem sama dlaczego. Już chcę mu powiedzieć na pociechę, że znajdzie sobie lepszą, piękniejszą narzeczoną, gdy nagle, nie wiadomo skąd odnajduję w pamięci to, co na próżno próbowałam sobie przypomnieć tuż przed zaśnięciem.

–Muszę się zaraz zobaczyć z doktorem Barleyem! – mówię kategorycznym tonem i pocynam się pospiesznie ubierać.

–To niemożliwe. Doktor pojechał z panem Oriento do Cameo po nowy nadajnik.

–Chyba, aby odnaleźć doktora Quinte? – protestuję z niepokojem.

–Chyba też. Ale przede wszystkim trzeba znaleźć nowy nadajnik. To wszystko przez tych dwóch... – dodaje z nienawiścią.

Domyślam się, że ma na myśli Magnusena i Toszkiego, ale nie wiem, o co w istocie chodzi. Szkoda jednak teraz czasu na indagacje.

–Kiedy Barley i Oriento mają wrócić z Cameo?

–Jak wszystko załatwią. Już przedwczoraj pojechali szukać, ale że znaleźli ciebie, to musieli wrócić.

Przedwczoraj... A więc jutro po południu miną trzy dni od ostatniej rozmowy senatora ze Swartem. Mam więc w zasadzie trzydzieści parę godzin... Ale tylko w zasadzie, bo ucieczka Benedicta stworzyła nową sytuację. Muszę się dobrze zastanowić: Jeśli senator dotarł już do Dusk lub zawiadomił telefonicznie Pratta, że wraca, co to w istocie oznacza? Wszystko zależy od tego, czy realizacja „programu B” była tylko odroczone i może być wprowadzona w życie w każdej chwili, czy też „program” miał tylko zagwarantować bezpieczeństwo Benedictowi i traci aktualność? Nie wiem, co zawiera i to jest najgorsze. Trzeba liczyć się przecież z tym, że senator, ogarnięty panicznym strachem, pognął na oślep i błądzi gdzieś po ulicach Cameo lub, co gorsza, rozbił wóz? Co będzie jeśli Pratt nie otrzyma od niego

wiadomości do jutra po południu? Czy „program R” to tylko straszak? Tom z pewnością wie, o co tu chodzi, ale jeśli Martin i Hans go nie odnajdą i nie wrócą do jutra? Czy w ogóle wolno mi czekać? Gdyby był tu gdzieś radiotelefon, mogłabym spróbować zagrać na zwłokę, na przykład zasignalizować, że mam dla Pratta wiadomość „najwyższej wagi” i proszę o instrukcję, jak mam ją przekazać. I że będę telefonować następnego dnia. Powinien się na to złapać... Gdyby chociaż można było skorzystać z nadajnika partyzantów Magogo?

–Powiedziałaś, że Oriento i Barley pojechali po nadajnik.

Ale przecież macie jakąś radiostację w Kotlinie Timu? – pytam Patryka. – Muszę przekazać pilną wiadomość.

Jest już na tyle widno, że rozpoznaję rysy jego twarzy.

Spogląda na mnie z niepokojem.

–To niemożliwe. Stary nadajnik rozbity. Nic się nie da zrobić.

Nie mam więc innego wyjścia.

–Jedziemy do Cameo! – oświadczam desperacko.

Patrzy na mnie przerażony.

–Mamy zejść do kotliny. Kaduna czeka na ciebie...

–Jedziemy do Cameo! To konieczne!

–Profesor będzie się gniewał...

–Muszę jechać. Jeśli się boisz, pojedę sama, tylko pokażesz mi drogę. Wystarczy do piątej strefy, gdzie wasze duchy nie dają jeszcze znać o sobie.

Oczy pilota zwężają się gniewnie.

–To nie chodzi o to, że się boję – odpiera z wyrzutem. – Ty się też boisz, bo wiesz dobrze,

jak to jest, a jednak decydujesz się iść. Widać masz powody. Ale, niestety, nie przejdziemy... – mówi już w pierwszej osobie liczby mnogiej. Chce w ten sposób zaakcentować, że nie myśli mnie puścić samej.

–Przeszedł Oriento, Barley, Bob Goldstein... I ty też przeszedłeś. Mnie, co prawda, przewieźli, jak byłam nieprzytomna. Ale byłam już w Cameo i jakoś sobie dawałam radę. Jestem chyba dość odporna na wpływy vortexu.

–Nie wiesz co to czwarty krąg... Słyszałaś chyba, co było z tymi dwoma. Trzeba oddać duszę...

–Ty jej nie oddałeś.

–Oddałem, ale Kaduna mi ją zwrócił. I doktorowi Barleyowi też. A teraz pilnuje mu jej pan Oriento. To też wielki czarownik. A Bob to jego uczeń.

Zastanawiam się, jakich użyć argumentów. To, co mówi ten chłopak, tylko z pozoru nie ma sensu. Cała ta magiczna terminologia da się dość dobrze przetłumaczyć na język psychologii i psychiatrii...

–Jeśli jest nawet tak, jak mówisz, nie jest to cała prawda. Mamy szansę. Są duże różnice w podatności dla różnych ludzi. Można też podejrzewać, iż młodsi są odporniejsi i łatwiej wracają do normy. To punkt dla nas. Są też sposoby obrony. Mówiono mi, że powtarzałaś zaklęcia... Nauka tłumaczy to autosugestią, oddziaływaniem na podświadomość. Niektórzy nazywają je sięganiem do korzeni własnej duszy... I ja też to robiłam. Trzeba przy tym nauczyć się nie widzieć i nie słyszeć. Trochę się już tego nauczyłam. A poza tym, chyba wiesz, że siły vortexu co pewien czas słabną i jeśli wybierać odpowiednie momenty do działania, można jakoś dać sobie radę. Liczę też na to, że każde kolejne przejście jest łatwiejsze, gdyż następuje stopniowa adaptacja. To zwiększa nasze szansę.

–Być może... – Patryk zdaje się kapitulować. – Doktor Barley też początkowo „zgubił duszę”...

–No właśnie. A teraz bez trudu przechodzi przez wszystkie strefy.

–Trzeba zapytać Kadunę...

–Ile nam czasu zajmie zejście do kotliny?

–Do południa będziemy na miejscu. Przeczekamy najgorsze słońce i przed zmrokiem będziemy tu z powrotem. A o świcie w drogę.

–Wykluczone. Jutro rano musimy być w Cameo.

Patryk kwituje to ironicznym uśmiechem.

–To niemożliwe. Do wylotu doliny cały dzień marszu. Zła droga, a na dole już zaczyna się „czwarty”. Potem jeszcze do Cameo około trzydziestu kilometrów szosy... Przez „czwarty” i „trzeci”... – tłumaczy rzeczowo. Widać musiał dobrze studiować mapy Martina. Ale coś się tu nie zgadza.

–Oriento i Barley przewieźli mnie w ciągu paru godzin...

–Transporterem gąsienicowym. Piechotą trzeba czasu... Transportera nie ma, bo pojechali nim do Cameo.

Sytuacja jest poważna.

–Słuchaj Pat, choćbym szła cała noc, muszę najpóźniej

jutro do południa przekazać wiadomość dla pułkownika Pratta. Jeśli nie zdążę, ci z Dusk mogą zrobić coś bardzo złego. Nie wiem co. Może wkroczą do Patope i zaczną ostrzeliwać Kotlinę Timu jakimiś pociskami z bronią chemiczną czy bakteriologiczną? Słyszałeś o apelu generała Takku?

–Rozumiem – kiwa twierdząco głową. Jest bardzo przejęty i chyba robi wszystko, aby mi pomóc. – Czy to musi być Cameo? – zadaje nieoczekiwane pytanie.

–Więc macie tu gdzieś bliżej radiotelefon? Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

–Myślę, że w dyrekcji kopalni w Dolinie Mkavo powinny być telefony. Ale to trzeba przejść przez przełęcz Wielkiego Źródła, a tam obozują ci dwaj...

–Boisz się ich? – pytam prowokacyjnie. Inna sprawa, że i ja nie bardzo palę się do spotkania z Toszim.

Złe błyski pojawiają się w oczach Patryka.

–Chętnie bym... – nie kończy. Odwraca się plecami i wychodzi z szałas.

Wciągam buty i wybiegam za nim. Właśnie wschodzi słońce, oświetlając skały. Pilot stoi przed szałasem.

–Najpierw śniadanie – uśmiecha się do mnie. Jest już zupełnie spokojny i opanowany. – Byłaś przecież głodna...

Lokujemy się przed szałasem na płaskim, wybielonym przez słońce, wiatry i deszcze kamieniu. W torbie są owoce i placki o trochę dziwnym słonawo słodkim smaku. Jem w milczeniu i przyglądam się Patrykowi. Wygląda inteligentnie, raczej na afrykańskiego studenta europejskich uczelni niż wojownika z buszu. Trudno powiedzieć, czy jest przystojny, lecz z pewnością bardzo męski i wspaniale zbudowany. Jeśli ta jego dziewczyna rzuciła go dla „Persa” lub Magnusena, to jej nie rozumiem. Zastanawiam się, co ten chłopiec czuje. Wiem, że nienawidzi. samozwańczych proroków, ale czy tylko dlatego, że zabrali mu narzeczoną? A może chodzi o to, co zaszło między nimi w czasie przeprawy przez góry?

Muszę go dobrze pilnować, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa. Nawet jeśli chodzi mu tylko o dziewczynę, może być niebezpieczny. Prawdopodobnie jeszcze ją kocha, a jest to z pewnością również sprawa męskiego honoru. Być może nawet zobowiązany jest obyczajowo do pomszczenia krzywdy i zniewagi.

–Czy możemy przejść przez przełęcz tak, aby nas nie zauważyli? – próbuję wysondować jego zamiary.

–W nocy łatwo, w dzień trochę trudniej – odpowiada nie przerywając jedzenia.

–Pamiętaj, że nie wolno nam wplątywać się w żadną awanturę!

Przerywa jedzenie i patrzy na mnie z uwagą.

–Wiem. Niech się nie boi... Wiem, że teraz nie czas. Są sprawy ważniejsze...

–Co zrobisz, jeśli ją spotkasz? – stawiam pytanie otwarcie.

Spuszcza oczy.

–Wszystko będzie jak trzeba – odzywa się dopiero po dłuższej chwili i zaczyna zbierać do torby rozłożone na kamieniu owoce.

–To znaczy, idziemy – mówię wstając.

–Trzeba zdążyć przed południową ulewą. Patryk zapina torbę i sięga po pistolet oparty o kamień. Potem jeszcze wstępuje do szalasu po maczetę i wsuwa mi ją za pas. Prawdopodobnie chodzi o to, że będziemy musieli pokonywać jakieś zarośla, ale z maczetą czuję się pewniej.

Z porosłej ostrą trawą i krzakami, kamienistej polanki rozchodzą się dwa szlaki: na wschód i na północo-zachód. Na wschód – do Doliny Nowego Dnia – droga przetarta gąsienicami prowadzi w dół stoku, ginąc w gęstym lesie, przez który przedrzeć się bez wojskowego transportera byłoby bardzo trudno. My idziemy na północo-zachód, na razie w górę poprzez rzadki las i złomisko skalne. Ścieżka jest wyraźnie widoczna – tam gdzie krzaki zagradzały drogę wycięto je maczetami. Jak na warunki afrykańskie jest jeszcze dość chłodno i szybko osiągamy strome, skaliste wzniesienie, za którym otwiera się widok na rozległą kotlinę, zamkniętą od południa i zachodu łańcuchem górskim o licznych nagich szczytach.

–Stąd można zejść do Kotliny Timu? – pytam Patryka, gdy zatrzymujemy się na chwilę dla „złapania oddechu”.

–Tak. Ale jeśli nie zmieniłaś zamiaru i chcesz telefonować, musimy okrążyć tamtą górę i zejść w dół na przełęcz Wielkiego Źródła – wskazuje w kierunku kopiastego, porosłego lasem szczytu oddalonego od nas chyba ze dwa kilometry.

–Daleko do tej przełęczy?

–Niedaleko. Półtorej godziny dobrego marszu. Wzdłuż zachodniego zbocza jest niezła

ścieżka. Jeszcze starzy Timajowie nią chodzili.

Rzeczywiście, jak na razie nie czuję zmęczenia, mimo dużego tempa narzuconego przez pilota. Co więcej, idziemy teraz dość blisko siebie i jest okazja do rozmowy. To bardzo ważne, gdyż z tego o czym mówili Martin i Hans, trudno wyciągać praktyczne wnioski. Nie mam, oczywiście, zamiaru zmuszać Patryka do wyznań na przykry dla niego temat ucieczki narzeczonej, niemniej powinnam wiedzieć coś konkretniejszego o „Persie” i Magnusenie – jak się zachowują, czy są bardzo agresywni, czy w ogóle można z nimi się jakoś dogadać, a także czy i jaką posiadają broń. Należy się liczyć przecież z możliwością przypadkowego spotkania.

–Świetnie znasz te góry! – zaczynam ostrożnie.

–Latałem półtora roku w NFP, to znaczy: patrolowanie rejonów granicznych – podejmuje dość chętnie temat. – Jeszcze przed ogłoszeniem stanu wyjątkowego. Później udało mi się przejść do „Alconu”, woziłem inżynierów, kierowników. Gdybym został w wojsku, chyba bym nie wyszedł z tego żywy... Każdy Timaja czy Magogo to znaczyło: partyzant... A tu, jak idziemy, była granica. Teraz, nikt jej nie pilnuje.

–To znaczy, znasz te góry tylko z powietrza? I potrafiłeś przejść do Kotliny Timu od strony południowej? I do tego z tymi dwoma...? To chyba trudniejszy szlak niż ten?

–Trudniejszy – potwierdza lakonicznie i przyspiesza kroku. Nie mam jednak zamiaru ustępować. Nie trzeba tylko pytać wprost.

–I nigdy dotąd nie chodziłeś w góry?

Patrzy na mnie z ukosa, trochę niepewnie.

–Chodziłem. Urodziłem się tu w górach i południowe przejście znam dobrze. Tu, na granicy z Dusklandem też bywałem. Ojciec pracował w Dolinie Mkavo, w kopalni. Gdy go zabili, miałem dwanaście lat... Mówiono, że buntował ludzi. pozostało mi do wyboru: albo zgłosić się do pracy na plantacjach a po paru latach do kopalni, albo poszukać szczęścia w Inuto. Wolałem to drugie...

Znów ucieczka od drażliwego tematu. Może, pamiętając moje powiązania z Toszim, nie chce źle o nim mówić?

–Ile masz lat?

–Dwadzieścia sześć.

. – Jesteśmy prawie równi wiekiem. Wyglądasz bardzo młodo...

–Ty też... – śmieje się nie wiadomo z czego.

Podoba mi się – jest dziecinny i poważny zarazem, ale Inaczej niż Martin. Trochę szkoda mi go mrozić.

–Przez vortex przechodziłeś tylko raz?– wracam do tematu.

Zasępia się.

–Raz...

–Mówiłeś, że miałeś jakieś zaburzenia i że Kaduna cię wyleczył. Co to takiego było? Patrzy na mnie podejrzliwie.

–Po co ci wiedzieć? Jeśli ci powiem, że przestałem być sobą, że obce duchy, duchy ludzi martwych i żywych weszły we mnie i gdyby nie Kaduna nigdy bym się od nich nie uwolnił, czy mi uwierzysz? Przecież to dla was nienaukowe brednie. Bajki czarnych...

–Kto powiedział, że brednie? Przeciwnie, myślę, że wiele z tego co mówisz, da się przełożyć na język nauki. Chyba podobnie widzi te sprawy Kaduna. A wiedzieć chcę dlatego, aby nie dać się zaskoczyć, gdyby coś podobnego i mnie się przytrafiło.

–Co chcesz wiedzieć?

–Przede wszystkim, co to były za duchy? Twój krewni, znajomi. Przyjaciele, wrogowie. I skąd wiedziałeś, że weszli w ciebie.

Patryk idzie ścieżką zasępiony albo po prostu się zastanawia.

**–To się czuje... – odzywa się po chwili. – Z duszą twoją jest coś niedobrego...
Najpierw**

jesteś jakby inna. Ciało, wszystko co odczuwasz, co widzisz i słyszysz jest jakby obce, nie twoje... To trudno wypowiedzieć. Twoja dusza błądzi jakby w lesie... Wszystko się miesza, traci sens. Dusza jest zmęczona. Czujesz się źle, ale nie masz sił ani chęci, by cokolwiek zmienić. Potem robi się pusto... w tobie i poza tobą. Jakbyś nie miała duszy... Już nie jesteś tym, kim byłaś, a może wcale cię nie ma. To jest ta właśnie chwila. Najważniejsza. Wszystko co było, ty sama, twoja dusza, jest już nieważne. I wtedy pojawia się to nowe, ta inna dusza, która wszystko zmienia. Już nie ma pustki, wszystko jest tak, jak ona chce. I to co czujesz, to co chcesz, co myślisz i robisz... Jesteś innym człowiekiem, tym drugim. A o sobie myślisz jak o kimś znanym, lecz obcym...

Wyraźnie się podnieca, prawdopodobnie odczuwał skrywaną potrzebę podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami. A sama relacja sformułowana jest nad podziw klarownie. Jego angielski jest niemal bez zarzutu. To z pewnością nie jest taki sobie zwykły żołnierz i pilot helikoptera... Muszę to wyjaśnić, lecz teraz nie wolno odwracać jego uwagi od głównego tematu.

–To wszystko nastąpiło w strefie czwartej? – wtrącam pytanie.

–Nie wiem. Nie potrafię dokładnie określić gdzie się zaczęło. Pamiętam tylko, że przedtem byłem zły, strasznie zły na nich. Powiedziałem sobie: jeśli doczekam nocy, poderżnę im gardła... Bo już wtedy wiedziałem, że to oni, a nie żadne demony z gór... A potem przyszło „to najgorsze” i nie potrafiłem nic zrobić – milknie raptownie, jakby w obawie, że powiedział za dużo, i znów przyspiesza kroku.

A więc, tak jak mówili Hans i Martin, do konfliktu doszło w czasie wspólnej wędrówki i prawdopodobnie jakąś rolę odegrały w tym omamy. Myślę, że Patryk sam powie, jak to było, nie trzeba tylko zbytnio go naciskać.

Zaczynam więc najpierw mówić o sobie, o swoich doświadczeniach z vortexem, i od słowa do słowa wracam do pamiętnej nocy w buszu, gdyśmy się widzieli po raz ostatni. Pytam o atak helikopterów przed świtem, o przebieg walki i okoliczności, w jakich udała się ucieczka. Patryk dość łatwo daje się skłonić do opowieści, przede wszystkim na zasadzie „prostowania” moich „błędnych przypuszczeń”. Otóż Toszi, tak jak to było ustalone, zastosował taktykę nie ucieczki, lecz ataku z zasadzki. Magnusen służył za przynętę, dając znaki zwiadowcom, że mogą lądować. Z helikoptera wyszło ich dwóch – porucznik i kapral. Trzeci – pilot – pozostał w maszynie. Vittorio otworzył ogień do tych dwóch, zabił oficera, ale sam zginął. Toszi ranił kaprala, który próbował doczołgać się do helikoptera, zaś Patryk wrzucił do maszyny granat z gazem łzawiącym i obaj żołnierze się poddali. Widocznie jednak pilot zdążył przekazać przez radio wiadomość o zasadzce, bo po paru minutach

nadleciał drugi helikopter, nie spiesząc się z lądowaniem. Dopiero gdy na polecenie „Persa”, pilot zawiadomił bazę i krążących towarzyszy, że porucznik nie żyje i kapral jest ranny, ale wszyscy terroryści zostali zabici, zaś prezes „Alconu” uwolniony, dali się wciągnąć w pułapkę. Zwłaszcza, że dostrzegli Magnusena przy helikopterze, i to z bronią, a także trupa Vittoria w krzakach. Co prawda, pilot pierwszego śmigłowca otrzymał początkowo polecenie startu z Magnusenem, lecz gdy oświadczył, iż helikopter jest uszkodzony – zdecydowano się na lądowanie. Zgarnięto ich bez jednego strzału.

Do tego momentu, zdaniem Patryka, wszystko grało i można było sądzić, że plan Vittoria powiódł się, mimo jego śmierci. Toszi był spokojny, precyzyjny, opanowany do perfekcji. Ale potem, gdy się okazało, że zniknęłam z Martinem, Tomem i Ellen, bardzo się zdenerwował i, według słów Patryka, „wszedł w niego duch skorpiona”. Znając „Persa”, nietrudno się domyślić, co znaczy ta metafora. Toszi nie okazuje zewnętrznie gniewu czy wzburzenia, lecz, niestety, potrafi być w takich chwilach bardzo niebezpieczny. Poczyna szarżować, urządzać „spektakle”. Zdaje się odczuwać jakąś złośliwą satysfakcję wprowadzając ludzi, czasem nawet najbliższych przyjaciół, w stan ostrego stresu.

I tak właśnie było tamtego ranka. Istniała niemal pewność, że nagle zamilknęcie

radiostacji helikopterów zaalarmowało bazę i można spodziewać się kolejnych „wizyt”. Nie było więc na co czekać, a szukać zaginionych można było przecież również z powietrza. Tymczasem Toszi oświadczył, że nie widzi powodów, aby pozostawiać przy życiu jeńców. Wobec tego, że są to żandarmi Numy i z pewnością brali udział w pacyfikacjach plemienia Magogo, zaproponował Patrykowi, aby im własnoręcznie poderżnął gardła. Patryk odmówił, twierdząc, że „do takiej roboty się nie nadaje”, co Toszi przyjął z wyraźnym niezadowoleniem i polecił wykonanie tego rozkazu Magnusenowi. O użyciu broni maszynowej nie było mowy, gdyż istniała obawa, że gdzieś w pobliżu krążyć mogą jakieś patrole, które „zgarnęły” mnie, Barleya i naszych zakładników. Magnusen wszedł z maczetą w krzaki, gdzie leżeli związani jeńcy i dość długo nie wracał, wreszcie Toszi zarządził odlot, wzywając Magnusena do powrotu. Czy Magnusen wykonał polecenie, Patryk nie jest pewny – prezes Alconu był sinoblady i chwiał się na nogach, ale śladów krwi na ubraniu Patryk nie dostrzegł.

Tuż przed odlotem Toszi kazał zanieść Magnusenowi „kieszonkową” bombę do pozostawionego helikoptera i wracać szybko, co prezes wykonał skwapliwie. Eksplozja, którą słyszeliśmy ukryci w trawie, to było właśnie odpalenie owej bomby. Patryk krążył jeszcze kilkanaście minut nad terenem, próbując nas odnaleźć, potem odlecieli w kierunku Gór Żółtych. Zaraz po starcie Magnusena ogarnęła euforia, którą można przypisać nagłemu odprężeniu, po pozbyciu się bomby. Patryk twierdzi, że plółł zupełnie bzdury, deklarując swą sympatię i podziw dla „Persa”, a także współdziałanie w realizacji idei, o którą Toszi walczy. Być może była to jakaś niezbyt udana próba zawarcia sojuszu między „dyspozytornią” a „terrorystami”, ale tego Patryk nie mógł wiedzieć. Znamienne jest, że Toszi przyjmował te deklaracje bez gniewu czy ironii, lecz z wyraźnym zaciekawieniem, co może potwierdzać moje przypuszczenia.

Ta „idylla” trwała aż do momentu, gdy Toszi wydał polecenie lotu w kierunku gór i dotarcia najkrótszą drogą do Kotliny Timu. Spotkało się ono z gwałtownym sprzeciwem Magnusena, co tylko umocniło „Persa” w jego postanowieniu. Nie pomogły argumenty Patryka, że wszystkie tego rodzaju próby zakończyły się katastrofami śmigłowców. Jedynym ustępstwem była zgoda na lot możliwie nisko, jedną z południowych dolin.

Pierwsze objawy zaburzeń psychicznych, wywołanych działaniem anomalii, wystąpiły u Magnusena i zaraz potem u „Persa”, a znacznie później u Patryka, co w dużej mierze zapobiegło tragicznym następstwom „lądowania” na drzewach. Jakie zwidy miał Magnusen – Patryk nie wie. Usłyszał tylko jego nieludzki wrzask i odgłosy walki z Toszim, który również musiał doznawać jakichś budzących lęk omamów, prawdopodobnie związanych z osobą Magnusena.

Ostre objawy zaburzeń percepcji u Magnusena i Tosziego były dla Patryka sygnałem, że dalszy lot może być niebezpieczny. Przeleciał więc tylko jeszcze kilka kilometrów w głąb doliny, szukając dogodnego miejsca do lądowania. Okazało się to zresztą niepotrzebnym ryzykanctwem, gdyż już w tym czasie zaczęły pojawiać się u niego zaburzenia w postrzeganiu, podobne do tych, jakie przeżywałam na szosie między Delft i Cameo. W rezultacie – to co wydawało mu się rozległą polaną, porośłą niskimi krzakami i trawą, okazało się wierzchołkami drzew gęstego lasu i śmigłowiec, łamiąc rotor, uwiązał wśród konarów wielkiej makarangi, na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią. Wstrząs wywołany niezbyt miękkim lądowaniem na drzewie, spowodował widocznie zanik halucynacji i przywrócił Magnusenowi i „Persowi” przytomność na tyle, że z pomocą linowego wyciągu udało się wszystkim trzem opuścić bezpiecznie na ziemię. Toszi chciał ruszyć zaraz w drogę, ale nowy atak „zjaw” przekreślił te zamiary.

Z tego okresu Patryk nie wszystko pamięta, albo też przeżycia wywołały u niego jakiś uraz i nie chce o tym mówić. W każdym razie twierdzi, że przypomina sobie tylko przedzieranie się poprzez zarośla w panicznej ucieczce przed czymś, co było ni to człowiekiem, ni to

wężem dusicielem, potem jakiś ogromny głaz czy pień drzewa przyciskający go do ziemi i paraliżujący wszelkie ruchy, wreszcie coś, co było wielorękiem demonem o twarzy Magnusena i Tosziego zarazem. Demon ten o władnął nim bez reszty, pozbawiając woli i zmuszając do ślepego posłuszeństwa.

Gdy już wróciła pełna świadomość, okazało się, iż od chwili lądowania minęły ponad trzy godziny, a znajdują się nadal w pobliżu drzewa, na którym zawisł śmigłowiec. Ręce i nogi Patryka były spętane liną wyciągową. Opoдал pod drzewem siedzieli Magnusen i Toszi, szczepieni dziwacznie ze sobą jak para zapaśników przed nową próbą sił. Ale to nie była walka, a raczej stan przypominający katalepsję, który zresztą szybko ustąpił, gdy tylko Patryk próbował się uwolnić. Przez kilkanaście minut Magnusen wydawał się nawet zupełnie przytomny, ale potem jakby opętały go złe moce. Oświadczył, że wie komu naprawdę służy Patryk, że są to siły „społecznej destrukcji” władające „piekielnym wirem” i dlatego musi zginąć. Przyłożył mu maczetę do gardła i Patryk był pewny, że wykona groźbę, lecz w ostatniej chwili rozmyślił się i zażądał od pilota, aby powiedział wszystko, co wie o tych „demonach i w jaki sposób się z nimi kontaktuje. Oczywiście, Patryk mógł powiedzieć tylko to, co słyszał na temat vortexu od kolegów i przyjaciół. Ale to wywołało tylko gniew Magnusena. Z pewnością szło mu o „antydispozytornię”, o czym Patryk nie miał zielonego pojęcia. Znów zaczął pilotowi grozić, a nawet kopać i bić, lecz po chwili jakby się załamał, prosił Patryka, aby go wyprowadził z vortexu i zapewniał, że otrzyma za to specjalną nagrodę „Alconu”.

Tymczasem Toszi na tyle odzyskał przytomność, że przejął inicjatywę: kazał Magnusenowi odciąć kilkanaście metrów liny, zwolnić z pęt Patryka i powiązać się wszystkim trzem, jak w czasie wysokogórskiej wspinaczki. Był chyba przekonany, iż najniebezpieczniejszą strefę anomalii mają już poza sobą i dalsza droga do Kotliny Timu to tylko zwykłe przejście poprzez góry. Podobnie też myślał Magnusen i dlatego nie protestował przeciw tej decyzji. Po prostu, nie zdawali sobie sprawy z cykliczności nasilania się oddziaływań vortexu. Patryk nie miał wyboru, a ponadto rozumiał, iż przedostanie się do kotliny daje mu większą szansę przeżycia niż powrót i liczenie na łaskę Tosziego czy Magnusena.

Zaburzenia postrzegania pojawiły się ponownie już po godzinie marszu i Patryk miał sporo kłopotów z wyprowadzeniem obu współtowarzyszy na przełęcz Zgasłego Słońca, przez którą wiedzie droga w górne partie Doliny Martwych Kamieni, a stamtąd, poprzez grań Otaby, do Kotliny Timu. Wtedy to właśnie powtarzał z uporem stare zaklęcia plemienne i to mu pomagało pokonać „złe moce”.

Dalej było jednak jeszcze gorzej. Co prawda, stany lękowe już nie przebiegały tak ostro, ale halucynacje osiągnęły maksymalną plastyczność również u Patryka.

Prawdopodobnie wchodzili już wówczas w trzecią strefę, którą według Martina cechuje wzmożona pobudliwość i gwałtowne wyzwalanie się różnego rodzaju popędów i emocji.

Tu znów Patrykowi „film się rwie”. Pamięta jakiegoś potwornego kleszcza wpijającego mu się w kark, chmary komarów i innych owadów obsiadających całe jego ciało i kłusujących zaciekłe, świst liny i ostry, piekący ból uderzeń, a także obrożę z kolczastych gałęzi zaciskaną na szyi i ciągle obecne, wykrzywione gniewem lub złośliwym uśmiechem twarze jakichś okrutnych demonów. Nie wszystko to było tylko wytworem zaburzonej wyobraźni. Gdy odzyskał pełną świadomość, owe demony przybrały wygląd współtowarzyszy. Był nagi, pokaleczony, a kolczasta obroża nadal raniła mu szyję. Próbował się uwolnić i gotów był zabić obu prześladowców. Czekał tylko nocy. Ale wtedy właśnie weszli prawdopodobnie w obszar strefy czwartej, szczególnie niebezpiecznej, bo wywołującej głębokie, względnie trwałe zmiany w psychice, przypominające schizofrenię. Z tego, co mówi Patryk, zdaje się wynikać, iż nastąpiło u niego coś w rodzaju rozszczepienia osobowości, przy czym ta druga, nowa osobowość uznała się za dozorcę pierwszej w służbie demonów.

Co było dalej, Patryk nie pamięta. Świadomość odzyskał dopiero w Kotlinie Timu i to dzięki pomocy Kaduny.

Magnusen i Toszi już podobno od chwili zejścia do kotliny przejawiali patologiczne skłonności „misjonarskie” o wyraźnie mistycznym i ekspansywnym charakterze. Od razu też weszli w konflikt z Kaduną i nie było mowy o żadnej kuracji. Dla mnie najbardziej niezwykle jest to, że w wyniku wstrząsających przeżyć w vortexie powstała między Magnusenem i Toszim jakaś zadziwiająca więź przyjaźni i zrozumienia, a – co ciekawsze – rolę duchowego przywódcy przejął były prezes „Alconu” i jeden z czołowych funkcjonariuszy „dyspozytorni”. Chociaż może nie jest to takie znów dziwne...

Fizycznie Magnusen i Toszi zeszli do Kotliny Timu w znacznie lepszej formie niż Patryk, który właściwie przez całą drogę był narażony na ich ataki i chyba cudem uniknął śmierci. Oczywiście, ulegali oni również różnego rodzaju zaburzeniom świadomości i wątpię, aby zdawali sobie sprawę, kim jest, Patryk, niemniej faktem jest, iż anomalia u nich właśnie wyzwoliła skłonności sadystyczne.

O tym wszystkim Pat Lu opowiada mi z wyraźnymi oporami. Myślę, że i w jego umyśle „diabelski pierścień” pozostawił ślady i terapia zastosowana przez Kadunę nie zatarła ich całkowicie. Próbuje dowiedzieć się, na czym to leczenie polegało, lecz Patryk pamięta tylko, że bardzo długo spał. Dochodzimy już zresztą do przełęczy Wielkiego Źródła i dalszy ciąg rozmowy trzeba odłożyć na później. Po tym, co usłyszałam, czuję się trochę nieswojo. Wolałabym jednak nie spotkać się z Toszim i Magnusenem.

Pytam Patryka, czy nie możemy przejść nie zwracając niczyjej uwagi, jakąś boczną ścieżką, choćby nadkładając drogi, lecz pilot twierdzi, że jedyne zejście do Doliny Mkavo wiedzie poprzez wysokogórską polanę za przełęczą, gdzie „prorocy” założyli swój obóz. Wspinamy się teraz dość stromą ścieżką w górę, w całkowitym milczeniu, by nie alarmować straży obozowej przedwcześnie. Ciągle mam jeszcze nadzieję, że uda nam się przejść niezauważenie.

Zbocze, przez które biegnie ścieżka, porastają kępy kolczastych krzewów. Jesteśmy już pod samą przełęczą i Patryk oddaje mi pistolet, dając gestem znak, abym się zatrzymała i ukryła za najbliższą kępą. Chyba coś zauważył, albo po prostu jest ostrożny, i słusznie. Idzie teraz samotnie ścieżką, wprost ku przełęczu, zupełnie się nie kryjąc. Rozumiem – w razie ewentualnego ataku na niego mam szansę ucieczki. A on...? Ryzykuje dla mnie życie... Czuję się strasznie głupio. Czy wolno mi narażać tego chłopaka? Ogarnia mnie coraz większy niepokój.

Pat Lu jest już chyba na przełęczy. Zatrzymuje się i rozgląda, potem znika z pola widzenia. Zastanawiam się, co powinnam teraz zrobić. Czekać aż wróci i da mi znak, że mogę iść dalej – to oczywiste. Ale, jeśli udałoby mi się podejść do krzaków zarastających przełęcz, mogłabym być dla niego ubezpieczeniem. Jest przecież uzbrojony tylko w maczetę i nie ma żadnych szans, jeśli ludzie Magnusena mają broń. Zresztą, nawet jeżeli już został schwytany i nie da mi znaku, nie zostawię go przecież na pastwę tych pomyleńców.

Na kamienistym zboczu przeskakiwanie od kępy do kępy nie jest wcale łatwe. Po kilku minutach docieram jednak do progu, w pobliże miejsca, gdzie Pat zniknął mi z oczu. Okazuje się, że aby pokonać przełęcz, trzeba jeszcze przebyć około stu metrów łagodnie wznoszącego się siodła, porośłego żółtą trawą. Patryka nigdzie nie widzę – musiał już dotrzeć do najwyższego punktu siodła i zejść niżej, w Dolinę Mkavo. Dziwne jednak, że nie wrócił i nie dał mi znać, że mogę posunąć się dalej.

Nie ma tu już kęp, za którymi mogłabym się schować i całą otwartą przestrzeń pokonuję biegiem. Natychmiast jednak przypadam do ziemi, starając się ukryć w wysuszonej wiatrem i słońcem trawie. Tuż za przełęczą, na niedużej polanie widzę dwa szalasy. Obok nich Patryk rozmawia z jakimś uzbrojonym w karabin Murzynem. Drugi strażnik, z pistoletem maszynowym przewieszonym przez szyję, siedzi przed szalaszem. Magnusena ani „Persa”

nigdzie na razie nie dostrzegam. Nie wiem właściwie, co robić, ale instynktownie czuję, że nie powinnam ujawniać swojej obecności. Ściskam kolbę peemu i czekam. Rozmowa ciągnie się bardzo długo, a przynajmniej mnie się tak wydaje... Pat Lu od czasu do czasu spogląda ku przełęczy, ale wątpię, aby mnie dostrzegł. Strażnicy chyba już wiedzą o mojej obecności, bo wyraźnie są zainteresowani siodłem. Patryk kończy wreszcie rozmowę i rusza w moją stronę. Wkrótce też mnie zauważa i daje znak, abym pozostała na miejscu i nie wstawała.

–Musisz podjąć decyzję – mówi podchodząc do mnie i siadając w trawie. – Możemy zejść do doliny, ale bez broni. Nikogo z bronią nie przepuszczą. Taki mają rozkaz. Mogą się zgodzić tylko na maczetę i to jeśli jeden z nich pójdzie z nami. Tu jest teraz tylko coś w rodzaju strażnicy. Trzech, czterech; mężczyzn uzbrojonych w karabiny i automaty. Reszta z Magnusenem i Japończykiem zeszła w dolinę do górniczego osiedla. Znudziło im się w górach – dodaje z przekąsem.

–Pytałeś, czy w osiedlu jest czynny radiotelefon?

–Pytałem, ale oni nie wiedzą. To można dopiero sprawdzić na miejscu.

–Tak czy inaczej musimy dotrzeć do jakiegoś telefonu, Jeśli nie tam, to w Cameo. W kopalni zdobędziemy chyba jakiś pojazd?

–Możliwe, ale... – porusza się niespokojnie.

–Myślisz, że to podstęp, że jeśli oddamy broń...

Kręci przecząco głową.

–Myślę, że ci tu. mówią prawdę. To Timajowie, ale nie przyszli z Kotliny, lecz z Doliny Mkavo. Górnicy. Jak się zaczęło, to byli na dole w kopalni, a potem zostali w osiedlu. A to pierścień „ślepej wiary”. Dlatego uwierzyli w proroków... Ale to łagodni ludzie. Z kotliny za Magnusenem poszło tylko dwóch mężczyzn i cztery kobiety...

–Osiedle górnicze to już strefa piąta?

–Tak mówił doktor Barley. I dlatego źle, że tam idziemy. Tam ich władza...

Nie chcę peszyć Patryka, lecz od dawna mam te same wątpliwości. Ale przecież nie mogę się cofnąć. Liczę zresztą na to, że jestem odporniejsza i wiem, jak przeciwdziałać zaburzeniom świadomości. Z Toszim, jeśli mnie jeszcze pamięta, powinnam się jakoś dogadać, a przynajmniej muszę spróbować.

–Może masz rację. Nie sądzę jednak, aby było gorzej niż w Cameo, a tam jakoś dawałam sobie radę. Proponuję, abyś w tej sytuacji poczekał tu na mnie, a jeśli nie wrócę do wieczora, zawiadomił Kadunę i spróbujcie się jakoś zabezpieczyć przed ewentualnym atakiem. Może są tu gdzieś jakieś groty...

–Nie puszczę cię samej! – oponuje gwałtownie. – Pójdziemy razem, albo razem wrócimy do Kotliny Timu! Groty są w górach i nie wiem, czy ktoś zgodzi się pójść. Chyba, że Kaduna coś wymyśli.

Jestem w istocie w rozterce: na pewno wolałabym, aby Pat był przy mnie, lecz rozsądek zabrania stawiać wszystko na jedną kartę. Można jednak próbować się ubezpieczyć. Oświadczam Patrykowi, że zrobimy inaczej: ja pójdę pierwsza ze strażnikiem, a Pat za mną w takiej odległości, aby mnie nie tracić z oczu. Broni nie zostawimy, lecz niech ją niesie ten, który nas ma zaprowadzić do osiedla. Chyba się na to zgodzi? W razie czego można mu będzie ją odebrać.

Po krótkim namyśle pilot akceptuje mój plan. Szybko też dogaduje się ze strażnikami. Jestem trochę niespokojna, bo wygląda na to, że ten, który mnie eskortuje, nie jest aż tak naiwny, aby pozwolić mi iść obok siebie. Chętnie też zamienił swój stary karabin na nasz pistolet maszynowy i chyba nieźle umie się z nim obchodzić. Nie pozwala też zbyt oddalać się Patrykowi. Najważniejsze jednak, aby dotrzeć jak najszybciej do osiedla.

Okazuje się, że droga jest zupełnie znośna, widać wydeptana przez parę pokoleń Timajów, a także straż graniczną Dusklandu. Otacza nas gęsty las, lecz dno doliny zostało oczyszczone z drzew i krzaków. Widać tu nawet ślady działania spychaczy. Mój przewodnik mówi łamaną

angielszczyzną i nie bardzo mogę się z nim porozumieć. Staram się jak mogę odwrócić jego uwagę od Patryka, tak aby w odpowiednim momencie mógł się zgubić, ale jak dotąd nie bardzo mi się to udaje.

Fizycznie czuję się świetnie, wczorajsze bóle ustąpiły bez śladu, zaś im bliżej jesteśmy celu tym bardziej ogarnia mnie nastrój optymizmu i skłonna jestem wierzyć, że jakoś to będzie. Wędrujemy już ponad godzinę i nic nie wskazuje, aby strażnik próbował nas wyprowadzić w pole. Traktuje nas jak przyjaciół, a być może współwyznawców „usafiszadzi” i białego „ndugu”. Opowiada o nim z coraz większym zapałem i czcią, ciesząc się, że być może uda mu się go zobaczyć. To co mówi, jest naiwne i nieskładne, a obiekt zachwytów co najmniej wątpliwy, ale wiem, że zwierzenia są szczerze i spontaniczne, a nawet w swoisty sposób nie pozbawione uroku wielkiego niekłamane przeżycia. Być może zresztą takim właśnie moim odczuciom sprzyja otoczenie: owa łagodnie opadająca w dół, leśna droga, wysokie drzewa porastające zbocza doliny, przyjemny cień jaki w tej chwili tu panuje... Jest tu jakaś nieoczekiwana atmosfera spokoju i jakby smutku – skłaniająca do gorzkiej refleksji nad sobą, nad własnym życiem, pełnym wrażeń, a tak w istocie ubogim, nad światem, tak niedorzecznym, bezsensownym i jednocześnie przemyślnie okrutnym. Już nie bardzo chce mi się słuchać tego, co mówi idący za mną Murzyn... Gdyby tu był przy mnie Martin, Tom albo choćby Pat Lu. Spływa na mnie, nie wiedzieć skąd, uczucie osamotnienia. Zdaję sobie sprawę, że może to już być oddziaływanie piątej strefy, ale nie wygląda to groźnie i nie widzę potrzeby przeciwstawiania się tym nastrojom.

Nagle przychodzi olśnienie. To co się ze mną dzieje, moje przeżycia ostatnich dni, wszystkie te wydarzenia tak niezwykle i przerażające, może nawet mój przylot do Afryki i w ogóle uczestnictwo w działaniach Zielonego Płomienia – nie są splotem przypadków. Moimi losami steruje ktoś potężny, choć mi nie znany. Tak jak ludzie Benedicta sterują owadami i małpami, tyle że stokroć precyzyjniej i subtelniej...

Ogniskiem tej siły jest vortex, ale jej władza sięga daleko, może nawet na cały świat. Czy jest to Bóg, w którego istnienie Martin wątpi, czy owi nieuchwytni „antydyzpozytorzy”, których na próżno szuka Tom, czy może – tak jak twierdzi Oriento – supercywilizacja kosmiczna? To wcale nie takie, ważne. Ważne, że jest ta siła realna, wyznaczająca mi zadania i czuwająca nade mną. To czuję wyraźnie. Trudno uwierzyć, abym sama, dzięki prawidłowym decyzjom, a tym bardziej przypadkowemu splotowi okoliczności, wychodziła tylekroć szczęśliwie z beznadziejnych, zda się, sytuacji. Kto inny na moim miejscu już od dawna by nie żył, a co najmniej znalazł się w więzieniu lub zakładzie dla psychicznie chorych. Gdyby mi ktoś powiedział miesiąc temu, że potrafię zdobyć się na takie wariackie akty odwagi, jak w Dolinie Martwych Kamieni czy w Cameo, nigdy bym nie uwierzyła. A czyż nie

jest zadziwiająca moja zdolność względnego zachowania przytomności i nie poddawania się panicznemu lękowi w drugiej strefie vortexu, gdy ulegają mu specjalnie szkoleni zwiadowcy? Aż dziw bierze, iż wcześniej na to nie wpadłam. I dlatego nie mam się czego obawiać. Nic mi nie grozi, a jeśli nawet znajdę się w sytuacji z pozoru bez wyjścia, na pewno wszystko skończy się jak trzeba, to znaczy tak, aby zadanie, które mi wyznaczono, zostało wykonane.

Chciałabym o tym wszystkim powiedzieć Patrykowi. To mądry chłopak – na pewno zrozumie. Być może sam czuje coś podobnego, tylko nie potrafi dojść do prawidłowych wniosków i dlatego obawia się o mnie, zupełnie niepotrzebnie.

Oglądam się za siebie, lecz Pat Lu znikł gdzieś z zasięgu wzroku. Za to w dole przede mną dostrzegam białe dachy jakichś budynków. A więc już doszliśmy do osiedla górniczego i za kilkanaście minut spotkam się z Toszim i Magnusenem. Na razie nie widać tu żywej duszy.

Pytam Timaja, ilu wyznawców ma Magnusen i czy wśród nich są również dawni biali mieszkańcy osiedla, lecz ten nie bardzo rozumie, o co mi chodzi. Mówi, że „zbawiciele” są sprawiedliwi dla wszystkich – czarnych i białych, że uczą ludzi jak zabijać zło w sobie i

innych, a także, iż nie wolno im się sprzeciwić, bo to wyzwala „złe moce”. Wspomina też o potędze „usafiszadzi”, która „wyszła z głębi ziemi” i doprowadziła „złych”, a wśród nich wielu białych bossów do szaleństwa, ale ci, którzy są dobrzy i poddali się jej, nie potrzebują się niczego obawiać, tylko muszą nieustannie „zabijać zło”. Pozwala to na pewne wnioski dotyczące sytuacji w osiedlu. Domyślam się, iż vortex rozprzestrzenił się radialnie zarówno na powierzchni jak i pod ziemią – w kopalni – i znajdujący się tam górnicy nie wszyscy zdołali wydostać się na górę nim zakończył się proces tworzenia czy dojrzewania anomalii. Ci, którzy tam zostali „przebyli” więc w przyspieszonym tempie wszystkie kolejne strefy vortexu, gdy mieszkańcy osiedla, kierownictwo kopalni i ewakuowani górnicy uciekali w panice na wschód „wymiatani” strefą lęku i halucynacji. Wśród tych, którzy nie opuścili Doliny Mkavo i zostali uwięzieni wewnątrz anomalii, przeważają więc z pewnością mężczyźni – murzyńscy robotnicy z Patope, nie mający tu rodzin. Czy w tej sytuacji pobyt samej młodej dziewczyny w osiedlu nie jest szaleństwem?

Na to jednak, aby zawrócić jest już za późno. Zresztą muszę, nawet jeśli ryzyko jest wielkie, dotrzeć do telefonu i zatrzymać cios... Przecież – wiem to z pewnością – ONI czuwają nade mną i nic mi się złego stać nie może. Przecież inaczej, nie mogłabym spełnić wyznaczonego mi zadania...

106

2

Białe budynki, które widziałam z góry, to po prostu baraki podobne do tych, które podpalono w Abe. Jezdnie i chodniki zarasta trawa, nikt tutaj nie mieszka i jedynie wydeptana wąska ścieżka, po której idziemy, wskazuje, że gdzieś dalej można spotkać ludzi.

Mijamy szybko osiedle i wchodzimy na asfaltowaną drogę, wiodącą do widocznej już dobrze wieży wyciągowej. Teren kopalni jest ogrodzony i ciągnie się chyba aż do wylotu doliny, gdzie widzę jakieś wysokie budowle i dźwigi załadownicze. Tam powinna być rampa kolejowa i port rzeczny.

Omijamy wieżę i kierujemy się szeroką, wysadzaną rododendronami aleją do nowoczesnej, jednopiętrowej willi, ukrytej wśród drzew na tarasowatym zboczu. Przed willą na krytym podjeździe drzemie dwóch uzbrojonych Murzynów. Mój przewodnik woła na nich i coś im wyjaśnia w niezrozumiałym dla mnie języku, wskazując to na wejście do budynku, to znów na drogę, którą przyszliśmy. Po chwili jeden ze strażników znika we wnętrzu willi, a przewodnik rusza w powrotną drogę, pozostawiając mnie pod opieką drugiego. Być może idzie szukać Patryka i mam

nadzieję, że go nie znajdzie. Niepokoi mnie też trochę, że zabrał naszą broń, ale pocieszam się, że będzie musiał mi ją zwrócić na rozkaz „Persa”. Już zresztą wraca strażnik i kiwa na mnie, abym poszła za nim.

Z obszernego hallu troje drzwi prowadzi do pokoi na parterze, zaś szerokie drewniane schody – na piętro. Jest tu przyjemnie chłodno. Na schodach czekają na mnie dwie białe dziewczyny w barwnych tunikach. Rude i jasnoblond włosy trefione są po afrykańsku

–Skąd jesteś i czego chcesz? – pada z miejsca pytanie, a w głosie rudej dziewczyny wyczuwam wrogość.

–Chcę widzieć się z Toszim Izumą – oświadczam ostrym tonem. – Zaprowadźcie mnie do niego!

Patrzają na mnie nieufnie.

–Nie ma tu żadnego brata, który się tak nazywa...

–Na pewno go znacie. Japończyk. Przybył tu razem z Magnusenem, to znaczy... z „bratem zbawcą” – poprawiam się pośpiesznie.

–Mówisz chyba o bracie Drugim. Kim jesteś i czego chcesz od niego?

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

–Powiedz mu, że odnalazła się „Andy” i chce przekazać bardzo ważne wiadomości. On już będzie wiedział... To bardzo pilne.

Dziewczyny przesyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia. Ruda idzie na górę, a blondyna przygląda mi się podejrzliwie.

–Skąd jesteś? – próbuję zagaic rozmowę. – Z Kotliny Timu czy tutejsza?...

–Gdzieżby z Timu – krzywi z oburzeniem cienkie wargi. – Jestem z Marlow. Pracowałam tu w barze.

–Dlaczego zostałaś?

–Taka głupia historia... – spuszcza oczy. – Gdy to przyszło, byłyśmy wszystkie trzy na urodzinach u jednego takiego. Zaczęłyśmy trochę rozrabiać, to nas zamknął, bo myślał, że za

wiele wypiliśmy... A potem, jak przyszło to jeszcze gorsze, sam uciekłem, a nas zostawiłem. Widać o nas zapomniał... A jak się nam udało wyłamać drzwi, to już było za późno.

–Ciężko było?

–Szkoda mówić... Diana, moja najlepsza przyjaciółka, nie wytrzymała... Najgorszy był głód. A ona jeszcze do tego bała się czarnych... Na szczycie schodów pojawia się ruda dziewczyna.

–Chodź! – woła do mnie. – Przyjmie cię brat Pierwszy. Musisz się tylko przebrać.

–Chciałam się zobaczyć z bratem Drugim.

–Nie ma go. Pojechał z braćmi do Cameo i wróci dopiero jutro. Brat Pierwszy powiedział, że jeśli to rzeczywiście takie pilne, jak mówisz, to cię przyjmie.

Myślę, że mówi prawdę i „Persa” nie ma, a ja nie mogę czekać. Muszę więc jakoś dogadać się z Magnusenem. Nie mam się zresztą czego obawiać, jeśli ONI czuwają nade mną... Dziewczyny prowadzą mnie na piętro, lecz zatrzymujemy się przy uchylonych drzwiach niedaleko schodów. Obszerny pokój pogrążony jest w półmroku – opuszczone rolety niewiele przepuszczają światła. Czuję niemiły zapach perfum, oliwy i potu. Wzrok oswaja się z mrokiem i widzę pod ścianami rozłożone na podłodze materace zasłane wzorzystymi kocami. Na jednym śpi jakaś półnaga Murzynka.

–Przebierz się w to! – mówi do mnie nieco cieplejszym tonem ruda dziewczyna i wciska mi w rękę jakiś łach. Jest to stara, podarta tunika.

–Po co? – pytam zaskoczona.

–Tak każe brat Pierwszy. Inaczej cię nie przyjmie.

–Ale dlaczego?

–Musisz zapomnieć kim byłaś... Takie jest prawo.

–Mnie nie dotyczy!

–Dotyczy wszystkich, którzy do nas przychodzą. Trzeba zrzucić z siebie wszystko: złe i dobre. Tak mówi brat Pierwszy!

–Może wystarczy, że włożę tę tunikę na wierzch!

–Nie. Trzeba zdjąć wszystko. Buty też.

Nie będę się targowała. Czasu jest zbyt mało. Być może zresztą jest to nie tylko rytuał zwariowanej sekty, lecz sposób zabezpieczenia się „proroków” przed zamachem. Obie dziewczyny nie spuszczaają ze mnie oczu i na pewno nie mogłabym przemycić broni.

Teraz prowadzą mnie bosą, w zgrzebnej, niedopranej tunice w głąb budynku, poprzez amfiladowy ciąg pokoi, z których ostatni największy zmieniony został na coś w rodzaju kaplicy i sypialni zarazem.

–Uklęknij! – rozkazuje szeptem ruda dziewczyna i zmusza mnie siłą do spełnienia rozkazu.

Przede mną na podwyższeniu, przykrytym barwnymi, puszystymi dywanami, siedzi jakiś starzec w białym chałacie. Czy możliwe, aby to był Magnusen? Ogromna, rozwichrzona czupryna, broda porośła siwą szczeciną, pałające oczy wpatrujące się we mnie... Z trudem odnajduję w tej twarzy dawne rysy prezesa koncernu „Alcon”. Jest w tym człowieku coś niepokojącego i tragicznego zarazem.

–Panie prezesie Magnusen! Czy mnie sobie pan przypomina? – mówię wstając z klęczek. Grymas gniewu przebiega przez twarz „proroka”.

–Na kolana! Widzę w tobie zło, wiele zła, siostró niktzemna! Ale pomożemy ci uwolnić się od niego... Ból oczyszcza duszę!

Jeśli ten facet jest rzeczywiście obłąkany, to może być ze mną źle. Dostrzegam jednak w jego oczach jakby błysk wyrachowania. Trzeba chyba zagrać kartą „dyspozytorni”.

–Panie Magnusen! – rozpoczynam chłodno. – Skończmy z tym teatrem. Muszę z panem porozmawiać w cztery oczy! Mam dla pana pozdrowienia od Herberta Knoxa...

Próbuję wyczytać z wyrazu jego twarzy, co naprawdę dzieje się w jego głowie.

Magnusen jakby się stropił. Twarz jego wyraża już teraz nie gniew, lecz chyba niepewność.

–Ralf Magnusen umarł... – mówi po chwili, akcentując słowo „umarł”. – Wchłonął zło i ono go zabiło. Musiał umrzeć i tak jest lepiej! Niech nikt nie wspomina jego imienia! Wyraźnie chce narzucić własne reguły gry. Można i tak. Nie dam się sprowokować, jeśli o to mu chodzi.

–Jak sobie życzysz, bracie Pierwszy – odpowiadani spokojnie. – Nie zmienia to jednak faktu, że muszę ci przekazać coś, co jest tylko dla twoich uszu.

W oczach Magnusena pojawia się podejrzliwość. Wpatruje się we mnie dłuższą chwilę i widać, że rozważa decyzję.

–Nie ma tajemnic między braćmi i siostrami – oświadcza wreszcie. – Niczego też nie musisz mi przekazywać, chyba, że chcesz sama i ja zechcę usłyszeć... A ja, abym chciał i mógł cię wysłuchać, muszę być pewny, że nie ma w tobie zła i kłamstwa, że odrzuciłaś dotychczasową nieprawość i gotowa jesteś zapomnieć o swych dawnych przyjaciółach i wrogach, o swym wczorajszym haniebnym życiu i świecie, który skazany jest na zagładę! Dlatego będę musiał poddać cię próbie prawdy, a być może dana ci będzie łaska oczyszczającego krzyku. Siostry moje, idźcie przygotować co trzeba! – zwraca się do stojących obok mnie dziewcząt.

Zostajemy sami. Zastanawiam się, czy rzeczywiście sami i co powinnam teraz zrobić: czy uciec i szukać na własną rękę radiotelefonu, zmusić w jakiś sposób Magnusena, aby mi umożliwił łączność, czy też dać się dalej nieść fali wydarzeń i ryzykując skórę ufać siłom kierującym moimi losami. Tak czy inaczej muszę pokazać Magnusenowi, że się go nie boję, zachować swobodę i jednocześnie ostrożnie badać sytuację.

–Dobrze, że pan je spławił. Lepiej niech nie wiedzą – mówię konfidencjonalnie. – Sytuacja jest naprawdę poważna i nie wolno nam zwlekać. Czy nikt nas w tej chwili nie podsłuchuje? – robię dwa kroki w stronę podium.

–Stać! – Magnusen wyciąga z fałd chałata pistolet i kieruje lufę w moją stronę. – Uklęknij i pokaż dłonie!

Ten wariat gotów do mnie strzelić. Boi się mnie, pamiętając Casablanke, i chociaż mam jakąś, może niezbyt uzasadnioną pewność, że wyjdę z tego cało, zdaję sobie jednocześnie sprawę, że nie ma sensu sprzeciwiać się szaleńcowi. Wykonuję więc polecenie.

Magnusen wstaje i góruje teraz nade mną całą wysokością nie tylko podium, ale i wzrostu. Przypomina mi pozę i pałającymi oczami zagniewanego Jowisza.

–Spleć palce jak do modlitwy! – pada kolejne polecenie. poparte ruchem lufy.

Czy chce mnie zmusić do wykonania jakichś rytualnych czynności, czy po prostu splecenie dłoni ogranicza możliwość niespodziewanego ataku. Być może zresztą chodzi o jedno i drugie. Niech jednak nie myśli, że może ze mną robić, co zechce.

–Rozumiem, że mi pan nie ufa, ale po co ten cyrk? – mówię patrząc mu w oczy.

Nie reaguje. Muszę sięgnąć do konkretów, aby zdał sobie sprawę, że chodzi istotnie o poważne kwestie.

–Pan z pewnością wie dobrze, co znaczy „program R”! – rzucam twierdzącym tonem i czekam jak zareaguje.

Zamiast spodziewanego zaniepokojenia czy zdziwienia, Magnusen wyraźnie się ożywia.

–Wiem. Czyżby się wreszcie zdecydowali? – w jego głosie wyczuwam jakby radosną nadzieję, lecz nie ma w tym nic z obłądu.

Czyżby scena, której byłam świadkiem i przymusową współuczestniczką to tylko komedia? Wynika stąd, że muszę być podwójnie ostrożna i nie odkrywać przedwcześnie kart. Nie wolno mi stawiać żadnej kwestii wyraźnie. Trzeba raczej dawać do zrozumienia niż informować. Niech się facet domyśla Bóg wie czego... Zwłaszcza, że to, co powiedział, zdaje się wskazywać, iż nie jest w łączności z Dusk, co najmniej od tygodnia.

–Czekać dłużej nie można – stwierdzam takim tonem, jakbym była pewna, że Magnusen jest w pełni zorientowany – w czym rzecz. – Nadal brak kontaktu z „anty-D” – dodaję z troską. – Chodzi jednak o Benedicta. Zgubił mi się w Cameo i nie wiem, czy zdołał nawiązać łączność z Pratem, lub starym...

Twarz Magnusena pochmurnieje.

–Po co mi to mówisz? Cóż mnie obchodzi jakiś tam Benedict i Pratt.

Czyżby znów chciał wrócić do poprzedniej roli? – Muszę rozmawiać z Dusk i liczę, że mi pan to ułatwi – nie daję się zbić z tropu. – Powinno być stąd połączenie radiotelefoniczne. Może Benedict jeszcze błądzi gdzieś po Cameo...

–Tak ci na tym błaznie zależy? – Magnusen uśmiecha się nieżyczliwie. – Zapomnij o nim, siostro! Jeśli chcesz się odrodzić, odzyskać niewinność nowonarodzonego dziecka, musisz pokonać swe żądze zmysłowe i uczucia, zapomnieć o tych, których kochałaś i nienawidziłaś. Wtedy naprawdę staniesz się wolna, uodporniona na jady zatruwające twą duszę. Zapomnij o senatorze!

Nie ma rady – muszę sprawę postawić otwarcie.

–Nie chodzi o samego Benedicta. Rzecz w tym, iż jeśli senator nie wy dostał się z terenu anomalii, albo nawet dotarł do Dusk, lecz fałszywie ocenia sytuację, „program R” zostanie zrealizowany. Termin upływa jutro po południu!

Oczy Magnusena znów zaczynają błyskać. Wzmianka o rychłej realizacji „programu R” wyraźnie go podnieca. Mam nadzieję, że wreszcie zacznie ze mną rozmawiać normalnie i pozwoli mi wstać. Okazuje się jednak, że moje rachuby zawodzą, a może nawet popełniłam fatalną pomyłkę.

–Mówisz, że program będzie zrealizowany? – podejmuje z ożywieniem. – To dobrze. Właśnie o to chodzi. Trzeba oczyścić świat. Nadchodzi wreszcie wielki dzień oczyszczenia!

–Co pan opowiada! Wy jesteście zagrożeni przede wszystkim! – zaczynam blefować. – Pan musi we własnym interesie ułatwić mi kontakt z Pratem. Wszelka zwłoka to działanie na szkodę własną, a być może również przeciw zamierzeniom „dyspozytorni”. A wie pan, co to znaczy... – próbuję znaleźć argument, który mógłby trafić do świadomości byłego prezesa „Alconu”. Lecz i to nie skutkuje.

–Boisz się? – pyta z ironią. – To dobrze. Jeśli nie chcesz umrzeć, musisz tu zostać i zespolić się z nami. Tu będziesz bezpieczna. Ci, którzy wierzą we mnie, przeżyją.

Dyspozytorem jestem tu ja sam! Najwyższym!

To już nie może być gra – ten człowiek to psychopata, u którego vortex zatarł granice między urojeniami i rzeczywistością. Muszę koniecznie naprawić swój błąd, a przede wszystkim wyciągnąć z Magnusena, czym w istocie grozi realizacja „programu R”. Oczywiście, łatwo się domyślić, że chodzi o użycie przeciw vortexowi jakiejś broni masowej zagłady, ale jakiej? Trzeba przecież ostrzec Kadunę.

–W jaki sposób możesz uratować siebie i innych? Chcę ci wierzyć, ale nie rozumiem, jak to możliwe.

Uśmiecha się z wyższością.

–Zapominasz gdzie jesteś. Nie przypadkiem wybrałem to miejsce na nasza siedzibę... Dziękuję ci za dobrą nowinę! Jutro rano siostry i bracia zjadą na samo dno... Na najniższe pokłady! Tam neutrony nie dotrą!

Robi mi się zimno. Czyżby „program R” polegał na użyciu broni neutronowej? Nie wątpię, że „dyspozytornia” gotowa jest popełnić taką zbrodnię, aby tylko zapobiec przekreśleniu jej planów sięgnięcia po władzę nad światem. Rzecz jasna, cała odpowiedzialność ma spaść na „wrogów Dusklądu”, partyzantów Magogo i „międzynarodowy terrorizm”. I czy w istocie nie jest już wszystko przesądzone? Czy nie gotowi są poświęcić Magnusena i Benedicta, byle tylko pozbyć się Quinty i Barleya, którzy mogliby ujawnić prawdę? W tej sytuacji za wszelką cenę muszę przekonać lub zmusić tego wariata, aby mi pomógł.

–Bracie Pierwszy, wierzę ci, że potrafisz uchronić siebie i innych przed śmiercią. Jestem też gotowa poddać się twojej woli. Ale co się stanie z bratem Drugim i tymi, którzy z nim wyruszyli do Cameo. Nie chodzi zresztą o rezygnację z programu, lecz tylko o odroczenie akcji na parę godzin – kłamię chyba dość przekonująco. – Nie chcesz chyba, aby brat Drugi zginął? Jeśli mi nie ufasz, możesz sam porozmawiać z Knoxem i Pratem, a właściwie z doktorem Swartem, bo on jest naszym łącznikiem.

Magnusenowi znów błyszczą oczy. Przypomina mi w tej chwili Tosziego.

–O brata Drugiego się nie martw – unosi nieco głos, w którym wyczuwam zniecierpliwienie. – Wróci jutro rano. I przywiedzie nowych braci i nowe siostry. A jeśli idzie o telefon to, gdybym nawet chciał, nie mógłbym ci pomóc, bo kazałem zniszczyć wszystkie aparaty. I będę niszczył wszędzie, gdzie je napotkam na swej drodze. To narzędzie zła, nieprawości, kłamstwa i mamienia ludzi! – woła w podnieceniu. – Oplotły siecią świat, aby ssać z ludzi myśli i sączyć w dusze nikczemność i strach... Telewizja, radio, teleksy, komputery... Zapomnij o tym. Nadchodzi dzień oczyszczenia! Świat, który nadejdzie, będzie innym światem!

Nie wątpię, że mówi to szczerze. Wynika stąd, że nie mam tu czego szukać. Trzeba się stąd wyrwać jak najprędzej, odzyskać buty i za wszelką cenę dotrzeć do Cameo. Jestem pewna, że, to musi mi się udać. Tam spotkam z pewnością Martina i Hansa, którzy już odnaleźli Toma i Alicję. I tego jestem pewna. Inaczej – wszystko co dotąd przeżyłam, nie miałoby sensu.

–Czy rzeczywiście brat Drugi jest w tej chwili w Cameo? – przerywam Magnusenowi. – Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób potrafił dotrzeć, i to jeszcze z całą grupę, do miasta. I skąd pewność, że zdąży wrócić na czas? W obszarze halucynogennym nikt nie może ręczyć za siebie...

Magnusen patrzy mi w oczy jak demon pewny swej siły.

–Kto oczyści swą duszę, może nie bać się vortexu – oświadcza z przejęciem, a mnie przypomina się to, co Tom usłyszał od młodego kaznodziei-motocyklisty w Delft. Czyżby

tu jakaś prawidłowość? Chcę zapytać Magnusena, co sądzi o dziwnych mieszkańcach Cameo, ale w tym momencie otwierają się za mną drzwi i wchodzą jacyś ludzie. Czterech czarnych wojowników w rytualnych maskach wnosi do pokoju okrągłą wzorzystą matę i kładzie ją przede mną na podłodze. Mata obramowana jest zielonkawo-żółtą, zwiniętą w gruby walek tkaniną przypominającą moher.

Magnusen daje znak i wojownicy poczynają tańczyć wokół mnie i maty, powtarzając

chóralnie kilkunastosylabowy refren. Coś w nim jest znajomego. Tak, już wiem. To pojawiające się raz po raz, wypowiedane w coraz to innym tonie słowa; „usafiszadzi”...

Trwa to dość długo, chyba dwadzieścia minut. Wreszcie mężczyźni w maskach zatrzymują się, a „prorok” rozkazuje mi, abym wstała i weszła na matę. Nie podoba mi się to, ale otwarty sprzeciw wobec udziału w pozornie niewinnej zabawie postawi mnie od razu w pozycji wroga i utrudni obronę, gdy sytuacja rzeczywiście stanie się groźna. Jaką zresztą mam szansę w walce z czterema roslymi górnikiemami i Magnusem uzbrojonym w pistolet. Co więcej, do „kaplicy” wchodzi cztery kobiety i stają na stopniach podium. Dwie już znam – to dziewczyny, które mnie tu przyprowadziły, dwie inne to Murzynki. Może któraś z nich była narzeczoną Patryka?

Wykonuję polecenie „proroka” i staję na macie. Czuję pod stopami przyjemny chłód grubo tkanego materiału o miękkim włosie. Mam wrażenie, że mata wyjęta została przed chwilą z lodówki. Teraz wojownicy stają przy Magnusie, a dziewczęta podchodzą do mnie. Znowu rozlega się monotonna pieśń. Trzy dziewczęta klękają przy mnie i poczynają rozwijać tkaninę na obrzeżu maty, powtarzając rytmicznie słowa pieśni. Czwarta – znana mi już rozmowna blondynka – stoi przede mną z białym prześcieradłem, przewieszonym przez ramię.

–Siostrzo zagubiona, która nas szukałaś i odnalazłaś, aby dostąpić cudu odrodzenia!
– woła

z przejęciem „prorok”. – Oto godzina wielkiej przemiany wybiła! Oczyszczyć swe ciało i duszę! Zrzucić z siebie wszystko co złe, plugawe, zużyte i brudne.

Rozwinięta tkanina tworzy teraz coś w rodzaju barwnego kosza, czy kielicha wielkiego kwiatu.

–Zdejmij ten łach! – szepce blondyna.

Czyżby cała ta przebieranka miała czysto symboliczny sens? A w ogóle jak to możliwe, aby w ciągu zaledwie dziesięciu dni dwóch wariatów zdołało stworzyć i wdrożyć w życie kilkudziesięcioosobowej społeczności skomplikowany system wierzeń i przepisów rytualnych? Nie ulega wątpliwości, że są tu jakieś zapożyczenia z animistycznych religii afrykańskich, ale i tak jestem zaskoczona i – muszę przyznać – urzeczona obrządkiem, w którym uczestniczę. Zaczynam rozumieć magiczny wpływ „brata Pierwszego” na otoczenie. Oczywiście, muszę konsekwentnie trzymać się przyjętej taktyki i podporządkować poleceniom „mistrza”. Na szczęście, w ceremonii nie ma nic żenującego czy upokarzającego. „Kielich” osłania mnie aż do ramion, a przeupoconą, brudną tunikę z radością zamienię na czyste prześcieradło...

Blondyna nie kwapi się jednak z przekazaniem mi okrycia, widać czekając na rozkaz Magnusena. Rzeczywiście, po chwili „prorok” daje znak, lecz nie blondynce a trzem dziewczętom. I oto „kielich” zamyka się, ciasnym zmarszczonym kołnierzem otaczając moją szyję. Jestem teraz zamknięta jakby w worku, z którego wystaje tylko głowa. Wnętrze worka, pokryte miękkim włosiem, przyjemnie łaskocze skórę. Już nie tylko stopy, lecz całe ciało otacza ożywczy chłód... Czuję się tak, jakbym wyczerpana nieznośnym upałem znalazła się nagle pod fontanną w obłoku rosy. Chciałabym, aby to trwało jak najdłużej...

Pieśń milknie. Wszyscy wpatrują się teraz we mnie, jakby na coś czekali. Te spojrzenia są chyba nazbyt natarczywe, a we wzroku Magnusena dostrzegam nawet niepokojący wyraz czegoś, co przypomina złośliwą satysfakcję. Coś się zresztą zaczyna zmieniać w moich doznaniach termiczno-dotykowych. Nie czuję już chłodu. Jakby po moim ciele spływał strumień wody, na przemian zimnej to znów cieplej, po czym z każdą sekundą staje się ona coraz bardziej gorąca, tak że chwilami zaczyna nawet parzyć. Przez pewien czas jest to nawet przyjemne, ale wkrótce piekący ból poczyna dominować w tych doznaniach. Wiem już, że to nie przyjemny miękki moher pokrywa wnętrze worka, lecz włoski jakiejś rośliny o silniejszym od pokrzyw, parzącym działaniu.

To już nie jest zabawne! Próbuję wydobyć chociaż jedną rękę, aby rozwiązać taśmę zaciskającą kołnierz wokół mojej szyi, ale okazuje się to niemożliwe. Zaczynam

szarpać tkaninę, co chyba jeszcze wzmacnia piekący ból. Zaczynam zęby aby nie wydać krzyku, lecz nie wiem jak długo wytrzymam...

–Nie broń się, siostrzo nasza! – słyszę głos Magnusena, który uderza w moje uszy z taką siłą, jakby płynął z megaonu – Pomyśl o swym dotychczasowym, brudnym, nędznym, niegodziwym życiu! Odrzuć od siebie wszystko, co wiąże się z tym plugawym, gnijącym od samego wnętrza, zakłamanym, głupim i skazanym już na zagładę światem. Pozwól, aby spłynęła na ciebie łaska oczyszczenia! Czujesz już, jak wszystko co złe i szpetne miota się w twoim ciele, próbując przeciwdziałać przemożnej sile, którą wyzwoliłem w tobie? Nie opieraj się jej, poddaj bez obawy, a odzyskasz swoją prawdziwą dziecięcą, czystą, nieskalaną duszę, odrodzoną w tym wielkim wewnętrznym płomieniu, który przenika cię teraz. Czujesz to, siostrzo błędząca?

Piekący ból ogarnia całe ciało, wydaje się nie do zniesienia, a jednak ciągle jeszcze wzrasta... W tej chwili zresztą odczuwam nie tyle jego zewnętrzne płomieniste kąsanie, co raczej promieniuje on z wnętrza ciała, gdzieś z mięśni i narządów wewnętrznych. Jest to tak dojmujące wrażenie i tak zgodne z tym, o czym mówi „prorok”, iż rzeczywiście zaczynam wierzyć, że aby uwolnić się od cierpień muszę wyrzucić z siebie jakiś zatrujący duszę i ciało jad, który zdaje się wrzeć i kipieć we mnie... Jestem, co prawda, jeszcze na tyle

przytomna, aby zdawać sobie sprawę, że to złudzenie, że to tylko kwas mrówkowy lub inna parząca substancja chemiczna i nie powinnam poddawać się sugestiom Magnusena. Lecz coraz trudniej zdobyć się na trzeźwy, sceptyczny osąd tego, co odczuwam. Jeszcze staram się opanować na tyle, aby podjąć próbę skłonienia „proroka” do przerwania tortury.

–Skończ z tym, Magnusen! Wiem, że chcesz się zemścić za Casablanke, ale Toszi ci tego nie daruje, jeśli mi zrobisz krzywdę! – usiłuję go postraszyć, ale głos mi się załamuje i brzmi raczej jak skomlenie o łaskę niż stanowcze żądanie. Magnusen zdaje się zresztą nie słyszeć moich słów.

–Nie wstydź się, siostrzo, okazywać, że cierpisz. Ból oczyszcza duszę wtedy, gdy wyzwala krzyk! – oświadcza z powagą. – Niech ci dana będzie łaska oczyszczającego krzyku!

Ból jest już rzeczywiście nie do wytrzymania. Miotam się bezsilnie w piekielnym worku, tracę równowagę, padam na podłogę i to jeszcze potęguje udrękę. Zaciskam zęby, lecz z gardła wydobywa się wbrew woli stłumione rżenie. Tracę już panowanie nad sobą.

–Krzycz. Krzycz. To pomaga – słyszę nad uchem szept którejś z dziewcząt.

Chyba istotnie mój upór nie ma sensu. Nie wiem już sama, kiedy pocynam krzyczeć, a właściwie drzeć się, wyć, ryczeć jakimś obcym, nieludzkim głosem. Nie myślę już o niczym, ani o Magnusenie, ani o groźbie wiszącej nad Kotliną Timu... I czuję wyraźną ulgę.

–Pozostaniesz teraz z nami na zawsze! – dochodzi mnie z oddali głos „proroka”. – Jestem tym, który dał ci nowe życie... We mnie jest twoja teraźniejszość i przyszłość, we mnie są twoje myśli i uczucia, twoje pragnienia i sens życia... Winnaś mi wierność, posłuszeństwo i oddanie... W tym jest prawdziwe szczęście!

Już nie odczuwam bólu, a tylko dziwną drętwotę mięśni i ogromne zmęczenie. Coś mi mówi, że powinnam być za to wdzięczna Magnusenowi, jednak gdzieś, jakby poza mną, inny głos wewnętrzny mi podpowiada, że to co słyszę, wcale nie jest prawdą, gdyż losy moje, a więc i to, że przebyłam zwycięsko i tę ostatnią próbę, kierowane są przez zupełnie inne siły i żaden „prorok” nie jest zdolny pokrzyżować ich zamierzeń.

Ta świadomość chociaż jeszcze nie w pełni władająca mym umysłem, działa na mnie uspokajająco. Czuję się bezpieczna. Coraz słabiej dociera do mnie głos Magnusena.

Przymykam oczy... Czuję dotyk rak... Jest mi przyjemnie, bardzo przyjemnie... Ktoś

chyba owija moje zdrętwiałe ciało prześcieradłem... Teraz mnie niosą... teraz kładą na czymś miękkim... Uchylam powieki – otacza mnie półmrok... Czyżby to już był wieczór? Jestem bardzo zmęczona i senna...

–Wypij to! – słyszę nad sobą kobiecy głos.

To chyba ta blondynka. Unosi mi głowę i wlewa w usta jakiś ciepły, słonawy napój. Jestem jej wdzięczna, gdyż mam zupełnie suche gardło, a nie byłabym w stanie zdobyć się na prośbę o wodę.

–A teraz spróbuj zasnąć – mówi dziewczyna i gładzi mnie delikatnie po policzku.

Tak... Zasnąć! Zapomnieć o wszystkim! Cóż mnie może obchodzić, co się dzieje na świecie, w Cameo, w Kotlinie Timu...

Nic mnie nie boli, nie czuję już nawet zmęczenia, tylko rosnącą ociężałość i złudzenie kołysania. Chwilami zapadam w półsen, lecz zaraz się budzę. Nie bardzo wiem, gdzie jestem i co się wokół mnie dzieje. Mój „duch opiekuńczy” mówi mi, co prawda, że nie powinnam poddawać się senności i muszę coś zrobić, aby wydostać się z tego ciemnego pomieszczenia. Jest to jednak raczej jakiś wewnętrzny, pozarozumowy imperatyw niż świadomość sytuacji. Jedyny konkretny motyw mogący wyzwolić mą wolę działania pozostał też bardziej emocjonalny aniżeli racjonalny: po prostu żal mi, strasznie mi żal Alicji, że została tam w Cameo z Tomem. A może sama błąka się po tym upiornym mieście i myśli, że ją zostawiłam... Nie mogę wyzbyć się poczucia winy, że dopuściłam do tego, co się stało i nie uspokoję się dopóty dopóki jej nie odnajdę. I chyba właśnie to nie pozwala mi spać – ten głos Alicji co chwila przywraca mi przytomność:

„Nie zostawisz mnie? Wrócisz?”

–Muszę wracać do Cameo! Ja muszę... do Cameo! – powtarzam w kółko z uporem, nie dlatego, że mnie ktoś może słyszy, lecz z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Potem znów zapadam w półsen, i znów się budzę, i tak w kółko...

Ten stan, ni to snu, ni to czuwania, trwa bardzo długo. Chyba w tym czasie coś się jednak ważnego wokół mnie dzieje, jacyś ludzie – kobiety i mężczyźni, czarni i biali – wchodzi i wychodzą, słyszę szepty w niezrozumiałym języku, czasem jakiś strzęp zdania lub pojedyncze słowo po angielsku. Potem znów wszystko to się rozplywa, aby zaraz powrócić. Nagle zmiana. Robi się jakby widniej. Nie jestem pewna, czy to zwid senny czy rzeczywistość, lecz widzę przed sobą Magnusena. Patrzy na mnie długo i nic nie mówi. Wydaje się czymś bardzo zatroskany, ale nie wyczuwam w jego spojrzeniu wrogości.

–Chcesz dostać się do Cameo? – pytanie pada niespodziewane

–Tak! Do Cameo! – potwierdzam z nadzieją.

–Dobrze... Niech więc będzie jak chcesz! – słyszę głos Magnusena i czuję ogromną wdzięczność.

Teraz przede mną pojawiają się te same dwie dziewczyny, które zaprowadziły mnie do „kaplicy”. Biorą mnie pod pachy i sadzają na jakimś krześle czy ławie. Jestem jak pijana i lecę im przez ręce, gdy zaczynają mnie ubierać. Te same spodnie, bluzka i buty, w których tu przyszedłam. To mnie uspokaja.

Dziewczęta wyraźnie się spieszą. Chciałabym im pomóc, ale mięśnie są zupełnie zwiotczałe. Jeśli ten stan się przedłuży?... Choćby mnie nawet zawieźli do Cameo – będę do niczego. Muszę koniecznie wziąć się w garść i pokonać ten bezwład. Próbuje więc napinać i rozluźniać mięśnie. Początkowo nie bardzo mi idzie, jednak stopniowo czuję, że ten wysiłek poczynają przynosić rezultaty. Najgorzej chyba z nogami, a i palce rąk są ciągle zdrętwiałe. Bezskutecznie usiłuję zapiąć guzik u bluzki, chociaż udaje mi się już unieść ręce.

–Widzę, że czujesz się lepiej – mówi rudowłosa. – Zaraz przyniosę ci coś do picia.

Po chwili pojawia się przede mną ze szklanką w dłoni. Odczuwam rzeczywiście pragnienie i wypijam łyk słonawej ciecchy. W tym samym momencie ogarniają mnie wątpliwości: może zbyt ufam tym ludziom?

–Napij się jeszcze – namawia dziewczyna, lecz ja kręcę przecząco głową. – Pij! –

podnosi głos, patrząc na mnie jakoś dziwnie.

Jestem już na tyle przytomna, że nie daję się zmusić do wypicia choćby jeszcze jednego łyku. W oczach rudowłosej dostrzegam gniew i zaczynam się obawiać, czy nie będzie próbowała siłą zmusić mnie do picia. Na szczęście wtrąca się blondyna.

–Daj jej spokój. I tak ma dosyć... – słyszę jej szept.

–Lepiej dla niej, żeby więcej wypła – odpowiada rudowłosa, jakby z odcieniem współczucia.

O czym one mówią? Jestem już na tyle przytomna, iż zdaję sobie sprawę, że to dotyczy mnie. Ale jakoś nie bardzo się tym przejmuję – nic mi się stać nie może. One o tym nie wiedzą, lecz ja jestem tego pewna. Wkrótce odzyskam zupełnie siły. Jeśli nawet Magnusen i jego kompania coś knują – dam sobie z nimi radę. Muszę, oczywiście, działać przez zaskoczenie. Nie wolno mi zdradzić, że jestem już sprawna fizycznie. To moja tajemnica...

–Już czas! – mówi rudowłosa.

„Już czas!” – coś mi podpowiada „od wewnątrz”. Chcę zerwać się z krzesła i skoczyć ku drzwiom, ale mięśnie są jak z drewna. Osiągam tylko tyle, że osuwam się na podłogę. To z pewnością ten słonawy napój...

–Zabieraj ją i chodźmy – rozkazuje rudowłosa.

Jakieś twarde męskie ręce podnoszą mnie z podłogi i jak worek przerzucają przez ramię. W głowie mi się kręci, a przed oczami znów pojawia się mgła i barwne plamy. Mężczyzna znosi mnie ze schodów i wychodzi przed willę. Jest już ciemno i chyba dość chłodno.

Droga biegnie teraz w dół po pochyłości. Równa, duża płaszczyzna... Betonowe płyty, potem drewniany skrzypiący pomost. Słyszę teraz wyraźnie kroki jeszcze paru osób idących za nami. Wszystko odbywa się w całkowitym milczeniu. Plusk wody. Czyżby postanowili mnie utopić? Jestem niezłą pływaczką i potrafię nurkować. To okazja do ucieczki. Woda mnie orzeźwi i dam sobie radę. Na szczęście nie związane mi rąk.

Czyjeś palce zaciskają się na moich stopach, ktoś bierze mnie za rękę.

Teraz! Nie. Zamiast wrzucić mnie do wody, kładą na jakichś deskach. To chyba łódka.

–Odwiąż i pchnij w kierunku jazu – słyszę szept.

Znów odczuwam kołysanie, lecz jakieś inne. To chyba łódka się kołysze. Przewożą mnie na głębię... Jestem jak kłoda... bez czucia w rękach i nogach. Obezwładniające zmęczenie i senność...

Długa koszmarowa noc... Pełna splątanych ze sobą rzeczywistych spostrzeżeń i halucynacji. Bezład mięśni ustępuje bardzo wolno, lecz umysł szybko wraca do normy. Dobrze, że po raz drugi wypięłam tylko jeden łyk tego świństwa. Z drugiej strony – może i lepiej, że się trochę napiłam. Gdybym zbyt wcześnie odzyskała sprawność fizyczną, mogłoby być ze mną źle... W strefie czwartej trudno ręczyć za siebie...

To, że żyję, że w ogóle wyszłam z tego cało, zawdzięczam przede wszystkim Patrykowi. Gdyby nie on, jego odwaga i umiejętność walki z żywiołem, na pewno czołno rozbiłoby się o ściany kanału lub kamieniste brzegi Mkavo. Aż trudno uwierzyć, iż wyszedł z tego tylko ze zdartą skórą na nogach i dziesiątkami sińców!

Początkowo nie zdawałam sobie zupełnie sprawy co się dzieje. Nie wiedziałam nawet, że jestem sama w czołnie unoszonym silnym prądem ku otwartej klapie jazu. Słyszałam tylko szum i plusk przelewającej się wody, a rozgwieżdżone niebo nade mną obracało się jak karuzela. Głośniejszy plusk – i coś wstrząsnęło łodzią. Czołno przestało się kręcić i do moich uszu dobiegł już wyraźny szum wodospadu, który zbliżał się z każdą sekundą. Wtedy właśnie spróbowałam unieść głowę i zobaczyłam na burcie ciemny kształt ludzkiej głowy i ramion. Zanim jednak zdążyłam rozpoznać, kim jest człowiek czepiający się burty, łódź wykonała jakiś gwałtowny manewr,

stanęła niemal dęba i opadła gwałtownie w dół, porwana rwącym potokiem. I tak zaczęła się moja i Patryka szaleńcza podróż w nieznane...

Nie mogę zrozumieć, co chciał osiągnąć Magnusen spełniając w tak perfidny sposób moje żądanie. Pat Lu twierdzi, że po prostu chciał się mnie pozbyć, zanim wróci Toszi, i to w taki sposób, abym zginęła, lecz nie z jego ręki. Myślę jednak, iż jest to zbyt proste wytłumaczenie. W tym co robi, dostrzegłam wiele z jakiegoś zwariowanego teatru, a ograniczona skuteczność jego „oczyszczającej kuracji” w moim „nietypowym” przypadku wymagała zademonstrowania czegoś „ekstra”... Być może zresztą na tę decyzję miała też wpływ któraś z „sióstr”, obawiająca się, że po powrocie „brata Drugiego” moja pozycja może bardzo wzrosnąć. Chciałam pojechać do Cameo, więc spełniono moje życzenie, ale zrobiono to tak, aby szansa wyjścia cało z tej „podróży” była jak najmniejsza, niemniej, aby taka szansa istniała – co rozgrzesza sumienie. To wszystko jest zresztą mało ważne. Istotne jest, iż jak na razie żyjemy i magnusenowska „świątynia oczyszczenia pozostała daleko poza nami. Co więcej, udało nam się szczęśliwie przebyć czwartą strefę. Wkrótce po pokonaniu progu na jazie, gdy już płynęliśmy wąskim korytem kanału, zapadłam w krótkotrwałe odrętwienie, z którego ocknąłam się dość nagle, odzyskując świadomość. Była to jednak świadomość jakby wyższego rodzaju, w której wychodziło się poza czas i przestrzeń, a zdolność odbierania wrażeń i w ogóle myślenia ulegała jak gdyby ogromnemu spotęgowaniu. Byłam sobą, a jednocześnie kimś innym, jakąś „mną nie mną”, istotą o nieograniczonych możliwościach postrzegania i poznania. Wszystko, co dotychczas przeżyłam, nie mogłoby wydarzyć się bez udziału i wpływu tej istoty. Dla niej każdy fakt jest jasny i oczywisty, ona kieruje świadomie moimi losami i zna prawdziwy cel, ku któremu zmierzam, choć wiem, że nie potrafiłabym skonkretyzować tej wiedzy, a zwłaszcza wyrazić słowami. Zrozumiałam, że ów mój tajemniczy „duch opiekuńczy” to właśnie ta istota, czyli ja sama w tym nowym wcieleniu, zaś

ta biedna dziewczyna leżąca na dnie czółna to tylko nędzna cielesna powłoka, uniemożliwiająca wyzwolenie się mojego prawdziwego „ja”.

Teraz byłam wolna naprawdę. Nie czułam już swego ciała, które poczęło być dla mnie obce i dalekie... I wtedy pomyślałam o Alicji, ale jakoś zupełnie inaczej. Uświadomiłam sobie, że również to dziecko, którego szukam i chcę osłonić przed okropnościami tego świata – to jestem ja sama. Byłam znów małą błądzącą wśród opustoszałych ulic, przerażoną dziewczynką. Było mi jej – to znaczy siebie – strasznie żal, czułam się oszukana i skrzywdzona przez tę, która przecież wie wszystko i powinna mi pomóc. Wiedziałam, że jest ona gdzieś blisko, bardzo blisko... Wystarczy wyciągnąć rękę...

Odnalazłam tę rękę i chwyciłam się jej kurczowo... Mocna twarda dłoń... „małego zielonego ludzika” o skośnych fosforyzujących oczach: Wszystko to wiedziałam i czułam bardzo realnie, jak gdybym rzeczywiście była małą przerażoną dziewczynką, idącą przez bezludne miasto-widmo.

Owo przechodzenie z jednej osobowości w inną, ta dwoistość postaci, w jakie się wcielałam nie budziło żadnych wewnętrznych oporów i wątpliwości. Traktowałam to jako coś naturalnego i oczywistego, nawet wówczas gdy postaci te zdawały się przeciwstawiać sobie...

Nie trwało to zresztą zbyt długo. Wszystkie te osobowości poczęły jakby przenikać się wzajemnie, mieszać i zespalać w jedną... I znów byłam tą biedną, słabą i bezradną Agni, leżącą na dnie czółna unoszonego przez górską rzekę, a palce mojej ręki ścisnęły dłoń Patryka, który wcale nie przypominał zielonego „kosmity” ani wielkiego chrząszcza, lecz raczej sympatycznego King-Konga...

Myślę, że nieoczekiwanie „gładkie” przebycie strefy czwartej zawdzięczam temu, iż stosunkowo szybko wartki prąd rzeki przeniósł czółno przez jej obszar. Być może również moje dotychczasowe kontakty z vortexem trochę uodporniła mnie na przykre sensacje wywoływane anomalią. To samo zresztą dotyczy Patryka, który z podziwu godnym opanowaniem prowadził czółno nie tylko wśród groźnych meandrów Mkavo, ale i mylących omamów.

Muszę stwierdzić, że teraz, po tym wszystkim co dotąd doświadczyłam, także strefa trzecia wydaje mi się nie tak zdradliwa i upiorna. Jest ciemno i nie próbuję przyglądać się brzegom, a bliskość Patryka działa na mnie uspokajająco. Czółno płynie teraz znacznie wolniej i trudno ocenić za ile godzin dotrzemy do Cameo, ale Pat zapewnia mnie, iż do świtu powinniśmy znaleźć się w okolicach portu rzecznego, na północno-zachodnim przedmieściu.

Jestem już zupełnie przytomna i staram się teraz, poprzez ćwiczenia gimnastyczne, osiągnąć jaką taką formę fizyczną. Już się nawet bałam, że nic z tego nie wyjdzie, ale dzięki pomocy Patryka, który jak się okazuje jest też dobrym masażystą, szybko udało mi się pokonać paraliżującą drętwotę mięśni. A w ogóle ten pilot to świetny chłopak i coraz bardziej go lubię...

Ponawianie ćwiczeń staje się też konieczne w warunkach nocnego chłodu, który dokucza nam coraz bardziej. Szczególnie żal mi Patryka – jego mokre ubranie wydaje mi się w dotknięciu wręcz lodowate. Gdyby nie to, że wiosłowanie gałęzią zmusza go stale do wysiłku, nie wiem, w jakim stanie dotarłby do Cameo. Przychodzą mi też do głowy różne niedorzeczne myśli: jaka szkoda, że jest on w mokrym, lodowatym ubraniu. Jakże bym chciała, aby objął mnie, przytulił, ogrzał własnym ciałem... Gdy patrzę na niego, wydaje mi się podobny do Martina, to znów Toma, a nawet Boba... Zdaję sobie sprawę, że to musi być wpływ trzeciej strefy, ale czy tylko...?

Halucynacje wzrokowe są tu znacznie mniej wyraziste niż te, których doznawałam w Cameo i nie towarzyszy im uczucie lęku. Ciekawe, czy to cecha strefy trzeciej czy może mój organizm i umysł zdołał przystosować się do anomalii. To by tłumaczyło dlaczego Martin, Hans, Bob, a nawet Toszi mogą przebywać bezkarnie na obszarze vortexu. Może przebycie

strefy czwartej ma tu decydujący wpływ? Oznaczałoby to, że tam właśnie występują trwałe zmiany w psychice, tyle że nie u każdego muszą przybierać wyraźnie patologiczną postać. Bob mówił mi o panowaniu nad tokiem swych myśli i nie dawaniu się ponieść grze wyobraźni i różnego rodzaju mamiących doznań... Może w tym właśnie cała sztuka...

Mówię o tym Tomowi-Patrykowi i pytam czy nie sądzi, iż kto chociaż raz przeszedł przez cały vortex i nie oszalał, nie ma się już czego obawiać. Odpowiada, że Kaduna powiedział mu, że bezpieczni są tylko ci, którzy nie myślą o sobie i potrafią oddać wszystkie swe myśli, uczucia i siły jednej sprawie. Kaduna myślał tu oczywiście o walce z Numą, „Alconem” i Dusklandem. Ale on. Pat Lu, gdy przechodził przez wir zmieniony w niewolnika Tosziego i Magnusena, myślał tylko o sobie, o swoim losie i dlatego duchy władające kręgiem potrafiły zmać jego umysł. Tylko dzięki pomocy Kaduny dusza jego została uzdrowiona. Teraz gdy zobaczył, co ze mną chcą zrobić i zdecydował się mnie uratować, starał się nie myśleć o sobie i to chyba ułatwiło mu przebycie najgorszej strefy, lecz co będzie dalej – nie wie. Nie potrafi bowiem myśleć tylko o jednym. Są w nim jakby dwie dusze: jedna wojownika gotowego zginąć w walce, druga – tchórza, który chce żyć w spokoju, mieć swój dom, dziewczynę... I te dusze nienawidzą się wzajemnie.

Gdy to mówi jest znów Patrykiem, ale bardzo podobnym do Boba. Tłumaczę więc temu Bobowi-Patrykowi, że to nic strasznego, że to normalne, że ja sama mam podobne kłopoty, a to, co dla mnie zrobił, najlepiej świadczy, która z tych dusz jest silniejsza. A on wtedy na to, że nie wie która bierze górę, bo teraz nie jest już pewny, czy ratował mnie dlatego, żebym mogła powstrzymać Pratta czy dla mnie samej. I różne mu myśli przychodzą do głowy na mój temat, wcale nie związane z tym, o czym mówił Kaduna czy Oriento... Co gorsza ciągle mu się wydaje, że jestem bardzo podobna do jego dawnej narzeczonej, uprowadzonej przez Magnusena i czuje, że w ogóle wszystko zaczyna mu się mieszać.

Muszę się przyznać, że to wyznanie jakoś wcale mnie nie martwi. Powinnam mu powiedzieć, że to wszystko zawdzięczamy trzeciej strefie, ale jakoś sama nie wiem dlaczego zwlekam. Właściwie czy to takie ważne? Czuję się jakoś dziwnie beztrosko. Żadnego bólu ani zmęczenia. Nawet chłód jakby zelżał. Wypełnia mnie jakieś podniecające, radosne oczekiwanie. Przymykam oczy...

–Już niedaleko! – podrywa mnie ściszony okrzyk Patryka.

Przed nami na prawo, spoza gęstwiny zarastającej brzegi Mkavo odbita od chmur żółto-czerwona luna. To z pewnością światła Cameo, włączające się automatycznie każdego wieczoru. Z odległości kilku kilometrów stwarzają złudzenie

pożaru. Zrobiło się nieco widniej od tej łuny.

–Wygląda, jakby się paliło – mówię do Patryka, który w tej chwili przypomina mi Martina.

–Bo też naprawdę się pali, chyba gdzieś w centrum – odpowiada Martin-Patryk, a ja dostrzegam teraz na niebie gęste obłoki dymu, które początkowo wzięłam za chmury.

Zastanawiam się, czy to nie może być halucynacja, lecz jeśli tak, to obraz powinien ewoluować. Poza jednak zmianą perspektywy, wywołaną naszym ruchem po rzece, łuna nadal wisi nad miastem.

Mijamy jeszcze jeden zakręt i zarośla ustępują kamienistym, a wkrótce i betonowym, umocnieniom brzegów. Ukazuje się ciemny zarys mostu i jakichś niewysokich budowli na prawym brzegu. Barki i łodzie, niektóre wypełnione ładunkiem.

Jeszcze jeden most, chyba kolejowy i oświetlone paroma lampami sodowymi nabrzeże. Pat Lu, który znów jest sobą, zręcznie steruje w kierunku jakiejś ciemnej, prostokątnej bryły. To duża motorowa barka, przycumowana do nabrzeża. Za nią jeszcze dwie mniejsze. Wpływamy między te barki i dostrzegam w mroku schody w zatoczce dla łodzi. Pat dobija do betonowego pomostu i wyskakuje na brzeg. Próbuje wstać i nawet mi się to udaje, lecz tracę równowagę i gdyby nie szybki refleks Patryka z pewnością „wylądowałabym” w wodzie.

Chwyta mnie w pól i już jestem na schodach. Odepchniętą łódkę unosi prąd rzeki...

Nie czuję się jeszcze zbyt pewnie na nogach, w głowie mi się trochę kręci i Pat Lu musi mnie podtrzymywać, gdy idziemy w górę po schodach, aż w końcu bierze mnie na ręce. Przytulam się do niego, jest mi dobrze przy nim, choć jest już tylko Patrykiem Lumumbą Mathubo – czarnym pilotem helikoptera.

Płyte nabrzeża, z rozrzuconymi na niej skrzyniami kontenerów i wrakami samochodów, porastają miejscami chwasty i trawa. Pat sadza mnie na przewróconym pojemniku i rozgląda się po placu. Myśli chyba o uruchomieniu jakiegoś samochodu, jednak to sprawa beznadziejna. Jeśli nawet silnik byłby sprawny, przez pół roku akumulatory zdołały się rozładować. Patryk rusza na rekonesans i wkrótce wraca, co prawda, nie z samochodem, lecz z rowerem. Ja w tym czasie wznowiłam gimnastykę i jestem w coraz lepszej formie. Jeszcze trzeba trochę dopompować opony i ruszamy w dalszą drogę. Ja – w roli pasażera na bagażniku. Z Patrykiem nie boję się niczego.

Za portem rozciąga się dzielnica przemysłowa. Budynki i hale fabryczne pogrążone są w mroku, gdzieniegdzie na terenie zakładów palą się zewnętrzne lampy, ulice też są niezbyt dobrze oświetlone, lecz rozjaśnione łuną niebo rozprasza ciemność. Nie widać żadnych śladów, aby ktoś odwiedzał ten kwartał, a dziko pniące się rośliny są tu bujniejsze i agresywniejsze niż w alei Południowej.

Drogę wybieramy na wycucie, gdyż Pat Lu nie był nigdy w Cameo, a ja pamiętam tylko ogólny układ zabudowy i główne arterie. Plan studiowałam zresztą w warunkach wręcz wariackich, ulegając różnego rodzaju omamom i nie wykluczone, że jest to obraz zniekształcony. Na szczęście, od chwili zejścia na ląd ani u mnie, ani u Patryka nie wystąpiły żadne halucynacje. Być może dlatego, że jesteśmy na nie odporniejsi i trafiliśmy na minimum anomalii. Zresztą strefa trzecia, jak wynika z tego, co mówił Martin, sięga aż po zachodnie dzielnice miasta.

Pat Lu stara się jechać możliwie szybko, jak tylko pozwala na to „łaka” na jezdni i chodnikach, zarastająca zwłaszcza węższe ulice. Kierunek okazuje się prawidłowy, gdyż po kilkunastu minutach docieramy do szerokiej dwujezdniowej arterii, która okazuje się aleją Zachodnią. Teraz już nie możemy zablądzić – aleja prowadzi przecież do placu Livingstone’a i od niej też biegnie ulica Themersona, przy której wzniesiono hotel „Majestic”.

Aleja Zachodnia jest znacznie mniej zarośnięta niż obszar dzielnicy portowo-przemysłowej i Patryk pedałuje co sił. Chociaż jednak, jak dotychczas, wszystko układa się po naszej myśli, niedawny nastrój radosnego podniecenia ustępuje

miejsca nerwowemu napięciu, a nawet rosnącemu uczuciu niepokoju. Sprzyja temu, być może, oddziaływanie strefy drugiej, ale rzeczywistym powodem zaniepokojenia jest coraz lepiej widoczny pożar, obejmujący jak się wydaje centrum miasta. Chwilami spoza wysokich bloków, gdzieś w głębi alei, strzelają w niebo płomienie i snopy iskier. Nie jest to z pewnością pożar pojedynczego domu.

Wychylam głowę zza pleców Patryka i wypatruję ze strachem nad domami, w miejscu gdzie szaleje ogień, smukłej sylwetki hotelu. Myślę teraz tylko o Alicji i Tomie. Czy Martin zdołał ich odnaleźć? Czy może błądzą gdzieś wśród ulic objętych pożogą, na próżno szukając drogi w obłąkanym mieście? Aleja Zachodnia jest jakaś strasznie długa, nie widać jej końca... Może to znów daje znać o sobie anomalia, w której przestrzeń i kształt ulegają szaleńczej deformacji? Ale ja nie dam się, nie pozwolę sterować moim umysłem, wiem, że to halucynacja i nie boję się już żadnych upiornych widm...

Jesteśmy już w pobliżu placu Livingstone'a. To płoną domy po jego południowo-wschodniej stronie. A więc rejon „Majesticu” nie jest jeszcze objęty pożarem. Widzę zresztą już hotel. Jego górne piętra zasnuwa raz po raz dym, unoszony wiatrem z placu Livingstone'a. Dlatego chyba go nie dostrzegłam.

–Skręcamy w prawo! – krzyczę do Patryka.

Widzę już znajome domy. Parking przed hotelem... Tego nie było: pod przekrzywioną latarnią mijamy wrak spalonego samochodu. Przy kierownicy jakiś czarny tobół... To zwęglone zwłoki.

–Stój!

Patryk hamuje gwałtownie. Zeskakuję i podbiegam do wraka. Nogi uginają się pod mną.

To nasz łazik... A tam, za kierownicą Benedict.

–Chodź... – Patryk obejmuje mnie ramieniem i prowadzi ku szklanym drzwiom hotelu.

Jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Mimo wszystko lubiłam Benedicta... Spośród całej tej mafii on jeden miewał ludzkie odruchy.

Rozumiem teraz znaczące spojrzenia Hansa i Martina... A jednak źle się stało, że mi nie powiedzieli. Można było wspólnie obmyśleć jakąś akcję przeciw „programowi R”. I co ja teraz powiem Swartowi? Co za głupia, bezsensowna śmierć!

Inna sprawa, że dopiero teraz uświadamiam sobie w pełni jak niebezpieczny, wręcz szaleńczy był nasz plan przejazdu samochodem przez vortex. W każdej chwili mogłam przecieżyć i ja spowodować podobną kraksę. We wraku byłyby teraz cztery spalone trupy... Hall pogrążony jest w półmroku. Tylko w recepcji pali się światło. Wszystko wokół ma normalny, naturalny wygląd. Stoliki i fotele są zwykłymi meblami. Czyżby jeszcze trwało minimum, czy też rzeczywiście mój mózg już się adaptował? Patrzę na Patryka – on chyba również nie ma żadnych zwidów. Rozgląda się po sali, jakby czegoś szukał.

–Miałaś telefonować – przypomina mi i idzie w kierunku recepcji. Zręcznie przeskakuje przez kontuar i kiwa na mnie, abym podeszła. Widzę, że manipuluje przy stoliku dyspozytorskim. Gdy stoję przy kontuarze, na pulpicie mrugają jakieś światełka kontrolne.

–Wszystko potrafisz! – mówię z uznaniem.

–Byłem przez rok telefonistą w sztabie... Wewnętrzna centrala działa, ale są kłopoty z miastem- stwierdza zasępiony. – Nie ma sygnału zwrotnego.

–Jeszcze jest trochę czasu. Muszę się zresztą zastanowić co powiedzieć. Jeśli dowiedzą się o śmierci senatora, z pewnością nie zawahają się zrealizować

„programu R”. Coś trzeba wymyślić. Teraz jednak przede wszystkim musimy stwierdzić, czy doktor Quinta opuścił ten hotel. Przydałby się megafon, najlepiej ręczny. Można by przejść wszystkie piętra. A przede wszystkim trzeba zbadać dokładnie hall. Quinta mógł zostawić jakiś znak... – mówię trochę chaotycznie, ale zaczynam zdawać sobie sprawę; wszystkie te pomysły są niewiele warte, a przede wszystkim zbyt czasochłonne.

Patryk widać myśli o tym samym.

–Można by przedzwonić po wszystkich pokojach, ale to zajmie zbyt wiele czasu... – rozpoczyna i urywa. Gdzieś z daleka dobiega nas odgłos strzelaniny. Słychać wyraźnie serie z broni automatycznej. Potem nastaje cisza, którą po chwili mąci szum silnika i terkot gąsienic.

Jakiś zagubiony patrol Hendersona czy tajemniczy mieszkańcy opustoszałego miasta? A może Marin i Hans? Tak czy inaczej trzeba sprawdzić, kto strzelał.

–Idziemy! – ruszam ku wyjściu. Na ulicy jest już szaro.

–Patryk dogania mnie przy drzwiach.

–Poczekaj! Mam w tej chwili sygnał na miasto. Spróbuj połączyć się z Knox-Benedict, bo później może nie być okazji. Masz tu książkę telefoniczną... Ja pójde sprawdzic, co się dzieje na ulicy.

Wracam do recepcji. Rzeczywiście jest sygnał. Wykręcam numer kierunkowy Dusk i otrzymuję sygnał zajęcia linii. Próbuję jeszcze raz i jeszcze raz. Bez Patryka nie dam chybi sobie rady. Nie chcę się zresztą z nim rozdzielać.

Pilot stoi przyczajony w niszy na podjeździe i gdy uchylam szklane drzwi, daje mi ręką znak, abym się cofnęła. W głębi ulicy, od strony alei Zachodniej widzę wóz pancerny a na nim i obok niego jakieś sylwetki ludzkie. Jest już na tyle widno, że jestem pewna, iż nie jest to Martin, Hans czy Tom. Pojazd i ludzie zmierzają w naszym kierunku.

Patryk błyskawicznie wskakuje z powrotem do hallu.

–Mam nadzieję, że mnie nie zobaczyli. Najlepiej będzie ukryć się gdzieś na górze i stamtąd obserwować.

Projekt jest słuszny, ale po przykrych doświadczeniach z Alicją i Tomem, nie odważę się wsiąść do windy. Ruszam więc wprost ku schodom. Patryk, bez żadnych pytań – za mną. Na pierwszym piętrze restauracja z tarasem. Wyżej wchodzić nie ma potrzeby. Na taras też już wtargnęły jakieś zielska, choć naniesiony wiatrem pył stwarza bardzo nędzne warunki wegetacji.

Lokujemy się na posadzce porosłej trawą, między stolikami, tuż przy ażurowej balustradzie. Idealny punkt obserwacyjny – ulice jak na dłoni, a nas z dołu trudno dostrzec. Przez dłuższą chwilę nie mogę zrozumieć, co się tam w dole dzieje. Ludzie, których widziałam z pojazdu, nie są wojskowym patrolem, lecz bandą wyrostków, a nawet chyba dzieci. Głównie chłopcy, ale jest i parę dziewcząt. Wszyscy uzbrojeni w pistolety, maczety i kije. Niektórzy mają na głowach hełmy wojskowe lub policyjne. Kilku obsiadło pancerkę, reszta idzie za wozem środkiem jezdni, prowadzona przez wysokiego starszego chłopca w wojskowej kurtce i kowbojskim kapeluszu. Za nimi, na skrzyżowaniu ulicy Themersona z aleją Zachodnią, gromadzi się jakiś dziwny, falujący tłum. Odległość jest zbyt duża, aby można było dostrzec, co robią tamci ludzie. Większość z nich jest naga lub półnaga i z daleka mogliby uchodzić za barwny tłum na plaży. Ale tam się dzieje coś niedobrego. Nie wiem co, lecz ci ludzie zachowują się jakoś dziwnie. Tak jakby chcieli iść za tymi młodymi, to znów cofali się w popłochu i próbowali rozbiec, a jakaś nieznana siła znów ich skupiała. Ale to oczywiście musi być złudzenie, być może nawet coś w rodzaju omamu wywołanego przez vortex. Bo przecież skąd w ogóle tłum w tym mieście?

–Trzeba uciekać – szepce mi do ucha Patryk, jakby się bał, że ci na dole mogą usłyszeć. – Trzeba poszukać drzwi z innej strony. Musi być jakieś tylne, gospodarcze wejście do hotelu.

–Poczekajmy jeszcze trochę. Może nie są niebezpieczni – staram się go uspokoić. – Przecież to jeszcze dzieci! Mogą coś wiedzieć o doktorze Quincie i małej...

Pancerka już dojeżdża do parkingu przed hotelem. Pierwsi chłopcy dochodzą do miejsca, gdzie stoi spalony wrak dżipa. Zatrzymują się, przyglądają zczerniałym zwłokom. Ten makabryczny widok budzi w nich wesołość... Oto jeden z chłopców zrywa drugiemu z głowy kask ochronny, podbiega do trupa i zakłada kask na czaszkę. Zwęglone zwłoki nie wytrzymują ciężaru i czaszka wraz z kaskiem opada... Nie mogę na to patrzeć.

–Chodźmy! – ponagla Patryk.

Wycofujemy się na czworakach z tarasu. Przechodzimy przez salę restauracyjną. Oto zaplecze kuchenne, winda towarowa i schody prowadzące w dół i w górę. Oświetlenie wyłączone lub zdążyło już „wysiąść” i musimy posuwać się miejscami w zupełnych ciemnościach. Z klatki schodowej nie ma wejścia na parter, gdzie znajdują się sale reprezentacyjne i recepcja. Docieramy więc do podziemi. Niestety, drogę zagradzają nam zamknięte, metalowe drzwi. Być może za nimi znajduje się jakiś magazyn czy garaż, ale panuje tu zupełna ciemność. Bez światła i jakiegoś łomu nie potrafimy sforsować przeszkody i znaleźć wyjścia. Trzeba zdobyć choćby zapalki, a to może nie być sprawą łatwą.

Wracamy do restauracji i rozpoczynamy poszukiwania od bufetu w barze. Z ulicy, a także od frontowych schodów dochodzą nas krzyki i śmiechy. Banda buszuje już chyba w recepcji i w każdej chwili może windą lub schodami dotrzeć do nas. A zapalek jak nie ma, tak nie ma...

Pozostaje nam kuchnia, skąd łatwo uciec służbowymi schodami. I tu nigdzie nie widać zapalek, ale za to „uzbrajamy się” w noże i tasaki.

Głosy, które przez pewien czas jakby się przybliżały, teraz znów przeniosły się na ulicę. Przygłusza je zresztą zaraz ryk silnika i terkot gaśnic. Wóz pancerny manewruje.

Zapada cisza. Czyżby odeszli? Podchodzę do Patryka, który ukryty za stołem kelnerskim w przedsiionku zaplecza kuchennego, obserwuje salę jadalną i schody frontowe. Spozstrzega

mnie i daje ręką znak, abym się zatrzymała i zachowała milczenie. Żaden jednak niepokojący dźwięk nie dociera do mych uszu. Robię więc ostrożnie dwa kroki w kierunku sali jadalnej...

Ogłuszający huk wystrzału i pękającego pocisku – gdzieś w głębi hallu. Dłuższa chwila ciszy a potem przeciągłe sapnięcie, jakby westchnienie ogromnego dinozaura. Jeszcze jedno sapnięcie i jeszcze jedno, a zaraz za tym chóralny, radosny pisk i gwizdy z ulicy przed hotelem. Już raz słyszałam taki głuchy odgłos i czuję jak serce łomocze mi w piersi. Obawy potwierdzają się zresztą niemal natychmiast – od frontowych schodów wdziera się do sali restauracyjnej kłęb dymu i szybko gęstnieje. Jesteśmy w pułapce...

–W hotelu musi być drabina lub schody przeciwpożarowe – mówi Patryk z nienaturalnym spokojem. Wychodzi na środek sali i rozgląda się wokół. – To powinno być gdzieś tam! – wskazuje w kierunku wejścia do drugiej sali.

–Skąd wiesz? – pytam podbiegając do niego. Obawiam się, że jeśli tam nie znajdziemy wyjścia, dym i ogień odetną nam drogę ucieczki.

–Wiatr tu wieje przeważnie z północnego zachodu.

Za drugą salą jest jeszcze trzecia, bardzo długa, z rzędem stolików pod oknami. Nigdzie nie widzę żadnych schodów, ale Patryk zna się na rzeczy i biegnie pewnie przez salę do czegoś, co przypomina pilaster zasłonięty kotarą. Za zasłoną – niewielkie drzwiczki o prostym ryglu, a za nimi podest prowadzący do drabiny w siatce ochronnej. W dole wybetonowane podwórko i wąska uliczka. Tu nikogo nie widać. Zza węgła dochodzi nas jednak klekot gąsienic – wóz pancerny podpalaczy manewruje przed hotelem...

Patryk schodzi kilka szczebli poniżej podestu i czeka, lecz mnie w tym momencie opadają wątpliwości: a jeśli w płonącym wieżowcu pozostał Tom z Alicją? Jeżeli nawet potwierdzi się przypuszczenie, iż vortex zanikł lub osłabł do tego stopnia, że nie wywołuje już panicznych lęków i omamów, czy sześciolatnie dziecko potrafi odnaleźć drabinę pożarową i wyprowadzić niewidomego z ognia? A jeśli się rozdzielili? Nie mogę o tym spokojnie myśleć... Czy w tej sytuacji nie należy raczej wspiąć się w górę i chociaż przebiec korytarzami wyższych pięter? Jeszcze jest pewna rezerwa czasu...

Znów huk wystrzału i eksplozja pocisku – gdzieś bardzo blisko. Sypią się szklane ściany restauracji...

Stoję na podeście i waham się, co robić.

–Nie bój się! – woła z dołu Patryk. – Będę cię osłaniał!

–Nie o to chodzi! – odkrzykuję. – Oni mogli tam zostać!

Zaczynam wspinać się w górę po drabinie, lecz widocznie jeszcze mięśnie nie są w pełni sprawne, bo bardzo się męczę i co parę szczebli muszę odpoczywać. Patryk wspina się za mną, dogania mnie i wyprzedza. Zrozumiał, o co mi chodzi i nawet nie próbuje dyskutować.

–Poczekaj na mnie! Sam sprawdzę... – woła i w tej właśnie chwili słyszę świst pocisków nad głową i głośny jazgot pistoletu maszynowego. Strzały są niecelne i pociski trafiają w szyby, lecz dalsze wspinanie się to pewna śmierć.

Zsuwamy się w dół pospiesznie, tak aby jak najszybciej zniknąć z pola ostrzału. Od pierwszego piętra jesteśmy na szczęście osłonięci tarasem restauracji. Byle jak najprędzej dotrzeć do ziemi!

Brama otwarta. Wyskakujemy na ulicę.

Niestety, tam czeka już na nas kilkoro uzbrojonych nastolatków. To nie przelewki – te dzieci bawią się w prawdziwą śmierć i zgliszczą...

Pat Lu próbuje mnie osłonić sobą, ale to tylko wywołuje w nich dziką radość. Tu nie wolno okazywać lęku. Odsuwam Patryka i robię parę kroków w kierunku najbardziej, jak mi się zdaje, agresywnego z chłopców, który wodzi lufą automatu w powietrzu, jakby wybierał miejsce na moim ciele.

–Hej! Chłopaki, co to za wyglupy?! – próbuję zagrać va banque. – Możecie schować te pukawki. Kto jest waszym dowódcą?

Są wyraźnie zdezorientowani. Widać spodziewali się innej reakcji. To daje nam pewną szansę, a co najmniej możemy zyskać na czasie. Zaskoczenie trwa jednak krótko.

–Nie bądź taka cwana! – wysuwa się naprzód ładna piegowata dziewczyna z grubym kablem w ręce. Za pasek u spodni ma zatknięty rewolwer. – Szpiegujesz dla „dzieci trupa” – stwierdza z pogardą.

–Nie gadaj, jak nie wiesz! – przerywam jej ostro. – Przyszliśmy tu dziś rano z gór. Musimy porozmawiać z waszym dowódcą! Rozumiesz!

Znów jakby lekka konsternacja, a przynajmniej wahanie.

–Coś tu nie gra, chłopaki – dziewczyna nadal jest nieufna. – Mówi, że przyszli z gór, a co robili w „Majesticu”? Na pewno by dalej tam tkwili, gdybyśmy im nie przypiekli tyłków.

–Przestań głądzić! Musimy się widzieć z waszym dowódcą i to zaraz! – staram się mówić tonem spokojnym, lecz kategorycznym. – Mamy dla niego ważną wiadomość. I jeszcze jedno: szukamy tu takich dwojga... Ślepy starszy facet i mała dziewczynka. Wiecie coś o nich?

–Śmierdziel czy hiena? – pyta dziewczyna z bezczelnym uśmiechem.

–Ani jedno, ani drugie – zaprzeczam bez namysłu, choć nie wiem zupełnie, o co chodzi. – Przyjechali tu przedwczoraj tym spalonym dżipem, co stoi przed hotelem. Widzieliście ich?

–Może tak, może nie... – odpowiada dziewczyna i nie wiem, czy mówi poważnie.

–Jeśli to ten ślepy prowadził, to nic dziwnego, że się usmażył – wtrąca wyrostek z peemem i banda wybucha śmiechem.

–Bez wygłupów – znów zaostrzam ton. – Ten trup w wozie, to senator Benedict z Dusk!

–Hiena... – komentuje piegowata.

–Był taki jeden ślepy wśród robactwa, ale to już padlina – odzywa się milczący dotąd chudy, wysoki chłopak. – Pamiętacie jak kwiczał, gdy mu David dawał szkołę? Może to ten?

Robi mi się zimno.

–To było jeszcze przy pociągu. A taszczyło go nie małe dziecko, lecz stara baba – prostuje dziewczyna. – A ty powinnaś wiedzieć – zwraca się do mnie – że ślepych u nas nie znajdziesz... Niech siedzą pod ziemią... Takich nam nie trzeba! I takich jak ty też nie! Nie czaruj, że przyszedłeś z gór. Nie wiesz nawet kim jesteśmy i że nie ma u nas dowódców.

–Ktoś jednak wam przewodzi...

–Niech mnie diabli, jeśli to nie są kapusie hien! – podnieca się chudy wyrostek. – Jak ich poddusimy to zaczną śpiewać. Musi, że tkwią tu i kapują od wieków, bo już ich otrzęsło. Na „dzieci trupa” za starzy...

–A wiecie, co ja myślę? – piegowata dziewczyna podchodzi do mnie bliżej, kręcąc niby dla zabawy kablem. – To jedna z hien. Może była pijana i została. A ten czarnuch to jej sex-boy. Słyszałam, jak starzy mówili, że moja ciotka miała też takiego czarnego. Nigdy nie wychodził na ulicę, i w ogóle nikt obcy o nim nie wiedział... No, co? – zwraca się do mnie. – Zgadłam, prawda? – patrzy mi w oczy.

–Idiotyczny pomysł...

–Myślę, że nie...

Jest tak blisko, że łatwo mogę ją obezwładnić i odebrać rewolwer, a nawet osłonić się nią przed strzałami. Ale jeśli ja mam jakąś szansę. Pat Lu zginie na pewno. Te szczeniaki z pewnością będą strzelać. Jeśli jednak spróbuje mnie uderzyć, nie ręczę za siebie...

–Proszę wierzyć tej pani – odzywa się Pat Lu, widząc, iż sytuacja staje się groźna. – Ona mówi prawdę. Dziś nad ranem przyплыliśmy z osiedla w Dolinie Mkavo...

–Zamknij się, czarna małpo – przerywa mu chłopak z automatem. – A że ją bronisz, to najlepszy dowód, że coś tu śmierdzi. I nie próbujcie robić z nas idiotów.

–Powiesić świńskie ścierwa – dorzuca chudy wyrostek.

–Czekaj! Może się trochę zabawimy. Niech ten szympans pokaże nam, co potrafi! – nastolatek z peemem mruga porozumiewawczo do Patryka. – Damy ci, czarnuchu szansę.

Hienia krew oczyszcza. Jak będziesz posłuszny, pozwolimy ci zarznąć maczetą tę dziwkę i pójdiesz z nami. Będziesz miał oko na robactwo. I przestaniesz już być brudnym Murzynem. Nie będziesz w ogóle czarnuchem! Oczyszczeni stają się biali! Takie jest nasze prawo!

Chyba nie są to tylko żarty... Zerkam na Patryka. Wydaje się spokojny i opanowany, tylko oczy jego rzucają złe błyski. Oczywiście, jestem pewna, że nie ma zamiaru skorzystać z „szansy”, ale boję się, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa w mojej obronie. Wzrokiem daję mu znać, aby starał się zbliżyć do chłopaka. Musi odebrać mu automat, gdy ja zajmę się dziewczyną i tym drugim. Pozostała trójka to dzieciaki z maczetami i kablami. Ich nie trzeba się obawiać.

Robię krok w kierunku chudego wyrostka. Za moim paskiem tkwi tasak; nóż musiał mi wypaść w czasie wspinania się po drabinie. Ruchem głowy pokazuję chłopakowi taaak i unoszę ręce do góry, aby sam mi go odebrał. Sytuacja powinna być sprzyjająca, bo dziewczyna patrzy w tej chwili na Patryka. Jak dotąd nie wyraziła ona otwarcie ani akceptacji, ani też dezaprobaty dla pomysłu „dowcipnisia”.

Wyrostek okazuje się przebieglejszy niż myślałam.

–Rzuć to żelastwo na ziemię! – rozkazuje, bacznie śledząc każdy mój ruch. Czyżby coś zauważył? A w ogóle wszystko zaczyna się komplikować.

Piegowata dziewczyna podchodzi do Patryka i dotyka kablem jego szyi.

–Popatrzcie, chłopaki – woła do towarzyszy. – Ten czarny chyba nosił obrożę, A przecież wśród naszego robactwa nie ma czarnych. Coś tu nie gra... Chodziłeś w obroży, czarnuchu? Kto ci dawał szkołę?

Widzę, że Pat Lu błyska niespokojnie białkami i unosi rękę, chwytając za koniec kabla. „Dowcipniś” kieruje lufę automatu w jego pierś. Jeśli teraz Patryk zaatakuje dziewczynę – nic go nie uratuje.

–Hej, tam! Wystarczy! – ktoś woła z daleka, rozkazującym tonem. Głos jest znajomy.

Wszyscy odwracamy się teraz w stronę ulicy Themeraona, zasnutej brunatnym dymem. W odległości pięćdziesięciu metrów od nas, u wylotu naszej uliczki stoi dwóch Afrykańczyków w połowych mundurach komandosów, a obok nich niewysoki mężczyzna w białym chałacie i ciemnych przeciwsłonecznych okularach. Rozpoznaję go bez trudu.

-Toszi!

Nie zwracając uwagi na „eskortę”, idę w jego kierunku, machając do niego z daleka. Nie odwzajemnia gestu. Może mnie nie poznał, albo jest zaskoczony niespodziewanym spotkaniem.

-Witaj Toszi! Zjawiasz się w samą porę! – mówię podchodząc do niego. – Te twoje dzikie kocięta nafaszerowałyby nas ołowiem...

Patrzy na mnie w milczeniu z kamiennym wyrazem twarzy. To nie wróży nic dobrego i muszę działać bardzo ostrożnie. Może zresztą cierpi na omamy?

-Nie poznajesz mnie, Toszi? Jestem Agni!

-Poznaję. Ale nie wiem, kim jesteś...

Czyżby częściowa utrata pamięci?

-Jestem „Andy”... Pamiętasz, jak uczyłeś mnie strzelać, ćwiczyłeś w dżudo i karate? Pamiętasz Martina i „Małego”? Naszą akcję w Casablance?

Gest zniecierpliwienia.

-Nie wiem, kim jesteś teraz! – prostuje chłodno. – Wiem kim byłaś, ale to już przeszłość. Ważne jest tylko jutro. Nadszedł czas... Wielkie dni oczyszczenia. Jest to czas próby dla wszystkich. Dla mnie i dla ciebie również. Dopiero po tej próbie będzie wiadomo kim jesteś!

-Jeśli masz na myśli oczyszczenie przez krzyk i vortex, to mam to już za sobą, a szczególnej pomocy udzielił mi w tym nasz wspólny znajomy: brat Pierwszy. Przeszłam szczęśliwie wszystkie próby.

Patrzy na mnie trochę ciepiej.

–Nie wszystkie. Te pierwsze są bardzo istotne, ale najważniejsze jest oczyszczenie przez krew... Boję się o ciebie. Nie wiem, czy zechcesz i czy potrafisz zerwać całkowicie z dawnym życiem, pokonać słabość i tchórzostwo, wyzwolić się z kompleksów robaczej moralności. Najniebezpieczniejszy wróg to ten, którego nosisz w sobie... A tylko naprawdę wolni, odważni i czysti duchowo mogą stać się budowniczymi nowego świata!

W miarę jak mówi, jego twarz się ożywia, a w głosie wyczuwam rosnące podniecenie. Zawsze był fanatykiem idei, o którą walczył, nie przejawiał jednak skłonności do oratorstwa i nie znosił teatralnych gestów. Teraz ów patetyczny ton jest chyba u niego zupełnie czymś nowym i to mnie zaczyna niepokoić.

–Czy spotkałeś Martina? – staram się sprowadzić go na ziemię.

Jakby cień przebiegł przez jego twarz.

–Jeśli nadal wierzy, że coś może działać „Zielony Płomień” i myśli, że jestem takim samym człowiekiem, jakim mnie znał, to lepiej, abyśmy się nie spotkali... Kto zatrzymuje się w połowie drogi, ten się cofa... Pamiętaj o tym! – wyczuwam w jego głosie skrywane napięcie.

Żal mi go i nadal nie rozumiem, jak znalazł wspólny język z Magnusenem. Zastanawiam się, czy powinienam zapytać go o to, lecz w tej chwili nie czas na rozmowę. Kłęby dymu nad ulicą Themersona jakby się rozproszyły. Na jezdni podnoszą się jednak tumany kurzu i czuję silny powiew wiatru. Zza rogu, nad tarasem restauracji hotelowej, pojawiają się języki ognia i słyszę charakterystyczne odgłosy rozprzestrzeniającego się gwałtownie pożaru. Nad naszymi głowami poczynają latać jakieś płonące szmaty czy kawałki tektury i tu, gdzie stoimy, choć chwilowo osłania nas nie objęta pożogą ściana wieżowca, zaczyna być niebezpiecznie

–Chodź za mną! – mówi do mnie Toszi i przechodzimy na drugą stronę uliczki, gdzie ciągnie podcieni wiedzie do zakrętu, a dalej ulicą Themersona do alei Zachodniej. Dwaj czarni „komandosi”, Patryk i szóstka piekielnych szczeniaków idą za nami.

Teraz widzę, że nie tylko hotel „Majestic”, lecz również samochody pozostawione na parkingu i dwa sklepy w głębi ulicy objęte są pożarem. W hotelu płoną na razie trzy dolne kondygnacje. Ogień rozprzestrzenia się jednak bardzo szybko, a spalanie przebiega niezwykle intensywnie. Wątpię, aby do wyposażenia wnętrza tak nowoczesnego budynku używano materiałów łatwopalnych i nie było urządzeń przeciwpożarowych. Użyto widać pocisków zapalających – wnioskując z koloru płomieni i dymu – prawdopodobnie napalmu.

Wóz pancerny i młodzi podpalacze wycofali się już z terenu objętego pożarem. Chłopcy i dziewczęta rozsiedli się na krawężniku w połowie drogi między zaułkiem, z którego wyszliśmy, a aleją Zachodnią i przyglądają się swemu dziełu. Teraz, gdy podchodzimy do nich, widzę, że są brudni, osmaleni i bardzo zmęczeni. Toszi pozdrawia ich skinieniem ręki i również gestem daje znak, aby nas wyprzedzili.

–Właściwie, gdyby Martin nie był taki mięczak, powinien być zadowolony – zwraca się do mnie Toszi. Nie bardzo wiem, czy mówi serio czy kpi. – Robimy tu to, co miał robić „Zielony Płomień”, tyle że działamy na większą skalę i konsekwentniej. Mieliśmy podpalać i wysadzać w powietrze wszystko to, co grozi zagładą światu, co zatruwa organizmy i umysły ludzkie, co zmienia człowieka w tuczną świnie, śmierdziela lub hienę... Czy i w jakim stopniu mogliśmy to zrealizować, tak, jak to sobie wyobrażał Martin, tego powiedzieć nie potrafię. Ale wiem, że to, co robimy tu w Cameo służy właśnie temu celowi i może być wzorem dla naszych dawnych towarzyszy, jeśli nie stanęli w pół drogi. Więcej, nadeszła godzina prawdziwego, wielkiego oczyszczenia świata i na nas, świadomych celu, spada odpowiedzialność za to, aby wielka szansa była w pełni wykorzystana. Ktoś krótkowzroczny i naiwny może spytać, dlaczego palimy miasto, dlaczego zamiast fabryk broni płonie centrum, dzielnica handlowa, hotele, sklepy... I na fabryki przyjdzie kolej. Trzeba zniszczyć przede wszystkim to, co zmienia człowieka w tuczną świnie, śmierdziela i hienę, co zatruwa jego duszę mieszczańską ideologią, co przeobraża go w wyzyskiwacza i imperialistę. Przyszły

nasz świat będzie światem bez miast, bez sklepów i banków, bez pieniędzy i wyzyskiwaczy, bez tucznych świń, śmierdzieli i hien... Nadchodzi koniec cywilizacji betonu i komputerów! Człowiek wraca do natury Wóz pancerny, który jak mszyce gęsto obsiedli młodzi „czyściciele świata”, przejeżdża pełnym gazem obok nas i zatrzymuje się dopiero na skrzyżowaniu ulicy Themersona z aleją Zachodnią. Aleja wydaje się opustoszała, jak wówczas gdyśmy tu zajechali. Tłum nagich ludzi musiał być halucynacją. Na rogu budka telefoniczna, z daleka wygląda na nieuszkodzoną. Muszę jednak najpierw dogadać się jakoś z Toszim.

–Mam złe wiadomości – rozpoczynam ostrożnie. Duskland szykuje atak na vortex!

–Nie przejdą – uśmiecha się Toszi, chyba po raz pierwszy w czasie tego spotkania. – Żaden imperialistyczny żołnierz dobrowolnie nie przejdzie... A jak przejdzie, to zginie lub zostanie z nami.

–Nie chodzi o atak siłami ludzkimi, lecz prawdopodobnie samosterowanymi pociskami raketowymi. Magnusen wspominał coś o broni neutronowej. Celem będzie chyba Kotlina Timu, ale jeśli bomba wybuchnie na większej wysokości, w jej zasięgu może się znaleźć Dolina Mkayo, a nawet Cameo. Termin upływa dziś po południu!

Jest wyraźnie zaskoczony. Zdejmuje przeciwsłoneczne okulary i skinieniem ręki przywołuje jednego z Murzynów. Okazuje się, że ma on w torbie wojskową mapę terenową tego rejonu.

–Brat Pierwszy może zabrać siostry i braci i schronić się w kopalni – mówi Toszi ni to do mnie, ni to do zgromadzonych wokół nas „braci” – My zejdziemy do metro. „Kondory” tego nie lubią, ale nie ma rady. Może wreszcie rozprawią się z „dziećmi trupa”. Szkoda jednak tych z Kotliny Timu. Czy oni wiedzą?

–Niestety, nie! Istnieje jednak szansa, że uda się atak odroczyć, a może nawet w ogóle mu zapobiec... – zawieszam głos, czekając na reakcję.

–W jaki sposób?

–Ten człowiek spalony w dziupie to senator Benedict, wysoka figura w Dusk. Porwałam go jako zakładnika, jeśli zechcesz, to opowiem ci później, co ze mną było. Facet, niestety, nie wytrzymał nerwowo, próbował uciec i rozbił wóz tak nieszczęśliwie, że spłonął. Ale o tym chyba w Dusk nie wiedzą. Mam numer telefonu, pod który mogę zadzwonić. Powiem, że mamy w ręku Benedicta i Magnusena...

–Wykluczone! – przerywa mi ze złością. – Raif Magnusen umarł i niech nikt nie próbuje posługiwać się tym imieniem.

–To ma być tylko wybieg, blef...

–Wykluczone. A poza tym z Cameo nie połączysz się z żadnym miastem. Ani telefonicznie, ani radiowo. W anomalii wszelkie złożone układy elektroniczne wysiadają podobnie jak mózgi robactwa. Telefon, radio, telewizja nie są potrzebne odradzającemu się światu. One służą tylko imperialistycznym hienom. Z moim udziałem Dolina Mkavo, nawet Kotlina Timu są już z nich oczyszczone...

Nie ulega wątpliwości, iż u „Persa” granica fanatyzmu umotywowanego politycznymi poglądami i oblędu spowodowanego przez vortex jest płynna. Nie sądzę też, aby młodocianym wandalom udało się już zniszczyć wszystkie centrale telefoniczne i nadajniki radiowe w wielkim mieście, zaś w „oku cyklonu” i strefach mu bliskich zakłócenia są nieznaczne. Przecież Martin i Hans pojechali właśnie szukać nadajnika.

Gdybyż udało się zdobyć jakiś nadajnik, a także stwierdzić, co się stało z Tomem i Alicją. Patrzą na płonący gmach „Majesticu”, wodzę wzrokiem po oknach, czy nie pojawi się tam jakaś twarz ludzka. Ale nic nie wskazuje, aby ktokolwiek pozostał jeszcze w wieżowcu.

–Mówisz, że rzucają bombę dziś po południu? Oni rzeczywiście gotowi są to zrobić – mówi Toszi z oburzeniem. – Szkoda czerwonych partyzantów Magogo. Szkoda w ogóle tych biednych ludzi z Kotliny Timu, że dają się wodzić za nos agentom neokolonializmu. Gdyby

poszli z nami, byliby dziś bezpieczni... Ale nawet jeśli zginą, ich śmierć nie pójdzie na marne. Jeśli imperialiści rzucają bombę, pokażą światu swoje prawdziwe oblicze. To tylko przyspieszy ich klęskę!

Toszi bierze teraz od swego „adiutanta” plan Cameo, rozkłada go i długo studiuje. Ogień sięga już piątego piętra hotelu. Jak dotąd, w oknach, zarówno od frontu jak i strony północnej nikt się nie pojawia. Zastanawiam się, czy powiedzieć „Persowi”, że szukam Toma. Pamiętam z jaką nienawiścią odnosił się do niego i gdyby go znalazł, na pewno chętnie przekazałby go swym młodym „czyścicielom świata”. Nie wolno mi jednak czekać beczynn timer. Muszę przede wszystkim sprawdzić, jak Toszi i jego ludzie zareagują, gdybym spróbowała się oddalić. Powinam też zamienić chociaż parę zdań z Patrykiem, oczywiście bez świadków.

Na szczęście pilot patrzy w tej chwili nie na plan miasta, lecz na mnie. Mrugnięciem daję mu więc znak i odchodzę wolno od grupy – w kierunku alei Zachodniej. Podpalacze zeskoczyli już ze swego wozu bojowego i demolują w tej chwili budkę telefoniczną. Widać dobrze pamiętają nauki „mistrza”. Brzęk tłuczonych szyb i zgrzyt metalu miesza się jednak z innym, nieznanym mi zupełnie dźwiękiem, czy raczej sumą dźwięków, tworzących chór czy może raczej poszum głosów. Jakies przytłumione okrzyki, zawodzenie i jęki, gardłowe pomruki i klaśnięcia, przypominające jakby nowoczesne dzieło muzyczne. Czyżby ktoś zabawiał się puszczaniem taśmy?

Przyspieszam kroku i jestem już na skrzyżowaniu. To, co teraz widzę, jest tak wstrząsające, że zaczynam podejrzewać, iż znów jestem we władaniu omamów. W odległości około pięćdziesięciu metrów przede mną koczują na jezdni tłum mężczyzn. Jest ich chyba z pięciuset, a może i więcej, stłoczonych jak na mityngu protestacyjnym. Brudni, półnaczy, w podartych koszulach i spodniach, a nawet zupełnie nacy. Wielu jest boso, niektórzy w piżamach lub slipach, jakby wybiegli na ulicę wprost z łóżek. Ale to nie są szukający schronienia na ulicy pogorzelnicy, a już żadną miarą demonstranci. Są to ludzie ogarnięci obłędem i to obłędem, w którym dominuje strach. Oni się boją wszystkiego: drzemiącego pod palmą dziesięcioletniego szczeniaka, mnie, gdy zbliżam się do nich, drzew, domów i siebie nawzajem. Każdy ruch w otoczeniu powoduje odruch panicznego lęku. Gdyby nie to, że są ze sobą powiązani w kilkosobowe grupy linami, których końce tworzą pętle zawiązane na ich szyjach, na pewno rozbiegliby się po ulicach. Obdarta, pokaleczona skóra, sińce i czerwone pręgi świadczą najlepiej, co ci ludzie przeżyli, zanim się tu znaleźli. Wypełnione strachem, rozbiegane oczy śledzą każdy mój ruch. Inni siedzą skurczeni na ziemi z zaciśniętymi nerwowo powiekami, nieruchomi jak posągi lub kołyszący miarowo ciałem na podobieństwo porcelanowych bożków.

Teraz wiem, że działanie vortexu bynajmniej nie osłabło. To ja, to mój mózg zdołał się już przystosować do anomalii. A ci nieszczęśnicy są adaptowani na siłę, wbrew ich woli, w jakimś niezrozumiałym dla mnie celu.

Ktoś dotyka mego ramienia. To Pat Lu. Jest niemniej wstrząśnięty ode mnie, ale stara się panować nad sobą.

–Chodźmy dalej – szepcze mi do ucha. – A potem pierwszą przecznicą w lewo.

Za tłumem mężczyzn, po drugiej strome alei, ukryta za wysoką trawą porastającą pasy dawnych kwietników – gromada kobiet. Ich stan nie jest chyba lepszy niż mężczyzn. Tu też raz po raz wybucha zgiełk, coraz głośniejszy, wzbierający, to znów stłumiony i cichnący. Towarzyszą temu odgłosy uderzeń, jęki i krzyki – w czym chyba niemały udział mają strzegący tej grupy chłopcy i dziewczęta.

Dochodzimy do narożnika i Pat Lu ściska mi ramię znacząco. Jak dotąd nikt nie próbował nas zatrzymać, chociaż nasza obecność budzi dość wyraźne zainteresowanie wśród młodocianych „braci” i „sióstr”. Nasze spokojne i pewne zachowanie działa widać onieśmielająco i wzmacnia tylko gorliwość, w wypełnianiu wyznaczonych im funkcji. Nie

znaczy to jednak, iż wolno nam szarżować.

Za rogiem, w cieniu wysokiego domu, stoi drugi wóz pancerny, wyposażony również w działko i miotacze ognia. Załoga wyszła z wozu i drzemie, rozłożywszy się na stopniach, prowadzących do wejścia budynku. Można by przejść niepostrzeżenie, lecz Pat Lu waha się. Przed nami, w głębi alei Zachodniej, widać jeszcze dwie duże gromady ludzi. Wojskowy poduszkowiec, stojący obok stacji metro, stanowi chyba czoło pochodu.

Uwagę Patryka przykuwa jednak co innego. Oto środkiem jezdni podąża szybko w naszą stronę długi wąż półnagich mężczyzn i kobiet. Wygląda to jak korowód taneczny lub dziecięca zabawa w pociąg. Na początku – dwóch roślących dryblasów z głośnym śmiechem ciągnie na linie niemłodego już mężczyznę o wykrzywionej bólem, opuchłej twarzy i wytrzeszczonych, nabiegłych krwią oczach. Jest on prawie nagi, zaś chudą szyję otacza pierścień skręcony z jakiejś zeschniętej, kolczastej rośliny. Do tej obroży przywiązana jest właśnie lina, którą ciągną chłopcy. Podobna lina opasuje nieszczęśnika, a jej koniec uwiązano do takiej samej obroży na szyi kolejnej ofiary, która znów ciągnie następną.

Przez chwilę stoję osłupiała, potem rzucam się im naprzeciw. Pat Lu jest jednak szybszy. Ciosem pięści obala jednego z dryblasów na ziemię, drugiemu wytrąca z ręki pistolet, który ten zdążył wyciągnąć zza pasa. Błyskawicznie nachyla się i podnosi go z jezdni. Jest oszalały z gniewu i z pewnością pozabija młodocianych oprawców. Już kieruje lufę w stronę leżącego, który próbuje bezskutecznie wydobyć coś z kieszeni džinsów.

–Nie strzelaj! A wy, ręce na głowę!

Mój rozkazujący okrzyk przywraca pilotowi świadomość sytuacji. Odbieram mu pistolet.

–Wstań! – mówię do leżącego dryblasa. – Sprawdź, co on ma w kieszeni! – wydaję polecenie Patrykowi.

Położenie nasze jest niewesoła. Od strony przecznicy, gdzie stoi wóz pancerny, zbliża się do nas jeden z członków załogi z peemem gotowym do strzału. Również strażnicy najbliższej, kobiecej gromady wyszli z zarośli na jezdnię i żywo dyskutują wskazując na nas. Muszę natychmiast coś wymyślić!

Pat Lu znajduje w kieszeni dryblasa mały sześćostrzałowy browning. To mało, aby wdawać się w strzelaninę, nie mówiąc już o tym, że narazilibyśmy na pewną śmierć nie tylko siebie, ale i ofiary „czyścicieli świata”. Ci ludzie, otępiali z bólu i lęku, stoją

nadał przed nami nieruchomo, nie próbując nawet uwolnić się i uciec. Prawdopodobnie zupełnie nie zdają sobie sprawy, co było przyczyną zatrzymania szatańskiego, korowodu, albo też nie wierzą w możliwość wyzwolenia się z kręgu upodlenia i tortur.

Już wiem co zrobię.

–Daliście się rozbroić, bracia! – mówię z naganą do trzęsących się ze strachu dryblasów. – To niedobrze, to bardzo niedobrze. Jeśli dalibyście się tak podejść prawdziwemu wrogowi, byłoby już po was! Niestety, muszę o tym zameldować bratu Drugiemu! Opuście ręce!

Widzę, że Pat Lu patrzy na mnie z podziwem, ale to przecież dopiero początek gry. Jeszcze sama nie bardzo wiem, jak się to wszystko skończy. Chłopak z peemem zatrzymuje się w odległości kilku metrów od nas i przysłuchuje temu, co mówię.

–Zdajecie sobie chyba sprawę, na czym polega wasza wina? – podejmuję surowo. – Zachowaliście się jak szczeniaki! Coście tu wyprawiali?!

Stoją ze spuszczoneymi głowami, wreszcie jeden zdobywa się na odwagę:

–Myśmy tylko... uczyli „robactwo” chodzić. Tak, jak nakazał brat Drugi.

–A ten śmiech? Ta zabawa? Kto wam pozwolił robić z tego zabawę! To są sprawy poważne. Rozmawiałam wczoraj z bratem Pierwszym. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Wróg szykuje atak! A wy się zabawiacie... I to w tak ohydny sposób! I dlatego daliście się zaskoczyć!

–Myśmy siostry nie widzieli, myśmy się nie spodziewali...

–No właśnie. Od razu zauważyłam, że coś nie w porządku. Na szczęście dla was, to była

tylko próba, ćwiczenie!

Chłopak z pistoletem maszynowym opuszcza broń i rusza z powrotem w kierunku wozu. Teraz kolej na następne posunięcie taktyczne.

–No, idziemy! – mówię do dryblasów. – A ty, bracie Patryku, przypilnujesz robactwa! – oddaję mu pistolet, sobie zatrzymując browning.

–Rozkaz! – błyska białkami czarny pilot.

W głębi alei, na tle zadymionego placu Livingstone’a widzę w grupie młodzieży biały chałat Tosziego. Chłopcy idą za mną potulnie. Są znów dużymi dziećmi...

W drogę! – woła już do mnie z daleka Toszi.

Zastanawiam się, jak rozegrać najtrudniejszą partię...

129

4.

„Brat Drugi” jest wyraźnie w dobrym humorze, chociaż stara się nadal zachować kamienny wyraz twarzy. To mnie trochę niepokoi, chociaż z drugiej strony może być okolicznością sprzyjającą.

–Prowadzę ci tu dwóch delikwentów. Dali się podejść i rozbroić. Źle wyszkolone to twoje wojsko...

Patrzy na mnie niechętnie, jak ktoś, komu przeszkadzono wypowiedzieć przygotowaną kwestię.

–Nie ma się co dziwić – odpowiada po chwili. – Działamy wspólnie dopiero od pięciu dni... Nauczą się czujności. To dobre, ideowe chłopaki.

–Musisz im jednak dać za dowódcę kogoś doświadczonego.

–U nas nie ma dowódców. Ważna jest jedność myśli, czystość moralna i świadomość celu...

–Wiem. To nie znaczy, że nie powinni mieć lepiej przygotowanego opiekuna.

–Jak na przykład ty?

–Nie, myślałam o Patryku Lumumbie Mathubo... – podsuwam bezczelnie, ale jakoś nie napotykam z miejsca na sprzeciw.

–Zobaczymy, co jest wart...

–Słuchaj Toszi! Chciałabym z tobą porozmawiać bez świadków – ściszam głos. Boję się, że zaoponuje, ale nie.

–Ja też – odpowiada, patrząc mi w oczy. Wyczuwam w tym jakby ukrytą groźbę.

–A więc tak jak wam powiedziałem – Toszi zwraca się do towarzyszącej nam „świty”. – Grupa pierwsza i trzecia zajmie stację metro. Czwarta i piąta podejdzie pod supermarket w sektorze Pierce’a. Brać tylko żywność, odzież i narzędzia. Wszystko przewozimy do metro. W supermarkecie podpalić również podziemne składy i garaże. „Dzieci trupa” nie powinny nic tam znaleźć!

Po chwili zostajemy sami, jeśli nie liczyć dwóch „goryli” nieodstępujących „proroka”. Pytam kimm są owe „dzieci trupa”. Słyszę już po raz drugi to wyrażenie. Czyżby to, co mówił „Chińczyk”, było prawdą i na terenie Cameo działało kilka konkurencyjnych band?

–Można powiedzieć: dzieci trupa cywilizacji betonu, plastiku i komputerów – wyjaśnia Toszi. – Przemądrzałe, neoegzystencjalistyczne lub mistycyzujące szczeniaki, które zupełnie nie rozumieją, jakie czasy nadchodzą i jaką szansą dla ludzkości jest vortex.

Okazuje się, że w wyludnionym mieście pozostała pewna liczba mieszkańców, głównie dzieci i młodzież. Zdaniem Tosziego im młodszy wiek, tym szybszy jest proces przystosowania się do warunków panujących w vortexie, a zwłaszcza w jego halucynogennych strefach. Adaptacja ma przy tym ten skutek, że po jej przejściu, młodzi ludzie czują się źle na obszarach poza vortexem i nie chcą opuszczać terenu anomalii. U ludzi dorosłych, a zwłaszcza starszych, adaptacja jest trudniejsza i niepełna, a więc – poza nielicznymi wyjątkami – nie nadają się do życia w nowych warunkach.

Tak więc, już w ciągu pierwszych miesięcy po ucieczce mieszkańców Cameo, wytworzyła

się taka sytuacja, że panami miasta stały się bandy dzieci i wyrostków. Dochodziło przy tym nierzadko do krwawych „bitew” i masakr między konkurencyjnymi bandami, gdyż nietrudno było o broń, zdobywaną na zwiadowcach płk. Chameau i znajduwaną w komisariatach policji. Niektóre z band miały zresztą swe siedziby na terenie zakładów zbrojeniowych i udało im się włamać do tamtejszych magazynów.

Toszi, po zainstalowaniu się z Magnusenem na przełęczy Wielkiego Źródła i w Dolinie Mkavo, już tydzień temu wybrał się ślizgaczem na zwiady do Cameo. Chodziło o żywność, której w osiedlu górniczym od dawna brakowało. Jeszcze w Kotlinie Timu, a potem również w Dolinie Mkavo krajowcy wspominali coś o tajemniczych „zwierzoludach”, pożerających śmiałków, którzy próbowali dostać się do miasta. Magnusen twierdził z kolei, iż w poufnych informacjach dotyczących vortexu, przytaczano meldunki dusklandzkich zwiadowców o zaobserwowaniu w nocy na terenie Cameo „zielonych ludzików” i „karłów z wielkimi głowami”.

Żadnych potworów ani kosmitów Toszi na terenie Cameo nie spotkał. Został po prostu zaatakowany przez kilku wyrostków, którzy wzięli go za zabłąkanego zwiadowcę. Toszi rozłożył wszystkich, a potem się z nimi dogadał i wszedł w kontakt z bandą „kondorów” – najliczniejszą, jego zdaniem, na terenie miasta. Dwóch chłopców z tej bandy zabrał następnie do Doliny Mkavo, nazywanej teraz „Doliną Oczyszczenia” i tam wspólnie z bratem Pierwszym opracowano plan stworzenia na terenie anomalii „kolebki nowego świata”.

Po powrocie do Cameo już w pięcioosobowej grupie, z udziałem dwóch młodych afrykańskich górników, stanowiących osobistą ochronę „proroka”, nastąpiła uroczysta proklamacja „nowego państwa” i ogłoszenie „świętej wojny” przeciw staremu światu. Odkonano to na terenie zakładów Mortona, produkujących wozy pancerne i poduszkowce. „Kondory” od dawna patrzyły łakomie na ten sprzęt, lecz niestety wszystkie pojazdy zostały uszkodzone, zanim chłopcy zdołali się do nich dostać. Sprawcami uszkodzeń była konkurencyjna banda „dzieci nocy” głosząca pacyfizm i nazywana z tego powodu pogardliwie „dziećmi trupa”. Banda ta, operująca głównie na stacji metro, nie jest zbyt liczna, lecz niestety zdobyła skądś bardzo groźne karabinki laserowe i „kondory” unikały dotychczas bezpośrednich spotkań z „dziećmi trupa”.

Pytam się „Persa”, czy owe „dzieci nocy” jeżdżą na motocyklach, ale Toszi zdaje się nie słyszeć mego pytania. Przed nami, w tłumie mężczyzn stłoczonych na jezdni, powstało jakieś zamieszanie. Słysząc krzyki i wrzaski młodocianych dozorców, bezskutecznie próbujących przywrócić porządek w gromadzie „niewolników”. Przybiegli też na pomoc chłopcy z załogi wozu pancernego, stojącego teraz u wylotu przecznicy, gdzie niedawno zostawiłam Patryka. Toszi zwalnia kroku, a po chwili

zatrzymuje się.

–Nie będę im przeszkadzał! Nie potrafią jeszcze dać sobie rady z tym robactwem – mówi do mnie, jakby się usprawiedliwiał. – To jeszcze dzieci... Ale są chętni i szybko się uczą, a to najważniejsze. Niech sami próbują! Poczekamy.

–Skąd wytrzasnęliście tych ludzi i dokąd ich taszczyce? Do osiedla w Dolinie Mkavo? Myślisz, że dojdą?

Spogląda na mnie z ukosa.

–Nie nazywaj ich ludźmi! – wyczuwam w jego głosie rozdrażnienie. – Musisz być twarda, Agni! Świat musi być oczyszczony z wszelkiego brudu i robactwa. Ich czas dobiega końca...

–Co chcesz z nimi zrobić? – pytam z lękiem i w tej chwili uświadamiam sobie, że szczerą rozmowa z Toszim nie ma sensu.

–Boję się o ciebie, Agni... – patrzy na mnie chmurno. – Martw się nie o nich, lecz o siebie. Nie masz w sobie dość nienawiści do tego zrobaczywiałego świata, który sam sobie zgotował zagładę. Nie potrafisz brzydzić się i pogardzać jego nędznymi, gnijącymi za życia tworamami. Vortex to wielka wirówka oddzielająca to, co jeszcze w tym świecie ginącym nadaje się do uratowania, co jeszcze jest młode, zdrowe i czyste duchowo. Tej historycznej szansy nie

wolno zaprzepaszczać. Jeśli i tobie dana została szansa oczyszczenia, i jeśli przeszłaś tę pierwszą zasadniczą próbę zwycięsko, to pilnuj się, aby twój umysł nie został zakażony trupim jadem, jak tych szczeniaków z metro... Jeśli kogoś można tu żałować, to tylko ich. Złapałem dwóch takich. Próbowałem wytłumaczyć tym biednym za trutym intelektualnie ćmom, gdzie ich miejsce, ale te szczeniaki zachowują się tak, jakby nic nie rozumiały... Obawiam się, że moje „kondory” mają rację: z nich już nic nie będzie i należy ich wytępić, zanim staną się naprawdę niebezpieczni dla nowego świata. Zanim zdążą zatruć innych trupim jadem. To groźniejsze niż robactwo! Myśl o tym stale, Agni!

Nie widzę sensu podejmowania dyskusji.

–Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, dokąd prowadzicie te gromady mężczyzn i kobiet? Chyba nie jest to materiał na nowe społeczeństwo? Czy nie lepiej zostawić ich w spokoju?

Spogląda na mnie podejrzliwie. Potem nagle wybuchła nienaturalnym, niemal dzikim śmiechem.

–Jedyny spokój, jaki można dziś każdemu ofiarować, to „spokój wieczny”! A ty masz rację: to nie jest materiał na nowe społeczeństwo, to co najwyżej nawóz, gnój, który potrzebny jest ziemi, aby szybciej rodziła plony...

–To znaczy?

–Są to w większości pracownicy zakładów Mortona i EGV. Będą dla nas produkować broń. Oczywiście, ci, którzy zdołają się na tyle adaptować, aby pracować przy maszynach. Tym, którzy się nie adaptują, możemy ofiarować tylko „spokój wieczny”. Niefachowcy, głównie kobiety, jeśli się przystosują, będą pracować na plantacjach w Dolinie Mkavo. Żywność, odzież i broń to podstawa życia. Wszystko inne może i powinno zniknąć, spłonąć, zgnieć... W każdym tworze cywilizacji, poza niezbędną żywnością, najprostszą odzieżą i sprawną bronią, kryje się zatruwające duszę drobnomieszczańskie pragnienie posiadania, płytkiej przyjemności i leniwej, sytej egzystencji. Kosztem innego człowieka, kosztem przyrody, kosztem zrobaczenia własnej duszy! Tucznych świń, śmierdzieli i hien nam nie trzeba!

–Skąd wzięliście tych od Mortona i EGV?

–Wiedziałem, że pracowników zakładów o ważnym znaczeniu militarnym umieszczono wraz z rodzinami stosunkowo niedaleko Cameo, tak, aby byli pod ręką. Obóz uchodźców, tuż na skraju anomalii... Połączenie koleją elektryczną...

Czuję zimny dreszcz.

–Obóz uchodźców w Abe, na linii Cameo-Segen?

–Abe. Tak nazywa się stacja. Czyżbyś tam była?

–Byłam. Dwa dni temu...

Nie jestem pewna, czy potrzebnie mu o tym mówię, ale już się stało. Zachowuje się zresztą tak, jakby był zadowolony z faktu, że znam prawdę.

–Ta akcja to pierwszy praktyczny sprawdzian, co warci są ci młodzi ludzie. Muszę ci powiedzieć, że trochę się o nich bałem, zwłaszcza o dziewczęta. Okazało się jednak, że niepotrzebnie. Vortex zahartował te dzieciaki... Niemal wszyscy zdali egzamin na piątkę! – stwierdza z dumą. – A sytuacja była przez pewien czas dość niebezpieczna. Jak już ci mówiłem, udało nam się uruchomić pociąg. Towarowy. Stał w porcie. Puste wagony. Na początku traktowali to jako dobrą zabawę. Wycieczka w nieznane. Potem dopiero okazało się, że to ten obóz z pracownikami Mortona. Dotarliśmy tam o świcie. A zaczęło się od tego, że natknęliśmy się na patrol. Zatrzymali się na noc w obozie. Trzy wozy pancerne i poduszkowiec... Dla „kondorów” to była gratka nie lada. Oczywiście, trzeba było użyć podstępów. Żołnierze dali się zaskoczyć i po kilku minutach pojazdy były nasze. Zanim ci z baraków się pobudzili, było po wszystkim...

Urywa i patrzy na mnie z niepokojącym uśmiechem. Widać dostrzegł, że zaczynam się denerwować. Uświadamiam sobie, że czas ucieka, a ja nie wiem nawet, jak wydostać się z

pułapki i gdzie szukać Toma i Alicji. Ale Toszi może myśleć, że jego opowieść robi na mnie takie wrażenie, w czym zresztą jest też sporo prawdy. I może to interpretować po swojemu...

–Twoi chłopcy chyba potrzebują pomocy – oświadczam, ruszając w kierunku kłębiącego się tłumu.

Nie jestem wcale ciekawa szczegółów masakry w Abe, a to co dzieje się na ulicy, jest coraz bardziej niepokojące. Zamieszanie wyraźnie się wzmacnia, a wrzaski, jęki i odgłosy uderzeń przybierają na sile. Trzeba położyć temu kres zanim dojdzie do nowych zbrodni.

Nie wiem, czy Toszi idzie za mną, a nie chcę się oglądać, aby nie myślał, że szukam u niego oparcia, czy choćby przyzwolenia. Już z daleka widać, iż nie jest to żadna próba buntu, lecz po prostu panika spowodowana być może jakimś przypadkowym incydentem czy przywidzeniem. W stłoczonym tłumie dostrzegam coś w rodzaju ogniska zamętu, w którym trwa nieprzerwanie szarpanina, spowodowana chyba próbami ucieczki na oślep, plątaniem się lin i zaciskaniem pętli na szyjach ofiar. Brutalna interwencja młodocianych strażników, którzy kijami i kablami usiłują zmusić kotłujące się gromady obłąkańców do posłuszeństwa, przynosi wręcz przeciwny skutek, potęgując tylko panikę i zamieszanie. Nie wiem, jakich halucynacji doznają nieszczęśnicy, lecz owi półnaczy mężczyźni, nierzadko silni i wysportowani, a teraz drżący ze strachu i nie stawiający żadnego oporu znęcającym się nad nimi kilkunastoletnim wyrostkiem – wywierają na mnie bardziej wstrząsające wrażenie niż pożar miasta czy nawet trupy na stacji w Abe.

Przyspieszam kroku, choć w istocie nie wiem, co robić w tej sytuacji. Gdyby chociaż był przy mnie Pat Lu, ale nigdzie nie widzę ani jego, ani ludzi w obrożach, których kazałam mu pilnować. Może, korzystając z zamieszania, wyprowadził ich z terenu objętego akcją „kondorów” lub ukrył w jakimś opustoszałym budynku? Świadomość, iż mnie zostawił i muszę sobie sama radzić, nie jest przyjemna, lecz odczuwam raczej uczucie zawodu niż pretensję, gdyż to co zrobił, było chyba słuszne. Zresztą i ja powinnam skorzystać z okazji i uciec. Niestety, na razie nie jest to możliwe. Z pewnością Toszi nie spuszcza ze mnie oka.

Zaledwie kilkanaście metrów dzieli mnie od pierwszych zaplątanych w liny, oszalałych z przerażenia mężczyzn. Niektórzy próbują się wyrwać z matni, nieczuli na razy i kopniaki, część stoi lub klęczy, zasłaniając głowy rękami. Przy krawężniku leży nieruchomo człowiek w podartej piżamie. Nieprzytomny, a może już martwy? Podchodzę do niego – jeszcze żyje, lecz z tyłu głowy sączy się krew. Postrzępiona, zerwana czy może przegryziona lina zdaje się świadczyć o tym, że próbował sam się

uwolnić. Nie u wszystkich więc zaburzenia świadomości osiągnęły stopień obłądu. Odrywam płat materiału z jego piżamy i okręcam mu głowę, aby zatamować krwawienie. Otwiera oczy i patrzy na mnie błędnym wzrokiem. Wciągam go na chodnik.

Nie czas jednak teraz na ratowanie pojedynczego człowieka. Ze skłębionego tłumu, w którym jak wilki wśród stada owiec grasują „kondory”, dobiegają rozpaczliwe krzyki, jęki i charkoty. Nie ulega wątpliwości, iż niektórym z tych nieszczęśliwców, opłatanym sznurami szarpanymi przez współtowarzyszy i strażników, grozi uduszenie. W falującym tłumie raz po raz ukazują się i giną zsiniałe, wykrzywione bólem i strachem twarze. Nabiegłe krwią oczy i wczepione rozpaczliwie w pętle na szyjach palce, mówią tu same za siebie.

–Stać! – próbuję przekrzyczeć zgiełk, lecz nie odnosi to skutku.

Wyciągam z kieszeni brauning i strzelam dwukrotnie w górę.

Wrzaski przycichają na chwilę, więc wołam na całe gardło rozkazująco:

–Bracia „kondory” do mnie!

Nie wszyscy reagują na moje polecenie, ale kotłowanina trochę słabnie. Dwóch wyrostków z kijami w rękach wycofuje się z tłumu.

–Co jest, siostrzo?! – pyta jeden z nich podchodząc do mnie.

–To nie tak, chłopaki. To trzeba inaczej! Taka szarpanina do niczego nie doprowadzi. Trzeba poprzecinać liny i odprowadzać ich mniejszymi grupami do metro. Daj ten nóż! –

wyciągam rękę do pierwszego z idących ku mnie „kondorów”, u którego dostrzegam długie, lśniące ostrze za pasem.

–Oni zwieją, siostró – chłopak zatrzymuje się niepewnie, lecz jestem już przy nim i nie śmie oponować, gdy sięgam po broń zza pasa.

–Zwieją, jeśli będziecie szarpać się z nimi jak durnie! Trzeba działać spokojnie i stanowczo. Ty biegnij na czoło kolumny i powiedz chłopakom, aby ruszali w kierunku stacji metro. Tylko spokojnie, bez żadnych awantur. Jeśli liny splątane – poprzecinać i prowadzić w małych grupkach. I żeby mi wszystko grało jak trzeba! No, jazda, bo szkoda czasu! A ty – zwracam się do drugiego z wyrostków, ciemnookiego, smagłego chłopca, ściągaj tych z brzegu na chodnik i pod ścianę. Tylko bez rozbijania głów!

–Robi się, siostró!

Chłopak podbiega do stłoczonych na jezdni mężczyzn, chwytając za linę i ciągnie ich na chodnik. Idą bez oporu, choć są chyba w półprzytomni ze strachu. Początkowo liny nie są jeszcze splątane i nie potrzebuję interweniować, ale to tylko pierwsza nieduża grupa z obrzeża, w której szeregi mimo zamieszania, zachowały jeszcze strukturę zorganizowanej kolumny. Dalej jednak nie sposób już wyciągnąć dwóch, trzech ludzi bez przecięcia liny. Tam, gdzie wybuchła panika, sznury uległy splątaniu i każde ich pociągnięcie wzmaga tylko zamieszanie. Jesteśmy już blisko czwórki „kondorów”, usiłujących biciem i bezładną szarpaniną rozproszyć tłum. Ciemnooki chłopak zdaje się rozumieć powagę sytuacji, gdyż pomaga mi jak może.

–Chłopaki, chłopaki! – wydiera się na całe gardło. – Słuchajcie, chłopaki! To nie tak! Trzeba poprzecinać sznury!

Tym razem, mimo zgiełku, już go posłyszano i widzę rozognione twarze zwracające się raz po raz w naszą stronę. Wrzaski i jęki ustają- słychać już tylko charkot duszących się ludzi.

–Tam, wśród tych robali, została Helga! – woła jasnowłosy szczeniak o twarzy aniołka.

–Przecinać liny i brać ich z jezdni! Szybko!

Mój rozkaz odnosi natychmiastowy skutek. Maczety i noże idą w ruch i po kilku minutach sytuacja jest opanowana. Skłębiona masa ludzka daje się teraz bez trudu rozerwać i topnieje szybko. Aż dziw bierze, jak biernie zachowują się ci nieszczęśnicy, gdy tylko udaje się któregoś wyrwać z tego piekła. Tymczasem

zaczyna się już odpływ tłumu, spowodowany ruchem kolumny w głąb alei Zachodniej. Wokół nas poczyną się tworzyć wolna przestrzeń. Niestety, obawy potwierdzają się w pełni – na jezdni pozostaje sześć nieruchomych ciał, wśród nich – kilkunastoletniej dziewczyny, ubranej w dżinsy i wojskową bluzę. Twarz zsiniała i obrzękła, na szyi ślady sznura. Próbuję zastosować sztuczne oddychanie, ale chyba nic tu już nie da się zrobić. Dziewczyna nie żyje – została uduszona w tłumie.

Polecam jednak „kondorom”, aby nadal kontynuowali zabiegi i próbuję stwierdzić, jaki jest stan innych ofiar. Dwóch mężczyzn daje znaki życia.

–Przynieście wody i jakieś opatrunki – mówię do „kondorów”, zgromadzonych wokół ciała dziewczyny.

–Zadusili Helgę! – dochodzą mnie głosy pełne żalu i gniewu. Nie wróży to nic dobrego.

–Zostaw te ścierwa, siostró! – słyszę nad sobą głos chłopaka, który pomagał mi uwalniać zaplątanych w liny ludzi. – Niech zdychają powoli. Za Helgę!

–Nie myślisz chyba, że świadomie chcieli ją zabić? – mówię, podnosząc się z klęczek. – To był wypadek, spowodowany waszą głupią, nieprzemyślaną akcją! – staram się przyjąć pozycję oskarżycielską.

W oczach wyrostka dostrzegam złe błyski.

–Trzymasz z robactwem? – rzuca wyzywająco.

–Trzymam stronę prawdy! – odpieram ostro. – I czy się komu podoba, czy nie podoba, trzeba będzie uczciwie przyznać się do błędów. Każdy musi rozliczyć się z tego, co robi...

Groźba odnosi skutek. Na twarzy chłopca pojawia się niepokój

–Robiłem, co kazałaś, siostró...

–Pamiętam o tym. I dlatego dziwi mnie, że nie rozumiesz w czym rzecz...

–Litować się nad robactwem to zdrada... – włącza się do rozmowy blond-aniołek. Dziwnie to brzmi w ustach tego dziecka.

–Kto ci to powiedział? – pytam niepotrzebnie, bo przecież dobrze wiem, czyje są to słowa. Nie wolno mi wdawać się z tymi otumanionymi szczeniakami w dyskusję.

–Tak mówi brat Drugi...

–To dotyczyło innej sytuacji – blefuję nadrabiając miną.

Widzę w ich oczach zdziwienie i nieufność. Muszę teraz szybko działać. Ostatnie grupy „robactwa” oddaliły się już na co najmniej sto metrów, a teraz za ich przykładem ruszają kolumny kobiece. Strażników nie jest zbyt wielu, a mimo to ruch przebiega sprawnie. Gdyby nie scena, której byłam świadkiem przed kilkunastoma minutami, można by sądzić, iż wypracowano niezawodny system.

Od strony ulicy Themersona, środkiem zasnutej dymami alei sunie z klekotem gąsienic wóz pancerny. Na nim duża grupa „kondorów”. Nigdzie jednak nie widzę białego chałatu Tosziego. To zwiększa moje szansę.

Na chodniku, pod drzewami i u wejścia do wielkiego magazynu mody, zarośniętego aż do szklanych drzwi trawą i chwastami, stoi lub siedzi w kucki kilkunastu mężczyzn wyrwanych przez nas z tłumu. Nie próbują uciekać, ani nawet szukać cienia. Zachowują się całkowicie biernie, tylko rozszerzone strachem ich oczy śledzą każdy nasz ruch.

–Przenieście rannych i zabitych na chodnik i ułóżcie w cieniu – mówię rozkazującym tonem do „kondorów”. – Jeśli idzie o Helgę, to trzeba stosować sztuczne oddychanie jeszcze przez co najmniej pół godziny. To daje pewną szansę. Macie też zająć się innymi. To rozkaz! Wszyscy zostanieie tu na miejscu, aż przybędzie brat Drugi. Tylko ty – zwracam się do ciemnookiego chłopaka – pójdiesz ze mną! Zaprowadzimy tych ludzi do metro!

Chwila wahania, lecz nie słyszę sprzeciwu, co już jest sukcesem.

Nachylam się nad Helgą.

–No, pomóżcie mi ją przenieść w cień!

To rozładowuje atmosferę nieufności. W parę minut jezdni zostaje oczyszczona. Najwyższy już czas, bo wóz pancerny jest blisko.

–Ruszamy! – ponaglam ciemnookiego chłopaka i ciągnę za sobą trzech zczepionych ze sobą nieszczęśników. Na szczęście inni podążają za nimi niemal odruchowo, jak gdyby byli nadal uwiązani do jednej liny. Byle jak najszybciej dojść do skrzyżowania.

–Stać! – przede mną pojawia się, nie wiadomo skąd, Toszi ze swym czarnym adiutantem. Musieli iść za mną i ukryć się gdzieś, w którymś ze splądrowanych sklepów, ciągnących się aż do skrzyżowania.

–Nieźle sobie dajesz radę... Jesteś szybka, Agni! – mówi Toszi i uśmiecha się przyjacielsko.

W tym uśmiechu wyczuwam coś niepokojącego. Nie ulega wątpliwości, że obserwował mnie z ukrycia.

–Twoja szkoła, bracie Ti! Nie można już było czekać.

–Być może... Ale wolałbym, abyś nie była taka... prędką.

–Wybacz, że nie uzgodniłam z tobą planu zlikwidowania tego incydentu, lecz planu żadnego nie miałam, ani też czasu na narady... – odpowiadam tonem ni to usprawiedliwienia, ni to wyrzutu.

–Czy sądzisz, że wolno nam tolerować samowolę? Ci chłopcy z trudem pojęli konieczność żelaznej dyscypliny obowiązującej w naszym bractwie i nikt bezkarnie nie może jej łamać.

–O co ci chodzi? Przecież zrobiłam to, co ty sam powinieneś zrobić! Żadnych twoich

rozkazów nie zламаłam. Sam mówiłeś o zejściu do metro. A jeśli nie chciałam przyglądać się, jak ci ludzie się duszą, to powinieneś być mi wdzięczny.

Tak gwałtownej reakcji u „Persa” jak dotąd nigdy jeszcze nie widziałam.

–Kto pozwolił ci przecinać sznury i uwalniać robactwo? Jakim prawem rozkazujesz braciom?! – podnosi głos do krzyku.

–Myślisz, że można było inaczej? – staram się zachować spokój.

–Jesteś zarozumiała i krótkowzroczna – przerywa mi ze złością. – Nie rozumiesz, jak szkodliwa i niebezpieczna jest twoja samowola.

–Rzeczywiście nie rozumiem...

–Nigdy nie starałaś się patrzeć głębiej i szerzej. I teraz też nie potrafiłaś dostrzec, że pozostawienie tym młodym ludziom swobody wyboru środków działania nie było przypadkiem. Polecenie rozwiązania złożonego problemu, przy narzuceniu określonych ograniczeń, takich właśnie jak zakaz uwalniania „robactwa” z więzów, było działaniem przemyślanym, o głębokim sensie wychowawczym.

–Tam dusili się ludzie, również twoi młodzi wyznawcy!

–I co z tego? Jeśli wielkie społeczne cele mierzyć wartością życia pojedynczych ludzi, nic się nie osiągnie. O tym „strażniku Jutra” nigdy nie wolno zapominać. Nie wiesz, jak dla mnie przykra jest świadomość, że nie potrafisz wyzwolić się spod wpływu tej gnijącej, dawnej moralności i stać się prawdziwą rewolucjonistką! Już wtedy na lotnisku w Inuto doprowadziła cię ona do zdrady. A teraz znów jesteś od niej o krok. Czy nie potrafisz pokonać w sobie tych obezwładniających toksyn, wyzwolić się z kompleksów i fobii mieszczaucha? Jeśli nie pojmiesz całą swą duszą, że dla realizacji tego, co chcemy, aby stało się treścią Jutra, trzeba poświęcić wszystko i bez wahania wykonać każdy rozkaz, jeśli nie zrozumiesz, iż dobrem najwyższym jest służyć naszej sprawie, nie ma dla ciebie miejsca w nowej społeczności. A przecież poza nią są tylko hieny, śmierdziele i tuczne świnie...

Podnieca się coraz bardziej, ale gniew na mnie już mu trochę przeszedł. Ten patetyczny bełkot, którego echa słyszałam już w czasie pierwszego spotkania z „kondorami”, jest tu przez wszystkich traktowany ze śmiertelną powagą. Toszi nigdy nie umiał przemawiać, a teraz, widocznie pod wpływem Magnusena i jego manii kaznodziejskiej, zatracił całkowicie wszelki samokrytycyzm.

–Musisz zdobyć się na pełne oczyszczenie i gotów jestem w tym ci pomóc. Jesteś

nam potrzebna, potrzebna naszej sprawie i nie pozwolę, abyś stała się hieną! Chcę ufać tobie i chcę, abyś ty mogła sobie ufać... – w jego głosie pojawiają się cieplejsze tony, lecz jest to jeszcze groźniejsze niż poprzedni chłód czy gniew. – Rozumiem, że ci trudno samej się wyzwolić, unicestwić to, co przez lata zapuściło pokrętne korzenie w twą duszę. Ale ja ci pomogę. To jest mój obowiązek jako towarzysza i brata. Jeśli nawet wyda ci się, że to wbrew twojej woli, że zadaję gwałt twemu sumieniu, wiedz, że to tylko złudzenie, że to opór tamtego niewolniczego świata. Będiesz mi potem wdzięczna za to. Jak wdzięczne mi są za to te dzieci, a także wszyscy bracia i siostry w Dolinie Mkavo...

Toszi mówi i mówi, jakby w transie. Nigdy jego reakcje nie były w ludzkim wymiarze, teraz jednak nie ulega wątpliwości, że vortex wyzwolił w nim wszystkie patologiczne cechy jego charakteru i w istocie jest to już człowiek obłąkany.

W tej sytuacji otwarty sprzeciw na nic się tu nie zda. Z drugiej strony Toszi jest zbyt inteligentny i zna mnie dość dobrze, aby dać się zwieść deklaracjom lojalnej współpracy. Muszę przede wszystkim wy badać jakie ma zamiary.

–Powiedzmy, że rozumiem twoje intencje – rozpoczynam ostrożnie. – Nic tak nie zespala, jak wspólnie przelana cudza krew... Ale wiesz przecież, że nie nadaję się do roli rzeźnika... Dostaję mdłości na widok krwi. Nic na to nie poradzę.

Patrzy na mnie podejrzliwie i znów zaczyna się uśmiechać. Robi mi się zimno na samą myśl, co to oznacza...

–Dobrze... Na początek coś prostszego... – mówi z pozoru łagodnym tonem. – Idź do tych chłopców i powiedz im, że mogą sobie wybrać dziesięciu spośród robactwa i powiesić, jako odwet za uduszenie siostry.

–Nie.

–Daję ci więc do wyboru: albo własnoręcznie dobijesz to ścierwo, któremu bandażowałaś głowę, albo powiem chłopakom to, czego ty nie chciałaś powiedzieć!

Wiem, że Toszi nie żartuje, i co gorsza, w tej sytuacji nie wolno mi myśleć o ucieczce. Wbrew słowom tego obłąkanego terrorysty – nie mam wyboru. Wóz pancerny zatrzymał się już naprzeciw wejścia do domu mody i leżących pod drzwiami rannych i zabitych. Jestem już zdecydowana...

–Dobrze. Pokażę ci, że potrafię zabić! – chwytam Tosziego za rękę i ciągnę go w kierunku drzewa, pod którym leży mężczyzna z obandażowaną przeze mnie głową. – Chodzi ci o tego człowieka?!

–O to robaczywe ścierwo! – poprawia Toszi.

Niestety, jego „goryl” z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię, idzie za nami krok w krok...

Stajemy przy rannym. Jest przytomny i chyba nie ma halucynacji, a przynajmniej zdaje sobie sprawę, że jest to tylko zaburzony obraz rzeczywistości.

Wyjmuję z kieszeni browning i sprawdzam, ile zostało pocisków. Trzy – a więc mogę strzelić zaledwie dwukrotnie. Ranny patrzy na mnie błagalnie. Chyba rozumie, co się dzieje,

Chłopcy zeskakują z wozu na jezdnię. Zgromadzona wokół ciała Helgi grupa „kondorów” patrzy w naszą stronę. Toszi stoi przy mnie. Murzyn z automatem nie dalej jak metr od niego...

–Strzelaj! – mówi cicho Toszi. – Tylko celnie. Tak jak cię uczyłem! No, teraz!

Wprowadzam nabój do komory, unoszę broń i strzelam dwukrotnie, raz za razem, prosto w pierś brata Drugiego.

Toszi stoi jeszcze przez moment z niezmiernym zdziwieniem w oczach, a na białym chałacie rośnie plama krwi. Potem osuwa się na ziemię – już chyba martwy.

Powinnam teraz skoczyć do „goryla”, wybić mu z ręki automat, tak jak mnie wiele

miesiący temu uczył Toszi... Ale nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca. Po raz pierwszy strzeliłam do człowieka i do tego jeszcze bliskiego mi niedawno towarzysza walki.

Krótką, dławiącą ciszą. Nikt nie rusza się z miejsca. Być może większość „kondorów” nie rozumie, co się stało.

Padnij! – słyszę gdzieś za sobą okrzyk Patryka.

Jednocześnie jak gdyby wielka szyba w magazynie mody pękła i rozsypała się z ogłuszającym brzękiem i trzaskiem po chodniku. Czuję lodowaty, przenikający mnie na wskroś podmuch, a potem ostry ból i szum w uszach, jak przy gwałtownym spadku ciśnienia. Nogi uginają się pode mną. Wszystko wokół – ulice, domy, ludzi – ogarnia gęstniejący gwałtownie mrok. W ostatnim przeblysku świadomości widzę jeszcze jakieś dziwaczne stwory w otwartych drzwiach magazynu... Małe zielone ludziki

5.

Światło... Jasna, rozmazana plama wynurza się z mroku, rośnie i zawisa nade mną. Jakieś znajome i nieznanym głosy, szepty i pochlipywanie płaczącego dziecka.

Plama nabiera kształtu twarzy... Wzrok odzyskuje ostrość. Zielony ludzik? Nie – to zapłakana twarz Alicji. To chyba nie halucynacja?

–Alicja... – poruszam ustami, ale nie wiem, czy ktoś mnie słyszy.

–Żyjesz! Żyjesz! – śmieje się przez łzy Alicja. Przyciska mokrą buzię do mojej twarzy, a ja próbuję ją objąć i pocałować, i nawet mi się to udaje, chociaż moje ręce i wargi są jakby cudze.

–Już teraz będziemy zawsze razem! – szepcze radośnie dziewczynka.

–Tak. Zawsze! – słyszę własny głos i w tej chwili uświadamiam sobie grozę sytuacji. Przede mną okno z zaciągniętymi żaluzjami, przez które przebija oślepiające, słoneczne światło...

–Która godzina?! – próbuję się podnieść.

–Za pięć druga – dobiega mnie gdzieś z kąta młody głos. – Jak się pani czuje?

Przy stoliku w głębi pokoju siedzi młoda dziewczyna z krótko przyciętymi włosami. A więc jestem nadal wśród „kondorów”, a zielone ludziki to był po prostu omam... Skąd się jednak wzięła Alicja? Czyżby była w jakiejś innej grupie? Może w tej, która przyjechała transporterem? I prawdopodobnie ona uratowała mi życie. Ale w tej chwili nie ma czasu na pytania.

–Za trzy godziny wszyscy muszą być w metro! Jak najgłębiej! – mówię nerwowo i podtrzymywana przez Alicję siadam na łóżku.

–Nie wszyscy. My będziemy w Mans – odpowiada dziewczyna spokojnie. – Pani jedzie z nami.

–I ze mną! – wtrąca radośnie Alicja. – I z „Chińczykiem”! Ale on już nie jest taki mały i zielony, i nie rośnie... I nazywa się Stephen.

Coś mi zaczyna świtać w głowie, ale trudno jeszcze uwierzyć. Boję się, że to może być znów jakieś straszne nieporozumienie.

–To znaczy... gdzie ja jestem?

–Jeszcze w Cameo. Ale najpóźniej za godzinę musimy ruszyć w drogę. Chłopaki poszli szukać noszy, bo przecież im prędzej wyjedziemy, tym większa szansa, że się pani dodzwoni tam, gdzie trzeba...

A więc wiedzą, że muszę dzwonić do Swarta... Jeśli to „kondory”, to mogli słyszeć moją rozmowę z Toszim, chociaż wydaje mi się, iż rozmawiałam bez świadków. Alicja mówiła jednak, że jedzie z nami „Chińczyk”, a to, co o nim mówił Tom, pasuje raczej do wizerunku „dzieci nocy”... Skąd jednak oni mogą wiedzieć? Pat Lu! Zdaje się, że słyszałam jego głos tuż przed podmuchem... Mogę się jednak mylić. Nie wiem też, co z Tomem. Ale na razie chyba lepiej milczeć przy tej dziewczynie.

–Ty mnie odnalazłaś? – pytam Alicję, która wpatruje się we mnie jak urzeczona.

–Nie ja. Mnie powiedział „Chińczyk”, kiedy już tu byłaś. A ja byłam na górze z

maluchami na tarasie, tam gdzie diabeł się cieszy. Przyszedł Stephen i powiedział: „Chodź, mam dla ciebie niespodziankę. Twoja Agni jest tutaj!” I zostawił Barbi, aby pilnowała maluchów, a ja strasznie się cieszyłam, ale potem strasznie się bałam o ciebie, boś ty spała i nie mogłam cię obudzić. Potem przyszedł pan Tom i ten czarny, i tych dwóch, co przyjechali wczoraj, i strasznie długo rozmawiali o tobie i innych rzeczach...

A więc Tom jest zdrów i cały. Czuję ogromną ulgę i radosne podniecenie.

–Czy może go pani tu zawołać? – mówię do dziewczyny.

–Kogo?

–Doktora Quintę.

–Doktor Quinta jest już, razem z doktorem Barleyem i piątką naszych, w drodze do granicy z Matavi. Nie mogli dłużej czekać. Ale zostawili dla pani list. Ma go ten Murzyn, który uciekł od „kondorów”.

–Pat Lu?

–Chyba tak się nazywa. On jedzie z nami. Będzie prowadził poduszkowiec.

–Czy Hans Oriento też tu był? Taki niewysoki, starszy facet.

–Wiem o kim pani mówi. Jeszcze jest, ale zaraz będzie musiał ruszać.

–Czy może go pani zawołać? Muszę koniecznie z nim się zobaczyć. Choćby na parę minut!

–Myślę, że to się da zrobić – mówi dziewczyna wstając. – On też się o panią dopytywał... Zostaję sama z Alicją. Przytulam dziewczynkę i całuję w czoło.

–Bardzo się o was bałam... Gdyśmy się pogubili w tym zwariowanym hotelu, nie wiedziałam, co robić...

–To nie była moja wina! – Alicja patrzy na mnie niepewnie. – Ja dotknęłam tak, jak kazałaś. A zatrzymało się gdzie indziej. Wychodzimy, a ciebie nie ma i jakaś ciemna sala z czerwonymi lampkami. Doktor Tom mówił, że musiałam się pomylić. Ale potem, gdy winda nie chciała przyjechać, powiedział, że to chyba nie ja, tylko elektryczność wysiada. I że musimy iść do schodów, że trzeba szukać wyjścia... Ale ja się bardzo bałam, bo na ścianach i na suficie było ciągle dużo pajaków, takich włochatych, i dopiero jak doktor zaczął na nie krzyczeć, to się pochowałam i znalazłam schody.

Schodziliśmy długo, ale tam, gdzie ty miałaś na nas czekać, nie doszliśmy, tylko do takich drzwi z kraty, jak u tatusia. Drzwi były otwarte i było tam dużo skrzynek, ale wyjścia nie mogłam znaleźć. Potem zgasło światło i już nic nie mogłam zobaczyć. Zaczęłam znów płakać, ale doktor powiedział, abym była cicho, bo coś się rusza. Więc czekaliśmy po ciemku i ja też usłyszałam, że ktoś chce otworzyć jakieś drzwi i nie może. Ale otworzył i potem pokazało się światło. Takie małe światełko z latarki. Bardzo się bałam, że to może być znów jakiś „peloso”, lecz potem się okazało, że to było dwóch takich zielonych, co szukali czegoś do zjedzenia. I oni nas wyprowadzili na ulicę, ale nie tam gdzieśmy przyjechali. I już była noc. Ci zieloni mówili, że możemy iść z nimi do metro, ale doktor chciał koniecznie sprawdzić, czy nie czekasz przy wejściu. Ci zieloni powiedzieli doktorowi, że przy wejściu do hotelu coś się pali i lepiej tam nie chodzić, bo to chyba „kondory” rozrabiają. I znów mówili, że mamy iść z nimi. Wtedy doktor powiedział im o „Chińczyku” i ja też mówiłam, że mnie zaprosił do Cameo. Ci zieloni nie byli od „Chińczyka”, ale wiedzieli, gdzie go szukać...

Alicja jest bardzo przejęta swoją opowieścią. Widać, że przeżycia tamtej nocy, w której rzeczywistość była niemniej niepokojąca od zwidów, wywarły bardzo silne wrażenie na tym dziecku.

Zaczyna mi teraz opowiadać o tym, jak spotkała swego „śmiesznego” przyjaciela z Delft i zaprowadził ich z Tomem do „domu, gdzie się diabeł cieszy”, gdy w drzwiach staje Oriento.

– Witam panią, Agni! – woła od progu. – Powinienem powiedzieć: „Cóż za szczęśliwy układ planet sprawił, że się znów spotykamy. Pozwoli pani, że spojrzę w twoją dłoń, aby poznać przyszłość pani, a może i własną!” Niestety, nie pora teraz i miejsce, aby sondować

nasze losy, choć miałbym na to ochotę. Czasu, niestety, mamy bardzo mało, a chwila taka, że może lepiej nie znać przyszłości...

–Zmienił się pan...

–Może...- mówi z westchnieniem.– Nikt nie przechodzi przez wir bezkarnie... Ale nie o tym chcę z panią mówić. Zawsze, gdy się spotykamy, trzeba już myśleć o rozstaniu i ta fatalna dla mnie seria trwa nadal. A szkoda...

–Niech pan jedzie z nami do Mans.

–Jestem bardziej potrzebny gdzie indziej. Każdy ma określone zadanie do spełnienia, a czasu jest coraz mniej... Co gorsza, muszę pani przekazać kilka nader ważnych informacji, a zostało nam zaledwie kilkanaście minut. Tyle ile potrzeba, aby Pat Lu zatankował paliwo do transportera. Nie mogłem niestety nagrać tego na taśmę, bo elektroniczne układy tu zawodzą, a ponadto jedzie pani do jaskini Iwa i źle byłoby, gdyby wszystko to, co chcemy pani przekazać, dostało się w niepowołane ręce. A więc do rzeczy! Pani wybaczy telegraficzny styl relacji. Idzie przede wszystkim o to, aby się pani zorientowała w aktualnym stanie naszej wiedzy o VP, wysuwanych przez Quintę i Barleya hipotezach, a jeśli starczy czasu, również ogólniejszych wnioskach i przypuszczeniach.

–Co właściwie się ze mną stało? Pamiętam tylko jakby lodowaty podmuch... I jakieś dziwne stwory... Ale to chyba była halucynacja. Skąd się tu wzięłam?

–Pani wybaczy, ale proszę teraz o nic nie pytać. Wszystko pani opowie ten dzielny młody człowiek z plemienia Magogo. Ma też dla pani list od Martina. Mnie nie starczy już czasu. To, o czym muszę pani powiedzieć, ma dla nas w tej chwili wagę najwyższą. Jest nas trzech: Barley, Quinta i ja, znających prawdę o vortexie P. Jeśli w ogóle można mówić, że coś jest prawdą, a nie tylko naszym naiwnym wyobrażeniem... W każdym razie, wiemy chyba więcej o VP niż ktokolwiek inny, a wnioski, jakie z tej wiedzy płyną, muszą być znane światu, a nie tylko wąskiej grupce „wtajemniczonych”. Niestety, nie ma żadnej pewności, iż którykolwiek z nas będzie jeszcze jutro żywy... Pani jest czwartą osobą, co do której możemy być pewni, że zrobi wszystko, aby przekazać prawdę gdzie trzeba. Takie jest zdanie doktora Quinty. I moje również. A znam panią chyba lepiej niż nawet Martin...

–To znaczy, wiedział pan tam, w Muzeum Valentina...

–Wiedziałem... – nie pozwala mi dokończyć zdania i natychmiast poczyną mówić o anomalii, tak iż nie wiem, czy potwierdzenie dotyczy „normalnych” czy „paranormalnych” źródeł informacji o mnie.

Nie próbuję już zresztą dochodzić prawdy. To, co Oriento opowiada o VP, jest bowiem rzeczywiście bardzo ciekawe i pochłania mnie bez reszty, chociaż przy mojej znajomości fizyki na pewno nie potrafię w pełni ocenić wagi odkryć dokonanych przez Martina.

Otóż okazuje się, że dzięki przyrządom skonstruowanym przez Berga, udało się Martinowi, Bobowi i Hansowi już nie tylko zbadać strefową strukturę przestrzenną vortexu i rytmikę pulsacji, ale także zlokalizować ognisko zaburzeń. Znajduje się ono na wysokości około sześciu kilometrów nad Kotliną Timu i ma kształt torusa o promieniu również około sześciu kilometrów. Torus ten nie jest widoczny gołym okiem, ma właściwości optyczne nie różniące się od otaczającego powietrza. Czy jest to coś w rodzaju zimnej plazmy, zamkniętej we własnym polu magnetycznym na zasadzie samowzbudzenia czy też inny, jakiś nieznanый twór fizyczny, tego jeszcze nie wiemy. Stwierdzono już jednak, że pierścień ten emituje bardzo słabe promieniowanie elektromagnetyczne w szerokim zakresie widma. Zdaniem Martina można postawić hipotezę roboczą, że torus jest generatorem magnetohydrodynamicznym, przy czym zachodzą tu bardzo złożone oddziaływania fizyczne, obejmujące pobliski obszar atmosfery i skorupy ziemskiej. Między innymi towarzyszy tym procesom emisja infradźwięków, przenikających również w głąb ziemi, nawet do kilku kilometrów i dlatego zaburzenia psychiczne, choć słabsze, obserwowano również w kopalniach.

Jak dotąd niewiele jednak wiemy o samym mechanizmie oddziaływania VP na układ nerwowy, a przyczyny strefowego zróżnicowania zaburzeń psychicznych pozostają nadal zagadką. Można przypuszczać, iż istnieje jakiś związek między tym zjawiskiem i większą częstotliwością cyklicznych wahań oddziaływania anomalii w miarę zbliżania się do „oka cyklonu”. Wielce znamienne jest to, iż obowiązuje tu jakby swoiste „prawo Keplera”: kwadraty czasu trwania poszczególnych cykli owych zaburzeń są proporcjonalne do sześciąt odległości od generatora, a ściślej – od osi torusa. Tak jak gdyby wokół pierścienia krążyło na podobieństwo satelitów pięć lub sześć źródeł promieniowania o ograniczonym zasięgu, powodujących specyficzne zaburzenia. Jak dotychczas nie ma jednak żadnych fizykalnych dowodów, iż takie wtórne źródła istnieją. Sam torus wykazuje, jak dotąd, dużą stacjonarność, o stosunkowo niewielkich cyklicznych odchyleniach poziomych i pionowych, do czterystu metrów. Hans twierdzi, że obserwowany ostatnio wzrost promienia anomalii o trzydzieści parę kilometrów dotyczy przede wszystkim stref pierwszej i drugiej, przy minimalnym poszerzeniu się i przemieszczeniu pozostałych. Jest to chyba pulsacja sezonowa, o rytmie rocznej, a więc związanej z obiegiem Ziemi wokół Słońca. Stwierdzono również oscylacje odpowiadające cyklowi księżycowemu.

Pytam, jakie mogą być skutki eksplozji nuklearnej – czy można przewidzieć co stanie się z torusem, gdy dotrą do niego strumienie fotonów i neutronów, a potem fala uderzeniowa – ale Oriento nic na ten temat nie jest w stanie powiedzieć.

Najbardziej zaskakujące jest jednak dla mnie to, co Hans mówi o powiązaniach między procesami, przebiegającymi w torusie i mózgach żywych istot, a zwłaszcza ludzi. Wpływ czynników fizycznych na stany psychiczne w warunkach VP nie polega na prostym, jednokierunkowym oddziaływaniu energetycznym. Zjawiska tu zachodzące są bardzo ułożone i nie należy wykluczać sprzężenia zwrotnego między polami fizycznymi a biopolem, szczególnie w zasięgu oddziaływania torusa. Oriento powołuje się tu na hipotezę Martina, że nie tylko pola fizyczne wpływają na biopole, ale również biopole może powodować zmiany w polu fizycznym. Dla mnie, jest to rewelacja i rozumiem, że potwierdzenie lub obalenie tej hipotezy, może mieć ogromne konsekwencje nie tylko poznawcze, lecz i praktyczne. Badania w tej dziedzinie, z uwagi na niebezpieczeństwo wykorzystywania odkryć w celach antyhumanitarnych, powinny być prowadzone pod kontrolą międzynarodową. W żadnym razie nie wolno dopuszczać do monopolizacji badań przez Duskland i „dyspozytornię”. Istnieje zresztą wyraźny związek między pojawieniem się VP a paramilitarnymi eksperymentami ze zdalną stymulacją falową oraz nieudaną eksplozją bomby psychotropowej nad terenem Gór Żółtych. Jeśli rzeczywiście powstanie anomalii jest niezamierzonym efektem tych doświadczeń, mogłoby to przemawiać za hipotezą sprzężenia zwrotnego pól fizycznych z biopolem.

–To znaczy, że antydyspozytornia... – mówię zaskoczona.

–...nie istnieje! – kończy za mnie Oriento. – Mimo skrupulatnych poszukiwań nie natrafiliśmy na żadne ślady istnienia instytucji czy choćby tylko placówki technicznej, sterującej vortexem. Jesteśmy wszyscy trzej zgodni co do tego! Nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, iż istnieje i działa na terenie Dusklądu czy Patope tajna organizacja konkurencyjna w stosunku do „dyspozytorni”. Co więcej, anomalii VP nie można w ogóle rozpatrywać w kategoriach walki politycznej, ekonomicznej czy społecznej. Jest to raczej zjawisko przyrodnicze o zupełnie innym, niż dotąd nam znane, wymiarze i następstwach trudnych do przewidzenia.

–Jeśli vortex jest zjawiskiem naturalnym, dlaczego nie obserwowano podobnych anomalii w przeszłości? Czy chodzi o to tylko, że brakowało „zapalnika” w postaci odpowiedniej broni psychotropowej?

–Nie wiem, czy można mieć pewność, że nic takiego nie zdarzało się w ubiegłych wiekach – zastanawia się Oriento. – Ale nie jest to w tej chwili najważniejsza kwestia.

Przynajmniej w porównaniu z nader istotnym pytaniem, można rzec, natury filozoficznej: czy pojawienie się VP jest przypadkiem czy koniecznością? Tu jednak wkraczamy już na teren sporny i referując stanowiska doktora Quinty, Martina i swoje, nie mogę być obiektywnym sędzią. Zgadza się w jednym: czysty przypadek, rzadki zbieg okoliczności nie wchodzi w rachubę. Ale czy konieczność? Można oczywiście przyjąć, że człowiek, niczym uczeń czarnoksiężnika, na skutek swej pychy i niewiedzy, wyzwolił siły, których nie potrafi opanować. Jest to jednak stwierdzenie banalne i prowadzi co najwyżej do wniosku, że należy zachować ostrożność i rozsądną pokorę wobec przyrody i społeczeństw, co jak uczy historia, wcale nie jest łatwe. Doktor Quinta wyprowadza stąd wniosek, że należy wzmocnić społeczną kontrolę nad decydentami i w ogóle na zimno dmuchać, ale ani Martina, ani mnie takie wyjaśnienia i recepty wcale nie satysfakcjonują. Quinta to pragmatyk, a nie filozof i nie należy mieć mu tego za złe, lecz wcale to nie znaczy, że wszyscy mają tak wąsko widzieć świat.

–Nie docenia pan doktora – staję w obronie Toma. Oriento uśmiecha się z lekka. Czyżby się domyślał, dlaczego to robię...

–Być może... Ale niech pani posłucha. Martin twierdzi, że VP to nie jest żywioł rozpętany przypadkowo, lecz ni mniej ni więcej tylko... reakcja obronna przyrody. Jest w tym twierdzeniu coś więcej niż metafora. Powiedziałbym nawet, że on to pojmuje dosłownie. Stoi bowiem na stanowisku, że nie wolno przyrody traktować jako zbioru sił działających bezrozumnie, na zasadzie automatycznych odruchów, choć z pozoru może to tak wyglądać. Przyroda jako całość jest gigantycznym megasystemem, o nieograniczonych możliwościach tworzenia różnego rodzaju sprzężeń, wśród których wiele jest względnie trwałych. Wszystkie one nie są jednak czysto przypadkowe, lecz powstały i utrzymały się w wyniku procesu zmian i selekcji, trwającego miliardy lat. Już to czyni z przyrody, pojmowanej cenotycznie, istotę działającą w sposób celowy. Celowość jest bowiem niczym innym jak przejawem ujemnego sprzężenia zwrotnego. Tak więc, według Martina, dzięki tym sprzężeniom i w ich konsekwencji procesom samoorganizacji, przyroda, zwłaszcza ta ożywiona, zachowuje się całościowo jak istota myśląca i potrafi walczyć o przetrwanie. Na przykład po katastrofach żywiołowych czy wojnach dziesiątkujących populacje, ludzie zaczynają się mnożyć w przyspieszonym tempie... Gdy populacja nadmiernie się rozwija i zagraża środowisku, powstają siły hamujące ten rozwój.

–I vortex ma być taką siłą? Nie bardzo pojmuje, czym broń psychotropowa i „dyspozytornia” zagraża przyrodzie? Zagraża ludziom, a więc wrogom przyrody!

Oriento patrzy na zegarek i nie podejmuje tematu. Wyraźnie zaczyna się denerwować.

–Pani afrykański przyjaciel długo nie wraca... Ma chyba kłopoty z tymi biedakami... A czas ucieka. Powinienem być już w drodze, bo ktoś może wiedzieć, czy nie przyspieszą akcji. Quinta mówił, co prawda, że mamy czas do północy, ale jeśli rozmowa była około południa, to różnie można liczyć...

–Dokąd pan jedzie?

I mnie również poczyna udzielać się niepokój.

–Muszę wracać do Kotliny Timu. Oni tam nie wiedzą, co im grozi... – odpowiada cicho i przymyka powieki. Czyżby próbował wejść w trans?

Mogłabym go zapytać, dlaczego nie nawiązuje telepatycznego kontaktu z Bobem i czy nie istnieje możliwość, że „eksteriorysta” przysłuchuje się naszej rozmowie – ale chyba zakrawałoby to na ironię.

–Czas rzeczywiście ucieka, a jeszcze tak mało pani powiedziałem... – Oriento wraca po chwili do poprzedniego zagadnienia. – Zadała pani pytanie o kapitalnym znaczeniu. A swoją drogą, widać, iż nie dość jasno przedstawiłem myśl Martina. Przyroda to również człowiek ze swą kulturą i cywilizacją! Co powoduje vortex? Budzi lęk, zaburza postrzeganie i w rezultacie pozbawia zdolności do podejmowania prawidłowych decyzji. Zmusza do panicznej

ucieczki ludzi i zwierzęta, jeśli ich układ nerwowy nie potrafi szybko przystosować się do zmienionych warunków. A cykliczne wahania natężenia anomalii utrudniają adaptację... Sytuacja ludzi jest przy tym nieporównanie tragiczniejsza niż zwierząt. Człowiek naszych czasów jest zdolny do życia tylko w środowisku ludzkim, społecznym, cywilizowanym. Tymczasem vortex rozsadza dotychczasowe struktury społeczne, zrywa więzi obyczajowe, moralne, wyzwala prymitywne odruchy. Gdy decyzje okazują się błędne, rozum ustępuje instynktowi. VP godzi więc przede wszystkim w społeczeństwo ludzkie w jego dotychczasowym kształcie. Społeczeństwo, które nie potrafi przystosować się do otaczającej je przyrody, chce więc przyrodę przystosować do siebie. A nie zapominajmy, że tą przyrodą jest również sam człowiek, a jego natura, czyli przyroda wewnętrzna, to psychika. Współczesne społeczeństwo coraz bardziej traci zdolność samokontroli i gotowe jest zrzec się jej na rzecz różnego rodzaju „dyspozytorów”, którzy mają za nie myśleć i podejmować decyzje. Oddaje w ich ręce siły, które mają zapewnić ludziom beztrudny spokój i dostatnie bytowanie, a jednocześnie rezygnuje z kontroli nad tym, jak te siły będą wykorzystywane. A tymczasem ci, którzy mają owe decyzje podejmować, są w istocie równie mali i zieloni jak ci, którymi kierują i rzecz jasna, chcą sobie również ułatwić życie. Po cóż więc przystosowywać społeczeństwo do przyrody – tej zewnętrznej i tej wewnętrznej? To zbyt ryzykowne dla „dyspozytorów”. Czyż nie lepiej iść tradycyjnym torem przystosowywania przyrody do istniejących systemów społecznych? A przy tym okazuje się, że coraz trudniej bezkarnie zmieniać przyrodę zewnętrzną, ale za to powstają coraz szersze, techniczne możliwości ingerowania w życie psychiczne. Tymczasem jest to teren przyrody szczególnie wrażliwy na zakłócenia równowagi wewnątrzustrojowej, a zarazem silnie wpływający na „otoczenie”. Sukcesy są więc tylko pozorne, zaś to, co chcieliby zrealizować „dyspozytorzy”, stanowi śmiertelne zagrożenie dla „psychocenozy” ziemskiej, a może i całej przyrody. I przyroda broni się, atakując tę sferę, która ma być przedmiotem manipulacji. Tego właśnie jesteśmy świadkami w Cameo. Widocznie współczesna cywilizacja doszła już do granicy rozwoju, poza którą czai się zagłada. I nie jest to chyba tylko skutek szaleńczych planów „dyspozytorni”, bo przecież daleko im jeszcze do realizacji, nawet jeśli nie pojawiłby się vortex. Udział w tym mają i ci, którzy dążyli w przeszłości i dążą dziś do realizacji podobnych celów tradycyjnymi metodami... „Dyspozytornia” tylko dopełniła miary...

–I pan się zgadza z tą teorią?

–I tak i nie. Myślę, że Martin zatrzymał się wpół drogi. Dlaczego tę „psychocenozę” ograniczać do ludzkości, do Ziemi? – pyta z przejęciem. Oczy mu błyszczą i czuję, jak ogromną satysfakcję sprawiłam mu tym pytaniem. – Mam dowody, że nie tylko nie jesteśmy sami we Wszechświecie, ale również nie jest ludzkość odizolowana przestrzenią i czasem od innych pozaziemskich istot żywych i światów, w których

one żyją. To, co pani za chwilę powiem, jest niezwykle ważne. Może najważniejsze z wszystkiego tego, o czym tu mówiliśmy. Poświęciłem tym badaniom całe życie, ale dopiero teraz wiem, że kierunek poszukiwań był słuszny. Dopiero Vortex P pozwolił mi zrozumieć, jak to jest naprawdę...

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Do pokoju wbiega ta sama krótkowłosa dziewczyna, którą wysłałam po Oriento. Jest zdyszana i spocona.

–Panie Oriento! Musi pan podjechać do stacji przy Palmhot. Ci ludzie, którym zdjęliśmy obrożę, zupełnie poszaleli. Marcus przyjechał po pana! – wyrzuca pospiesznie z siebie urywane zdania. Oriento patrzy na dziewczynę w taki sposób, jakby zupełnie nie rozumiał, co do niego mówi. Potem zwraca twarz w moją stronę. Jest w tym spojrzeniu lęk i żal. Nagle ustępują one miejsca twardemu uporowi.

–A jednak pani powiem! Muszą poczekać! – oświadcza z determinacją.

–Nie można czekać! – oponuje dziewczyna.

Spogląda na nią z gniewem, ale natychmiast się opanowuje. Tylko ledwo dostrzegalne drżenie szczęki świadczy, jak bardzo jest zdenerwowany.

–Widać sądzono inaczej... – mówi z rezygnacją.

–Może w dwóch słowach powie pan, o co chodzi?

–Tego nie da się powiedzieć w dwóch słowach. A wiec... żegnaj Agni...

–Chyba się jeszcze zobaczymy...

–Nie wiem. Horoskop nie jest dla mnie najlepszy.

–Nie należy się sugerować.

–To prawda. Ale, niestety, już się zaczyna potwierdzać.

–Co?

–Właśnie to, że nie zdążyłem powiedzieć...

–Czy ma to jakiś związek z pańską „teorią powszechnego psychociążenia”? Słyszałam waszą rozmowę z Quintą, jeszcze tam w grocie.

–Powszechnego psychooddziaływania – prostuje. – Ale doktor nie zna całej prawdy...

–No, niech pan już idzie! – ponagla dziewczyna.

–Idę! – pozdrawia mnie skinieniem dłoni. Uśmiechając się blado znika z dziewczyną za drzwiami.

Żal mi go, lecz jednocześnie czuję się jakby oszukana. Jeśli rzeczywiście chciał mi przekazać informację o jakimś własnym rewelacyjnym odkryciu, dlaczego nie powiedział o tym wcześniej. Oczywiście, to czego dowiedziałam się o vortexie ma wielką wagę, ale w tym, co mówił, sporo było rozważań filozoficznych, które mógł sobie darować lub podać w bardzo skrótowej formie. Czy prezentacja poglądów Toma i Martina stanowiła przygotowanie do wyjawienia mi owej szczególnej tajemnicy? I dlaczego ja miałam być wtajemniczona, a nie bardziej kompetentni: Tom i Martin. Czy także im nie zdążył przekazać? A może to wszystko zamierzona z góry gra. Może nie ma żadnej tajemnicy, żadnego odkrycia? Oriento jest przecież mistrzem mistyfikacji...

–Mówiłaś mi, że pan Tom rozmawiał długo z panem Oriento i doktorem Barleyem – zwracam się do Alicji. – Czy rozmawiali o tym samym, o czym ja teraz rozmawiałam z panem Oriento?

–O tym samym, a potem Tom i pan Barley pisali do ciebie list, a pan Oriento poszedł. A potem już Tom i pan Barley musieli jechać...

W drzwiach znów pojawia się dziewczyna.

–Oriento kazał panią serdecznie pozdrowić. Mówił, że odeśle zaraz tego Murzyna i będziemy mogli ruszać. I jeszcze prosił abym powiedziała, że gwiazdy pani sprzyjają...

–Duża grupa jedzie z nami do Mans?

–Poza panią, tym czarnym i Alicją, od nas dwanaście dziewcząt i czterech chłopaków, a ponadto czterdzieścioro dzieci, w tym połowa od „kondorów”.

–Wy jesteście „dzieci nocy”?

–Ależ nie – śmieje się dziewczyna. – To „kondory” mylą nas z „dziećmi nocy”, gdyż w niektórych operacjach przeciwko tym „ptaszkom” korzystaliśmy z tuneli metro i taktycznie współdziałamy czasem z „podziemniakami”, choć to też banda imbecyli, tyle że w innym sensie.

Dziewczyna okazuje się bardzo rozmowna i wyraźnie chce mi zaimponować dobrą znajomością lokalnych stosunków. Pochodzi z południa kraju, a w Cameo znalazła się dlatego, iż jest tu na pierwszym roku medycyny. W ogóle większość w ich „stowarzyszeniu przekornych” to studenci o przekonaniach pacyfistycznych i lewicowych, a cel, jaki sobie stawiają, to „rzetelne zbadanie”, czym jest „anomalia Cameo” i wykorzystanie tej wiedzy dla dobra „wszystkich uczciwych ludzi”. Nie mają przywódcy, lecz „radę przekornych”, a każdego członka stowarzyszenia obowiązuje „mądra” tolerancja i świadoma „wewnętrzna samodyscyplina”, a nie „ślepe posłuszeństwo” woli jednostki czy „mechanicznej” większości. W stosunku do innych „stowarzyszeń i band” starają się zachować postawę „neutralną” i „wyrozumiałość”, ale nie zawsze jest to możliwe, a nawet mogłoby być „szkodliwe

społecznie”, jak na przykład w przypadku „kondorów”. Nigdy jednak nie chodziło o ich unieszkodliwienie „fizyczne”, lecz tylko „techniczne”. „Kondory” to szczeniacka zbieranina, która stała się zbrodnicza i naprawdę niebezpieczna dopiero w ostatnich dniach.

Inaczej ma się sprawa z „dziećmi nocy”. Z tego, co mówi „medycza”, wynika, że jest to coś w rodzaju sekty religijnej. „Dzieci nocy” mają swego „guru”, który głosi, że Cameo zostało „nawiedzone i zapłodnione” przez „boski koncentrat energii życia”. Stąd właśnie, z podziemi Cameo, wyjdzie nowe pokolenie „odrodzonych” i „szczęśliwych duchowo”, obdarzonych najwyższą mądrością i wszechwiedzą, którą można zdobyć tylko w akcie pozarozumowej „iluminacji”. Drogą do tego jest unikanie „płytkich przyjemności” materialnych, ćwiczenia, medytacje i praca dla dobra innych pod kierunkiem „guru”, któremu należy się pełne oddanie i posłuszeństwo. Oczywiście dla „przekornych” jest to tumanienie „małych i zielonych”, ale wśród tych młodych ludzi, którzy zostali w Cameo, jest sporo wierzących w te „mistyczne bzdury” i przygotowujących się do „odrodzenia”. „Dzieci nocy” przebywają stale w tunelach metro, a na powierzchnię wychodzą tylko specjalnie wyznaczeni „domokrążcy”, poszukujący żywności i leków psychotropowych, i to tylko nocą. „Guru” podobno twierdzi, że kto zetknął się już z „energią życia” i wyjdzie na słońce ten straci wzrok. Zdaniem „medycy” takie przypadki zdarzały się, ale może to być „ślepotą histeryczną”.

Słucham tego, co mówi dziewczyna i próbuję pokonać drętwotę mięśni. Ręce i szyja są względnie sprawne, jednak z nogami mam kłopoty. Mrowienie w stopach nie ustaje, podkurczenie „obcych” nóg nie jest możliwe bez pomocy rąk. Z trudem siedzę na łóżku podtrzymywana przez Alicję. Co się właściwie ze mną stało? A może to jeszcze skutki odurzających napojów, jakimi mnie raczono ubiegłego wieczoru w „sanktuarium” Pierwszego Proroka Jutra?

Dziewczyna zauważa moje bezskuteczne wysiłki.

–Niech się pani położy. Zrobię pani masaż. To świństwo poraża ośrodki ruchowe – stwierdza z troską. – Ci z „kondorów”, którzy stali bliżej, też jeszcze nie chodzą. Ten niewidomy doktor mówił, iż to działa do trzech godzin, a czasem nawet dłużej.

–Doktor Quinta nie jest lekarzem...

–Ale się zna na tych świństwach. Bez niego nie odważylibyśmy się tego ruszyć. Podobne są do rakiet przeciwczołgowych, tyle, że bardzo lekkie. Znaleźliśmy to już dość dawno, chyba ze dwa miesiące temu, jednak żaden z naszych „ekspertów” nie wiedział, co to i trzymaliśmy się od tego z daleka.

Masaż przynosi ulgę, lecz o chodzeniu trudno na razie marzyć.

–Znaleźliście te pociski u Mortona? – pytam dziewczynę.

–W podziemiach dyrekcji policji. I to było szczególnie podejrzane. Do tego jakieś nietypowe oznaczenia. Nie wiadomo było, co z tym robić. Zostawić niebezpiecznie, gdyż może wpaść w ręce „kondorów”. Trzeba było wynieść i ukryć. Nikt z nas nie myślał, że kiedykolwiek tego się użyje. Dopiero doktor Quinta powiedział, co to takiego. Dziwne, niewidomy, a zna się na broni lepiej niż zawodowy wojskowy.

–Nie tylko na broni...

–Wiem. Żeby jeszcze czuł się lepiej...

–Doktor zachorował?

–Nie jest chory, po prostu źle znosi vortex. Ale bardzo dzielnie!

–Widzę, że zdobył waszą sympatię...

–To rzeczywiście niezwykły człowiek. Chciałam koniecznie z nimi jechać, lecz prosił, abym została przy pani. Bardzo się o panią martwił. Gdy dotarł do nas dwa dni temu był w bardzo złej formie, ale ciągle myślał o pani. Tak samo Alicja stale płakała i prosiła, abyśmy pani szukali. Niestety nigdzie nie można było pani znaleźć. Baliśmy się, czy nie wpadła pani w ręce „kondorów”. Właśnie wtedy zaczęli palić domy w okolicach dworca i składy

kolejowe. Potem, gdy chłopcy wrócili ze zwiadu, wiadomości były jeszcze gorsze: okazało się, że pędzą przez miasto tłum ludzi, których przywieźli w wagonach towarowych, nie wiadomo skąd.

–Z obozu uchodźców w Abe.

–Wiem. To też nam powiedział doktor. Rada „przekornych” zaczęła się wówczas zastanawiać, co robić, aby nie dopuścić do spalenia miasta i czy nie należałoby spróbować uwolnić tych uprowadzonych. Była nawet próba pertraktacji z tym Japończykiem, ale nic z tego nie wyszło. Co gorsza, zdobyli oni skądś pojazdy pancerne z działkami i miotaczami ognia i nasze karabinki laserowe to już było za mało. I wtedy ktoś powiedział doktorowi o tych rakietach...

–Czy byliście już wówczas w kontakcie z Barleyem i Oriento?

–Jeszcze nie. Wiedzieliśmy co prawda, że w pobliżu „Bango” i „Majestic” kręci się od paru dni jakiś transporter, lecz początkowo myśleliśmy, że to jeszcze jeden wóz „kondorów”. Potem, gdy się okazało, że to dwóch starszych facetów, podejrzewaliśmy, że to zabłąkany patrol i zaczęliśmy się zastanawiać, czy go nie „sprzątnąć”, zanim zrobią to „kondory”. To znaczy, nie było się nad czym zastanawiać... Stephen wziął trzech chłopaków... – dziewczyna urywa.

Do pokoju wchodzi czterech młodych ludzi. Ubrani są w długie, kolorowe koszule, nie bardzo pasujące do wojskowych butów. Trzech chłopców ma długie włosy i brody, czwarty – niewysoki, o wygolonej smagłej twarzy i czarnych włosach – przypomina trochę Indianina, co potęguje barwna opaska na czole. Wszyscy są uzbrojeni w małe pękate karabinki przewieszane przez ramię.

–O wilku mowa... – śmieje się dziewczyna. – To właśnie Stephen! – wskazuje na czarnowłosego.

–„Chińczyk” – dorzuca Alicja szeptem.

–Witamy w „Bango”! – Stephen kłania się dworsko wyimaginowanym kapeluszem. – Jesteśmy twoją osobistą ochroną Agni – przechodzi od razu na koleżeńską stopę. – Mamy cię dowieźć bezpiecznie do Mans, a i tam pilnować jak oka w głowie...

–Cześć, chłopaki – podejmuję w tym samym tonie, przyglądając się „Chińczykowi” z ciekawością. – W takiej asyście nic mi nie grozi! Czy już ruszamy?

–Jak tylko zajedzie „karoca”. Proponuję, abyśmy zeszli na dół i poczekali w hallu.

–Muszę się umyć, ubrać...

–Chłopaki, w tył zwrot i za drzwi – rozkazuje dziewczyna.

–Tak jest, Emi! Już się robi! – Stephen kłania się „dworsko” i wyprowadza towarzyszy. Wcale mi nie wygląda na „kaznodzieję”.

–Mamy tu jeszcze wodę – mówi dziewczyna. – Pomogę ci przejść do łazienki.

–Chyba dam sobie sama radę...

Spuszczam nogi z łóżka i próbuję wstać. Niestety, mięśnie nóg nadal są zdrętwiałe i odmawiają posłuszeństwa. O chodzeniu bez pomocy nie ma co marzyć. Jestem zrozpaczona.

–Będziesz musiała uczyć mnie chodzić – mówię do Alicji nadržbiając miną, ale tak naprawdę chce mi się płakać. Nie tyle zresztą z obawy, że mogę zostać kaleką, choć trochę niepokoi mnie przeciągający się bezwład, co raczej ze złości, że w tak krytycznym momencie jestem niesprawna fizycznie.

Emi widać wyczuwa mój stan duchowy, bo stara się mnie pocieszyć.

–W tej chwili ważniejsze sprawne myślenie niż chodzenie! Zanim zresztą dojedziemy do Mans paraliż powinien ustąpić. Znacznie poważniejszym problemem może być wtórna reakcja odpornościowa. No, oprzyj się o mnie!

Nie bardzo rozumiem, o czym mówi dziewczyna. Czyżby porażeniu towarzyszyły jakieś zaburzenia w mechanizmie immunobiologicznym, nawet po odzyskaniu pełnej sprawności fizycznej? Okazuje się jednak, iż Emi miała na myśli skutki uodpornienia się na coś, co

nazywa „wirusami destrukcji”. Nie ma teraz jednak ani czasu, ani warunków na wypytywanie dziewczyny, o co tu chodzi. Muszę teraz skupić uwagę na najbardziej elementarnych czynnościach fizycznych i jest to bardzo męczące i absorbujące. Gdyby nie pomoc Emi i Alicji nie wiem, czy w ogóle byłabym w stanie sama umyć się i ubrać.

Wreszcie jestem gotowa do drogi. Schodzimy – a tak naprawdę chłopcy znoszą mnie – po schodach dwa piętra niżej, do obszernego hallu. Czeka tam już spora grupa młodzieży i dzieci w wieku Alicji, a nawet młodszych. Wygląd hallu zdaje się wskazywać, iż znajdujemy się w domu studenckim lub nowoczesnym pensjonacie. Nad recepcją stylizowany napis „Bango” i błyskająca ślepiami głowa diabełka kosmity.

Na razie musimy czekać. Okazuje się, że znów doszło do jakichś komplikacji z ewakuacją nieszczęśników, przywiezionych przez „kondorów” z Abe. Wysłałam Emi i jednego z chłopców, aby zorientowali się, jak to jeszcze długo będzie trwało.

Chłopcy lokują mnie na skraju ławki wypełnionej dziećmi.

Stephen przynosi puszki z sokiem i keksy. To świetny pomysł, bo jestem już porządnie głodna.

–Żałuję, Stephen, że nie spotkałam cię wcześniej, w Delft – mówię, gdy już zaspokoiliam pierwszy głód. – Widziałam cię co prawda z daleka, jak pędziłeś do Cameo... – zawieszam głos czekając co powie.

–Wiem. Mówił mi o tym Quinta.

–Byłeś wtedy w Abe?

–Byłem... – odpowiada niechętnie.

–W czasie masakry?

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

–Co ci przychodzi do głowy?! Nic się tam jeszcze wtedy nie działo. Oni chyba jeszcze niczego wówczas nie odczuwali... Chociaż ja już wiedziałem, że nadchodzi coś bardzo złego i to miejsce jest fatalne...

–Nie rozumiem. O czym wiedziałeś? – pytam zaskoczona.

–Tego nie da się wyjaśnić w paru słowach. Do Delft przyjechałem poprzedniego

dnia po południu, w poszukiwaniu świeżej żywności i leków. Wtedy właśnie spotkałem Alicję i chciałem ją zabrać do Cameo, lecz doszedłem do wniosku, że trzeba poczekać z tym do następnego dnia, aż ustąpią u niej ostre objawy infekcji.

–Musiałam czekać na tatę! – prostuje Alicja.

–Oczywiście! – przytakuje Stephen. – Do Abe postanowiłem skoczyć zresztą dlatego, aby dowiedzieć się czegoś o rodzicach Alicji. Zastanawiałem się, czy nie powinienem ją tam zawieźć, ale czułem już przez skórę, że to złe miejsce. Gdybym to zrobił, nie wiem, czy kiedykolwiek mógłbym sobie to darować. Ta wyprawa do Abe była zresztą od początku trochę wariacka... Musisz wiedzieć, że nie ciągnie nas na zewnątrz. Każdy, kto przeszedł drugie narodziny, nie tęskni do starego świata. Przeciwnie: budzi on odrazę i gdy tylko znajdziesz się w obszarze granicznym, masz fatalne samopoczucie. Wiesz, że z każdym krokiem będzie jeszcze gorzej i że nie ma sensu w ten interes się pakować. Wszystko, co na zewnątrz, to jakby matematyczny „obszar zakazany”. Jednocześnie jednak myślisz sobie: stajesz się człowieku stopniowo niewolnikiem tego cholernego wirusa i dopóki nie pokonasz tej granicznej bariery, nie będziesz prawdziwie wolnym człowiekiem. Próbowaliśmy przewyciężyć te opory, i ja, i niektórzy inni spośród nas a nawet dziewczęta, ale tak naprawdę były to tylko szczeniackie popisy zanurzania ręki w ukropie i coraz mniej było chętnych. Potem, jak granica przesunęła się za Delft, a wśród „kondorów” zaczął się ruch, znów wróciła sprawa. Barley twierdzi, że jest to kwestia motywacji, i chyba ma rację. Musi istnieć cel, i to przybierający postać wewnętrznego nakazu moralnego, aby pokonać opór. Gdyby nie spotkanie z Alicją nie wiem, czy zdecydowałbym się na skok do Abe.

–A jednak udało ci się tam dotrzeć.

–Udało... i nie udało. Gdy pożegnałem się z Alicją, było już bardzo późno i w połowie drogi doszedłem do wniosku, że nie ma co o tej porze pchać się do obozu, bo i tak pewno wszyscy już śpią. Być może zresztą szukałem pretekstu, aby odwlec całą imprezę... Dość, że nie pojechałem. Nie chciałem jednak budzić Alicji, więc przenocowałem w jakimś pustym domu na skraju miasta. Do Abe ruszyłem dopiero wczesnym rankiem. Początkowo nawet byłem ciekaw, jak daleko przesunęła się granica i trochę liczyłem, że w ciągu nocy sięgnie do Abe. Ale nie sięgnęła. Odwrotnie: jakby się trochę cofnęła, gdyż już dziesięć kilometrów za Delft zacząłem mieć wątpliwości, czy nie jadę za wcześnie, a potem, że powinienem wrócić i zabrać małą. Zdawałem sobie jednak sprawę, iż jeśli zawrócę lub choćby zatrzymam się to będzie koniec i wirus już mnie nie puści... Więc powiedziałem sobie: niech się dzieje, co chce, a ja dojadę i udowodnię sobie, że jestem naprawdę wolny. I jechałem dalej, mimo że brała mnie coraz większa złość na ten idiotyczny świat niewolników, na cholernego wirusa i na siebie samego, że w tak wiariacki sposób chcę sobie samemu coś udowodnić. Na trzy, cztery kilometry przed Abe zdenerwowanie nagle ustąpiło i poczułem się tak, jakbym już wygrał tę walkę z samym sobą. Ale wirus tylko przyczaił się, aby zaatakować zniecka, w sposób zupełnie nieoczekiwany. Najpierw silnik zmienił ton, i to tak, że byłem przekonany, iż za chwilę wysiądzie. Zatrzymałem się, sprawdzam. Nic. Wszystko w porządku. Ruszam, a po chwili znów to samo. I tak prawie przez całą resztę drogi. Gdy już byłem niedaleko wiaduktu, słyszę strzały i wrzaski, ale nic szczególnego nie widać. Zacząłem podejrzewać, że to halucynacje słuchowe. Miałem zresztą podobne 12 czerwca, gdy epidemia ogarnęła Cameo. Mogłem się jednak mylić, więc zostawiłem motor w lasku i poszedłem piechotą, i to okrężną drogą wokół stacji. Nic, spokój, trochę ludzi się kręci... Podchodzę bliżej i włosy mi się jeżą: to jakieś poczwary a nie ludzie. Wypisz wymaluj: kosmici i to w klasycznej postaci. Małe zielone ludziki.

–To znaczy halucynacje poza vortexem?

–Właśnie! Tego nikt dotąd z naszych nie doznał. Co prawda, nikt też nie zetknął się z ludźmi na zewnątrz. Zaczynam wątpić, czy w ogóle przekraczaliśmy dotąd granicę tych dwóch światów...

–Omamy odnosiły się tylko do ludzi? – pytam, przypominając sobie swoje przeżycia w Dolinie Martwych Kamieni.

–Otóż to! Domy, uliczki, stacja, samochody były zupełnie normalne. To chyba wiąże się z oddziaływaniem ludzkiego biopola. Ukryłem się w krzakach i przeczekałem kilka godzin, ale to nic nie pomogło. Co gorsza, znów zacząłem się czuć fatalnie. Ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie, złość i obrzydzenie. Próbowałem to przełamać. Zmusiłem się nawet do tego, że poszedłem na stację, a potem dalej

ulicami, aż pod barak dyrekcji obozu. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Byłem dla nich normalnym człowiekiem, jednym z nich, uchodzącą z Cameo. A dla mnie to były monstra. I chociaż zdawałem sobie sprawę, że to omam, był em zupełnie wykończony nerwowo i zawróciłem. Potem jeszcze próbowałem dwa razy, nawet zamieniłem parę słów z jakąś „poczwarą”, próbowałem wyjaśnić, że dopiero co przyjechałem z Cameo, ale ten człowiek myślał pewno, że w głowie mi się pomieszało... Biuro było już zresztą zamknięte... Przed zachodem słońca ruszyłem w powrotną drogę do Delft. Co było dalej, już wiesz. To o czym opowiada Stephen rzuca dość niepokojący cień no naszą podróż do Mans. Perspektywa ponownej walki z zaburzeniami świadomości i postrzegania, w połączeniu z bardzo realnymi obawami przed Pratem i „fortem”, nie jest wcale przyjemna. Jeszcze na dokładkę mogę mieć kłopoty z „przekornymi”, „kondorami” i dzieciarnią, którym nadmierne przystosowanie do VP nie wróży nic dobrego. Mam nadzieję, że Stephen przejaskrawił trochę swą relację. Ten chłopak w ogóle lubi dużo mówić i należy chyba do ludzi traktujących wszystko z ogromną pasją, co na ogół nie sprzyja obiektywnej ocenie faktów. Trzyma się też nadal swojej „wirusowej teorii”, która wydaje mi się dość sztuczna.

–Czy rozmawiałeś na temat twoich przeżyć w Abe z Barleyem i Quintą? – próbuję

wysondować, jak daleko sięga jego krytycyzm. – Oni mogą powiedzieć więcej niż ktokolwiek o mechanizmie tych zjawisk.

–Rozmawiałem. I myślę, że nie jest to cała prawda...

–Oczywiście, że nie cała. Nigdy nie można poznać całej prawdy. Ale mając do wyboru między dwoma różnymi wytłumaczeniami tego samego zjawiska, za bliższe prawdy uważamy to, które pozwala wyjaśnić więcej faktów.

Oczy poczynają mu błyszczeć.

–Tak, ale nie to miałem na myśli. Quinta, a nawet Barley, który przeżył przecież kilka tygodni w Cameo, nie mogą pojąć, czym są drugie narodziny. Oni potrafią, co prawda, stosując różne przemyślane „techniki obronne”, nie dopuścić, aby strach uczynił z nich swego niewolnika, ale chyba nigdy nie staną się naprawdę wolnymi ludźmi i nie odczują, jak wspaniałym miejscem na Ziemi jest przeobrażone Cameo. Być może z punktu widzenia fizyki, chemii i fizjologii to, co mówią o Vortexie P i reakcjach przystosowawczych jest bardzo klarowne i z pozoru przekonujące, lecz w istocie to tak, jakby o pięknie, miłości czy godności ludzkiej mówić w języku komputerów... Oni są ciągle jeszcze niewolnikami sposobu myślenia obowiązującego w tamtym świecie, a tu chodzi o coś zupełnie nowego, czego nie da się zmierzyć ani zważyć.

–Mówiłeś jednak o wirusie, a to jest już konkretny wymagający empirycznego potwierdzenia – chcę go zmusić do sprecyzowania poglądów.

–Potwierdzeń można znaleźć wiele. Ale dla nas nie jest to wcale takie ważne – podejmuje z przejęciem. – Nieważne nawet, czy „wirus destrukcji” istnieje naprawdę, czy też jest tylko symbolem siły przeobrażającej świat, a tkwiącej w nas samych. Nie wiem, czy mnie dobrze rozumiesz? To tak samo jak z Bogiem: brodaty Bóg-Ojciec lepiej przemawia do wyobraźni wielu ludzi niż abstrakcyjne pojęcie Absolutu... A jeśli ci idzie o to, o czym mówił doktor Barley, to teorię Vortexu P łatwo pogodzić z naszą teorią „wirusa D”. Rzecz jednak w tym, iż nawet obie łącznie odkrywają zaledwie rąbek tajemnicy naszego nowego przeobrażonego świata. Żadne przyrodnicze, fizyczne i biologiczne teorie nie potrafią wyjaśnić, dlaczego wyzwolenie się spod władzy starego świata, jego kompleksów i stresów, a nawet sposobu myślenia, jest najlepszą tarczą przed strachem i halucynacjami. Dlaczego my młodzi jesteśmy tu w Cameo „ludem wybranym”?

Słucham wywodów Stephena i czuję się trochę nieswojo. Co prawda już Tom mówił o jego „kaznodziejskich” zapędach w czasie rozmowy w Delft, ale jeszcze przed chwilą ten chłopak wydawał mi się zupełnie rozsądny i trzeźwy w ocenach swych

doznań w Abe. Teraz zaś, w tym co słyszę, w treści i sposobie wypowiedzania poglądów, jest coś niepokojąco bliskiego temu, czym mnie raczyli Toszi i Magnusen. Najgorsze zaś jest to, że zarówno przysłuchująca się naszej rozmowie młodzież, jak i siedząca przy mnie Alicja, wpatrują się w Stephena jak w obraz, chłonąc z przejęciem i wiarą każde jego słowo.

–Czy wiesz o tym, że w dniu, w którym pojawił się vortex w Górach Żółtych przeprowadzane były próby z nową falową bronią psychotropową? – usiłuję sprowadzić go na ziemię.

–Wiem. Mówił o tym Quinta. Tu być może należy szukać wyjaśnienia niektórych spraw. To coś, ta siła destrukcji i przeobrażeń jest w nas! Utajona, czekająca od naszych narodzin na swój dzień... Jest ona chyba dziedzictwem rodzaju ludzkiego po zwierzęcych przodkach, bo przecież i one nie są od niej wolne. Myślę, że próby z bronią falową wyzwoliły tę siłę, stwarzając dogodne warunki jej uaktywnienia, podobnie jak – to bywa z wieloma bakteriami i wirusami. Ta przebudzona siła, ten „wirus destrukcji” atakuje przede wszystkim układ nerwowy u ludzi i zwierząt. Rzecz zrozumiała, iż zależnie od tego w jakim stanie znajduje się mózg danego osobnika, a więc zależnie od dziedzicznych właściwości, zaawansowania rozwoju, wychowania, wytworzonych kompleksów, a także po prostu indywidualnej podatności, zaburzenia mogą mieć różne nasilenie i choroba przebiega w sposób mniej lub

bardziej ostry. Znamienne jest, że w organizmach młodych szybko następuje reakcja obronna i pojawia się coś, co można uznać za „przeciwciała”, ograniczające aktywność wirusa.

–Słyszałeś o torusie?

–Słyszałem! – podchwytuje z zapalem. – To jest najwspanialsze odkrycie, a zarazem największa zagadka. Barley twierdzi, że nie tylko torus wpływa na biopole, ale i biopole na torus. A może nie tylko są one ze sobą zespolone, ale stanowią jedność?! Ani Barley, ani Quinta nie potrafili mi przyrodniczo, fizykalnie wyjaśnić, jak torus mógł powstać w wyniku działania broni falowej. Czy więc nie należy szukać wyjaśnienia poza fizyką? Czy torus nie jest emanacją tej siły, która w nas, istotach żywych została przypadkowo, a może nieprzypadkowo wyzwolona. Może my wszyscy, tu przeobrażeni tworzymy to, co nazywacie Vortexem P?

Pomysł wydaje mi się zupełnie zwariowany.

–Rozmawiałeś o tym z Hansem Oriento? – chcę sprawdzić nasuwające się podejrzenie.

–Niewiele było czasu... – mówi Stephen z żalem. – Ale on myśli podobnie jak my. Inaczej niż Quinta i Barley... Znasz go zresztą lepiej. Co to za człowiek?

–Pisze książki o dziwnych zjawiskach...

–To wiem. Chodzi o to, czy można wierzyć jego słowom.

–Byłabym ostrożna. Zwłaszcza, jeśli chodzi o jego własne interpretacje „naukowe”. Mówił ci o swojej teorii vortexu?

–Mówił, że torus to fantom biopola.

–Fantom biopola? Może się przesłyszałeś?

–Nie myślę, abym się przesłyszał – stwierdza Stephen kategorycznie. – Oriento mówił, że jest to emanacja bioplazmy z nas samych.

Czyżby to właśnie miało być owym „rewelacyjnym odkryciem” Oriento?

–Czy Barley lub Quinta mówili coś na temat tej bioplazmy?

–Przy mnie nie – Stephen patrzy na mnie i chyba domyśla się, o co mi chodzi. – Myślę, że jeśli znają tę hipotezę, to ją lekceważą, gdyż nie pasuje do ich poglądów –

dorzuca zaczepnie.

–A do twoich pasuje?

–Na pewno! Szkoda tylko, że tak krótko rozmawiałem z Oriento. Ale nie myśl, że są to tylko subiektywne odczucia. To, co usłyszałem, ułatwia wyjaśnienie zasadniczych kwestii.

–Na przykład?

–Problem ograniczonego zasięgu zaburzeń. Promieniowanie „bomby falowej” spowodowało aktywizację „wirusa D” w organizmach ludzi i zwierząt, znajdujących się w zasięgu tego promieniowania. Ale „bomba falowa” eksplodowała i już jej nie ma, a teren, który objęła swym działaniem, nadal jest niedostępny dla starego świata. Każdemu, kto nie przeszedł drugich narodzin, kto nie został uodporniony na działanie „wirusa D”, grozi to samo, co mieszkańcom Cameo. Dlaczego? Bowiem „bomba falowa” była tylko zapalnikiem, tylko czynnikiem wyzwalamym nagromadzoną w nas bioenergię, która emanując na zewnątrz, przybiera postać promienistego fantoma – torusa. Oriento twierdzi, że jest to „aura”, czyli wyzwolona z naszych organizmów „bioplazma”, która łącząc się z „aurami” innych ludzi, tworzy supergenerator biopola, wywierający potężny wpływ na wszystko co żywe. I właśnie ten generator aktywizuje, a jednocześnie hamuje wewnątrz organiczne siły destrukcji. Jest naszym piekłem i niebem. W tej bioplazmie przebiegają nieustannie bardzo złożone procesy bioenergetyczne, torus pulsuje i wysyła różnego rodzaju promieniowania, tworzące strefy vortexu o różnych pobudzeniach. Każdy „wirus destrukcji”, który znajdzie się w jego zasięgu, zostaje uaktywniony i stąd torus wyznacza, i ogranicza obszar anomalii. Nadal nie bardzo rozumiem, czemu ma służyć hipoteza wirusa destrukcji i myślę, że w tym, co mówi Stephen, jest coś z idee fixe.

–Czy nie prościej przyjąć, że w strefach o odmiennym promieniowaniu, na przykład o różnym widmie, występują różne zaburzenia funkcjonalne układu nerwowego? Czy twój

„wirus destrukcji” może oddziaływać również na zwykłe, nieożywione układy elektroniczne, które przecież także „wysiadają” na terenie anomalii? – przedstawiam swe wątpliwości.

Jak gdyby tylko na to czekał.

–Otóż to! Przeczuwałem, że o to zapytasz, bo ja sam, póki nie spotkałem Oriento, tego właśnie nie mogłem zrozumieć. Początkowo myślałem, że jakieś proste fizykalne rozwiązanie... To znaczy, że to musi być jakiś czynnik zewnętrzny, wspólna przyczyna aktywizacji wirusa i zakłóceń w działaniu urządzeń elektronicznych. Dyskutowaliśmy wiele razy na ten temat z kolegami, ale nie mogliśmy do niczego dojść. Potem, niespodziewanie otrzymaliśmy potwierdzenie... Znaleźliśmy ciężko ранego faceta. Wojskowy wysokiej rangi. Gruba ryba kierująca patrolami. Cztery rany postrzałowe. „Kondory” go tak urządziły. Cały czas gorączkował i miał zwidy. Majaczył o jakichś szcurach w hełmach. Przed śmiercią odzyskał jednak przytomność i powiedział, że generator promieniowania, wywołującego zaburzenia psychiczne, znajduje się nad Górami Żółtymi i musi być zlikwidowany, aby Cameo stało się wolne. I że powinniśmy opuścić miasto, bo grozi nam śmierć. Nie bardzo chcieliśmy wierzyć w to, co opowiada, ale jak już umarł i zaczęliśmy analizować jego słowa, doszliśmy do wniosku, że z tym generatorem może być prawda, chociaż nie jest on wcale dla nas tak niebezpieczny, jak myślał ten stary...

–Prawdopodobnie pułkownik Chameau.

–Chyba tak się nazywał. Ale dopiero Oriento wyjaśnił mi, jak to naprawdę jest z tym promieniowaniem i że wcale nie wygląda to tak prosto, jak sobie wyobrażają fizycy i psychofizjologowie. Chodzi o to, że między światem martwym a żywym nie ma nieprzekraczalnych barier, że bioplasma, że biopola mogą oddziaływać na każdą postać materii, a więc i na elektronikę, która jest szczególnie wrażliwa. Jeśli zaś idzie o konkretne fakty, to dopiero w tym świetle można zrozumieć, dlaczego w zasięgu oddziaływania torusa, siły destrukcji psychicznej są w nas, wolnych, trzymane na wodzy, a zaczynają szaleć, gdy opuszczamy anomalię. Torus to emanacja i materializacja zewnętrzna naszej biologicznej siły w jak najczystszej bioenergetycznej postaci. Ona to właśnie nie dopuszcza do patologicznego pobudzenia ośrodków emocji w nas, którzy dostąpiliśmy „drugich narodzin”. Oddaliśmy torusowi część siebie, otrzymując w zamian tarczę chroniącą przed lękiem, halucynacjami i obłądem. Ale jest to tarcza o ograniczonym zasięgu. Wychodząc poza teren anomalii jesteśmy jej pozbawieni. Gdy tej pomocy brakuje, siły destrukcji psychicznej poczynają odżywać i jeśli ktoś nie potrafi z nimi walczyć, niech lepiej nie opuszcza Cameo...

Stephen urywa i patrzy zamyślony na Alicję, która z trudem usiłuje zrozumieć, o czym mówi jej „Chińczyk”. I ja zresztą nie chwytam sensu jego wywodów, które wydają mi się mętną i niepotrzebną komplikacją i tak bardzo trudnego problemu. Powołuje się przy tym na Hansa Oriento, który chyba do reszty, swymi przedziwnymi koncepcjami pomieszał mu w głowie. Ciekawe, że Hans w rozmowie z Tomem czy Martinem, a nawet ze mną wydaje się zupełnie rozsądnym badaczem-amatorem...

Stephen wyraźnie próbuje ostrzec mnie przed wyprawą do Mans. To zrozumiałe – po prostu boi się i liczy, że znajdę jakiś inny sposób rozwiązania problemu. Może nawet świadomie czy podświadomie gra na zwłokę, a to może być fatalne w skutkach.

–Do Mans mogę pojechać tylko z Patem Lu. Ale i wy zostać w Cameo nie możecie – stawiam sprawę otwarcie. – Wiesz przecież czym to grozi... Jeśli nawet tunele metro mogą służyć jako schrony, nie wiadomo, czy prędko można będzie je opuścić. Czy chcecie zostać „dziećmi nocy”?

Stephen spogląda na mnie niepewnie. Chyba właściwie odczytałam jego intencje.

–Nie myśl, że chcę się wykręcić – zastrzega pospiesznie, jakby z obawą, że mogę mu nie uwierzyć. – Wiesz przecież, że byłem w Abe i to przez wiele godzin. Jeśli mówiłem, co nam grozi poza anomalią to dlatego, abys była przygotowana, iż może być niełatwo. Najbardziej boję się o te dzieci – ruchem głowy wskazuje kręcącą się po hallu dzieciarnię. – Z

„kondorami” też nie wiadomo, co zrobić. Oddawać ich w ręce policji, to jakoś nie bardzo zgodne z honorem „przekornych”. A jeśli nie uda ci się przekonać tych Knoxów i Prattów? Jeśli rzucą bombę i nie będziemy mogli od razu powrócić?

–Nastąpi readaptacja.

W oczach Stephena pojawia się niepokój i jakby oburzenie.

–Nie wierz w to! – oświadcza kategorycznym tonem. – Kto choćby raz zetknął się z siłą aktywizującą „wirusa destrukcji”, ten już nie jest i nie będzie nigdy tym, kim był przed tym.

–A ci, którzy uciekli?

–Jeśli dla kogoś stary świat był wszystkim, był Bogiem i ukochanym więzieniem, słowem: jeśli stali się więźniami przedmiotów i ludzi, ta siła, która tu rządzi, czyni z nich „niewolników strachu”. Im szczególnie trudno jest żyć w Cameo i dlatego tak niewielu zwiadowców udało się tu wysłać temu staremu. Łatwo zresztą stawali się „zwierzyną” dla „kondorów” i to cenną, bo przynoszącą broń i pojazdy. Na nic zdało się ich szkolenie... Znam zaledwie dwa przypadki, ale to byli młodzi ludzie, przeszli „drugie narodziny” i zostali z nami. Jeden z nich to Alf Teller – wskazuje na siedzącego pod ścianą brodacza z mojej asysty.

Słucham Stephena i zastanawiam się, co z tego wszystkiego jest rzetelną, opartą na faktach wiedzą, a co tylko mitem. Przecież ci młodzi ludzie nie mieli żadnej możliwości sprawdzenia swych spostrzeżeń i hipotez. Czy na przykład istnieje nieprzekraczalna bariera wieku, uniemożliwiająca adaptację ludziom starszym i czy nonkonformizm tak bardzo jej sprzyja? Oriento a nawet Martin zdają się wykazywać dużą odporność na VP, chociaż nie są już młodzieńcami. A przykład Magnusena i „Persa”, ludzi również niemłodych i o tak różnej mentalności? Czy można to, co stało się z nimi, przypisywać tylko zaburzeniom psychicznym, wywołanym przejściem przez wszystkie strefy? Już sam fakt, iż zdołali się przedrzeć, wskazuje, że nie ma tu bezwzględnych reguł. A zresztą, czy Toszi tak naprawdę stał się innym człowiekiem niż był dawniej, jeśli uwzględnić różnice warunków, w których działał?

Toszi... Staram się nie myśleć, o tym co się stało, ale chyba nigdy nic nie zatrze tego okropnego wspomnienia. Czy nie było innego sposobu? Z pewnością był. Gdybym wiedziała, że Pat Lu z „przekornymi” są tuż-tuż, gotowi do akcji... Ale ja nie wiedziałam. I jeśli nawet teraz próbuję się sama przed sobą tym usprawiedliwić, wcale to ze mnie nie zdejmuje ciężaru świadomości, że zabiłam człowieka, i to swego chorego psychicznie towarzysza i przyjaciela... A jeśli nawet wówczas byłam pewna, że nie mogę inaczej postąpić, dziś czuję gorycz że tak perfidnie, podstępnie

zostałam oszukana przez los.

Gdybym chociaż mogła to wszystko powiedzieć Tomowi lub Martinowi, wyżalić się przed nimi... Wiem, że to nic innego, tylko egoistyczna chęć usprawiedliwienia, a może i pragnienie otrzymania rozgrzeszenia? Niestety, nie ma tu nikogo, kto mógłby mi pomóc. Patryk to sędzia stronnaczy...

Stephen ciągle jeszcze mówi o torusie, „wirusach” i „reakcji wtórnej”, ale już zgubiłam wątek. Domyślam się, że próbuje tłumaczyć genezę masakry w Abe czymś w rodzaju amoku, wywołanego reakcją na opuszczenie vortexu, lecz nie jestem pewna, czy ma rację. Coraz bardziej denerwuje mnie zresztą przedłużające się oczekiwanie na Patryka. Gdyby nie bezwład nóg, dawno odebrałabym list i ruszyła w drogę, choćby na motocyklu Stephena. Już chyba z pół godziny tkwimy w tym hallu, a bezcenny czae ucieka. Wreszcie zjawia się Emi. Mówi, że Pat Lu zaraz tu będzie, pojechał tylko uzupełnić paliwo. Okazuje się, że trwa jeszcze polowanie na „kondorów”, z których spora grupa ukryła się w podziemiach wielkiego domu towarowego w alei Zachodniej. Pat Lu próbował im wyjaśnić sytuację przez megafon, ale nie wiadomo, czy uwierzyli co im grozi, gdyż nadal się ostrzeliwują. Wątpliwe jest zresztą, aby dobrowolnie opuścili Cameo. Nie zejdą też z pewnością do metro, gdyż to teren „dzieci nocy”, z którymi zawsze toczyli boje.

Tłum nieszczęśników wywiezionych z Abe udało się wreszcie opanować i skierować aleją Południową w stronę Delft. Nad ewakuacją czuwa kilkunastu „przekornych”, którzy razem z uchodźcami mają opuścić Cameo.

Wychodzimy, a właściwie chłopcy wynoszą mnie na ulicę. Alicja idzie obok, nie odstępując mnie o krok. W bramie i w głębi uliczki – na wpół rozebrane barykady z mebli i worków z piaskiem. Widać, że „Bango” – siedziba „przekornych” – była fachowo przygotowywana do obrony. Niedaleko wejścia do budynku cztery wozy ciężarowe jakiejś firmy spożywczej. Za nimi i przed nimi długi szereg motocykli. Obok ciężarówek uzbrojeni chłopcy i dziewczęta.

Próbuję stanąć na nogach i zrobić kilka kroków z pomocą moich „adiutantów”, lecz nadal nie bardzo mi to idzie. Chłopcy sadzają mnie na worku przy wejściu i znów muszę czekać. Alicja lokuje się obok, trzymając mnie kurczowo za rękę. Do najbliższej stojącej ciężarówki „przekorni” ładują żywność, namioty i śpiwory. Do następnej wsiadają dzieci i dwie dziewczyny. W trzeciej i czwartej tylne drzwi są uchylone i widać jakieś młode twarze w ciemnym wnętrzu. Niektóre oczy patrzą w naszą stronę z nienawiścią. i pogardą, choć u większości dominuje wyraz niepokoju lub otępienia.

–„Kondory”? – pytam Emi.

–„Kondory”. Ci, których udało się wyłapać. Reszta, niestety, pozostanie w mieście.

–Ci tutaj zachowują się spokojnie – stwierdzam bez żadnych intencji.

–Są skuci. Znaleźliśmy w dyrekcji policji spory zapas kajdanek. Wątpię, aby próbowali podskakiwać... – mówi dziewczyna z wyraźną satysfakcją.

Patrzę na nią, a potem na Stephena i robi mi się dziwnie nieprzyjemnie. Rozumiem konieczność zastosowania takich środków, a jednak mam już dość tego szaleńczego „tańca”, w którym ciągle ktoś kogoś ściga, więzi, morduje...

Stephen dostrzega w mym spojrzeniu dezaprobatę i domyśla się, o co mi idzie.

–Nie było innego sposobu... – stara się usprawiedliwić. – To dla ich dobra. Jeśli zresztą uznasz to za właściwe, możemy ich wypuścić, jak dojedziemy do Mans. Boję się jednak, że zaraz wrócą do Cameo...

Stephen ma chyba rację i chcę mu powiedzieć, że spróbuję się z nimi jakoś dogadać, lecz właśnie gdzieś z daleka dobiega nas gwizd charakterystyczny dla wentylatorów poduszkowca. To z pewnością Pat Lu. Po kilkadziesiąt sekundach wyłania się u wylotu naszej uliczki brunatny kadłub maszyny...

Poduszkowiec zatrzymuje się i silnik cichnie. Z otwartego włazu wyskakuje Pat Lu i idzie w naszą stronę. Idzie lekkim, tanecznym krokiem, wysoki zgrabny, silny – a mnie ogarnia radość i jakieś głupie wzruszenie. Nie wiem, jak mogłam myśleć o tym, aby wyruszyć do Mans bez niego.

Patryk czuje zresztą chyba to samo, gdyż przyspiesza kroku, a pod koniec niemal biegnie. Śmieje się do mnie, chce coś powiedzieć, wyciąga rękę i staje. Uśmiech gaśnie na jego twarzy, a pojawia się zaskoczenie i niepewność. Wiem, że to ja powinnam zrobić jakiś ruch w jego kierunku, coś powiedzieć... Próbuję zerwać się z miejsca, ale zaraz opadam ciężko na worki.

Zrozumiał. Bez słowa bierze mnie na rękę i niesie w kierunku poduszkowca. Przytulał się do niego i całuję w policzek. Znow czuję się spokojna i bezpieczna...

Coś ciągnie mnie za łokieć. To Alicja drepcze przy nas.

6.

Od bezkolizyjnego skrzyżowania z autostradą Cameo-Dusk droga do Mans wiedzie głównie poprzez plantacje palmy oleistej i duskornu. Według tablicy kierunkowej przed skrzyżowaniem – 62 kilometry dwupasmowego asfaltowego szlaku. W rzeczywistości większą część drogi zarosły już trawy i chwasty, tak iż nasza długa kolumna pojazdów zdaje się płynąć zielono-żółtą rzeką.

Spowite w dymy Cameo pozostało daleko poza nami. Ale w pamięci pozostaje jeszcze ciągle apokaliptyczny obraz płonącej nadal alei Wschodniej i dogasających wielkich składów dworca towarowego na peryferiach miasta.

Już po raz trzeci czytam list Martina i coraz bardziej się denerwuję.

„Moja droga Agni,

tak się złożyło, że to, o czym powinienem Ci powiedzieć, zmuszony jestem napisać w liście. Wbrew memu pragnieniu szczerzej rozmowy i wyjaśnienia sobie wzajem kilku kwestii. Wbrew także elementarnej zasadzie bezpieczeństwa. Jesteś jednak nadal nieprzytomna, a nam czekać już nie wolno.

Ciężko mi odjeżdżać, pozostawiając Ciebie w tym stanie, choć zdaniem Toma odzyskasz świadomość w ciągu 2- 3 godzin. Chciałbym Ci powiedzieć, jak bardzo Cię kocham, chociaż ostatnio nie było zbyt wielu okazji, aby Ci to okazać. Może zresztą to i lepiej... Tom opowiedział mi, co zaszło między wami. Mówi, że przemyślał całą sprawę i nie chce mnie oszukiwać a także, iż rozstrzygnięcia oczekuje od Ciebie. Jest w tym z pewnością sporo perfidii, ale nie mam mu tego za złe. Chcę też, abyś wiedziała, że daleki jestem od tego, aby Cię winić za to, co się stało. Co do przyszłości – cóż możemy wiedzieć, jak potoczą się nasze losy.

Czas jednak wracać do terażniejszości! Musimy się rozdzielić, gdyż to zwiększa szansę przekazania światu prawdy o VP i „dyspozytorni”. Tom i ja chcemy przedostać się do Matavi i spowodować interwencję międzynarodową. Cameo trzeba ewakuować, zaś Hans musi jeszcze dziś powrócić do Kotliny Timu i zawiadomić Kadunę o grożącym niebezpieczeństwie. Czy uda mu się tam dotrzeć i mieszkańcy kotliny zdołają ukryć się w grotach, zależy od tego, kiedy nastąpi atak. Ty Agni, z Patrykiem i Stephenem musicie więc zrobić wszystko, aby opóźnić realizację „programu R”. Niestety, ty jedna znasz numer kontaktowy i możesz wpłynąć na Pratta i Knoxa.

Nie chcę Cię łudzić – jest to bardzo trudne i ryzykowne zadanie, wymagające nie tylko odwagi, ale także zręczności taktycznej i szybkiego refleksu. Przede wszystkim

nie wolno Ci dać się zaskoczyć i aresztować. Działaj tylko w grupie i to dobrze uzbrojonej. Jak długo nie wykonasz zadania, trzymaj się skraju vortexu, tak aby w razie pojawienia się jakiegoś wojskowego czy policyjnego oddziału łatwo wycofać się na teren anomalii. Telefonuj z Mans lub innej miejscowości w tym rejonie, nie pozostając w jednym miejscu dłużej niż kilkanaście minut. Jeśli uda się wam zdobyć gdzieś nadajnik radiowy, używajcie go rzadko i krótko, tak by nie zdążyli was namierzyć. Nie wyrażaj zgody na żadne spotkania. Ewakuowane dzieci przekaz władzom w Mans za pośrednictwem Stephena i to możliwie szybko, aby uzyskać

swobodę ruchu. Alicja niech się nie pokazuje, jeśli ma jechać dalej z Tobą.

W rozmowie z Pratem możesz blefować, że Quinta i Benedict są już w kontakcie z „antydyspozytornią” i przebywają w ośrodku kierującym VP z elektrowni w Nomo. Powiedz, że tam również uwięziony jest Magnuaen. To powinno skłonić Knoxa do odroczenia ataku. Po tej rozmowie spróbuj połączyć się z Dusk, z numerem 68 80 92 i gdy odezwie się mężczyzna, proś Bellę. Powinien odpowiedzieć, że Bella pojechała do cioci Ady. Powiedz wówczas, że jesteś jej koleżanką z Widder i poproś o numer telefonu cioci. Będzie to numer telefonu w Marlow, gdzie możesz dojechać pociągiem z Thartu, przez Segen, Haaburg i Olen. Z Alicją nie powinnaś wzbudzić niczych podejrzeń. W Marlow zadzwoń pod wskazany numer i proś „kapitana”. Zapytaj go, gdzie możesz się z nim spotkać i jak go rozpoznasz. On przemyci was na statek płynący do Europy. Jeśli te kontakty zawiodą, pozostaje możliwość dodzwonienia się do naszej ambasady, ale jest niemal pewne, że to zaalarmuje Pratta. Jeśli atak będzie odroczone, możesz też wrócić z chłopcami do Cameo i ruszyć za nami w kierunku granicy z Matavi.

Plan jest trudny, ale chyba realny. Gdybyś jednak wpadła w ręce Pratta i groził ci „fort”, Hans na wszelki wypadek włoży do koperty ampułkę z trucizną, działającą bezboleśnie i błyskawicznie. To, co piszę, jest potworne i okrutne, ale przecież wiemy oboje, że nie ma innego sposobu...

List ten zniszcz zanim dotrzesz do Mans.

Tom Quinta mówi, abym napisał, że będziemy czekali na Ciebie. Gdzie, dowiesz się od „Małego” lub Willego, którego telefon powinnaś, zdaniem Toma, pamiętać.

Nie wiem, co mam dalej pisać. Nie wiem, jak kończyć takie listy.

Wybacz mi... Głupiec ze mnie...

Martin”.

Patrzę na wygniecioną kopertę. Ampułki w niej nie znalazłam. Może Hans zapomniał włożyć. Może Patryk zgubił...

Nie powiem, aby ten list sprawił mi przyjemność. Jestem wściekła na Toma, że powiedział Martinowi. Jeśli ma to świadczyć o jego uczciwości i takcie, to dziękuję pięknie. Martin też jest dobry; niby twierdzi, że nie chce mnie winić, a z całego listu aż wieje chłodem i źle skrywaną urazą. Łatwo też wyczytać między wierszami, jaki to jest szlachetny. Największe pretensje mogę mieć, oczywiście, do siebie, że nie starczyło mi odwagi, aby wyznać Martinowi prawdę w czasie naszego spotkania w

szalasie na przełęcz, ale jakim prawem decydują za mnie, czy jestem winna czy nie. A w ogóle czy wolno im rozporządzać mną, jak gdybym była ich bezwolnym narzędziem. Ułożyli mi ładny „plan zajęć” na najbliższe dni, łącznie z ewentualnością szybkiej i bezbolesnej śmierci. Już mnie grzebią... Sami wieją za granicę, a mnie rzucają na pożarcie Prattowi i von Oostowi... Razem z Patrykiem i tą kupą dzieciaków...

Wcale mnie nie ciągnie do Mans. Najchętniej kazałabym zawrócić do Cameo i przygotować jakiś dobry schron w tunelach metro. Gdyby nie ci czarni z Kotliny Timu, gdyby nie Bob i Hans Oriento – na pewno tak bym zrobiła. Nie jadę nigdzie do Europy. Jak tylko uda mi się odroczyć atak – zaraz wracam do Cameo i w góry. Już mam dość wszystkiego: „dyspozytorni”, Zielonego Płomienia, Martina, Toma – całego tego zwariowanego świata!

Czuję, jak ogarnia mnie coraz większa złość i gorycz... Głupi, podły nieludzki świat...

Gaje palmowe raptownie się kończą i droga biegnie teraz wśród pól z niskopiennymi uprawami. Jezdnia nie jest tu już zarośnięta i chyba nie tak dawno jeździło tędy sporo pojazdów. Prawdopodobnie jesteśmy już na terenie objętym zasięgiem vortexu dopiero w ostatnich dniach, gdy promień anomalii uległ rozszerzeniu.

Jadący na przedzie kolumny Stephen zwiększa szybkość. Jego „skrzydlaty” motocykl oddala się od nas, lecz Pat Lu dodaje gazu i za chwilę znów mamy go tuż przed sobą. Ogląda

się za siebie i kiwa do nas ręką, pokazując coś przed nami na horyzoncie. Jakieś budowle? Chyba zbliżamy się do celu. Czyżby to było już Mans?

Cóż za pomysł wjeżdżać całą kolumną do miasta i wzbudzać sensację wśród mieszkańców? Czy wolno mi narażać tę młodzież? Przecież „dyspozytorzy” na pewno będą chcieli pozbyć się niewygodnych świadków. Rozumiem, że dzieci powinny wrócić do rodziców, a rannych i chorych trzeba zawieźć do jakiegoś szpitala, lecz w żadnym przypadku nie mogę dopuścić, aby Pratt zorientował się, że mam coś wspólnego z tą „kolumną ewakuacyjną”. Najlepiej byłoby, gdybym sama spróbowała dotrzeć do jakiegoś telefonu. Sama? Przecież o własnych siłach nie jestem w stanie zrobić kroku...

Świadomość bezsilności jest tak deprymująca, że nie pozwala mi na trzeźwe, logiczne myślenie. Czuję, że najchętniej bym w tej chwili biła, gryzła, kopała kogoś czy coś – nie wiem sama. Niemal rozsadza mnie gniew, żal, wściekłość...

Jakiś krzyk przedziera się poprzez szum silnika. To któreś z rannych dzieci, ułokowanych na fotelach za nami. Czuwająca nad nimi Emi nachyla się i gładzi po buzi jakiegoś malca, ale ten odsuwa się od niej gwałtownie, patrząc na dziewczynę ze strachem. Również inne dzieci zachowują się jakoś dziwnie, a siedząca obok mnie Alicja kurczowo ściska moją rękę.

–Co się dzieje?!

–Jesteś inna! – odkrzykuje Alicja. – Ale ja wiem, że to ty!

–Zatrzymajmy się! – wołam, chwytając Patryka za ramię.

Potwierdza skinieniem głowy i wskazuje lasek palmowy u podnóża niewielkiego wzniesienia. Miejsce chyba wyśmienite do obozowania. Musimy się zorientować, jak silna jest reakcja na zanik anomalii i podjąć próbę przygotowania się do nieprzyjemnych doznań i omamów. Nie wiemy zresztą nawet, czy nasilenie halucynacji zmienia się tu cyklicznie. U mnie jeszcze nie pojawiły się zaburzenia i Patryk również nie przejawia żadnych niepokojących reakcji – trudno jednak przewidzieć, co będzie dalej. Tak czy inaczej wypad do miasta zrobimy w małej grupie. Najlepiej na motocyklach. Jeśli nie potrafię utrzymać się na siodełku to ciężarówką – aby nie budzić zainteresowania naszym przybyciem. Muszę też zniszczyć list.

Pat Lu zwolnił nieco i Stephen wyprzedził nas znacznie.

Właśnie przejeżdża obok lasku i znika nam z oczu, gdyż droga zatacza łuk przy

zoboczu wzgórza. Kilkanaście sekund później i my jesteśmy na zakręcie. Patryk poczyną hamować, zbyt gwałtownie, tak iż muszę chwycić się poręczy fotela. Podnoszę głowę i robi mi się zimno. Przez pancerną szybę przed fotelem kierowcy widzę na drodze brunatne cielsko... czołgu.

Przez chwilę mam jeszcze nadzieję, że to jakiś porzucony przez żołnierzy wrak, lecz gdy Patryk kieruje naszą maszynę na pobocze, aby ominąć przeszkodę, lufa działa zwraca się natychmiast w naszą stronę. Jest to niedwuznaczne ostrzeżenie. Nie ma mowy o ucieczce. Czy wolno nam zresztą narażać życie dzieci. I po co? Chyba to zwykły wojskowy patrol, pilnujący granic vortexu i wykazujący wzmożoną czujność po masakrze w Abe. W takim razie łatwo będzie dogadać się z oficerem i skorzystać z radiostacji.

Stajemy i Patryk wyłącza silnik. Dzwoniącą w uszach ciszę przerywa szcęk otwieranego włazu.

–Czego oni od nas chcą? – denerwuje się Emi.

–Zaraz się dowiemy – próbuję wstać, lecz opadam z powrotem na fotel. – Pomóżcie mi wyjść na zewnątrz!

–Może lepiej poczekać. Nie wiadomo...

Emi nie kończy. Rozlega się głos megafonu, wzywający wszystkich do opuszczenia pojazdu. Nie ma co zwlekać. Pospiesznie drę i polykam nieszczęsny list Martina, a po chwili Patryk „podaje” mnie Emi, która jest już na zewnątrz. Bezwład nóg nadal się utrzymuje i muszę usiąść na ziemi. Po mnie opuszcza właz Alicja, a następnie Patryk. Dziewczynka

natychmiast przypada do mnie. Widzę, że zbiera jej się na płacz, więc mówię:

–Nic się nie bój. Będę się tobą opiekować a ty mną. A może dowiemy się od żołnierzy, gdzie szukać twojej mamy?

Na zakręcie stoją ciężarówki, ale chłopcy i dziewczęta nie opuszczają wozów. Nie widzę na razie żadnego motocyklisty i – co jest dość zaskakujące – nie ma również Stephena. Przecież jechał przed nami i musiał się spotkać pierwszy z patrolem. To mnie niepokoi.

W wieżyczce dowódcy unosi się kłapa pancerna i pojawia się głowa w hełmie. Oficer – chyba w randze porucznika – czujnie lustruje otoczenie, zatrzymując wzrok na mnie, Emi i Patryku. Wydaje się, jakby kogoś szukał, ale to może być złudzenie.

Z wnętrza poduszkowca dobiega nagle płacz dziecka.

–Kto tam jeszcze został? – sroży się porucznik. Jest zdenerwowany, nieufny.

–Ranne i chore dzieci – wyjaśnia pospiesznie Emi. – Wieziemy je do Mans, do szpitala.

W twarzy oficera pojawia się zaskoczenie i jakby niepewność.

–Kim jesteście i skąd jedziecie?

Emi przesyła mi pytające spojrzenie. To mądra dziewczyna i zdaje sobie tak jak i ja sprawę, że ujawnienie prawdy wzbudzi tylko wątpliwości.

Muszę teraz przejąć inicjatywę.

–Jesteśmy uchodźcami z terenu epidemii – trzymam się oficjalnej wersji. – Proszę sprawdzić – wskazuję gestem włąz poduszkowca – i pozwolić nam dalej jechać!

–Skąd macie ten pojazd? – porucznik staje się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Zaczynam domyślać się, o co chodzi i „skóra mi cierpnie”. Toszi wspominał przecież, że „kondory” zdobyli w Abe patrolowy poduszkowiec, likwidując załogę... To jest właśnie ten pojazd i oficer rozpoznał go po znakach. Jeśli powiem, że odebraliśmy go sprawcom masakry, wątpię, aby mi uwierzył. Chyba, że wydam naszych jeńców, ale wówczas, jeśli nawet żołnierze od razu ich nie rozstrzelają, to przekażą Prattowi i Hendersonowi. Wówczas los ich będzie jeszcze gorszy – staną się „materiałem eksperymentalnym” w badaniach nad nową bronią falową i vortexem. Mimo wszystko żal mi tych dzieci.

W tej sytuacji pozostał tylko jeden sposób.

–Panie poruczniku! Proszę przekazać natychmiast do sztabu operacji wiadomość, że „Sylwia-3” chce rozmawiać z numerem AC 222. Chodzi o sprawę najwyższej wagi państwowej Niech pan pamięta: „Sylwia-3”.

Oficer patrzy na mnie w milczeniu, jakby się wahał, co robić, potem głowa jego znika w wieżyczce.

Przez długie dwadzieścia minut nic się nie dzieje. Czuję coraz większy niepokój i sama nie wiem, kiedy zaczynam powtarzać w myślach „magiczne zaklęcie” Boba: asmitamatra... asmitamatra... Pat Lu i Emi nic nie mówią, lecz z pewnością też się denerwują. Alicja tuli się do mnie zaciskając nerwowo powieki. Chyba ma jakieś zwidy. Wokół wszystko jakby zamarło. Ustał nawet płacz dzieci w kabinie poduszkowca.

Cichy szmer kroków. Unoszę głowę wolno, aby nie alarmować obserwujących mnie z pewnością żołnierzy. Zasłonięci naszym pojazdem dwaj brodacze z mojej „ochrony” próbują zbliżyć się do nas niepostrzeżenie. Uzbrojeni są w karabinki laserowe i granaty. Tego tylko brakowało... Widzą że na nich patrzę, więc nieznacznym ruchem głowy próbuję dać im do zrozumienia, aby nie wazyli się atakować.

W wieżyczce znów pojawia się hełm porucznika. Jednocześnie unosi się kłapa w pancerzu i z wnętrza wozu wyskakuje żołnierz uzbrojony w pistolet maszynowy.

–Pani jest „Sylwią-3”? – zwraca się do mnie porucznik, już teraz spokojniejszym tonem.

–Tak, to ja. Nawiązał pan łączność z pułkownikiem?

–Pani jest ranna? – pyta unikając odpowiedzi.

–Nie. To tylko bezwład nóg. Czy pułkownik jest przy radiotelefonie? Muszę mu przekazać zaraz pilną wiadomość! Pomóżcie mi wstać! – zwracam się do Patryka i Emi.

–Nie ruszać się! – w głosie oficera znów pojawia się nerwowe napięcie. – Ferri, przenieś panią do przedziału kierowcy! Wszyscy inni nie ruszają się z miejsc! Otrzymałem rozkaz zabrania pani do sztabu. Inni, gdy odjedziemy, są wolni i mogą jechać do Mans.

–Ja cię nie puszczę, Agni! – woła rozpaczliwie Alicja zasłaniając mnie przed żołnierzami. – Odejdź! Odejdź, ty włochaty potworze.

Nie wiem, co powiedzieć temu dziecku. Jakże chciałabym, aby Alicja pozostała przy mnie. Ile już razy przyrzekałam jej, że już się nigdy nie rozdzielimy i okrucieństwem jest tłumaczenie, że zmuszona jestem złamać słowo. A przecież, jeśli nawet zdołałabym skłonić oficera, aby pozwolił mi ją zabrać, byłoby to niewybaczalnym szaleństwem, a może wręcz zbrodnią. O ucieczce nie ma co marzyć, dopóki nie odzyskam władzy w nogach. Ale czy odzyskam? I jeśli odzyskam, to kiedy? Co stanie się z Alicją, gdy znajdę się w szpitalu lub co gorsza w więzieniu? Jest to niemal nieuniknione, gdy Pratt zorientuje się, że go oszukałam. Lecz czy mogę go nie oszukać? Czy jest jakiś inny sposób?

Wiem, że muszę podjąć grę, bez względu na to jakie będą tego konsekwencje dla mnie. Nie mogę jednak narażać Alicji i dawać Prattowi do ręki broni przeciwko sobie. Co zrobię, jeśli będzie mnie szantażował groźbą zamordowania czy okaleczenia dziecka? W istocie – nie mam wyboru.

Przytulam małą mocno do siebie i całuję raz po raz po zapłakanej buzi.

–Bądź dzielna, Alicjo – szepczę jej do ucha. – Musisz zostać z Patem, Emi i „Chińczykiem”. Jak tylko będę mogła chodzić, ucieknę i wrócę do ciebie.

–Uciekniesz? – patrzy mi podejrzliwie w oczy, jakby chciała wyczytać z nich, czy jej znów nie okłamuję.

–Ucieknę – potwierdzam, choć zdaję sobie sprawę, jak wątpla to nadzieja. – Przyrzeknijcie mi – zwracam się do Patryka i Emi – że będziecie się nią opiekować!

Alicja nie puszcza mojej dłoni, gdy żołnierz bierze mnie na ręce i niesie do wjazdu. Dopiero Emi udaje się ją oderwać i odciągnąć od pojazdu. Jeszcze zanim zamknie się nade mną pancerna klapa, widzę jak wyciąga do mnie rękę i coś woła, czego nie słyszę w ryku silnika, uruchomionego z niepokojącym pośpiechem. Chce mi się płakać...

Wydarzenia zaczynają teraz biec bardzo szybko i wymagają takiej uwagi, czujności i szybkiego refleksu, iż to, co zostało za pancernymi ścianami, staje się dalekie,

nieistotne, niemal obojętne. Posadzono mnie zresztą plecami do kierowcy i nie jestem w stanie zorientować się nawet, czy jedziemy drogą do Mans czy może skręciliśmy na jakiś boczny szlak. Nie rozejrzałam się jeszcze dobrze po ciasnym przedziale, a już żołnierz, manipulujący przyciskami aparatury nadawczo-odbiorczej, podaje mi helmfon, pomaga go zapiąć i włącza do sieci.

–Halo, „Ogrodnik”! Tu „Stokrotka”! – słyszę głos porucznika. – Melduję wykonanie zadania numer dwa.

–Tu „Ogrodnik”! Przyjąłem. Zadanie numer trzy bez zmian. Łączę z „Saturnem”! – komunikuje inny głos.

–Tu „Saturn”! Macie ją? – pyta jakaś kobieta.

–Tak jest – odpowiada porucznik.

–Dajcie ją na kanał DNC!

–Rozkaz! Kapralu, wykonać!

Radiotelefonista manipuluje przyciskami. Cichy brzęczek odzywa się, dobrze mi znany, głos pułkownika Pratta.

–Słucham!

–Tu „Sylwia-3”. Mam dla pana ważne wiadomości.

–Nie wątpię. Wreszcie się pani odnalazła. Myślałem, że będę musiał spisać panią na straty.

–A jednak żyję i mam panu sporo do powiedzenia.

–Spodziewam się... – ton, jakim mówi do mnie Pratt, nie jest zachęcający.

–Chodzi o VP i nie tylko... – zawieszam głos.

–Słucham.

–To zbyt ważne na rozmowę przez radio... Złożę dokładną relację, gdy się spotkamy. Bo chyba wiozą mnie do pana? – próbuję zorientować się w sytuacji.

–Może pani mówić śmiało. Kanał DNC jest podwójnie szyfrowany cyfrowo i daje pełną gwarancję, że nikt niepowołany tego nie słucha.

–Wolę nie ryzykować – stosuję przyjętą taktykę gry na zwłokę, aby kłamstwami nie palić za sobą mostów, zanim nie załatwię sprawy zasadniczej. – Co z operacją R?

Pratt przez chwilę nie odpowiada, potem oświadcza tonem niemal obojętnym:

–Zgodnie z uatalonym planem...

–To znaczy?

–Realizacja w toku...

–Musicie wstrzymać akcję! To byłoby ludobójstwo!

–Zadziwiasz mnie, dziewczyno... Mamy przerwać satelitarne obserwacje vortexu? I pozwolić międzynarodowej mafii terrorystycznej na sprowokowanie światowego konfliktu nuklearnego?

–Panie pułkowniku, ja wiem, jaka i czyja bomba ma eksplodować nad Kotlinę Timu. Jeśli nie obchodzi was los kilkunastu tysięcy ludzi, to niech pan wie, że w Dolinie Mkavo zginie ktoś, czyje życie powinno być dla was bardzo cenne...

Pułkownik nie spieszy się z odpowiedzią. Pewno myśli, że Benedict powiedział mi o bombie i gotów potraktować to jako zdradę „dyspozytorni”. Czy w tej sytuacji Knox zdecyduje się uratować bratanka żony?

–Niepotrzebnie kręcisz, moja panno – odzywa się Pratt z jakąś złośliwą satysfakcją.
– Wiem, że senator nie żyje.

–Skąd pan wie? – pytam zaskoczona.

–Powiedzmy, mam dobrych informatorów. Nie takich jak ty, dziewczyno...

Dublowanie kanałów to podstawa rzetelnej informacji.

–Czy znam tego człowieka?

–Bardzo dobrze... I dlatego radzę nie wprowadzać mnie w błąd.

–Nie próbuję. Mówiąc o Dolinie Mkavo, myślałam o Magnugenie. Od niego wiem też, że „program R” można nazwać „operacją N”... I niech pan liczy się z tym, iż nie tylko ja wiem o tym. Jeśli aprobujecie użyć tej broni, świat dowie się prawdy! Prawdy o „dyspozytorni”! – decyduję się zagrać w otwarte karty. Nie mam już chyba wiele do stracenia.

–Niech pani nie liczy na Barleya, Quintę i Orientol – stwierdza Pratt gniewnie. – Szlak ku granicy Matavi jest dobrze strzeżony, a nawet najlepszym przyjaciółom zbytnio ufać nie należy... Nie ma też po co dzwonić do Dusk pod numer 68 80 92, ani szukać w Marlow „kapitana”...

Milczę, zupełnie oszołomiona i zdruzgotana tym, co słyszę.

–No cóż – podejmuje pułkownik, przechodząc na „ojcowski” ton. – Masz jeszcze trochę czasu, aby się zastanowić nad swoją przyszłością. Mimo wszystko czuję do ciebie sympatię. Prezes K. również. Być może otwiera się nowy, szczególnie korzystny dla ciebie etap naszej współpracy? Twoje doświadczenia są bardzo cenne...

–Dlaczego chcecie zniszczyć vortex? Przecież tego nie stworzyła żadna „antydispozytornia”. To wy sami sprowokowaliście Naturę!

–Może tak, a może nie. Któż to może wiedzieć? – mówi Pratt, chyba po raz pierwszy jakoś inaczej, bardziej po ludzku. – A czekać już nie można. Za wielkie ryzyko. Za wysoka cena...

–Niech pan spróbuje odroczyć operację chociaż do chwili, gdy powiem wam wszystko, co wiem. Może chodzi tu o coś niepowtarzalnego, jedyne w dziejach, większego stokroć niż

wszystkie plany „dyspozytorów”?

–A wiesz, dziewczyno, że sam pomyślałem o tym. Ale nie jestem pewny, czy mi się to uda...

–Niech pan zrobi wszystko, przekona prezesa K. Henderson będzie naszym sojusznikiem...

–I ja tak myślę. Ale czasu jest niewiele...

–Dlaczego?

–Chyba się sama domyślasz...

Połączenie zostaje przerwane. Żółta lampka na pulpicie łączności poczyną rytmicznie mrugać i siedzący przed nią radiotelefonista sięga do jakiegoś przełącznika. Ręka wydaje mi się dziwnie mała, niemal dziecięca, czy raczej starcza, bo pokrywa ją szerniała, pomarszczona skóra. Kapral zwrócony jest do mnie plecami i nie widzę jego twarzy, ale przecież pamiętam, że to młody, liczący najwyżej dwadzieścia parę lat żołnierz. Czyżby i u mnie zaczynały się zwidy poadaptacyjne?

Oglądam się za siebie. Zamiast barczystego kierowcy siedzi przy drążkach jakiś pokurcz, o rozdętej jak balon głowie, zdającej się rozsadzać hełmofon... Jakaś biologiczna wrogość, wstręt i pogarda dla tych skarłałych istot miesza się we mnie z uczuciem zawodu, krzywdy i bezsilności. Żal mi ich, ale też nienawidzę wszystkiego co reprezentują. Przecież ja już nie należę do tego świata i – wiem to na pewno – nigdy nie będzie on moim światem...

Jakże prostsze było wszystko tam, na terenie Vortexu. Byli wrogowie i przyjaciele. Kapłani rozumu i naiwni prostaczkowie. Zdrowi lub chorzy psychicznie. Szlachetni, tolerancyjni marzyciele, życzliwi wszystkim ludziom i fanatycy, ogarnięci szaleństwem nienawiści i amokiem zbrodni. I nie było żadnych wątpliwości, kto kim jest... Był to świat zbyt wiele może wymagający od człowieka, zbyt twardy ze swymi niepisanymi prawami, młodzieńczo szczery, serdeczny i dziecięco okrutny, ale nie było w nim kłamstwa, obłudy i podstępnej gry politycznej. Czy rzeczywiście nie było? Czy teraz, gdy znalazłam się poza jego kręgiem granicznym, nie ulegam złudzeniu, wydobywając z pamięci tylko to, co mi odpowiada i tworząc paranoidalny mit utraconego Raju?

Ze słów Pratta wynika, że i w tamtym świecie byli donosiciele i agenci pułkownika. Kto nas zdradził i dlaczego? Najstraszniejsze jest to, że nie wiem zupełnie i gotowa jestem podejrzewać wszystkich. A przecież jest to jedna, najwyżej dwie osoby.

Muszę się zastanowić, zacząć logicznie, chłodno analizować fakty. Drogą eliminacji tych, którzy nie mieli możliwości przekazania informacji, mogę znacznie ograniczyć krąg podejrzanych.

Na przykład „kondorów” i „przekornych” można od razu wykluczyć. Czy wszystkich? Stephen pierwszy spotkał patrol i gdzieś zniknął. To może być podejrzane. On prowadził kolumnę, a z dialogu między porucznikiem, „Ogrodnikiem” i „Saturnem” zdaje się wynikać, iż patrol czekał na mnie. Stephen wiedział o śmierci senatora, zna trasę ucieczki Martina i Toma, musi też być dobrze zorientowany w planach mojego „ewakuowania się” z Dusklądu. Jeździł też poza Cameo i mógł systematycznie kontaktować się z ludźmi Pratta. Wynika stąd, że może być podejrzany nr 1. Ale nie tylko on. Podobnie ma się sprawa z Emi i z brodacami z mojej obstawy. Jeden z nich był zresztą zwiadowcą pułkownika Chameau. Są jednak i kontrargumenty: Stephen, gdyby był zdrajcą, na pewno udawałby, że został zatrzymany przez patrol a nie zniknął, Raczej uciekł albo nie żyje. Ale ucieczka mogła być również zaplanowana, a puszczenie wolno całej kolumny bez sprawdzenia, co to za młodzież i dzieci – jest zastanawiające.

Pratt powiedział, że znam zdrajcę bardzo dobrze. Jeśli nie skłamał, a po cóż miałby kłamać, mając mnie w ręku, wynika stąd raczej, że to nikt z młodzieży. Oriento? Tom? Patryk? Wydaje się to niemożliwe. Może jeden Oriento... Zawsze był dla mnie podejrzany facetem. Już Martin w czasie zaburzeń psychicznych oskarżał go o zdradę. A to, co wydarzyło się w Dolinie Martwych Kamieni? Dlaczego zaatakowano grotę, gdy opuścili ją

Hans i Martin? Na pewno nie był to przypadek... Oriento penetrując teren, miał też niejedną okazję do przekazywania informacji. Może zresztą dysponuje jakimiś własnymi technicznymi środkami łączności. Przecież wszystkie jego wróżby i jasnowidzenia mogą świadczyć, że dysponował świetnie zorganizowaną siatką informatorów. Nigdy nie wierzyłam, aby były to paranormalne zdolności...

Może jednak krzywdzę Hansa. Może nie jest on zdrajcą, a przeciwnie – bohaterem, zdecydowanym uratować od zagłady mieszkańców Kotliny Timu lub zginąć razem z nimi? Pratt wymienił Oriento razem z Barleyem i Quintą, mówiąc o ucieczce do granicy Matavi. Czy Hans pojechał za nimi, uciekając z zagrożonego terenu, czy może Pratt otrzymał fałszywą informację?

A Tom? Jego zaangażowanie w wielkiej grze, jaka toczy się wokół vortexu i „dyspozytorni”, nakazuje mu nie ufać. Należy chyba do ludzi, którzy dla osiągnięcia wielkiego strategicznego celu gotowi są poświęcić siebie i najbliższych sobie ludzi, przyjmując nawet hańbiącą maskę zdrajcy. Bo nie wierzę, aby mógł zrobić to ze strachu czy dla jakichś korzyści osobistych. I dlatego, zarówno dla wrogów jak i przyjaciół, jest tak niebezpieczny. Oczywiście, jego pozycja i gra, której byłam świadkiem, wyklucza, aby mógł być agentem Pratta, zaś kalectwo uniemożliwia w ogóle samodzielne działanie. Ale Tom i Martin mogli być „zgarnięci” przez jakiś patrol na drodze ku granicy i są już w rękach Pratta, a może von Oosta. Wątpię zresztą, aby doszło do zastosowania metod, jakie poznałam na własnej skórze w „forcie”. Zbyt mało upłynęło czasu, a zresztą, znając Toma, przypuszczam, że w grze politycznej wyżej ceni zręcznego, osiagającego cel szulera niż bohatera na straconych pozycjach. Po prostu – mógł dojść do wniosku, że w tej sytuacji opłaca się wydać mnie Prattowi. Znamienne jest przecież, że szukali tylko mnie, nie interesując się zupełnie Patrykiem czy Stephenem, którzy również znają tajemnicę „programu R” i przeniosą ją dalej w świat.

Czołg toczy się już od dłuższego czasu po okropnych wertepach porośłych krzakami, miażdżonymi przez nasze gąsienice. Widocznie, zjechawszy z szosy, „prujemy” teraz przez busz ku jakiejś ukrytej bazie wojskowej. Straciłam już zupełnie poczucie kierunku i nie potrafię ocenić przebytej drogi. Wiem tylko, że jedziemy już ponad godzinę i jesteśmy chyba daleko poza terenem anomalii.

Zegar na tablicy radiostacji wskazuje godzinę 18.20. Nikt się do mnie nie odezwał dotąd ani słowem. Oficer w ogóle nie pokazuje się w naszym przedziale i porozumiewa z załogą przez hełmofony. Nie wiem jednak, co mówią.

Myślę teraz o Martinie. Czy może być on całkowicie wolny od podejrzeń? Rzecz jasna nie

myślę tu o świadomej zdradzie. Wykluczam też, aby z zazdrości o mnie wydał Toma lub

zostawił go gdzieś na drodze. Ale Martin przeszedł piekło więzienia w Inuto i

„przesłuchań” von Oosta. Nie nadaje się też do roli politycznego gracza, a tym bardziej „szulera”. To, co widziałam i słyszałam w „laboratorium” Oriento, budzi jednak we mnie obawy, że odpowiednimi metodami jego umysł można uczynić podatnym na sugestie hipnotyczne i stwarzając fałszywe wyobrażenia, skłonić do wyjawienia tego, czego w stanie pełnej świadomości nie zdradziłby za żadną cenę. Pozostaje wreszcie Pat Lu. Z pozoru wiele przemawia przeciw niemu: przeszedł adaptację, zna Magnusena i miał wiele okazji do przekazania informacji. Zna Cameo i okolice, był w wojsku telegrafistą i radiotechnikiem, a ponadto to on przekazał mi list Martina, a więc mógł go czytać. Plany Martina i Toma nie były zresztą dla niego tajemnicą. Chociaż jednak znam bardzo krótko tego chłopaka, przeżyte z nim razem dramatyczne chwile, pozwalają mi kategorycznie odrzucić wszelką myśl, że może być on tym, który nas wydał Prattowi. Chyba, że ceną jest uratowanie mieszkańców Kotliny Timu. Nie wierzę wszakże, aby okazał się aż tak naiwny...

Maszyna pokonuje w pędzie jakiś głęboki rów, tak iż o mało nie spadam z fotela. Potem toczy się jeszcze kilkanaście sekund po dość równym terenie i staje. Kierowca – wielki,

ohydny, zielono-brunatny homunkulus podnosi się z miejsca i otwiera klapę wjazdu. Dotarliśmy do celu czy krótki postój? W naszym przedziale pojawia się tyczkowaty stwór o tułowiu przypominającym korzeń mandragory i głowie owada. To chyba sam pan porucznik – dowódca czołgu.

–Jak się pani czuje? – pyta potwór tonem pełnym troski. – Droga nie była najlepsza i trochę nas wytrzęsło, ale miałem rozkaz dotarcia do lądowiska przed 19.15.

–Dziękuję, jakoś wyszłam z tego cało – próbuję zażartować, lecz nie bardzo mi to wychodzi. – Gdzie jesteśmy?

–W pobliżu Linii kolejowej Cameo-Dusk, około czterdziestu kilometrów od stolicy. O zmroku przyleci tu po panią helikopter.

–Długo czekaliście na mnie w tamtym lesie? – zadaję przygotowane od dawna pytanie.

–Niedługo.

–Czy wszystkie drogi w okolicach Cameo i Dusk patrolowane są przez oddziały wyposażone w taki ciężki sprzęt?

–Chce pani poczekać tutaj czy w namiocie? – oficer pospiesznie zmienia temat.

–Wolę poczekać na zewnątrz.

Zastanawiam się, czy oficer traktuje mnie nadal z nieufnością czy po prostu przestrzega tajemnicy wojskowej. Chciałabym znać odpowiedź na moje pytanie. Może być ona nader interesująca... Czyżby spodziewano się, że jadę z dobrze uzbrojoną grupą? A może ogłoszono stan wyjątkowy?

Kierowca i telefonista podchodzą do mnie. Z trudem pokonuję obrzydzenie, gdy potworne łapy biorą mnie pod ramiona. Chcę jak najszybciej uwolnić się od tej pomocy, ale chociaż ręce są sprawne, nogi nadal nie są w stanie utrzymać ciała, a cóż dopiero mówić o chodzeniu, wspinaczce czy skokach. Pogłębia to jeszcze moja depresję. Nie jest to z pewnością chwilowe porażenie nerwów. A jeśli nawet Henderson wyciągnie mnie z tego, jaką cenę będę musiała zapłacić?

Słońce chyli się już ku zachodowi. Do zmierzchu pozostała jeszcze niespełna godzina. Rozległy płaski teren zamyka z naszej strony kilkanaście wojskowych namiotów i ukryte pod niskimi drzewami transportery opancerzone. Jest to chyba nieduży polowy obóz jakiejś formacji pomocniczej. Żołnierzy widzę niewielu, z daleka

zresztą wyglądają jak zwykli ludzie. Dopiero gdy podchodzą bliżej, ich obraz ulega deformacji i przybierają postać przedziwnych monstrów.

Siedzę teraz na składanym krzeselku u wejścia do dużego, pustego teraz namiotu-jadalni i nadal dręcę się problemem kto, kiedy i w jaki sposób przekazał Prattowi informacje o tym, że jadę do Mans. Z tego, co zdołałam wyciągnąć od oficera, wynika, że dość dokładnie określono czas spotkania z naszą kolumną. Wyjazd z Cameo nastąpił z opóźnieniem, spowodowanym kłopotami z ewakuacją i tankowaniem paliwa przez Patryka. Pat Lu w dużym stopniu, prowadząc poduszkowiec mógł wpływać również na tempo naszego ruchu, chociaż Stephen jechał na przedzie. Zdaje się więc, że zbyt pochopnie uwolniłam. Patryka od podejrzeń. Świadczyłoby to jednak, iż istniała jakaś czynna linia łączności Cameo ze światem zewnętrznym, o której wiedział tylko on i nie powiedział mi o niej, aby zmusić mnie do opuszczenia Cameo... Nie, to wszystko nie ma sensu. Przecież to z mojej inicjatywy wyruszyliśmy do Doliny Mkavo i ja mu powiedziałam o „programie R”.

Program R... Pratt powiedział, że to program obserwacji satelitarnych Cameo... Oczywiście było to kłamstwo, ale... może nie całkowite. Obserwacje satelitarne vortexu są z pewnością prowadzone i to nie tylko na zlecenie Dusklądu. A dzisiejsza technika, zwłaszcza wojskowa, umożliwia komputerową identyfikację i śledzenie ruchu nie tylko całych kolumn zmotoryzowanych, ale i pojedynczych pojazdów, a nawet ludzi. Pratt może więc mieć z tego źródła informacje o wyjeździe z Cameo zarówno naszej kolumny, jak i pojazdów podążających ku granicy z Matavi. Dlaczego jednak nic nie powiedział o szlaku, którym

wyruszył Hans? Czyżby nie pojechał on w góry? A może po prostu pojazd ten dostrzeżono, jak „uciekał” do lasu i uznano, że to ktoś z rozbitego oddziału „kondorów”. Możliwości identyfikacji poszczególnych osób są z pewnością ograniczone, zwłaszcza, że dymy płonącego miasta utrudniają śledzenie ruchu pojazdów i ludzi.

Chociaż systematyczne satelitarne obserwacje vortexu są zapewne prowadzone od wielu miesięcy, myślę, że największe zbliżenia stosuje się rzadko. Po telefonie senatora z Delft nasza wyprawa do Cameo mogła być jednak śledzona z kosmosu ze szczególną uwagą. Oznacza to, że wiadano o katastrofie dżipa, a że od tego czasu sylwetki ludzkiej podobnej do Benedicta komputery nie wykrywały, nietrudno było wydedukować, że on jest ofiarą wypadku. Potwierdzeniem dla Pratta mogło być też moje „kręcenie”. Jedyne szkopuł to wiadomość o szlaku przerzutowym Dusk-Marlow- Europa, ale pułkownik dysponuje z pewnością dobrą siatką kontrwywiadowczą, która penetruje tego rodzaju kanały. Przecież już Martin i Vittorio byli pod obserwacją. Rzecz jasna, nie mam żadnych konkretnych dowodów na to, iż takie właśnie jest źródło informacji pułkownika i blefuje on, aby mnie „zmiękczyć”, lecz i tej możliwości nie można wykluczyć. Tak czy inaczej Pratt osiągnął swój cel: czuję się fatalnie, jestem załamana, zdezorientowana, bezradna, pozbawiona wszelkiego oparcia, dopatrująca się zdrajców i donosicieli w ludziach, którym powinnam ufać. Najgorsze, że ciągle myślę tylko o tym jednym: kto i jak nas zdradził. Staje się to dla mnie wręcz obsesją, tak iż nie jestem w stanie zastanowić się, co robić dalej, a zwłaszcza, co powiedzieć Prattowi, aby się ratować, a zarazem nie pomagać „dyspozytorom” w realizacji ich planów.

Zjawia się kapral-monstrum, przynosząc mi z polowej kuchni jakąś mięsną zupę i puszkę z kompotem. Jestem pewna, że mnie pilnują, lecz robią to dyskretnie. Porucznik otrzymał chyba rozkaz, aby nikogo obcego do mnie nie dopuszczać, gdyż żołnierze ze stacjonującego tu oddziału omijają mój namiot.

Słońce poczyna zachodzić. Patrzą na czerwoną kulę chowającą się w różowe mgły nad horyzontem. Tam chyba, gdzieś trochę w lewo, powinno znajdować się Cameo, a dalej – Góry Żółte i Kotlina Timu. Nie byłam w tej kotlinie nigdy, nie zdołałam dotrzeć do owej oazy spokoju, ukrytej w wirze przeobrażającym świat. Ale tęsknię za nią i jeśli ona i ja przetrwamy – odnajdę ją na pewno...

Nie wiem, czy Pratt doprowadził do wstrzymania ataku. Tak naprawdę niczego nie przyrzekł i jeśli liczę na niego to tylko dlatego, że chyba zrozumiał bezsens tej operacji. Nawet z punktu widzenia politycznych Interesów jego mocodawców. Jeżeli Tom i Martin przedostali się przez granicę, atak potwierdziłby tylko prawdziwość tego, co ujawnią. A jeśli prawdą jest, że Pratt ma ich w ręku i rozmawiał z nimi, wie

już, że walka z vortexem nie jest wcale walką z wrogami „dyspozytorni”, lecz z siłą, która jest w nas samych, decyduje o naszym istnieniu i próbuje ratować ludzkość przed nią samą. Paroksyzmy, jakie ten świat przeżywa, to przecież nie tylko choroba, ale i reakcja obronna globalnej bio- i psychocenozy, której bezkarnie nikt i nic nie może zakłócać.

Rubinowa kula słońca znika za wzgórzami. Zielony promień? Nie, to chyba nie to. Jak gdyby drugie, oślepiająco białe słońce zabłysło na krótką chwilę tuż nad widnokrzem i zgasło. Różowy woal mgieł z nagłą gęstnieje, przeobrażając się błyskawicznie w czarnobiałą burzowy wał chmur. Czuję ostry, nerwowy skurcz serca.

Jeśli oficer powiedział prawdę, znajdujemy się w odległości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów od Kotliny Timu i fala akustyczna dotrze tu za siedem minut. Pozostaje czekać i liczyć sekundy.

Potworne uczucie niepewności... Modlę się, aby grzmot nadszedł wcześniej, jak najprędzej. Oznaczałoby to zwykłą burzę, wyładowanie atmosferyczne gdzieś w okolicy. Ale czas płynie, a wokół panuje cisza.

Zapada zmrok i w czterech rogach lądowiska zapalają się orientacyjne latarnie. Również w namiotach pojawia się światło. Czy Oriento zdążył? Od jego wyjazdu z Cameo minęło już

ponad pięć godzin. To dość czasu, aby przejechać pojazdem gaśnicowym przez przetarty już szlak leśny, wspiąć się na przełęcz i zejść do kotliny, lecz bardzo mało, aby ewakuować kilkanaście tysięcy mieszkańców do grot w górach.

Myślę teraz o Bobie. Gdybyż swymi jasnowidczymi zdolnościami potrafił przeczuć zbliżające się niebezpieczeństwo... I czy profesor Kaduna – racjonalista-szaman – dałby wiarę jego słowom.

Już chyba dawno minęło siedem minut... Niestety, zegarek zgubiłam gdzieś w Cameo. Jest już prawie ciemno i lada chwila powinien przylecieć zapowiadany helikopter. Nadal cisza, tylko z odległych namiotów dobiega szmer głosów i brzęczenie owadów gromadzących się wokół latarni. Czyżbym nie dosłyszała grzmotu? A może ten typ bomby działa tak cicho, że akustyczny zwiastun zagłady już tu nie dotarł? Cicha, atomowa śmierć...

Rozważmy jeszcze jedną możliwość: to nie była bomba neutronowa. Może w ogóle żadna bomba nie eksplodowała, tylko moja chora wyobraźnia zmieniła zwykły, słoneczny refleks w znak Apokalipsy? Ta myśl zdaje się nieść w sobie spokój i odprężenie. Nawet głosy żołnierzy w namiotach jakby przycichły, a cały obóz stał się mniej obcy i nienawistny.

Od strony pancерnej maszyny, którą mnie tu przywieziono, idzie wysoka postać ludzka, świecąc po ziemi latarką. Za chwilę, gdy wejdzie w krąg światła przed namiotem, ujrzę znów dziwaczne straszdyło, podobne do „kosmity” z kart popularnych komiksów.

–Helikopter już w drodze – słyszę z daleka znajomy głos porucznika. – Za dziesięć minut powinni wylądować!

–Czy widział pan zachód słońca? – pytam z nadzieją, że znajdę potwierdzenie, że to było tylko złudzenie.

–Zachód słońca? – dziwi się oficer. – Chodzi pani... – rozpoczyna i urywa nagle.

Zatrzymuje się kilka metrów przede mną. Widzę go teraz wyraźnie – ani śladu deformacji. Jest to zwykły, normalny człowiek. Młody porucznik o jasnych włosach, ten sam, którego widziałam w wieży pancерnej. Unosi latarkę i świeci mi prosto w oczy.

–Co pan wyprawia! – zasłaniam się przed światłem.

Porucznik stoi i milczy, tylko ręka z latarką poczyną mu drżeć nerwowo. Patrzy

ostępiały na mnie, a w jego wzroku dostrzegam rosnące przerażenie.

Niedaleki, przeraźliwy wrzask przerywa ciszę. Niemal natychmiast dołączają do niego inne głosy, pełne lęku, rozpacz i błagania o pomoc. Z namiotów poczynają wyskakiwać żołnierze. Rzucają się do ucieczki na oślep w ciemność, rozbiegając się na wszystkie strony. Co przytomniejsi próbują ich powstrzymać, ale wywołuje to wręcz odwrotny skutek, potęgując paniczne reakcje.

W obłąkańcze krzyki i wrzaski, dobiegające z różnych stron obozu wdziera się nagle seria z pistoletu maszynowego. Sytuacja przybiera i dla mnie niebezpieczny obrót. Porucznik gdzieś się podział, a zresztą czy mogę tu liczyć na czyjąś pomoc? Zsuwam się więc pospiesznie z krzesła na ziemię i próbuję wyczołgać poza teren obozu. Wkrótce jednak ogarnia mnie takie zmęczenie, że padam bezwładnie w trawę w płytkim dole, czy może rowie.

Strzelanina nie ustaje, a nawet się wzmaga. Nikt nie jest w stanie opanować paniki, jaka ogarnęła żołnierzy. Zgiełk rośnie i przenosi się na parking. Dochodzą mnie odgłosy walki wręcz, skowyt zapuszczanych silników i ryk szaleńczo ruszających maszyn. W ciągu niewielu minut niemal wszystkie transportery znikają w ciemności, nierzadko miażdżąc po drodze namioty i ludzi. Wokół czołgu toczy się również bójka, ale wkrótce i tego kolosa pochłania mroczny busz.

W chwili największego chaosu nadlatuje helikopter. Duża wojskowa maszyna zatacza koło nad obozem, wznosi się w górę to opada w dół, zdając się tańczyć w powietrzu.

Cóż za dziwne, niebezpieczne akrobacje?

Silnik pracuje normalnie i maszyna jest chyba sprawna. Śmigłowiec znów nabiera

wysokości i odlatuje, aby po paru sekundach powrócić nad teren obozu. Pilot wyraźnie próbuje przejść do lądowania, nie panując w pełni nad maszyną. Śledzę te manewry z rosnącym niepokojem. Helikopter powinien teraz wytracić prędkość i zawisnąć w powietrzu a potem osiąść w trawie, z dala od bezsensownej walki, toczącej się w głębi obozu.

Już tylko kilka metrów dzieli maszynę od ziemi. Prędkość opadania jest jednak zbyt wielka. Pilot próbuje rozpaczliwie poderwać śmigłowiec...

Za późno. Maszyna uderza o ziemię i z ogłuszającym trzaskiem staje w płomieniach. W chwilę później eksplodują zbiorniki paliwa.

Nie chcę patrzeć na to, co dzieje się wokół mnie. Leżę w rowie z twarzą ukrytą w trawie i czekam, aż się to wszystko skończy. Nie wiem, co stanie się potem ze mną, ale jest mi już wszystko jedno.

Rozumiem dobrze sens tego, czego jestem świadkiem. Vortex nie dał się zniszczyć. Może tajemniczy torus wchłonął energię, która miała spowodować jego zagładę i rozrasta się teraz do gigantycznych rozmiarów, obejmując swym wirem coraz to dalsze obszary? A może rozszczepiony eksplozją nuklearną rozpadł się na setki nowych torusów – nowych ognisk generatorów psychicznej burzy, które wędrują teraz w różne strony świata? Czy burze te ogarną wielkie skupiska ludzkie Europy, Ameryki, Azji? Czy wstrząsając nimi uratują psychocenozę Ziemi, niweczoną bezmyślnie, a czasem z premedytacją przez różne wcielenia wszechwładnych, a jakże naiwnych „dyspozytorów”?

Jaki będzie ten przyszły świat – lepszy czy gorszy? Wiem jedno – doświadczenia Cameo nie wolno zmarnować. Jakże chciałabym być zdrowa i silna, aby wraz z Patrykiem, Alicją i tymi młodymi ludźmi, pełnymi może naiwnej, lecz jakże życiodajnej nadziei, chronić „małe, zielone ludziki” przed ich własnymi koszmarami i lękami... Tak jak uczyli tego Martin, Tom, Kaduna... a może zupełnie inaczej?

Strzałów już nie słychać. Umilkły motory i głosy ludzkie. Jeszcze tylko z sykiem i trzaskiem dopalają się resztki śmigłowca.

Unoszę głowę. Latarnie pogasły. W ocalałych namiotach nie palą się światła. Na parkingu pod drzewami pozostały zaledwie dwa pojazdy pancerne. Nigdzie nie widać żywej duszy.

Noc jest chłodna i powinnam znaleźć sobie jakieś miejsce do spania. W głowie mi się jednak mąci i nie stać mnie na jakikolwiek dalszy wysiłek. Jestem nieludzko zmęczona i wyczerpana nerwowo. Co gorsza, zdaje się wracać ból mięśni, z którego

wyzwolił mnie Kaduna.

Co będzie ze mną? Lepiej o tym nie myśleć.

Opadam na trawę, lecz jakieś dalekie głosy, chyba rżenie i jęki, wrywają mnie z odrętwienia. Halucynacja? Raczej ranni w strzelaninie żołnierze. Czy mogę ich zostawić w takim stanie?

Dźwigam ciało na rękach i podnoszę wyżej głowę. Żarzący się wrak strzela po raz ostatni snopem iskier i przygasa. Teraz jest prawie zupełnie ciemno. Patrę półprzymkniętymi oczami na to, co pozostało z helikoptera, obiegam wzrokiem plac obozowy i zatrzymuję spojrzenie na krzakach obok parkingu. Wydaje mi się, że widzę jakieś postacie ludzkie, pochylone nad czymś leżącym na ziemi. Padam na bok i podpierając się rękami, siadam z trudem na trawie. Jakież widma pojawiają się między namiotami. To oczywiście złudzenie. Zjawy rozplywają się w ciemności.

Ogarniający wszystko mrok sprzyja omamom, nawet bez udziału vortexu... Przez plac, w moją stronę idą cztery postacie... Cztery cienie ludzkie: wysoki mężczyzna, dwóch niższych, czy może raczej chłopiec i dziewczyna, i dziecko. Fantomy przybierają znajome kształty... Jakże podobne do Patryka, Stephena, Emi i Alicji... Nie wierzę, aby mogła to być rzeczywistość. Nie chcę już złudzeń i rozczarowań!

Mały „ludzik” odrywa się od towarzyszy, przyspiesza kroku, biegnie ku mnie...

165

Warszawa – Zalesie Górne – Konstancin 1978-1980

Korekta: Renata Sadowska

166

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/